

DMITRIJ  
**BYKOW**

UNIEWINNENIE



DMITRIJ  
**BYKOW**

UNIEWINNENIE

Przekład  
Ewa Rojewska-Olejarczuk

*Pamięci Nonny Słepakowej*

*Do roku 1938 NKWD zgromadziło materiał wystarczający, aby aresztować całą ludność  
ZSRR.*

Robert Conquest

*Zimno – to nasze życie. Musisz świadomie poszukiwać tego, co zimne i złe, i ogrodzić się  
tym. Z tego właśnie wezmą się siły twoje, staniesz się Zwycięzcą Przyrody.*

*Jak umierało to, co dobre i ciepłe, tak umiera i będzie umierać dopóty, dopóki ludzie nie  
ruszą na wroga i nie stawią mu druzgocącego oporu. Dokona tego to wszystko, co zimne i  
złe.*

*Życzę ci szczęścia i dobrego zdrowia.*

Porfiry Iwanow

*Powiem wam, tylko się na mnie nie złościście:  
bardzo lubię królewski przepych.*

Teffi

**D**ocenta Moskiewskiej Akademii Rolniczej Iwana Antonowicza Skałdina wzięli w grudniu trzydziestego ósmego roku w związku ze słynną „sprawą Michajłowa”. Sam Michajłow zdążył umrzeć tydzień wcześniej, zanim zaczęto aresztować całą jego szkołę. Życie – a raczej śmierć – ocalił mu właśnie Skałdin: olbrzymiego wzrostu, silny, rzadko kiedy mający w jakichkolwiek kwestiach wątpliwości, przyszedł do swego mentora i zastał go w strasznym stanie. Rodzina, nie śmiejąc mu się sprzeciwić, kryła się po kątach: starzec był groźny. Lekarz z pogotowia nalegał na hospitalizację, ale siedemdziesięcioletni akademik go przepędził. Nie chciał nawet słyszeć o szpitalu. Jego ojciec, dziad, pradziad – wszyscy zmarli w domu, nie zniżając się do tego, by oszukiwać los. Skałdin, niewiele myśląc, wezwał karetkę pogotowia, wziął szamoczącego się słabo profesora na ręce (gdyby nie szacunek dla założyciela szkoły, w ogóle przerzuciłby go sobie przez ramię) i zaniósł do ambulansu. Pod koniec starzec, poddawszy się cudzej i życzliwej woli, poczuł nawet ulgę i uwierzył, że się jakoś wymiga spod łopaty. Ale lekarze pogotowia nie wiedzieli, gdzie jest lecznica Akademii Nauk, i zawieźli pacjenta tam, gdzie było najbliżej. Skałdin dzwonił do osobistego lekarza profesora, kiedy chorego przenoszono z karetki na korytarz, z korytarza z powrotem do karetki, i zanim dowieziono do separatki, przewiał go lodowaty listopadowy wiatr i dwa dni później pod wieczór Michajłow po krótkiej agonii zmarł. Jego córka przeklinała Skałdina, krzycząc, że w domu, we własnych czterech ścianach, pewnie by przeżył, że nie przetrzymał wstrząsu – i sam Skałdin robił sobie gorzkie wyrzuty, chociaż na uroczystości żałobnej w Akademii właśnie jego nazwano kontynuatorem dzieła Michajłowa. Ale „dzieło Michajłowa” stało się już „sprawą Michajłowa” i w pierwszych dniach grudnia po niego przyszli. Zapuchnięta od płaczu żona i śmiertelnie wystraszona córka wyjaśniły przybyłym, że Michajłowa już wzięli, i cała trójka – jeden rutynowo uprzejmy, dwaj pyskaci – wyniosła się szybko, jakby z pewnym rozczarowaniem, a może i w strachu. Po raz pierwszy na ich oczach niekontrolowana siła wmieszała się tak wyraźnie w los ofiary.

A Skałdina wzięli piątego grudnia, w dniu nowej konstytucji, jako że teraz NKWD nie miało ani świąt, ani wolnych dni. Nie wystraszył się i ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że go wypuszczą. Tak jak Michajłow, pozostawiał na wolności żonę i córkę, i podczas rewizji uspokajał je, jak mógł. W to, że jego sprawa się wyjaśni, wierzył, dopóki jeszcze trzeźwo myślał, ponieważ jako dowody winy przedstawiano mu nader dziwne rzeczy i śledczy bardzo

słabo orientował się w tym, nad czym pracowano w Akademii. Podczas rewizji znaleziono u niego nasiona doświadczone i uznano je za dowód kradzieży własności państwowej. Kiedy zaś Skałdin, nie przestając się szeroko uśmiechać, powiedział śledczemu, że pracował również w domu, badając i hodując próbki, że tak robili wszyscy, by móc na rocznicę konstytucji zameldować o nowym gatunku, śledczy uznał, że docent brał nasiona po to, by je przekazać agentom obcych państw. Skałdin roześmiał się wesoło i powiedział, że nigdy na oczy nie widział żadnego agenta, prace są dopiero w stadium końcowym i zapiąć je na ostatni guzik mógł tylko Michajłow, a po Michajłowie tylko on. Śledczy doszedł do wniosku, że Skałdin wie coś o zagranicy, wpadł we wściekłość i po raz pierwszy wyrzwał go pięścią w zęby.

Iwana Antonowicza nikt nigdy nie bił, chyba że w dzieciństwie, kiedy sam bił się bardzo często. Z racji swej atletycznej budowy, a zwłaszcza dobrodusznego charakteru, wrogów nie miał i był wobec innych tak życzliwy i bezpośredni, że nie dorobił się nawet zawistników. Wierzył, że trzodzi się dla dobra ojczyzny, że nie ma na świecie wspanialszego kraju i że tutaj znęcać się nad ludźmi nie będzie nikt i nigdy. Pogłoski o tym, co robiono z kolegami i sąsiadami, którzy nagle zniknęli, uważał za wysane z palca. Nie sposób było zachwiać Iwana Antonowicza w jego wierze. Śledczy nie spotkał jeszcze kogoś takiego, toteż zupełnie się nie spodziewał, że Skałdin w odpowiedzi rzuci się na niego i zacznie go okładać ze wszystkich swoich chłopskich sił. Wprawdzie chłopem był tylko jego dziad, a ojciec już wyszedł na ludzi i wykształcił się na agronoma, jednak siłę i upór mieli we krwi, i za to właśnie Michajłow, sam z rodu nadwołżańskich chłopów, szczególnie Skałdina wyróżniał.

Za coś takiego Iwana Antonowicza od razu by zabito, ale był potrzebny w wielkim rolniczym procesie, na którym wyjaśniono by wszystkie nieurodzaje i głód, poczynając niemal od dwudziestego drugiego roku. Były już podobne procesy, ale teraz planowano główny spektakl, toteż liczył się każdy specjalista ze znanym nazwiskiem. Śledczy zdążył nacisnąć guzik. Od tego przesłuchania Skałdina trzymali w kajdankach, nie pozwalali mu spać, wsadzali do klatki z gwoździemi i w ogóle poddawali tak ciężkim torturom, że sami się dziwili, jakim cudem jeszcze się trzyma. Trzymał go przy życiu jego chłopski charakter, dobroduszość i szczerą wiarą w to, że wszystko się wyjaśni. Dopóki nie złamano mu prawej ręki, pisał sążniste listy, w których przystępnie i rzetelnie przedstawiał istotę przeprowadzanych z Michajłowem doświadczeń. W wyniku potwornego nieporozumienia cenny pracownik został wykluczony z ważnych badań i cała praca mogła teraz – nie, nie pójsć na marne, nie ma ludzi niezastąpionych, i do tych samych rezultatów z pewnością dotrą również inni, ale nastąpi to później, a przecież liczy się każdy dzień. Ich pszenica rokowała

ojczyźnie plony co najmniej półtora raza większe, przy czym była przystosowana do surowych warunków klimatycznych rosyjskiej północy – jego listy przypominały popularne broszury, były równie jasne i optymistyczne, i śledczy czytał je z zainteresowaniem, nie przestając się wszakże zdumiewać: co jest, czyż on naprawdę niczego nie rozumiał? Śledczy także nie rozumiał najważniejszego, nie domyślał się celu, a zresztą zabronił sobie o nim myśleć, ale pewne szczegóły generalnego planu już pojął – i przede wszystkim uświadomił sobie (choć nie od razu), że jeśli ktoś do nich trafił, to już nie ma odwrotu. A Skałdin wciąż nie rozumiał, i to właśnie dawało mu siły do pisania listów, które strasznie drażniły śledczego. Tylko dlatego złamano mu prawą rękę. Zazwyczaj prawą rękę oszczędzano, by aresztowany miał się przynajmniej czym podpisać, ale Skałdin za bardzo działał na nerwy organom śledczym swoim życzliwym nastawieniem i uporem, by wszystko wyjaśnić. Nie jest mimoż, w razie czego nabazgrze podpis lewą ręką. Nikt nie wymaga pięknej kaligrafii.

A jednak nawet potem, ze złamaną ręką i odbitymi nerkami, nie chciał współpracować, to jest oskarżać samego siebie. I kiedy zagrozili, że aresztują jego żonę, znowu nic nie rozumiał, ponieważ żona miała dwadzieścia dwa lata, a córka o dwadzieścia lat mniej, i nie wyobrażał sobie, że w jego kraju mogą być stosowane tak faszystowskie metody śledcze. Z tym, że coś takiego wyprawiają z nim samym, jakoś się pogodził – być może ktoś wprowadził władze w błąd. Ale on był zdrowym trzydziestoletnim mężczyzną, a z kobietami, nawet będąc w błędzie, tak postępować nie wolno. W jego kraju nie było ludzi, którzy mogliby robić coś takiego kobietom. I roześmiał się.

Śmiał się także wtedy, kiedy dano mu do przeczytania zeznania jego najbliższego przyjaciela, również ucznia Michajłowa (w ich grupie nie było zawiści, starych i młodych łączyło posłannictwo, i wszyscy uznawali Skałdina za pierwszego między równymi). Pokazali mu również owego przyjaciela. Miał krwawy siniec na pół twarzy i ledwie dosłyszalnie powtórzył, że Skałdin w rozmowach wiecznie narzekał, że muszą pracować dla władzy radzieckiej, a w takich na przykład Niemczech ich pracę oceniono by całkiem inaczej. I Skałdin się śmiał, i śmiał się później, kiedy znów nie dawali mu spać, i po tygodniu śledczy zrozumiał, że więzień będzie się śmiał już zawsze. Zapomniał własnego nazwiska, zapomniał wszystko. Śledczy wiedział z doświadczenia, że tacy bardzo długo są nieugięci, a potem w jednej chwili się załamują, ale wtedy nie ma już z nich żadnego pożytku. O tym, żeby Skałdin wziął udział w procesie, nie było nawet mowy. Można było spróbować przyprowadzić do niego żonę – a nuż idiota się ocknie, przestraszy – ale na to nie otrzymano sankcji, i w ogóle zainteresowanie „sprawą Michajłowa” od kwietnia jakoś ucichło. Takie rzeczy były nieprzewidywalne. Uwagę skupiono na wojskowych, i agronomowie poszli w kąt

– po obróbce postawiono ich przed trybunałem bez publicznego procesu.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, żonę Skałdina, Marinę, najprawdopodobniej rzeczywiście by aresztowano, tym bardziej, że jej pochodzenie było dwuznaczne, inteligentkie – była córką nauczyciela gimnazjalnego, którego wzięto jako zakładnika po zabójstwie Urickiego<sup>1</sup> w osiemnastym roku i po dwóch tygodniach rozstrzelano. Miała wtedy dwa i pół roku i niczego nie pamiętała, ale na zawsze przesiąkła panującą od tej pory w domu atmosferą beznadziei. Dlatego również aresztowania męża Marina spodziewała się od samego początku, jeszcze kiedy w jej biurze (pisała na maszynie na tej samej uczelni i tam zakochał się w niej Skałdin) aresztowano starszą maszynistkę. Była to oschła, surowa kobieta, która zawsze strofowała dziewczęta, kiedy te w pogoni za normą robiły zbyt szerokie marginesy albo zbyt wcześnie wykręcały z maszyny kartkę, na której z powodzeniem starczyłoby miejsca jeszcze na dwie linijki, a przecież w kraju do tej pory brakowało dobrego papieru (Marinie z powodu jej sumienności dostawało się za co innego: zapisywała kartkę do samego brzeżku). Marina знаła ten typ kobiet – nie mogły być zamieszane w nic nielegalnego. Przebąkiwano, że starsza maszynistka przekazywała wrogom jakieś dane, do których miała dostęp w pracy, i dziewczęta szeptały, że dobrze tak tej zołzie, ale Marina pamiętała, jak szefowa zwolniła ją do domu, kiedy w drugim miesiącu ciąży zrobiło jej się słabo, i jak szanowała Skałdina, a przede wszystkim – nawet na torturach nigdy i niczego nie przekazałaby wrogom. I od momentu aresztowania Natalii Siemionowny niczego dobrego już się nie spodziewała.

Nawiasem mówiąc, wtedy też się okazało, że „stara” wcale nie jest stara, że ma czterdzieści osiem lat i że mieszka z nią siostrzeniec, syn zmarłej na raka siostry. Siostrzeniec miał szesnaście lat, ciotka nigdy nie przyprowadzała go do biura i nie zająknęła się o nim ani słowem, najwyraźniej nie chcąc zdradzać szczegółów swego życia prywatnego przed podwładnymi, i objawił się dopiero miesiąc po jej aresztowaniu. Było to w trzydziestym siódmym, kiedy kilka osób nagle wypuścili, a kobieta, która siedziała z nią w jednej celi, wyszła na wolność i na prośbę Natalii Siemionowny tego siostrzeńca odszukała. Przekazała mu, że jego ciotkę fałszywie obmówiono, że jeśli wstawią się za nią koledzy, to może ją wypuszczą, i że wszystko to jest tylko straszliwym nieporozumieniem. Siostrzeniec był kulawy w wyniku urazu porodowego: siostra Natalii Siemionowny była działaczką partyjną, wiecznie w rozjazdach, często nie dojadła, i dlatego poród był trudny. Poza tym chłopiec w wyniku szoku wywołanego aresztowaniem ciotki nabawił się tiku nerwowego: od czasu do czasu wykrzywił twarz, jakby usiłując z niej strząsnąć wyraz błagalnego uniżenia, z którym przyszedł się wstawić za ciotką. Przyszedł do biura maszynistek, próbował dotrzeć do jakichś zwierzchników i przekonywał wszystkich, że powinni pójść do śledczego, a wtedy Natalię



Siemionownę wypuszczają, trzeba się tylko postarać, żeby ich wysłuchano. Domagał się, żeby koledzy potwierdzili jej niewinność, przecież wszyscy dobrze ją znali, i wszyscy w odpowiedzi kiwali głowami, a maszynistki poczęstowały go nawet słodką herbatą (nowa starsza maszynistka Kławdia Stiepanowna była dobra, nie to, co tamta zołza), i wszyscy obiecywali, że pójdą, porozmawiają, ale oczywiście nikt nie poszedł. Marina przez jakiś czas robiła sobie wyrzuty, ale od samego początku wiedziała, że nie ma co nigdzie chodzić, bo decyzja zapadła i nie można zastąpić ofiary kimś innym, takie jest prawo. Natalia Siemionowna miała jakieś cechy, z powodu których należało wziąć właśnie ją, nadawała się na pożywkę tego systemu. Niemniej Marina serdecznie rozmawiała z chłopcem, który chyba jej nie słuchał, i opowiedziała mu o swej maleńkiej córeczce, jakby podświadomie się usprawiedliwiając, dlaczego nigdzie nie pójdzie (choć natychmiast ugryzła się w język, bo nieładnie było opowiadać o swej rodzinie biednemu kuternodze, który nie miał nikogo), i nawet dała mu swój telefon – gdyby czegoś potrzebował, i podetknęła trochę pieniędzy. Pieniądze wziął, strasznie się czerwieniąc, z drgającą twarzą – widać było z nim bardzo źle – ale ani razu nie zadzwonił. Marina nigdy się nie dowiedziała, co się stało z Natalią Siemionowną, a chłopiec też nigdy się już nie pojawił.

Marina nie wiedziała i nikt nie wiedział, że szesnastoletni kulawy chłopiec rzeczywiście próbował się dostać na rozmowę do śledczego, ponieważ jego koleżanka z klasy, najładniejsza dziewczyna w szkole, Wika Sułtanowa, taką audiencję wywalczyła, podobno poszła do samego narkoma<sup>2</sup>. Narkom jej wysłuchał, też poczęstował herbatą i skierował do swego zastępcy, a zastępca zażądał akt i wkrótce jej ojciec – dyrektor fabryki mebli – znalazł się na wolności. Co prawda, do fabryki nie wrócił, tylko wyjechał do rodziców do Briańska i wywiózł tam całą rodzinę. Nikt w szkole nie zobaczył więcej Wiki Sułtanowej, ale uczniowie często opowiadali o jej wyczynie, mówili nawet, że zastępca komisarza pogładził ją po głowie i powiedział, że gdyby wszyscy mieli takie córki, mniej byłoby pomyłek sądowych, z powodu których wrogowie oczerniają organa ścigania. Chłopiec zaczął więc zabiegać, żeby dopuszczono go do śledczego – ale był sam i oczywiście niczego nie osiągnął. Wystawał w kolejkach, brano od niego paczki, ale niczego nie mówiono. W kolejce też nikt go nie lubił, bo drgała mu twarz i strachliwie zezował.

Rzucił szkołę: nie miał pieniędzy ani nikogo bliskiego. Zatrudnił się jako tragarz w tej samej fabryce mebli, której dyrektor wyjechał do Briańska. Przyjęto go do pracy, chociaż z uwagi na wiek nie miał do tego żadnego prawa. Wtedy zrozumiał, że jedynym sposobem, by pomóc ciotce, jest znaleźć się blisko niej, to jest zostać aresztowanym jako jej wspólnik i otworzyć śledczym oczy; poszedł do głównego pokoju przyjęć na Łubiance i oznajmił, że był

wspólnikiem ciotki. Wtedy go wreszcie zamknęli, ale Marina nic o tym nie wiedziała.

Nie wiedziała również, dlaczego wszystkich aresztują, czuła jednak, że tak trzeba, że wypływa to organicznie z samego porządku rzeczy. Bądź co bądź, była córką nauczyciela literatury i chociaż zupełnie go nie pamiętała, miała wrodzone poczucie harmonijnej jednolitości świata, jego podporządkowania kanonom sztuki. I świat, w którym żyła ze Skałdinem, w którym mąż woził ją łódką po rzece Moskwie, częstował czekoladą i opowiadał o wielkich planach przeobrażenia gleby, ukazywał również odwrotną stronę medalu, straszną czarną piwnicę, do której od czasu do czasu wedle przypadkowego, ale bezbłędnego wyboru wpychano wszystkich tych, którzy dopiero co radowali się życiem, a teraz zostali na wieki odrzuceni. Wybór nie miał żadnego rozsądnego uzasadnienia, ale miał wskaźnik ilościowy, nieunikniony procent, uwarunkowany nie statystyką, ale harmonią, jak na przykład ciepłe albo zimne kolory – i pozwalający utrzymywać całą resztę w stanie wciąż narastającej gorączkowej radości. I żywość barw, i nawet powtarzające się dwa razy z rzędu rekordowo upalne lato, kiedy w Moskwie topił się asfalt, brały się z istnienia owej odwrotnej strony, o której nikt niczego konkretnego nie wiedział, ale Marina się domyślała. I dlatego było dla niej jasne, że Skałdina zabiorą – ich życie było zbyt piękne, by mogło się skończyć inaczej. Teraz przyszła jej kolej, jako że odpłata czekała wszystkich szczęśliwych; martwiła się tylko o dziecko, ale miała starą matkę, która mieszkała oddzielnie, i po aresztowaniu Skałdina Marina poprosiła ją, by przyjechała. Była przekonana, że starej kobiety nikt nie aresztuje. Komu potrzebna dobra, płacziwa i śmiertelnie wystraszona staruszka? Brali silnych, pięknych, jak Skałdin, albo upartych i surowych, jak Natalia Siemionowna, albo młodych i takich, którzy się domyślali, jak ona sama.

Ale nie wzięli jej. Nastąpiła, jak to się wówczas często zdarzało, nieoczekiwana zmiana wiatru i zamiast na „sprawę Michajłowa” wszystkie siły rzucono na kolejny spisek wojskowy. Oczywiście nikt ani myślał wypuszczać Skałdina – półżywego, siwego i nieprzystającego się śmiać nawet w więziennym szpitalu. Ale Marina była uratowana: w lipcu trzydziestego dziewiątego po prostu nie przyjęto od niej kolejnej paczki. Zresztą na nic innego nie liczyła. Pochowała Skałdina tego samego dnia, kiedy schodził po schodach ich domu na Arbacie (mieszkali w komunalnym mieszkaniu na pierwszym piętrze) i obejrzał się kilka razy, żeby się do niej uśmiechnąć.

Nie wyrzucono jej z pracy – Skałdina wszyscy lubili, poza tym był największą nadzieją Michajłowa, a Michajłow był koryfeuszem, i wiele osób wierzyło, że sprawa się wyjaśni. Odeszła sama, a po znajomości, z pomocą profesora nefrologa zatrudniła się jako sekretarka u znanego pisarza Sawina, który pisał dla pionierów o zdobyczach nauki. Pewnego razu

przepisywała jego artykuł o Michajłowie dla „Pionierskiej Prawdy”, w którym autor nazywał Michajłowa luminarzem rodzimej nauki, człowiekiem kryształowej prawości, przedstawicielem czołowej grupy przedrewolucyjnej inteligencji, który jako jeden z pierwszych zrozumiał i zaakceptował władzę radziecką. Okazało się, że jego książka o przebudowie gleb podobała się Leninowi – wspomniał o tym Boncz-Brujewicz. Przepisując artykuł, Marina gorączkowo szukała wzmianek o uczniach, ale uczniów jakby nigdy nie było – na Michajłowie nauka agronomiczna się kończyła i dalej miały ją w swych twórczych dążeniach rozwijać masy. Marina chciała wyjaśnić Sawinowi, że Michajłow miał ucznia, i gdyby wtedy jeszcze jej nie powiedziano, że w sprawie męża wszystko skończone i nie ma nadziei, z pewnością próbowałyby zabiegać, coś zrobić, mimo że zdawała sobie sprawę z beznadziejności takich prób. Sawin miał znajomości na samej górze, zapraszano go na całe dni na jakieś daczę, skąd wracał pijany w trupa – Marina wtedy natychmiast wychodziła, rzucając niedokończoną robotę. Ale żadne zabiegi nie miały już sensu, a przede wszystkim Marina zdawała sobie sprawę, że męża aresztowano nie za przynależność do grupy Michajłowa i Michajłowa aresztowano by nie za jego eksperymenty. Obaj, silni, pogodni i uparci, byli wzorcowymi ukochanymi dziećmi tego nowego życia i zgodnie z jego niesformułowanymi, ale naturalnymi regułami powinni byli je sobą okupić czy, mówiąc ściślej, użyźnić. Gdyby nie byli krwią z krwi i kością z kości tego życia, nic by im nie zagrażało. Było to równie naturalne jak fakt, że nie żyjemy się kamieniami, tylko substancjami organicznymi, z których zresztą sami jesteśmy zbudowani. Tylko że Michajłow zdążył umrzeć, a martwi nie nadają się na pokarm, gdyż przestają być żywą materią, stając się kamieniem, glebą, wodą.

Gdy wybuchła wojna, Sawin zostawił Marinę, nie zatroszczył się ani o nią, ani o jej córkę, ani o matkę. Sama musiała załatwić ewakuację, ale w Akademii ją pamiętano i załatwiono jej miejsca w pociągu. Do czterdziestego czwartego roku mieszkała w Taszkencie, a potem wróciła na Arbat. Jej matka zmarła w Taszkencie – nie zniosła podróży, głodu i upałów. Marina jak gdyby skamieniała i nie płakała, kiedy chowano matkę. Było jej tylko smutno, że grzebią ją w obcej, suchej ziemi, w której pewnie źle jest ciału zbudowanemu z innej substancji. Tutejsi ludzie są twardzi i żyłaści, a matka była ciężka, nalana i płaczliwa.

Marinie pozostała na świecie tylko Katia, niepodobna ani do niej, ani do Skałdina, ale dobra i bystra – tylko cichutka, jakby już od urodzenia wiedziała, że nie ma jej kto bronić. Dopiero w Taszkencie Marina uświadomiła sobie nagle, że i ona, i Katia straciły ojców w tym samym wieku i że może się to stać ich rodzinną klątwą, ale i o tym pomyślała mimochodem, nie pozwalając sobie rozwijać tej myśli. W czterdziestym piątym roku Katia

poszła do pierwszej klasy i potem od razu przeskoczyła do trzeciej, jako że była w odpowiednim wieku i uczyła się na same piątki. Marina nie wróciła na posadę u Sawina, chociaż wiedziała, że jest cały i zdrowy – wojnę przesiedział na Uralu, skąd pisał do „Pionierskiej Prawdy” o małych bohaterach tyłów. Teraz pracowała w dziale kadr zakładów imienia Stalina. Z jej urody pozostało niewiele: skuliła się, wyschła, zmaląła i prawie nie czytała ani książek, ani gazet. Kiedy godzinami siedziała w ich malutkim pokoju, patrząc w okno, Katia, podnosząc głowę znad zeszytu, bała się o cokolwiek zapytać, by nie zakłócić biegu jej myśli. Byłaby zdumiona, gdyby się dowiedziała, że żadnych myśli nie było, że było tylko jakieś beznadziejne i pokorne oczekiwanie. Czasem jednak Marina w duchu rozmawiała z mężem, opowiadała mu, co robiła w ciągu dnia, czuła bowiem, że oprócz niej nie ma kto z nim rozmawiać. Jeśli Skałdin nawet gdzieś był, to tylko w niej, i stopniowo stał się w jej myślach jakimś wewnętrznym bytem, którego jedynym schronieniem była ona. Tkwił tam jak w kapsule, bo przecież taki wielki Skałdin nie mógł zniknąć całkowicie, to byłoby wbrew logice – i jeśli nawet jego ciało legło u podstaw tego barwnego, intensywnego świata, którego był naturalną częścią, to przecież w jego duszy istniało coś, co należało tylko do niej, i to coś nie mogło zniknąć, bo nikomu poza nią nie było potrzebne. Rozmawiała z mężem rzadko, wiedziała jednak, że jeśli nie będzie go wspominać, on się obrazi i może umrzeć – że to tak, jakby nie karmić psa. Nie można powiedzieć, że te rozmowy jej ciążyły, ale przypominały o poprzednim życiu, w którym jeszcze żyła, a nie dożywała, i dlatego Marina nie chciała się zbyt często rozdrażniać. Nauczyła się rozmawiać z mężem bardzo skrycie, niczym się nie zdradzając. Mieli specjalny język kodów, już nawet nie pamiętała, skąd się wzięły poszczególne pojęcia, ale wystarczała drobna aluzja i mąż w lot ją rozumiał. Domagał się jednak szczegółów, było mu nudno w jej zagubionej, zawsze półsennej głowie, gdzie od dawna nie było myśli, tylko oczekiwanie i zjawy – jego, mamy, Natalii Siemionowny, gdzieś tam kryli się i dobrzy Uzbegy, i kulawy chłopiec, ale bardzo wielu wywiało. Zbyt wielu osób nie mogło tam być – żeby utrzymać przy życiu taką kapsułę, potrzeba sił, a Marina już ich nie miała. Domem zajmowała się córka, która już we wczesnym dzieciństwie nauczyła się świetnie myć podłogę, gotować, cicho czytać w kąciku, nie zawracając matce głowy. Wszystko robiła wspaniale i cicho i bała się tylko, że matka kiedyś zachoruje. Ale Marina nie mogła sobie na to pozwolić, a dziewczynka jakimś szóstym zmysłem to wyczuwała.

Raz, piątego września czterdziestego ósmego roku, kiedy dwunastoletnia Katia odrabiała lekcje, nagle zawołano ją do telefonu. Przestraszyła się – pomyślała, że to coś z mamą. Ostatnio była bardzo blada i Katia najbardziej bała się tego, że matka upadnie na ulicy i nie będzie umiała powiedzieć, gdzie mieszka. Nie mówiła Marinie o tych obawach, nie chcąc jej

denerwować, ale po nocach często wyobrażała sobie zbiegowisko na ulicy, lekarza, milicjanta – i bladą, wychodzącą z omdlenia matkę, która nie potrafi wymówić ich adresu. Ale nie była to matka ani nikt z jej pracy, tylko nieznamy, silny męski głos.

– To ty, Śnieżko? Jest mama?

– Nie ma – odpowiedziała Katia i już miała zapytać, kto dzwoni i co przekazać, kiedy nagle zrozumiała, że wie, kto to. Mama rzadko opowiadała jej o ojcu, więc Katia wiedziała tylko, że zginął na froncie, a przedtem dwa lata był poza domem, wykonując jakieś specjalne zadanie. To ojciec nazywał ją Śnieżką, bo była jaśniutka, a oni z mamą ciemnowłosi. Skaldin rzeczywiście żartował, że córka nie wdała się ani w matkę, ani w ojca, ale nie dodawał nic o tajemniczym przystojniaku, bo nie chciał dokuczać Marinie. Sama Marina nigdy tak córki nie nazywała, ale w rzadkich opowieściach o ojcu zawsze wspominała o „Śnieżce”. I właściwie nic więcej po nim nie pozostało: był celuloidowy piesek-zabawka, ale Katia zgubiła go w piaskownicy, kiedy miała trzy lata. Mama wtedy bardzo się na nią gniewała.

Katia nigdy nie zakładała, że ojciec przepadł na zawsze, i dotychczas myślała, że jego misja się przeciąga i że tata otacza niewidzialną troską całe ich ciche życie; gdyby Marina dowiedziała się o tych fantazjach, zdumiałaby się, jak są podobne z jej dawnymi myślami o tym, że Skaldin zapłacił za ich życie, albowiem bóstwo, które je chroniło, należało karmić, a ono nie żywiło się byle kim.

– Katiu – powiedział wesoło głos. – Powiedz mamie, że będę na nią czekać dziś o ósmej koło Poczty Głównej. Przyjechałem na krótko, muszę tu jeszcze coś załatwić, a potem do was wpadnę. Ale najpierw muszę się z nią koniecznie zobaczyć. Muszę jej coś oddać. Rozumiesz? I pamiętaj: o ósmej koło Poczty Głównej. Gdzie ona teraz pracuje?

– W zakładach imienia Stalina – odrzekła Katia zdyszonym głosem. Nie mogła zaprosić ojca do domu, bo najwyraźniej wciąż jeszcze wykonywał zadanie. Ale dlaczego, przeprowadzając taką ważną misję, nie wie, dokąd przeniosła się mama? – Mogę dać jej telefon, można zadzwonić i ją poproszą... – Starannie unikała zwrotu „ty” lub „tata”.

– Nie, dzwonię od przyjaciela i nie chcę mu robić kłopotu – powiedział wesoły głos. – Sama do niej zadzwoń, albo może lepiej nie zawracać jej głowy. Przecież przyjdzie o szóstej, prawda?

– Tak, zazwyczaj przychodzi o szóstej. – Katia się ucieszyła, że ojciec wie przynajmniej, o której mama wraca z pracy.

– No, więc wtedy jej powiesz. Niedługo się zobaczymy, Śnieżko. Bądź zdrowa. – I ojciec odłożył słuchawkę.

Katia długo jeszcze stała w przedpokoju przy telefonie i bojąc się, i mając nadzieję, że

ojciec jeszcze zadzwoni. Obok przeszła, szurając kapciami, sąsiadka – staruszka, która wprowadziła się niedawno na miejsce dawnego sąsiada – czasem zapraszała Katię do swego pokoju, żeby dziewczynka pooglądała sobie obrazy, albo na herbatę podaną w starych cieniutkich filiżankach, tak zwanych kuzniecowskich. Niepojęte, jak to się stało, że ocalały w czasie wojny w pustym domu. Pewnie staruszka ukryła je gdzieś jak skarb, a potem wyjęła.

– Mama dzwoniła? – spytała sąsiadka.

– Nie – odrzekła dziewczynka, ale nic nie powiedziała o ojcu. Ojciec był na misji, teraz trwał jej najbardziej odpowiedzialny, ostatni etap, i skoro nawet nie może przyjść do domu – to znaczy, że na razie nie wolno o nim mówić. – To koleżanka, pytała o lekcje.

– Bardzo dużo wam zadają – uzaliła się staruszka. – Nam chyba tyle nie zadawali. – I wzdychając, poszła do kuchni.

Katia wróciła do pokoju, ale nie potrafiła się wziąć do lekcji. Wiedziała, że teraz ich życie się zmieni, ale nie wyobrażała sobie, w jaki sposób. Uznała, że dzwonić do matki do pracy nie powinna – ktoś mógłby usłyszeć, a w ogóle mama i tak zdąży na pocztę, jeśli przyjdzie do domu tak jak zawsze. Jeśli jednak zostanie dłużej w pracy – to co innego.

Katia próbowała wrócić do lekcji, ale nauka jej nie szła, daty z okresu Wielkiej Smuty nie wchodziły jej do głowy, wciąż pozostawały mgliste<sup>3</sup>. W pewnym momencie wydało się jej nagle, że ojciec już tu jest, stoi za drzwiami, tylko z jakiegoś powodu nie może wejść. Z mocno bijącym sercem podeszła do drzwi, postąpiła przy nich chwilę, ale nie odważyła się otworzyć.

Matka przyszła za dziesięć szósta, kiedy Kati zaczynało się już wydawać, że widzi, jak przesuwa się wskazówka na jej małym zegarku (prezent z okazji ukończenia czwartej klasy): bardzo wolniutko, ale wyraźnie. Ogarnął ją strach: dopiero co za oknem głośno i z wściekłością krzyczał jakiś mężczyzna – pewnie pijany. Padał deszcz, matka była w starym płaszczu nieprzemakalnym. Nie nosiła parasolki, w roztargnieniu zostawiała ją często w tramwaju albo w metrze. Kiedy indziej Katia od razu rzuciłaby się do podgrzewania obiadu – przecież matka była bardzo zmęczona. Potem usiadłyby do stołu, Katia uprzątnęłaby swoje podręczniki i zaczęła opowiadać, co było w szkole – akurat przerabiali *Dubrowskiego*<sup>4</sup> i chciała zapytać matkę, dlaczego Dubrowski nie zabrał Maszy ze sobą, tylko zostawił ją na pastwę losu. Ale teraz oczywiście nie miała do tego głowy.

– Mamo – zaczęła ostrożnie, bojąc się przestraszyć Marinę. – Tylko proszę, nie denerwuj się. Dzwonił tata.

Marina, niczego nie rozumiejąc, spytała, jaki tata. Katia opowiedziała jej wszystko po kolei, ciągle prosząc, żeby się nie denerwowała. Marina akurat przez całą drogę od metra do

domu – długą, jesienną, deszczową, po kałużach, po migocących na asfalcie odbiciach latarni i okien – opowiadała mężowi, że żyją sobie całkiem nieźle, toteż przyjęła słowa Kati dość spokojnie. Mąż mógł zadzwonić, nic niezwykłego, przecież dopiero co z nim rozmawiała. I potrzebowała dwudziestu minut, żeby sobie uzmysłowić, że nie mógł zadzwonić. Zresztą, natychmiast odjęła dziesięć od czterdziestu ośmiu i zrozumiała, że w lipcu skończył mu się wyrok, a co to znaczy dziesięć lat bez prawa korespondencji – tłumaczono jej różnie<sup>5</sup>. Bywało rozmaicie, Marina o tym wiedziała, ale jakieś głęboko ukryte przeczucie mówiło jej, że Skałdina mogli tylko zabić, nie mogli zwolnić, bo dla podtrzymania tamtego życia potrzebowano go całego, a o niej i Śnieżce nikt nie pomyślał.

I mimo to Marina tak przywykła do tego, że nie ma racji, to jest tak często przekonywała się o tym, że jej racja, jak i ona sama, nikomu nie jest potrzebna – że w końcu mogła się przecież mylić, a zatem Skałdin mógł żyć. I przecież ktoś powinien był go przywitać po tym wszystkim, co musiał tam znieść, a musiał znieść, jak sobie wyobrażała, bardzo wiele – przymierzała do niego w myślach niezliczone warianty. Byłoby jej lżej, gdyby wiedziała, że tak mają wszyscy, ale nie miała się z kim tym podzielić, a sama też nie była osobą, której chciano by się zwierzać.

W kapsule jej świadomości Skałdin rąbał las, tłukł kamienie, wykorzystywano go do jakichś strasznych medycznych doświadczeń (przecież hitlerowcy eksperymentowali na ludziach, do czegoś to było potrzebne). W jej snach prowadził samochody po górskich drogach, osuszał bagna, płonął w piecu, w którym z nieznanых powodów można było palić tylko ludźmi, i to koniecznie żywymi. Mógł wrócić tylko w jednym wypadku – gdyby pozbawili go tej radosnej siły, do której tak chciała się przytulić jako dziewiętnastolatka – a potem mogli go już wypluć.

– Katiu – spytała surowo – jaki miał głos? To bardzo ważne.

– Wesoły – odrzekła ze zdziwieniem Kati. – Normalny – jak gdyby w ogóle mogła pamiętać zwykły głos ojca.

– Dobrze – powiedziała Marina. – Siedź grzecznie, nikomu nie otwieraj, a ja pójdę.

– Jeszcze czas, mamu – próbowała ją zatrzymać Kati. – Usiądź, zjedz coś. Przecież jesteś zmęczona.

– Nie, nie. – Marina ją odsunęła. – Na pocztę jest daleko, idę.

Wyszła z domu. Ze sklepu z pieczywem na parterze wynoszono ogromne, owalne torty. Obok stała karetka pogotowia – pewnie ktoś źle się poczuł na seansie w dusznej salce arbackiego kina Ars. Marina od dawna nie chodziła do kina.

Do Poczty Głównej na Kirowa szła pieszo, żeby się uspokoić, ale jej się to nie udało –

nawet o mało nie wpadła pod zieloną pobiedę, która od stóp do głów obryzgała ją błotem, i przez cały ten czas nie opuszczał jej wewnętrzny dygot, przez co nie tylko trudno jej było iść, ale nawet oddychać. Starła się iść powoli, ale i tak przyszła na miejsce o pół godziny wcześniej. Przed skretem w Kirowa, przy Soborze Srietieńskim, trzeba było długo iść pod górę i Marina zupełnie nie mogła złapać tchu. Zegar na gmachu poczty wskazał za pięć siódmą, ósmą, pięć po ósmej. Marina bała się, że stojąc nieruchomo, zwróci na siebie uwagę, zaczęła więc spacerować wzdłuż fasady, ale bała się też, że przegapi męża – i znów zamierała w bezruchu. Marzły jej nogi, coś dziwnie dygotało w głębi, za oczami, i nie wiadomo czemu swędział ją język. Piętnaście po ósmej wciąż jeszcze nikt nie przyszedł, a jej zaczęło się już wydawać, że kierujący ruchem milicjant dziwnie na nią popatruje – chociaż czy miałyby do niej głowę w taki deszcz?

Moskwa wokół niej była zupełnie inna od tej, w której aresztowali Skałdina. Na zawsze zniknęła z niej odświętność, podtrzymywana jedynie przez nieustanną eliminację wesołych i silnych ludzi, znikających nie wiadomo gdzie. Ich twarze spoglądały z każdego listka, i dlatego listki były takie świeże. Teraz ludzie także znikali, chociaż nie tak często, ale dawnej radości nie było w niczym. Siła, którą kiedyś czuła wokół siebie, jakby się zużyła na wojnie. A może cała ta siła uszła w ziemię, roztrwoniona w walkach, kiedy życie wyciekało z człowieka w niebyt, zamiast żeby przejęło ją owo bożyszczce, które ich wszystkich chroniło i otaczało opieką. Krótko mówiąc, Moskwa stała się szara, nawet nowe domy, odbudowane w miejsce zburzonych, nie dodawały jej urody i blasku. Marina nie potrafiła tego wyjaśnić, ale to czuła. Gdyby w takiej Moskwie pojawił się dawny Skałdin, wszyscy by się za nim oglądali. Ale takich jak on już nie było, a inni niezbyt się nadawali na pożywkę. Jedzono ich niechętnie, bez przyjemności, po prostu żeby nie umrzeć.

Do wpół do dziewiątej nikt nie przyszedł, ale ona twardo postanowiła czekać do dziewiątej. Skałdin nigdy się nie spóźniał, ale przecież mógł mieć najróżniejsze powody. Dopiero za piętnaście dziewiąta nagle zawołał za nią nieznajomy męski głos:

– Marusia!

Tak ją nazywał tylko on. Obejrzała się z szaleńczo bijącym sercem, ale natychmiast zobaczyła wysokiego młodego mężczyznę, któremu biegła naprzeciw szczuplutka dziewczyna z parasolką. Parasolka wyrywała jej się z rąk, ale dziewczyna się nie śmiała, jak śmiałyby się Marina dziesięć lat temu. Twarz miała pochmurną i skupioną, jakby przytrzymywanie parasolki i bieg w stronę młodego mężczyzny były ciężką pracą. Młody człowiek nie objął jej, jak objąłby Skałdin, tylko krótko przycisnął do siebie, potem wziął jej rękę i wsunął do swojej kieszeni, by ją ogrzać – i oboje szybko ruszyli w kierunku centrum.



Widząc to, Marina z jakiegoś powodu postanowiła nie czekać do dziewiątej i powoli, znów pieszo, odeszła. Właśnie w tym momencie zrozumiała, że nikt nie przyjdzie. Mogła dojechać na Arbat metrem, z przesiadką, ale, poddając się nastrojowi, ruszyła pieszo, i dopiero na rogu Pietrowki przypomniała sobie, że w Moskwie jest druga, nowa Poczta Główna. Tak nazywano czasem Centralny Telegraf, zbudowany dziesięć lat temu na ulicy Gorkiego, na skos od Teatru Artystycznego. Może Skałdin czekał na nią tam, a może jeszcze teraz stoi, ale wciąż ta sama tajemna wiedza podpowiedziała jej, że żadnego Skałdina nigdzie nie ma. Jak gdyby ta druga, obca Marusia raz na zawsze ją upewniła, że nie ma na co czekać. Ta sama tajemna wiedza mówiła jej wcześniej, że nie ma sensu wstawiać się za Skałdinem i Natalią Siemionowną, i nie ma sensu prosić Sawina, i nie ma co na coś czekać. Wszystko wydarzało się raz na zawsze.

W domu powiedziała Kati, że tata nie przyszedł, że to był czyjś okrutny żart albo pomyłka telefoniczna. Ojciec poległ na wojnie i nie ma sensu na niego czekać.

– Ale przecież ludzie się odnajdują! Ojciec Soni się znalazł, był w niewoli i wrócił! – powiedziała Katia, która na powitanie ojca posprzątała mieszkanie i wycięła trzy papierowe serwetki – z okazji ich pierwszej wspólnej herbaty.

– To była pomyłka, Katiu – ucięła matka.

– A Śnieżka? – wykrzyknęła Katia ze łzami w głosie.

– Wiele dziewczynek rodzice nazywają Śnieżkami... – I Marina dodała machinalnie, jakby na potwierdzenie: – Mnie też tak nazywano w dzieciństwie.

W tym momencie przypomniała sobie, że matka rzeczywiście raz tak ją nazwała, kiedy cała zaśnieżona przyszła do domu ze spaceru ze swoim pierwszym kawalerem. Miała wtedy trzynaście lat. Ale poza tym nikt i nigdy jej tak nie nazywał. Zdumiało ją tylko, że prawie wszystko, co mówi, okazuje się prawdą, jakby skądś z góry to wiedziała.

Katia z mamą usiadły do herbaty i więcej nie mówiły o ojcu. Najdziwniejsze jednak, że nazajutrz w piaskownicy znalazł się czerwony celuloidowy piesek. Katia szła przez podwórze do szkoły i przypadkiem go zobaczyła. Prawie zapomniała o tej zabawce, ale teraz nagle przypomniała ją sobie niezwykle wyraźnie. Oczywiście, to był on. Skąd się tu wziął? Może ojciec kupił takiego samego i podrzucił, żeby nie myślały, że znów wyjechał na zawsze? Albo po prostu dzieciaki grzebały w piasku i znalazły zabawkę, której mama z Katią nie mogły znaleźć dziesięć lat temu?

Ostrożnie wzięła pieska, pocałowała go i schowała do teczki, a w domu pokazała mamie. Mama długo płakała i powiedziała, że to oczywiście dzieci, a któż by inny. Od tej pory piesek znów u nich zamieszkał, śmieszny, niezgrabny – stał na honorowym miejscu, na kredensie.

Katia czasem ukradkiem zabierała go do łóżka, a kiedy wyszła za męża i urodziła syna, jemu też dawała niekiedy do zabawy czerwonego pieska.

Katia niczego nie zapomniała, chociaż nigdy tak do końca nie pojęła, co zaszło wtedy koło poczty. Nigdy nie wypytywała matki, by jej nie ranić, a kiedy dorosła, nie mogła już zapytać, bo po zamążpójściu córki Marina straciła zdrowe zmysły. Nikomu nie pozwalała się dotknąć, gdyż mogło to zaszkodzić żyjącym w niej istotom, którym każdy obcy dotyk odbierał siły. Wszyscy dotykali jej właśnie dlatego, że chcieli się naładować ich siłą, a siły nigdzie poza tym nie było. W szpitalu psychiatrycznym przestała jeść – to było złe jedzenie, niezdrowe dla nich – i po miesiącu umarła.

Wszystko to stało się na długo przed narodzinami wnuka w pięćdziesiątym szóstym. Sława nosił nazwisko męża Kati – Rogow – i o dziadku wiedział tylko, że ten zaginął. Oczywiście w pięćdziesiątym siódmym go zrehabilitowano, wydano zaświadczenie z fałszywą datą i dziwną przyczyną śmierci bez wskazania miejsca zgonu (rok czterdziesty trzeci, niewydolność serca – zupełnie jakby dziadek walczył, był pod Stalingradem i umarł tam na zawał). W sześćdziesiątym trzecim Skałdina umieszczono nawet na liście ulubionych uczniów Michajłowa, kiedy ukazała się szczegółowa biografia profesora w serii *Życie sławnych ludzi*. Co prawda, okazało się, że ostatnie badania Michajłowa i uczniów, przerwane śmiercią przełożonego i aresztowaniem prawie wszystkich jego podwładnych, były z góry skazane na fiasko, żadnej arcywytrzymałej pszenicy by nie uzyskali, o czym wszystkich ich uprzedzał inny młody profesor, uczeń Wawiłowa<sup>6</sup>, aresztowany na rok przed „sprawą Michajłowa”. Przed rozstrzelaniem oskarżał wszystkich swoich krewnych w nadziei, że te absurdalne zeznania wykażą absurdalność również jego aresztu. Ta myśl przyświecała wielu oskarżonym, ale nikogo to nie ocaliło, i młody uczeń Wawiłowa został rozstrzelany za próbę zahamowania postępu. Zahamować postępu nie sposób, toteż kiedyś się okaże, że wszyscy byli w błędzie. Tylko po prostu jedni najpierw cierpią i śmieją się w odpowiedzi na wszystkie pytania, inni oskarżają siebie i wszystkich krewnych, a jeszcze inni umierają.

Sama Katia nie miała wątpliwości, że ojciec zginął, ale ta historia wciąż ją nurtowała, i w roku osiemdziesiątym piątym opowiedziała ją synowi. W ten sposób Rogow dowiedział się o pośmiertnym telefonie swojego dziadka. A kiedy miał osiemnaście lat, usłyszał inną historię. Jego kolega z klasy, którego często odwiedzał w domu i czasem zostawał na obiedzie, miał babcię Irę, grubą, ale postawną staruszkę, która, choć już mocno niemłoda, wydawała się Rogowowi bardziej dziarska niż jego własna matka. Babcia Ira lubiła go i z jakiegoś powodu mu współczuła. Przypominał jej pierwszą miłość – chłopca o rzadkim imieniu Immanuel, Ima. Ów Ima chodził z nią do jednej klasy w latach trzydziestych, kiedy szkoły były jeszcze

koedukacyjne. Był synem wysoko postawionych, tajemniczych rodziców, o których koledzy Imy prawie nic nie wiedzieli, ale truchleli, kiedy tęgi, o gęstych brwiach ojciec Imy, robiący wrażenie bardzo starego (Ima był późnym dzieckiem), wstępował do szkoły. Dyrektor osobiście wybiegał go przywitać i nie mógł się nachwalić syna, który zresztą naprawdę był prymusem. Ima nazywał się Zasławski. I babcia Ira, i Rogow specjalnie dowiadywali się później, czy nie było narkoma o takim nazwisku. Narkoma nie było, ale istniały wszak wówczas jakieś sekretne stanowiska, o których wzmianki można by pewnie znaleźć w jakichś ściśle tajnych archiwach.

W Imie kochały się wszystkie dziewczęta z klasy: wysoki, tęgawy Żyd o jasnoniebieskich oczach ze wszystkimi był na przyjacielskiej stopie, chętnie pożyczał książki z ogromnej ojcowskiej biblioteki, pomagał w lekcjach, ale z nikim nie był szczególnie blisko. Przyjaźnił się tylko z Markiem, który zresztą został później dziadkiem kolegi Rogowa. Razem przeprowadzali jakieś doświadczenia chemiczne u Imy, w ogromnym mieszkaniu na Ordynce.

Zasławscy mieli też luksusową daczę, ale tam Ima nikogo nie zapraszał, zapewne wstydząc się bogactwa, skądinąd całkowicie zasłużonego. Możliwe zresztą, że i dacza była tajna. Lato jednak zazwyczaj, ze względu na słabe zdrowie, spędzał na południu, dokąd jeździł ze starszą siostrą, w przeciwieństwie do niego nieładną i niemiłą; dziewczyna przychodziła czasem na wywiadówki, kiedy ojciec i matka byli zajęci. Rodzice nawet latem nie wyjeżdżali z miasta ze względu na nawal spraw. Wtedy wszyscy dużo pracowali.

Pewnego razu – przed wakacjami – Ima obiecał babci, a wtedy nastolatce Irze, że w drodze na południe, przejeżdżając obok Carycyna, wyrzuci z pociągu list. Do Carycyna Ira jeździła na letnisko, które jej matka wynajmowała za niewielkie pieniądze. Pociąg przejeżdżał przez ich stację późną nocą, jako że z Moskwy wyruszał o jedenastej. Miejsce było tajemnicze, owiane legendami, z ciemną sylwetką niedokończonego pałacu, którym caryca wzgardziła, gdyż przypominał jej trumnę – nawiasem mówiąc, absolutnie bez powodu. Dzieci letników przy ogniskach opowiadały sobie o duchach. Ira bała się iść sama w nocy na stację, więc zabrała ze sobą koleżankę. Za piętnaście dwunasta obok Carycyna przeturkotał pociąg pośpieszny, a z żółtego, przytulnie oświetlonego okna wyleciał kamień owinięty w papier. Szybę natychmiast podniesiono – Ima obawiał się przeciągów. Dziewczynki długo szukały kamienia w kłujących krzakach, drapiąc sobie ręce i kolana, ale wreszcie go znalazły i przeczytały list. Babcia Ira pamiętała z niego jedną linijkę, która wstrząsnęła nią do głębi duszy: „Pociąg pędzi w dal, a ja – w nieznanie”.

– No i co w tym takiego? – drażnił się z nią wnuk. – Wielkie rzeczy. Na dworze deszcz, a u nas koncert!

– Zamknij się, głuptasie – odpowiadała bez gniewu babcia. – Nic nie rozumiesz. Słuchaj dalej.

Co do nieznanego, w które pędził pociąg, wszystko okazało się prawdą. W dziesiątej klasie Ima zniknął, ponieważ zniknęli jego rodzice. Przebąkiwano, że ojca i matkę wzięli tej samej nocy (pracowali w jednej instytucji), a samego Imę zabrała do siebie na Ukrainę jego babcia. To się potem nie potwierdziło. Nauczyciel matematyki, jedyny mężczyzna w szkole poza nauczycielem przysposobienia wojskowego, powiedział, że Ima – nawiasem mówiąc, jego ulubiony uczeń – napisał do niego w liście, że jest z babcią na zesłaniu. Listu jednak nie pokazał i w ogóle więcej się na ten temat nie rozwodził. Opowiedział o liście tylko Irze, na wycieczce. Wycieczki były jego pasją.

A latem czterdziestego ósmego roku Ira właśnie sprzątała w dwupokojowym mieszkaniu męża niedaleko stacji metra Park Kultury (mieszkali tam z Markiem, którego rodzice zmarli niemal jednocześnie wkrótce po wojnie), kiedy zadzwoniono do drzwi. Otworzyła. Na progu stał Ima.

Od razu go poznała – po ogromnych niebieskich oczach i gęstych brwiach, chociaż poza tym nie pozostało w nim nic z dawnego Imy. Zniknęły nawet jego włosy, piękne czarne włosy – na głowie sterczały kępki krótkiej, szarej szczeciny. Na twarzy dominował ogromny, kościsty nos. Marynarka z żaglowego płótna wisiała na Imie jak na strachu na wróble. U jego stóp stała nieforemna, jakby własnej roboty, tekturowa walizka.

– Imka! – jęknęła babcia. – Zasławski! Gdzieś ty był?

– Ech, Ira! – Odwrócił oczy. – Łatwiej powiedzieć, gdzie nie byłem. Jest Marik? Chciałem mu coś przekazać.

– Marik jest w delegacji, w Ałma-Acie. Wraca za trzy dni. Ale wchodź, na miłość boską! On tam buduje hotel. Ależ się ucieszy! Wchodź, pomieszkasz u nas do jego powrotu.

– Wstąpię wieczorem, Ira. Teraz muszę lecieć. – Ima podniósł walizkę i odwrócił się, by odejść.

– Ale zaczekaj! Możesz to coś zostawić u mnie, jak chcesz, wszystko mu przekazać!

– Nie, nie, Iroczo – odrzekł Ima przez ramię. – Mogę to zrobić tylko osobiście. Wpadnę za trzy dni. – I ruszył do windy.

– Ima! – zawołała za nim Ira. – A pamiętasz, jak do mnie napisałeś? „Pociąg pędzi w dal, a ja – w nieznanie”.

– Pamiętam – Ima aż przystanął z zaskoczenia. – Pamiętam! Pomyśl, tyle wszystkiego zapomniałem, a tego nie.

– Zostań przynajmniej na obiedzie – cóż to za rozmowa na klatce schodowej!

– Jeszcze tu przyjdę, Iruszko. Na pewno przyjdę. – I zniknął w windzie.

Ale oczywiście nigdy nie przyszedł. Marik, usłyszawszy o tej wizycie, bardzo się przejął i nawet poszedł do domu Imy, ale tam od dawna mieszkali obcy ludzie.

A w osiemdziesiątym dziewiątym Rogow przeczytał w „Wieczerniej Moskwie” wspomnienia o Bablu, napisane przez syna dziennikarza „Prawdy” Kozajewa, który szczęśliwie przeżył i represje, i wojnę. Największe wrażenie zrobiła na Rogowie historia, która wydarzyła się latem tego samego czterdziestego ósmego roku – w osiem lat po oficjalnej dacie śmierci Babla. Piętnastoletni wówczas syn dziennikarza siedział sam w domu – ojciec jak zawsze był w rozjazdach, matka poszła do sąsiadki pożyczyć mąki i się zagadała. Zadzwoił telefon i chłopiec rozpoznał głos Babla.

– To ty, Losza? – nawet przez telefon było słychać, że Babel się uśmiecha. – Nadal chcesz być maupą? – Syn dziennikarza rozpoznał jego krótki śmieszek.

Tego nie mógł wiedzieć nikt oprócz najbliższych przyjaciół rodziny. Losza, mając pięć lat, rzeczywiście marzył o tym, by zostać „maupą”, bo „maupa” nie musi chodzić do przedszkola ani do pracy, tylko skacze sobie w dżungli i zajada banany.

– To pan, Izaaku Emmanuiłowiczu? – zapytał Losza, który nigdy nie wierzył, by taki dobry człowiek mógł zaginąć na zawsze.

– Ja, ja. Poznałeś mnie, spryciarzu. Powiedz mi, tata w domu?

– Wyjechał, Izaaku Emmanuiłowiczu! W delegację. Może poprosić mamę? Jest u sąsiadów, zaraz ją zawołam...

– Nie, nie trzeba. Myślę, że będziemy jeszcze mieli okazję się zobaczyć. Powiedz im... a zresztą, sam powiem. Wpadnę wieczorem i powiem.

Ale nie wpadł, chociaż o telefonach od niego w tym czasie wspominają jeszcze trzy osoby. Wszystkim chciał coś przekazać, ale za każdym razem odkładał wizytę. Był spokojny, powściągliwy i chyba dokądś się spieszył.

Takich historii Rogow przez piętnaście lat nagromadził całe mnóstwo. Całkowicie wiarygodnych było co prawda tylko piętnaście – pozostałe przypominały apokryfy, a Rogow usłyszał je od osób trzecich. Te jednak, które usłyszał od uczestników wydarzeń i których nie kwestionował, były prawie jednakowe, zbieżne w większości szczegółów. Tylko dwa wypadki różniły się nieco od pozostałych: o jednym usłyszał od dalekiego krewnego ze strony ojca, kiedy ojciec zabrał go ze sobą do rodziny w Leningradzie, a o drugim – od współpasażera w pociągu. Historie te napływały do niego jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, a może ludzie po prostu wyczuwali jego zainteresowanie. W obu wypadkach nie było żadnego telefonu i nikt niczego nie przekazywał, podczas gdy w siedmiu z trzynastu

pozostałych historii występowała zapowiedź przekazania czegoś, ustnie lub w postaci paczki, ale koniecznie osobiście. Ci dwaj, którzy powrócili, pojawiali się realnie – jednego widziano w tramwaju na początku czterdziestego dziewiątego (zniknął w sierpniu czterdziestego pierwszego roku, aresztowany na początku blokady za rozpowszechnianie defetystycznych pogłosek), a drugiego przypadkowy towarzysz podróży Rogowa zobaczył już w roku pięćdziesiątym, w budce telefonicznej. Dzwonił do kogoś, nie zapominając, by spokojnie, ale uważnie rozglądać się na wszystkie strony. Zauważył też dawnego znajomego z frontu. Ten właśnie znajomy czterdzieści lat później jechał na spotkanie z kolegami z trzydziestej piątej dywizji, odbywające się w Kałaczu nad Donem. Była jesień roku dziewięćdziesiątego i student trzeciego roku, Rogow, plutonowy rezerwy, zwolniony z ostatniego roku służby dzięki wielkoduszności Ministerstwa Obrony (wszystkich powołanych studentów wypuszczono do domu), jechał do Rostowa na konferencję wydziału historii tamtejszego uniwersytetu. W wagonie restauracyjnym nawiązali rozmowę.

– Wzięli go za jakieś listy – opowiadał starszy pan. – Był świetnym oficerem, chociaż dość wyniosłym i z pewnymi dziwactwami, jak wszyscy moskwianie. Ale szanowałem go za odwagę i często rozmawialiśmy. Znał mnóstwo wierszy, nawet go poprosiłem o zapisanie paru, żeby posłać żonie. Zdaje się, że coś z Błoka... Zaraz, chyba nawet umiem to na pamięć. „Cztery wiatry dmą co siły, siedem mórz się burzy, wszystko w świecie jest niezmiennie oprócz mojej duszy...”<sup>7</sup>.

– To nie Błok. – Rogow pokręcił głową.

– Tak? Cóż, możliwe, że on sam to napisał... Jestem wojskowym, nie specjalistą. – Staruszek się zamyślił. – Tak, może i sam. Wezwano go do oddziału specjalnego i już nie wrócił. Wiedziałem, że aresztowali mu rodziców, jakieś moskiewskie szychy, i miał nadzieję, że wysłuży im przebaczenie. Na froncie opowiadano o takich przypadkach. Wie pan, było w nim coś takiego... jakieś pęknięcie, posłannictwo, jeśli pan woli. W czasie wojny i potem, kiedy zostałem w wojsku, nauczyłem się dostrzegać takie rzeczy lepiej niż niejedna wróżka. Ale tak czy owak, było mi przykro, że taki człowiek ginie za nic, i żał mi było jego rodziców – trochę mi o nich opowiadał. Pisał do ojca do łagru i do matki na zesłanie, matka odpisywała, a od ojca od dawna nie miał żadnej wieści. Na początku wojny wielu więźniów zatopiono na barkach – pewnie pan o tym wie.

Rogow przytaknął.

– Zwrócić się bezpośrednio do oficera politycznego oczywiście nie mogłem – ciągnął starszy pan. – Byłem zwyczajnym starszym lejtnantem, co z tego, że już przedstawionym do orderu, i nikt by się przede mną nie tłumaczył. Ale docierały do mnie różne słuchy

i dowiedziałem się, że wzięli go właśnie za korespondencję z ojcem. Uznano to za podejrzanę, zresztą licho wie, co mógł tam pisać. Więcej nie miałem o nim żadnych wieści, ale go nie zapomniałem, chciałem nawet odpisać jego matce, tylko nie miałem adresu. Szukałem i nie znalazłem. Pewnego razu, gdzieś w czterdziestym siódmym, spotkałem przypadkiem tego politruka – wpadliśmy na siebie u naszego technicznego, u którego ten załatwiał papiery demobilizacyjne. Nasz politruk nie był taki, jak się teraz o nich pisze, wypowiadał się śmiało i nawet w głębi duszy go szanowałem. Tęgo popiliśmy. Nabrałem odwagi, więc w pewnej chwili spytałem: no, a jak tam starszy lejtnant Sutormin? Pamięta go pan? I proszę sobie wyobrazić, pamiętał. Sutormina trudno było zapomnieć. Przystojniak, blada cera... Powiedział, że wezwano go do Moskwy, sprawa okazała się poważna, chyba w jakiś sposób podpadł pod kampanię – wszystkiemu zaprzeczał, do niczego się nie przyznał i zginął. Politruk napomknął, że na pewno nie pozostawiliby go przy życiu. Czterdziesty czwarty rok, co pan chce.

No i niech pan sobie wyobrazi, latem pięćdziesiątego roku przyjeżdżam służbowo do Moskwy, zatrzymałem się w hotelu, idę na WDNCh<sup>8</sup> – i co widzę? Jego, całego i zdrowego! To znaczy z początku tak mi się wydało. Stoi w budce telefonicznej, kręci tarczą, potem coś mówi, ale wciąż się rozgląda, jakby się bał, że jest śledzony. Ubrany byle jak, ubranie znoszone tak, że włóczęga by się go powstydził – ale na nim leży dobrze, na nim wszystko dobrze leżało, nawet spłowiała żołnierska bluza – wyobraża pan sobie, jakie w czterdziestym czwartym mieliśmy bluzy? Sami nie myśliśmy się miesiącami, a co dopiero... No i, kiedy tak wodził oczami na wszystkie strony, nagle mnie zauważył. Ani jeden mięsień nie drgnął mu na twarzy. Nadal mówił, ale nie odrywał ode mnie wzroku – miał czarne, przesywające oczy, ogromne, po tych oczach odgadłem, już kiedy go poznałem, że nie sądzone mu długie życie. Demon, tak go nazywaliśmy. No i patrzy, rozmawia, a ręką daje mi znak, żebym podszedł. Z pewnością mnie pan potępi, zresztą ja sam do dziś nie mogę sobie tego wybaczyć – ale jakbym wrósł w ziemię. Patrzę na niego, nie odrywam oczu, ale boję się zrobić krok. Nawet dzisiaj nie potrafię powiedzieć, co to było... chociaż od końca czterdziestego drugiego, od siedemnastego roku życia, byłem na froncie i różne rzeczy widziałem. I powiem panu, że nawet nie bardzo się bałem. To był taki zwykły strach, wręcz przyzwyczajenie. Początkowo się go czuło, a potem przychodziła ostrożność, nawyk – krótko mówiąc, wiedziało się już, że jeśli człowiek nie pcha głowy pod topór, to może jakoś się uda. Ale tu patrzyłem na tę budkę – lato, dokoła pełno ludzi, hałas, samochody, zgiełk, jacyś Uzbegy w chałatach – a ja stoję o dziesięć metrów od niego i dreszcz przebiega mi po skórze. Bo to był Sutormin, a zarazem nie on.

Najstraszniejsze, że jakby zmałał, zrobił się jakiś spłaszczony, przygięty. Kiedyś był wysoki, szczupły, a tu – jakby wyrąbany z drewna, jak okorowany kłoc, figura niezgrabna, kwadratowa. Twarz blada, jak zawsze, ale nalana: może obrzmiała, a może cały jakoś spulchniał, zaniedbał się. Nie przytył, nie, właśnie spulchniał. Nadal pozostał demonem, ale nawet nie demonem pokonanym, tylko – bo ja wiem – jak gdyby z demona nagle zrobił się diabeł, zwykły diabeł – tak, to najlepsze określenie. Zdawał się spoglądać na mnie z piekła, takiego prawdziwego piekła – nie z ogniem i różnami, ale, przepraszam za wyrażenie, z jednego ogromnego więziennego kibla, z którego nie ma ucieczki, a jeśli nawet jest, to jest już niepotrzebna. Dlatego że kto tam spędził jeden dzień – jest martwy. I on też był martwy. I z tego, jak się rozglądał wokół siebie, od razu zrozumiałem: rozgląda się raczej pro forma. Ujawniać mu się nie wolno, ale jemu osobiście takie ujawnienie niczym by nie groziło. Po prostu ludzi, którzy stamtąd wyszli – chociaż czy w ogóle byli to ludzie? – nie wolno było widzieć, nie mieli prawa się pokazywać. No i do dziś się zastanawiam: do kogo on mógł dzwonić?

– Pewnie chciał coś przekazać – odruchowo odrzekł Rogow.

– Co pan powiedział? – Starszy pan aż się ku niemu pochylił.

– Nie, nic. A co było dalej?

– Nic nie było. Pokiwał na mnie palcem, patrzył, nie odrywając wzroku, i coś takiego było w jego oczach, że zebrałem się w sobie i czmychnąłem jak zając. Oficer frontowy, z odznaczeniami bojowymi, major artylerii. A uciekałem, nie oglądając się za siebie i opamiętałem się dopiero na jakichś przedmieściach, gdzie nawet tramwaj nie chodził. Patrę – wieczór, dokoła baraki – długie, bez okien. I przywiduje mi się, że tam w środku są sami tacy jak on... Na moje szczęście akurat przejeżdżał taksjarsz. Jak go tam zaniósł? Nic innego, tylko przysłali anioła z taksówką po moją duszę. „Wsiadaj, majorze, podwiozę cię”. Wróciłem do hotelu, poszedłem do restauracji, upiłem się, jak się już dawno nie upijałem, i całą noc przespałem jak zabity. Dopiero rano mnie odpuściło, ale na WDNCh tym razem już nie byłem.

– I Sutormina już pan więcej nie widział?

– Ani nie widziałem, ani nie miałem wieści. Chciałem nawet zasięgnąć informacji, ale powiem panu, że strach mnie ogarnął. Łatwiej mi było myśleć, że się pomyliłem. Lubiłem go przecież – jak mógłbym się z nim teraz spotkać, takim innym? No niech pan sam powie, młody człowieku!

– Nie, chyba raczej się pan nie pomylił – powiedział w zamyśleniu Rogow.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Nie wiem. Wtedy wielu wróciło...



– Racja – przytaknął staruszek. – Wielu. Widziałem wielu stamtąd. Ale wie pan, nic po nich nie było znać. Jakby się zakonserwowali w tej wiecznej zmarzlinie. Weseli, fajni faceci... A takich jak on nie widziałem, nie, takich więcej nie widziałem. No, co prawda, dostało się chłopu od życia – najpierw aresztowali mu rodziców, potem front...

– Łazarz – mruknął pod nosem Rogow, ale stary dosłyszał.

– Myśli pan, że to też ręka Kaganowicza<sup>9</sup>?

– Nie, inny Łazarz. Pamięta pan? Chrystus wskrzesił Łazarza i nikt nie mógł znieść jego wzroku.

– Nie czytałem – wyznał ze skruchą starszy pan. – Widzi pan, jakoś do tej pory nie miał człowiek czasu...

– Szkoda, że pan nie podszedł – powiedział Rogow. – Nie, nie, pozwoli pan, że ja zapłacę. Nawet pan nie wie, jak ważna jest dla mnie pańska historia.

– Nie jest pan czasem jego krewnym? – Staruszek zmrużył oczy. – Zdarzają się takie zbiegi okoliczności, że w żadnej książce pan nie wyczyta...

– Nie – odrzekł Rogow. – Nie jestem krewnym.

To świadectwo było tym cenniejsze, że chodziło o jedyne osobiste spotkanie z człowiekiem, który powrócił: w pozostałych wypadkach kontaktu wzrokowego nie było, nie licząc tylko tamtego przelotnego spotkania w leningradzkim tramwaju – ale krewny ojca był krótkowidzem i niewiele mógł zobaczyć. Widział tylko, że w tramwaju cioteczny brat jego żony, którego nawet przed wojną widywał tylko przelotnie, zajęty był dziwną w jego wieku zabawą: trzymał w ręku maleńkie kieszonkowe lusterko i pokazywał je komuś za oknem. Tramwaj jechał Stroną Piotrogradzką, obok ulicy Barocznej, a w starym narożnym domu ktoś patrzył przez okno. Chyba dziewczyna, i chyba ładna. Wszystko to jednak krótkowzroczny kuzyn ojca Rogowa widział przelotnie, a z całą pewnością zobaczył tylko, że cioteczny szwagier („Tak się to chyba nazywa? Gubię się w tych różnych powinowactwach...”) puszcza po ścianie słonecznego zajęczka. Kuzyna nie zauważył – ten stał na przystanku i czekał na inny tramwaj. Cioteczny brat żony robił wrażenie skupionego i wyglądał zbyt poważnie jak na kogoś zabawiającego się czymś tak niepoważnym.

Ów zajęczek i owo skupienie były jedynymi ogniwami, dla których Rogow nie znajdował miejsca w swoim łańcuchu. Resztę chyba rozumiał. Rozumiał to, nad czym bał się zastanawiać śledczy w sprawie jego dziadka i to, czego nie potrafiła wyrazić słowami jego babka Marina, przez całe życie powoli tracąc zmysły i zapominając to, co było wczoraj. Rozumiał, dlaczego ich brali i dlaczego ci wracali. Musiały jednak upłynąć lata, zanim wszystko trafiło na swoje miejsca.

---

<sup>1</sup> Moisiej Uricki (1872–1918) – rewolucjonista rosyjski, jeden z organizatorów przewrotu w 1917 roku, szef piotrogrodzkiej Czeka. Zabity przez eserowca Leonida Kannegisera. Jego śmierć, równoległa do zamachu na Lenina, stała się pretekstem do rozpoczęcia przez bolszewików „czerwonego terroru” (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> *Narodnyj komissar* – komisarz ludowy (przyp. tłum.).

<sup>3</sup> W oryg. gra słów: *smuta* (ros.) – zamęt, *smutnyj* – mglisty, niewyraźny (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Niedokończony romans rozbójniczy Aleksandra Puszkina (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> W latach Wielkiej Czystki taką formułą przekazywano rodzinie więźnia w rzeczywistości skazanego na najwyższy wymiar kary – rozstrzelanie (przyp. tłum.).

<sup>6</sup> Nikołaj Wawilow (1887–1946) – rosyjski biolog genetyk (badania nad ulepszeniem odmian pszenicy), aresztowany w 1940 roku pod zarzutem m.in. zwalczania teorii Łysenki. Zmarł w więzieniu w wyniku wyniszczenia organizmu (przyp. tłum.).

<sup>7</sup> Z wiersza angielskiego poety Godfreya Thringa (przyp. tłum.).

<sup>8</sup> *Wystawka Dostizienij Narodnogo Choziajstwa* – Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej (przyp. tłum.).

<sup>9</sup> Łazar Moisiejewicz Kaganowicz (1893–1991) – polityk sowiecki, jeden z głównych realizatorów „czystek stalinowskich” (przyp. tłum.).

**L**etnie wakacje Rogow spędzał z rodzicami na dacy. Maleńką działkę letniskową otrzymał w siedemdziesiątym drugim roku jego ojciec, inżynier dużej moskiewskiej fabryki. Wszystko przychodziło ojcu z trudem, w końcu jednak dochrapał się wszystkich znamion sowieckiego dobrobytu – co prawda, w najbardziej żalonym wariantcie: dostali z Katieriną Iwanowną dwupokojowe mieszkanie, na rok przed narodzinami syna kupili samochód – pierwszą wołgę z dźwignią zmiany biegów na kierownicy – a kiedy Sława skończył trzy lata, pojawiła się również dacha, żeby dziecko miało gdzie oddychać świeżym powietrzem i otrzymywać niezatrute spalinami, wyhodowane bez chemii witaminy. Fabryce przydzielono działki w wilgotnej i kępiastej okolicy, osiemdziesiąt kilometrów na południe od Moskwy, i letniskowe osiedle imienia pisarza Staniukowicza, który kiedyś miał w tych stronach posiadłość, zaczęło się rozrastać i urządzać. Budował się każdy po swojemu, z fabrycznego środowiska natychmiast wyodrębnili się ludzie z niezapomnianymi albo wrodzonymi wiejskimi nawykami, mieszkańcy błyskawicznie podzielili się na tych, którzy umieli osuszyć glebę i w warzywnikach wszystko im się rodziło – oraz tych, którzy, jak rodzina Rogowów, na próżno ładowali w błotnistą ziemię piasek i czas. Piasek natychmiast osiadał, grządki zarastały, a jeżeli dla ochrony przed chwastami pokrywano je papą z powycinanymi pięciokątnymi dziurkami na wąsy truskawek albo sadzonki porzeczek, to chwasty wypierały nawet przez papę. W inspektach, pod natychmiast drącą się folią, nie wiadomo czemu rodziła się tylko wilgotna, blada trawa. Dla Rogowa pomnikiem bezpłodnego wysiłku na zawsze pozostał ojciec z taczką, który właśnie wysypał na grządkę kolejną porcję piachu albo nawozu i ocierał czoło; skrzywiony ze zmęczenia, ciężko oddychał, a na jego twarzy malowała się nie dumna radość i nawet nie zdrowy gniew, ale nie wiadomo czemu błaganie. Przyroda jego błagań nie słyszała, i zjeść ogórka, wyhodowanego własną pracą, udało mu się chyba raz w życiu. Ale nawet tego ogórka jadł z żalną miną, jakby go błagał, by nagle nie zniknął jak miraż.

Po przejściu na emeryturę ojciec ostatecznie stracił wiarę we wszelkie swoje wysiłki i inicjatywy (mógłby jeszcze pracować, ale go wypchnęli – co prawda, syn już studiował na wydziale historii i można się było rozluźnić). Spędzał na dacy coraz więcej czasu, ale zamiast zyskany wolny czas poświęcić uprawie ziemi, zapalił się do grzybobrania. W tym też mu się zresztą nie wiodło, ziemia go nie lubiła, i kiedy sąsiedzi przynosili pełne po brzegi

gigantyczne kosze, przykryte liśćmi paproci przed zawistnymi spojrzzeniami, jemu z trudem udawało się nazbierać reklamówkę kurek i surojadek, które ściśnięte w torebce jeszcze się w dodatku kruszyły. Rogow junior od dzieciństwa nie lubił sąsiadów, ale wstydził się też ojca. On sam, wysoki, jasny blondyn o szeroko rozstawionych oczach, wdał się w Skaldinów – umiał i lubił pracować w ziemi, ale zawsze stała mu przed oczami daremność wysiłków ojca. Dacza była dla całej rodziny czymś w rodzaju uprzykrzonego rytuału, od którego nie mieli się uwolnić: każdego lata matka peła natychmiast zarastające chwastami zdziczałe truskawki, ojciec na taczce rozwoził po działce i rozsypywał na kupki kolejną wywrotkę piasku, a Rogow, kiedy udawało im się zaciągnąć go na daczę, brał w tym wszystkim udział z przymusem i niechętnie. Lubił daczę nie za to, ale za to samo, co wszystkie czytające dzieci jego pokolenia: stanowiła wykoślawiony, daleki obraz wiejskiego dworu, spotkanie z ową książkową małą ojczyzną, która w oczach każdego myślącego człowieka już dawno sprowadziła się do pejzażu, jako że wszystkie inne skojarzenia z nią były zbyt nudne albo straszne.

Z biegiem czasu osada letniskowa zaczęła się zmieniać, starzy mieszkańcy umierali albo sprzedawali działki, nowi na miejscu starych, półtorapiętrowych chałup-kurników wznosili domy z czerwonej cegły z dobudowanymi inspektami, i cała droga od stacji do domu, biegnąca niegdyś przez kołchozowe pole, wiła się teraz między ciasno postawionymi noworosyjskimi domami, jednakowymi i niemal żalonymi na tle dalekiego lasu. Spośród dawnych letników na całej ich ulicy pozostali tylko Rogowowie i stary Kretow, który czasem wpadał do nich na pogaduszki. Kretow miał burzliwe życie. Lubił sobie popić, kiedy wypił, rozkrochmalał się i opowiadał o swoich przygodach. Pod koniec lat dwudziestych uganiał się za jakimiś basmaczami<sup>10</sup> po Azji Środkowej, potem budował fabrykę na Uralu, był dziennikarzem w Moskwie, dzięki fortelowi uniknął frontu, nagle zainteresował się geologią, zdobył pierwsze w życiu wyższe wykształcenie (był już po trzydziestce), a potem zjeździł cały kraj od Peweku do gór Ałtaju. Dzięki towarzyskiemu usposobieniu zaprzyjaźniał się z mnóstwem ludzi, pamiętał ich nazwiska i historie, i właśnie od niego Rogow po raz pierwszy usłyszał wiele na pół wiarygodnych, fascynujących plotek – od historii zabójstwa Kirowa do tajemnicy latającego talerza, który nasi zestrzelili w siedemdziesiątym drugim pod Nowosybirskiem i natychmiast na zawsze utajnili. Talerz ten Kretow często widział, pracując na Syberii, i zapewniał, że jednego chłopaka z ich ekipy złapali kosmici, jako że, pojmany przez nich w Nowosybirsku, ocknął się potem na dworcu autobusowym w Astrachaniu i nie pamiętał nic prócz własnego imienia i tego, że jakiś trójoki stwór dał mu zastrzyk.

Opowiadanie tego małemu Sławie sprawiało Kretowowi szczególną przyjemność, bo mały

Rogow się bał. Ich gawędy odbywały się przeważnie w lesie, dokąd Kretow wychodził o szóstej rano i długo wędrował jakimiś swoimi tajemnymi ścieżkami. Po jego śmierci Rogow niejedną raz próbował przejść tą samą trasą, ale za każdym razem trafiał w jakieś nieciekawe, prozaiczne i od dawna znane miejsca – wciąż przegapił rozwidlenie. Tylko Kretow wiedział, kiedy skręcić, żeby po trzech godzinach kluczenia i błędzenia po grzybowej osinie wyjść nagle na strome urwisko, z którego otwierał się widok na niewiarygodnej piękności wioskę nad brzegiem rzeki, z cerkwią i budynkiem z czerwonej cegły, wyglądającym na stacyjny – ale bez żadnej linii kolejowej. Tylko Kretow zaprowadził kiedyś Sławę Rogowa na poziomkową polanę, o której zabronił komukolwiek mówić – na ogromnej polanie wśród gęstego świerkowego lasu dwunastoletni Rogow zobaczył tyle poziomek, ile nie widział ani przedtem, ani nigdy potem. To było zupełnie jak w bajce: „Jedną jagódkę zrywam, na drugą patrzę, dostrzegam trzecią, a już majaczy czwarta”. Świetnie pamiętał drogę, ale ilekroć szedł tam później, ciągle skręcał w jakieś bagno. Należało długo iść wzdłuż linii wysokiego napięcia, potem skręcić przy starym pniu, rozszczepionym przez piorun (Kretow mówił, że na własne oczy widział błyskawicę uderzającą w pień), przeciąć szerokie, długie zarośla żółto-białych kwiatów o gorzkim zapachu, od którego bolała głowa (Kretow nazywał je miodunką, chociaż prawdziwa miodunka, czerwono-niebieska, była całkiem inna), przez jakiś czas iść wzdłuż tych zarośli (Kretow mówił, że to zarośnięty ślad armii Napoleona, która w odwrocie spod Moskwy szła właśnie tą drogą) – potem skręcić w prawo i tam zaraz zaczynał się tajemny świerkowy las. Ale za każdym razem Rogowa nie przepuszczała jakaś siła, z którą Kretow umiał sobie poradzić za pomocą setki drobnych zaklęć i rytuałów. Zawsze siadał, żeby coś przegryźć, na jednym i tym samym pniu, wyciągał kanapkę z czarnego chleba z węgierską słoniną, a przed wejściem do świerkowego zagajnika, stękając, mamrotał pod nosem zawsze to samo: „Ech, co za los, gdybym miał pełen trzos, kupiłbym bab całą wieś i resztę miałbym gdzieś”. Rogow z całą powagą próbował go naśladować, powtarzał słowa o wsi pełnej bab, ale nigdy więcej nie zobaczył poziomkowej polany.

Rodzice bez sprzeciwu puszczali go z Kretowem, chociaż ojciec zrzędził czasem bez gniewu, nazywając geologiczne opowieści bredniami. Dla małego Rogowa właśnie te opowieści były pierwszą historią ojczystego kraju, tak jak dacza była pierwszą ojczyzną. Była to ojczyzna w stylu Bilibina<sup>11</sup> – z ostrymi wierzchołkami świerków na tle szkarłatnego zachodu, z wiatrołomem, z lepiącą się do twarzy pajęczyną. Tam żółte i brzozone liście przypominały kapelusze grzybów, tam łatwo było sobie wyobrazić opuszczoną chatę, w rzeczywistości zamieszkaną przez niewidzialne istoty (Kretow często opowiadał o takich chatach, rozsypanych w tajdze). Tam, za powalonym przez burzę drzewem, które niby to

upadło w przypadkowym kierunku, nagle zaczynał się całkiem inny las, jakby ten powalony dąb wyznaczał granicę innego świata. W tym świecie, który dla Kretowa nie miał tajemnic, a do którego Rogow, gdyby szedł sam, nie miałby dostępu, było ogromne czarne jezioro w głębi jasnego, przyjaznego brzeźniaka, i Kretow na serio zapewniał, że jezioro nie ma dna, że specjalnie szukał go wraz z goszczącym u niego kolegą – wypływali pontonem na środek, robili pomiary i niczego nie znaleźli. A pewnego razu, w siedemdziesiątym piątym, kiedy sam Kretow dopiero co kupił tu działkę (na której, nawiasem mówiąc, spędzał cały rok oprócz zimy, w przytulnie urządzonej drewnianym domu, żywiąc się różnymi gatunkami kaszy i paląc swoją fajeczkę) – pewnego razu znalazł w tym jeziorze kawałek deski z wyrytymi na niej literami „The Em”, co mogło oznaczać tylko „The Empire”, nazwę słynnej brytyjskiej fregaty, która zatonęła u brzegów Ameryki w połowie ubiegłego wieku; i świadczyło to oczywiście o tym, że w czarnym jeziorze była dziura na wylot. Rogow błagał o pokazanie mu tej deski, ale Kretow niestety zmuszony był ją spalić w piecu ubiegłej zimnej jesieni. Zdążył jednak pokazać ją przyjacielowi i w Moskwie na pewno zapozna Rogowa z tym przyjacielem, by ten potwierdził opowieść.

W Moskwie wszakże jakoś nigdy się nie spotykali: tu było zupełnie inne życie, które w dziwny sposób rozpoczynało się zaraz po przecięciu obwodnicy. Zanim mały Rogow w ojcowskiej wóldze zdążył przejechać obok ogromnych liter „Moskwa”, witających ich przy wjeździe do miasta, już cały wiejski świat ze swymi cudami zniknął, nie wiadomo gdzie. Kretow mógł istnieć tylko w tamtym życiu, jak ryba głębinowa na kilometrowej głębokości. Wyciągnięty stamtąd w zwyczajne moskiewskie życie, gdzie była szkoła, codzienna gazeta i gorąca woda, natychmiast utraciłby cały swój urok, zbladł i może nawet wyparował. Był do wyobrażenia tylko w wysokich gumniakach, kraciastej flanelowej koszuli, starej marynarce i nieodłącznym kapeluszu, zawsze nieogolony, z siwymi wąsami, najlepiej z ogromnym, wiklinowym koszem, który, jak zapewniał, sam przyciągał grzyby i ciągnął go w grzybowe miejsca. Kretow słuchał kosza, a Rogow do ósmego roku życia naprawdę wierzył, że ten kosz jak kompas prowadzi go jedyną właściwą drogą.

Opowieści Kretowa były niewyczerpane i Rogow, który szybko doroślał, nigdy się z nim nie nudził. Niekiedy Kretow wpuszczał go na swój strych, gdzie od niepamiętnych czasów leżały w ogromnym zakurzonej worku magazyny „Dookoła Świata” i „Syberyjski Tropiciele”, na którego Rogow nigdy się potem nie natknął nawet w dobrych bibliotekach. Tam przy świetle kieszonkowej latarki (na strychu było ciemno, tylko zakurzone promienie upalnego dnia przenikały przez smolne deski) Rogow przeczytał masę fantastycznych historii, które w takiej obfitości pisano w latach dwudziestych. Był w tych historiach zdrowy duch

poszukiwań, mieszanina naiwnej naukowej rzeczowości i beztroskiego awanturnictwa. Tak postrzegali świat właściciele pierwszych odbiorników radiowych, poważni, mali okularnicy, którzy z pewnością zbudowaliby nowy świat, gdyby ich wszystkich nie pozabijano. Po jednej takiej historii Rogow nie spał dwie noce. Był chłopcem wrażliwym i na całe życie zapamiętał dziwne opowiadanie (niestety, nie interesowało go wtedy nazwisko autora, w jego świadomości ówczesne książki w ogóle nie miały autorów – a po co?) – pewien amerykański uczony odkrył metodę ożywiania straconych na krześle elektrycznym. Przydzielono mu do eksperymentu bandę sześciorga okrutnych morderców – pięciu mężczyzn i jedną kobietę. Po egzekucji należało odczekać trzy godziny (dlaczego trzy godziny? dla czystości eksperymentu, żeby nie pozostało w nich ani odrobiny życia? albo żeby w duszy zaszły jakieś nieodwracalne zmiany, na skutek których uświadomiłaby sobie całą ohydę zabójstwa?). Potem profesor z piękną laborantką, przedstawioną obok na gęsto zaczernionym tuszem rysunku, dokonywał nacięć na stopach zabitych, wprowadzał tam elektrody, robił jakiś zastrzyk, włączał prąd... i trupy powoli ożywały, unosiły się na swoich sterylnych leżankach i rozglądały się mętym, nienawistnym wzrokiem, jakby nie mając siły zapytać, kto sprowadził je z powrotem na ten padół cierpienia i zepsucia. Tajemniczy profesor umieszczał wskrzeszonych zabójców na bezludnej wyspie, którą nabył na własność (oczywiście pieniądze na kupno wyspy zgromadził, sprzedając ludziom dla zamydlenia oczu któryś z efektów ubocznych swego tajnego odkrycia – na przykład ożywiająca substancja, którą wstrzykiwał zabitym, mogła również rozjaśniać włosy). Właśnie na wyspie działo się najciekawsze, bo sześcioro morderców – pięciu mężczyzn i jedna kobieta – zaczęło wśród dzikiej przyrody budować nowy świat, niepodobny do naszego, budować go na zasadach, które objawiły im się podczas owych strasznych trzech godzin, kiedy byli już nie tu i jeszcze niezupełnie tam – i autor, z okrzykiem: „Ale jakież to był straszny świat!”, milkł do następnego numeru. Tego następnego numeru w worku nie było i sam Kretow nie wiedział, co było dalej. Pewnie podarł ten magazyn na rozpałkę, jako że regularnie zaglądał na strych po papier do piecyka, i na rytuał rozpalania niekiedy zapraszał także Rogowa. Chłopcu było strasznie żal znikających w ogniu czasopism, za którymi szły twarde, trzaskające brzozowe szczapy (Kretow chodził po nie do lasu z poręczną, jak wszystkie jego rzeczy, siekierką), ale przyjemność rozpalania była tego warta. Mały, a potem już nie taki mały Rogow patrzył z rozkoszą, jak od jednej zapałki zajmuje się cały piec, jak z umiejętnie ułożonego papieru ogień pełźnie coraz wyżej po brzozowej korze – i wreszcie, jak równe huczenie rozchodzi się po całej izdebce, a na ścianach płasają cienie.

Wszystko, co opowiadał Kretow, było czarodziejskie i prawdziwe, a wszystko w jego domu było równie bajkowe.

Stał tam ogromny lampowy odbiornik ze skalą, na której tajemniczo migotały nazwy miast: Moskwa, Rzym, Sztokholm. Był tam również stary, dawno nieczynny telewizor KWN z wielkim kineskopem, na którym Kretow uczył Rogowa, jak rozpałić ogień (ogień się rozpałił); było mnóstwo starych, masywnych, ale solidnych mebli, i całe sowieckie życie wydawało się Rogowowi równie masywne, tajemnicze i solidne jak te meble. Tutaj nie było nic trwałego oprócz tego życia, toteż gdy ono minęło, przetrwało i działało tylko to, co wymyślono lub wytworzono za tamtych czasów.

To życie, jak i sam Kretow w swoich butach nie do zardcia, w koślawym, sztywnym kozuchu, który przywdziewał jesienią, wychodząc na wieczorny spacer – to życie trwało w tajemnym przymierzu z otaczającą przyrodą i tylko ono umiało się z nią porozumieć. Pokonało całą tę przyrodę, zmusiło ją, by mu służyła, właśnie dlatego, że było z nią jednej krwi i z jednego ciasta, tak samo naturalne i tak samo organicznie bezwstydne. Nie znało innego prawa prócz prawa życia i było mu ślepo posłuszne. Dlatego też, dopóki to sowieckie życie było silne i młode, z taką łatwością podporządkowywało sobie lody i lasy, skały i pustynie: porozumiewali się, a mniejsza siła ustępowała większej. Wszystko, co stworzono za sowieckiego życia, było jak przyroda – majestatyczne i tajemnicze, i zawsze, oprócz podstawowego, miało jakieś dodatkowe, sekretne przeznaczenie. Na odbiorniku Kretowa można było łapać nie tylko nasze stacje, ale i wrogie; co więcej, Rogow był przekonany (choć nigdy nie zapytał o to Kretowa wprost), że w razie czego z tego odbiornika jak przez radiostację można by się było połączyć z jakimś lądem – gdyby oni wszyscy, mieszkańcy letniskowej osady, znaleźli się nagle na wyspie, to znaczy gdyby w jakieś deszczowe lato zostali zatopieni. Właśnie do takich celów służyła ogromna składana antena, poniewierająca się na strychu i przypominająca wąs jakiegoś groźnego z wyglądu, ale pożytecznego chrząszcza. Tam także znalazł się stary telefon, wielki, z twardego, grubego ebonitu, z kablem nawet nie gumowym, ale powleczonym tkaniną, na którego przekroju połyskiwały żółte kropki przewodów. Ale i ten telefon był całkiem sprawny i nawet odłączony mógł połączyć z kimś, kto nie mógł się dodzwonić po linii. Każda sowiecka rzecz miała drugie dno, czasem dobre, czasem złe, ale myśleć w takich kategoriach nie należało. Było nie dobre i złe, tylko pożyteczne dla życia i niebezpieczne dla życia, a właściwie tak też nie, bo nawet życie nie było najwyższą wartością. Było to, co słuszne i to, co niesłuszne, ale co jest słuszne, a co niesłuszne – mogli wiedzieć tylko wtajemniczeni, a może nawet nikt poza tym kimś, kto mógł się dodzwonić przez wyłączony telefon. Mały Rogow podnosił słuchawkę i słyszał w niej szmer. Usłyszałby też głos, ale zawsze ogarniał go strach i rzucał słuchawkę na widełki, a potem długo ją głaskał, żeby przeprosić.



W Imperium, jak je sobie wyobrażał Rogow, panowała wieczna noc. Wyobrażenie to ukształtowało się zapewne nie bez wpływu jedynej przedwojennej książki, jaka znajdowała się w domu – dzienników polarnych Krenkla<sup>12</sup>. Książka była czarna, z mnóstwem map i ilustracji, i akcja toczyła się w niej głównie w czasie nocy polarnej; w Imperium wszystko to, co najistotniejsze, też odbywało się nocą. Ową nocną krainę Rogow wyobrażał sobie w postaci olbrzymiej żywej mapy, na której mrugają do siebie tajemniczo wieże telewizyjne, maszty radiowe, kremlowskie gwiazdy i lecące w niskich chmurach wojskowe samoloty. Toczyło się tam życie jak u Gajdara<sup>13</sup>, solidne i tajemnicze: do utajnionych miejsc zmierzały pociągi, w których pili herbatę nieliczni jasnowłosi wojskowi. Głęboko pod ziemią budowano metro – nie to, którego schemat wisiał u nich w przedpokoju, ale tajne, rezerwowe, na jakieś szczególne przypadki. Lotnicy w skórzanych kurtkach z białymi, futrzanymi kołnierzami, w hełmofonach, w okularach ochronnych z grubego szkła pikowali samolotami wprost na kry, ratując polarników. Wszystko było czarne i białe: w Imperium panowały noc i zima; tylko pociągi były błękitne, a samoloty – zielone.

Dziecięce odczucie olbrzymiego, czuwającego kraju nie opuszczało Rogowa także później: lubił podróżować pociągami nocą, łatwiej mu się zasypiało, kiedy za oknami, na przemykających obok stacjach, ktoś kontrolował ruch składów, łączył się z Moskwą, rozsyłał zagadkowe komunikaty. Na czerwonych budynkach stacyjnych płonęły lampy rtęciowe w żelaznych osłonach. Nawet na zupełnie pustych rozjazdach zawsze siedział specjalny pracownik, utrzymując tajną łączność, nadając sygnały, uczestnicząc w niepojętym wspólnym zadaniu.

To samo sowieckie życie, tylko nieco późniejsze, było na okładkach starego miesięcznika „Junost”, który Rogow zaczął czytać na tym samym strychu, kiedy miał około piętnastu lat. W latach sześćdziesiątych Kretow prenumerował wiele magazynów – geolodzy dobrze zarabiali. Otrzymywał po pięć, sześć numerów naraz: czekały na poczcie, kiedy on w swoich gumowych butach przebywał w ekspedycji. Z każdej okładki spoglądały ogromne, puste przestrzenie: filary linii energetycznych równym łańcuszkiem, zaznaczonym krótkimi kreskami, biegingy w śnieżną dal na tle idealnie kulistego zachodzącego słońca; narciarze w niebieskich czapeczkach, on i ona, sunęli po zamarznętej tafli nieznanego akwenu; rybacy w jednakowych włóczkowych czapkach wyciągali ryby z sieci nad brzegiem ogromnego, niebiesko-zielonego morza; śmigło helikoptera zawisało nad tajgą, rzucając błękitny cień. Obrazki zajmowały tylko połowę okładki, a poza ich granicą majaczyła jakaś nieskończoność, ale człowiek się w niej nie gubił, znał bowiem do niej klucz i był tego samego pokroju, co ona, tak samo mało cenił własne życie.

Teraz Imperium zniknęło i przyroda ponieważ się na nim mściła, rozprawiała się z nim równie łatwo i bez zastanowienia, jak kiedyś ono z przyrodą. W lasach Rogow coraz częściej znajdował porzucone żelazne przedmioty niewiadomego przeznaczenia: czasem można w nich jeszcze było rozróżnić szkielet starego pieca, rurę, transformator, ale najczęściej była to po prostu kupa zardzewiałego żelastwa, powoli zapadająca się w ziemię. Taki umierający przedmiot był nawet ciekawszy, niż mógł być w pełni sił i sławy, ponieważ właśnie teraz nie był ani piecem, ani transformatorem, ale czymś całkiem innym, i niewykluczone, że teraz zaczęłoby z niego wyzierać inne, tajemne przeznaczenie. Ale przyzwoitość i dziecięcy strach przed śmiercią nie pozwalały Rogowowi dokładnie mu się przyglądać.

Aż do powołania do wojska Rogow spędzał lato na dacy, z rzadka wyjeżdżając z matką na południe, kiedy w rodzinie trafiały się pieniądze. Po drugim roku czekało go wojsko – studentów ciągle jeszcze brali, Rogow trafił do ostatniego poboru. Wojska bał się strasznie, jak wszystkie inteligentne dzieci, i każda wyprawa z Kretowem wydawała mu się ostatnią. Powołano go wraz z innymi studentami (sesję miłosiernie pozwolono zdać – niech wam będzie na ostatek!) na sam koniec poboru, na lipiec, i już odebrał za pokwitowaniem ostatecznie, ostateczne zielone wezwanie, w który najbardziej nieodwracalne były słowa: „Stawić się umyтым i schludnie ubranym”. Niedomyty i niechlujnie ubrany nie nadawał się na pożarcie. Jak na złość, lipiec był przepiękny. Na grzyby było jeszcze za wcześnie, ale obaj z Kretowem po prostu chodzili po lesie, zbierali poziomki i rzadkie w Podmoskowiach maliny, troszkę popijali. Kretow brał ze sobą starą piersiówkę, tak samo solidną jak wszystkie jego rzeczy – ale przedtem nie częstował Rogowa, a teraz się z nim dzielił.

Nadchodził rok osiemdziesiąty dziewiąty – czas wielkich demaskacji. Rogow jako historyk i wnuk ofiary represji czytał dużo i chciwie. O dziwo, Kretow o represjach mówił mało, o powszechnym strachu w ogóle nie wspominał i zdaje się, że sam go nie odczuwał. W tajemniczej i odświętnej sowieckiej historii, przypominającej w jego relacjach ciemną, mroźną noc z girlandami świateł, na strach nie było miejsca – a raczej był to właśnie dziecienny bożonarodzeniowy strach, niemający nic wspólnego z szarą grozą kolejek.

– Ja mimo wszystko nie rozumiem – powiedział kiedyś Rogow. – Może dla utrzymania strachu... albo dla zniszczenia opozycji... areszty rzeczywiście były potrzebne, ale przecież nie w takich ilościach? Nie na taką skalę?

– A kto to może osądzić? – zapytał Kretow, ze smakiem nadgryzając swoją niezmienną kanapkę. Siedział na pniu, z szeroko rozstawionymi mocnymi nogami w wysokich butach, postawiwszy obok czarodziejski kosz, który brał ze sobą, nawet kiedy wcale nie było grzybów. – Myślisz, że brali, żeby wzbudzić strach? Albo żeby było mniej ludzi? Przeczytałem

gdzieś, że Rosję można wykarmić tylko wtedy, kiedy połowa je, a druga połowa w łagrze haruje za frajer. No czyż to nie bzdura? Ależ Rosja mogłaby wykarmić cały świat, gdyby chciała... Potrzebne jej to jak dziura w moście.

– No to dlaczego? Jaki w tym sens? – Rogow z nieprzyzwyczajenia lekko się wstawił i zrobił się rozmowny. – No bo pomyśl, wujku Losza... Powiedzmy, że braliby tych najzdolniejszych, tak? Ale to kryterium też odpada. Zginęło tylu nieudaczników. Tylu drani, którzy sami donosili, a potem trafili w te same tryby. Dobrze, załóżmy, że ginie sama opozycja. No to popatrz tylko, ilu wzięli najwierniejszych! Dobra, wyobraźmy sobie, że biorą właśnie najwierniejszych, że on chce przywrócić Imperium. (Słowo „on” w ich rozmowach od dawna oznaczało tylko jednego człowieka, i wyjaśnienia nie były potrzebne). Ale wtedy jak wytłumaczyć wytępienie prawie całej inteligencji, która w skrytości była przeciw? Nie widzę reguły. Nie mogę zrozumieć, według jakich kryteriów odsiewał...

– Bo nie było żadnych kryteriów. – Kretow spokojnie otarł usta i swoim stałym zwyczajem przeciągnął kciukiem po wąsach. – Nie było, Sławuszka. Przecież niegłupi z ciebie chłopak, mógłbyś sam skumać. Myślisz, że on jednych brał, a innych nie tykał? Nic podobnego, mój drogi. Brał WSZYSTKICH.

– W jakim sensie?

– Właśnie w tym sensie. Wszystkich, bez wyjątku.

– Ale ty, wujku Losza, przecież ocalałeś? I w ogóle dwie trzecie ocalały...

– Po prostu nie zdążył. Gdyby żył jeszcze rok, przyjacielu, system zostałby zakończony. To była selekcja, zrozum. Jednych wypuszczali – czyli ci do niczego się nie nadawali. Innych zamykali w łagrach. A jeszcze innych... z tymi to szczególna sprawa, nawet ja nie wszystko rozumiem. Teraz nie czas o tym mówić.

Kretow był wspaniałym gawędziarzem i wiedział, na czym przerwać rozmowę. Straszne historie opowiadał zawsze w kilku podejściach i trzeba go było długo prosić, żeby wrócił do tematu – to jednak także było jednym z warunków gry. Teraz akurat niebo nad nimi pociemniało, powiał wietrzyk i zamiast zagłębiać się w ulubiony świerkowy las, mamrocząc o pełnym trzosie, Kretow ruszył z powrotem. Uskarżał się na bóle w nogach, chociaż szedł jak zawsze równym krokiem, bez utkania i zadyszki.

– Nie, ale powiedz, wujku Losza – prosił Rogow, depcząc mu po piętach. – Jaki w tym sens?

– A dlaczego teraz zaczęli brać do wojska wszystkich jak leci? Dawniej przecież studentów nie brali, a teraz ciebie szast-prast i w kamasze. No, dlaczego? – zapytał, nie odwracając się Kretow.

Rogow lubił go również za to, że mówił o tym „szast-prast i w kamasze” lekko i naturalnie, jak gdyby nie było w tym nic nadzwyczajnego, wielkie rzeczy – dwie zimy i dwie wiosny. W domu karmiono go ulubionymi daniami i rozmawiano ostrożnie, przytakując mu we wszystkim jak nieboszczykowi, a to go dodatkowo złościło i napawało lękiem.

– Bo nie ma kto służyć – odrzekł z uśmiechem.

– A po co teraz w ogóle służba wojskowa, komu jesteśmy potrzebni? Cóż to, objawił się jakiś nowy wróg? Nie rozśmieszaj mnie... A może myślisz, że przy pomocy armii będą wprowadzać dawne porządki? Jakież to porządki wprowadzi taka armia – komu tam na górze starczy jeszcze prochu na coś takiego? Nie, Sławuszką, to jest mniej więcej to samo, tylko w innych rozmiarach. Zrozumieli, dranie, że to, co on mówił, miało sens.

– Ale jaki, wujku Losza? – nie wytrzymał Rogow. – Co to za sens wszystkich powsadzać?

– Sprawdzić, Sława, sprawdzić – cierpliwie powtórzył starzec, jakby rozmawiał z drugorocznym tępakiem. – Nie wsadzać, ale przejrzeć wszystkich pod światło. Wiesz, jak się dzieli ropę na frakcje? Ona też pewnie się zastanawia, po co ją wydobywają i potem dręczą, tak dobrze jej było pod ziemią... – I zapuścił się w opowieść o wydobyciu ropy, na czym znał się jak nikt, jako że całe lata sześćdziesiąte spędził na zachodniej Syberii.

– I co, wujku Losza – nie dawał za wygraną Rogow. – Myślisz, że gdyby on nie umarł, to wszystkich przepuściliby przez tę maszynkę do mięsa?

– Przecież wagony już stały – odrzekł Kretow, niechętnie odrywając się od ropy naftowej.

– Gdzie?

– Nie wiedziałeś? Na wszystkich dworcach. Żeby rozwozić naród. Od pięćdziesiątego drugiego roku.

– Ale po co, w jakim celu?! – niemal krzyknął Rogow, po raz pierwszy tracąc nadzieję, że zrozumie. – Co, nie było już komu pracować? Potrzebny był uran do bomby? – Pośpiesznie przebiegał myślą najświeższe mity, ale nie znajdował wytłumaczenia.

– Ależ po to, żeby wybrać, kogo trzeba, głuptasie! No bo jak w zwyczajnym życiu wybierzesz kogo trzeba? Czy w takiej sytuacji człowiek jest widoczny jak na dłoni? Zaczekaj; wrócisz – to pogadamy. Specjalnie dożyję, zaczekam na ciebie. Teraz tego nie zrozumiesz, przykro mi, ale nie zrozumiesz.

– A wróć? – spytał Rogow z krzywym uśmiechem, w głębi duszy przekonany, że już na drugi dzień koledzy poborowi skopią go w kiblu na śmierć. Nasłuchiwał się o wojsku różnych rzeczy i chociaż był silny i wytrzymały, nie znosił kolektywu, regulaminu i nudy. Najbardziej się bał nieprzewidywalności zakazów, bezsensu tysięcy drobnych rytuałów, których celem było chyba tylko wymuszenie posłuszeństwa.

– Wrócisz – powiedział z przekonaniem Kretow. – Będę czekał z flaszczką, wypijemy w dzień powrotu. I wtedy porozmawiamy.

I Kretow nie skłamał. Zawsze skądś wszystko wiedział. Po roku ich zwolniono do cywila – wyszło zarządzenie o przeniesieniu studentów z powrotem do rezerwy. Rogowa trochę nawet rozczarowało tak szybkie wybawienie: czuł się nie jak rezerwista, ale jak wyreklamowany, ułaskawiony – jakby pocmokali go w ustach, nadgryźli i wypluli. Zdążył przeżyć wszystko, co najtrudniejsze, a owoce tych rocznych cierpień go ominęły.

Przez całe życie, od najwcześniejszego dzieciństwa, czuł się czymś w rodzaju pomostu między życiem rodzinnym a zewnętrznym. W domu, jako późne i jedyne dziecko, otoczony był despotyczną, a zarazem nieśmiałą miłością; w domu wszystko było słabe, kruche, łamało się, chwiało, trzymało na słowo honoru. Poza czterema ścianami domu toczyło się inne, znacznie surowsze życie, było jednak dla Rogowa mniej męczące niż domowe – tak jak zima była dlań lżejsza niż jesień, jesień bowiem wydawała się stanem przejściowym, bliżej nieokreślonym czasem wahań i dokuczliwego oczekiwania, a zima jest nieodwracalna: najgorsze na koniec nadeszło i można się go już nie bać. Pobyt w wojsku był lżejszy niż oczekiwanie na pobór, i życie było tam proste, bezwarunkowe, w odróżnieniu od subtelnego, zależącego od tysięcy niuansów życia domowego. Tam wszyscy bali się wzajemnie zranić, a tu nikt nikogo nie oszczędzał – wszystko było uczciwsze, bardziej nagie i bliższe rzeczywistości. Można było nie kłamać. Rogow starał się nie myśleć o domu – to by go rozzaliło i osłabiło; boleśnie tęsknił za ojcem, ale szczególnie za matką, a ten ból był tym ostrzejszy, im bardziej bezbronni wydawali mu się rodzice z tej perspektywy. Rogow był inny, potrafił wytrzymać.

Dom z perspektywy wojska wyglądał na królestwo słabości i na myśl o nim Rogowowi przypominał się z jakiegoś powodu słotny, szary, jesienny wieczór, okno zalane deszczem, matka wołająca na kolację... Wszyscy byli dobrzy, słabi, nieśmiali, a całe to życie było jedną męczącą umownością. Prawdą były ciemność i ziąb, i lepiej było nie odsuwać nieuniknionego momentu, kiedy staną się jedyną rzeczywistością. I stały się, chociaż do imperialnej ciemności i zimna temu wojsku było bardzo daleko.

W wojsku, o dziwo, Rogow miał wiele czasu na myślenie. Była to jedyna rzecz, jaką mógł się zająć, jako że masę nikomu niepotrzebnej roboty i bezsensownej musztry wykonywał nie on. On tylko próbował określić sobie jakoś reguły świata, w którym się znalazł. Dla niego, jako historyka, był to ciekawy, chociaż nieco przydługi eksperyment. Wszystko było bezsensowne, bezsens stanowił niepodlegającą dyskusji zasadę gry. Kary i zachęty też nie były niczym umotywowane, ponieważ „dziadki” nie zniżali się do motywacji. Ulubieńcem kompanii niekoniecznie stawał się dowcipniś i siłacz, ofermą bynajmniej nie zawsze zostawał

najsłabszy, i sam Rogow, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, nie tylko nie został zabity pierwszego dnia za niestosowne popadanie w zadumę, ale szczęśliwie odsłużył swój rok bez poważniejszych konfliktów. Był to z zasady irracjonalny świat, w którym nieszczęście nadlatywało znikąd. Tu nie miało sensu czynienie dobra, wyglądającego na oznakę słabości, zarówno jak nie miało sensu czynienie zła, które z tysiąca przypadkowych przyczyn nie zdążyło się zrealizować. Tutaj, tak jak w naturze, nie było dobra ani zła, możliwa była tylko konsekwencja, jako że wszystkie inne kryteria zostały utracone. Konsekwentnie niebiorący udziału w totalnie niekonsekwentnej grze Rogow ocalał. Jeśli chociaż raz otworzyłby usta, by się ująć za prześladowanym albo osadzić aroganta – jego linie obronne by runęły, ale on ani na sekundę nie przestał być obserwatorem i nikt go nawet dokładnie nie zapamiętał. Natomiast on zapamiętał wiele.

Uzupełniać kolekcji tajemniczych powrotów tutaj nie mógł, ale myśleć o mechanizmach selekcji podczas represji nie przestawał ani na chwilę i wypracował sobie całą teorię: przypadkowość i nieprzewidywalność powodów zaczęła mu się wydawać główną oznaką woli boskiej. Woli, kierowanej przez zwykłe ludzkie zasady, nie można było szanować. Sierżanta darzono respektem wyłącznie dopóty, dopóki mógł wymagać wszystkiego, nawet ponad regulamin, chociaż sam regulamin, jeśli wniknąć weń szczegółowo, też był uosobieniem absurdu. Na swoje szczęście Rogow nie musiał nikim komenderować. Trafił na szkolenie do oddziału łączności i ostatnie pięć miesięcy spędził szczęśliwie w węzle łączności. Nie zwalniało go to od regularnych zsyłek do kompanii, od przeglądu musztry i biegów, ale generalnie służba była dość lekka. Co trzy miesiące przyjeżdżała do niego matka i za każdym razem jej pytania o służbę rozdzierały mu serce. Nie mógł jej wytłumaczyć, że świat tej służby należy opisywać w innych kategoriach niż dobro, zło, litość i tym podobne. Jedyne, czym mógł matkę pocieszyć – to powiedzieć jej, prawie nie kłamiąc, że wyżywienie jest przyzwoite. I rzeczywiście, mogło być gorzej.

W wojsku nabrał zwyczaju popadania w długą zadumę, milczenia, niekiedy rozmawiania półgłosem z samym sobą; był to nawyk świadomy i niczym mu nie groził. Inny nawyk, nieświadomy, był bardziej niebezpieczny: ostatecznie przyzwyczał się odliczać od zera, przekonawszy się, że na nikogo nie należy liczyć, że istnieje tylko siła – i ta siła jest silna dopóty, dopóki jej motyw jest niejasny, a działanie nieprzewidywalne. Właśnie w wojsku zaczął się brzydzić słabością w jej wszystkich przejawach – i nie ujmował się za prześladowanymi nie tylko z tchórzostwa. Tchórzem właściwie nie był. Był tak samo świadomy bezsensowności wstawiennictwa, jak jego babka Marina. Ofiara mogła przeżyć tylko w jeden sposób – konsekwentnie pozostając ofiarą, zżywając się z tą rolą i znajdując

w niej przyjemność; takiej ofiary nigdy nie dobijano do końca, jako że była potrzebna znowu i znowu. Najbardziej wyrafinowana tortura, wpływająca bynajmniej nie z nudów, ale raczej z tego, że w zamkniętej przestrzeni koszar człowieka nic nie odrywało od jego prawdziwej natury, polegała na tym, by nigdy nie torturować do owej granicy, którą wyczuwali oboje – oprawca i ofiara. Wtrącić się w ten układ znaczyło naruszyć czystość gatunku. Jeśli ofiara zaczynała się buntować – żałośnie, jak wszystko, co czyniła – nie budziło to szacunku, jedynie pogłębiało pogardę, jak każda zdrada. Tutaj też, w wojsku, Rogow zrozumiał, że sprzeniewierzenie się umownemu złu na rzecz umownego dobra – to taka sama zdrada jak wszystkie inne. Imperium właśnie dlatego było imperium, z całą swoją wielkością, ze zwycięstwem nad przyrodą, z produkcją wspaniałych, masywnych i solidnych rzeczy o wielorakim przeznaczeniu, że kasowało dobro i zło, dzieląc wszystkich na konsekwentnych oprawców i równie konsekwentne ofiary, i na tym polegała jego niezrównana, budząca miłą nostalgię jednolitość.

O ostatniej rozmowie z Kretowem Rogow nie myślał i pierwszego lata po odsłużeniu wojska nawet nie pojechał na daczę – chociaż perspektywa wypicia ze staruszką jego flaszki była bardzo kusząca, wolał się zrelaksować na południu. Zresztą, żadnej flaszki pewnie nie było.

Ale flaszka była, i wypili ją z Kretowem wcale nie tak, jak sobie to obaj wyobrażali latem osiemdziesiątego dziewiątego. W dziewięćdziesiątym pierwszym zmarł ojciec Rogowa i nikt z rodziny nie przyjeżdżał na daczę. Wszystko tam przypominało o ojcu, wszystko było zrobione jego niezręcznymi, chudymi rękami, wbrew losowi, chęci i zdrowemu rozsądkowi. Stara wołga, wciąż jeszcze na chodzie, też należała do ojca i Rogow wsiadł do niej dopiero w październiku – trzeba było pojechać na daczę, jak zawsze przed zimą, i odłączyć pompę, żeby po nadejściu mrozów zamarznęta woda nie rozsadziła rur.

Dacza, zapuszczona, wyglądała żałośnie i zabezpieczanie jej przed siłami natury było równie bezsensowne, jak zabieganie o Skaldina czy ujmowanie się za szeregowego Massalitinowa z jego olbrzymim nosem i bolesnym spojrzeniem. Działkę zarosła trawa, ale ona z kolei poddała się przymrozkom i pożółkła. Rogow nie miał serca wejść do domu: wszystkie sprzęty w nim były słabe i błagały o pomoc – ale nic nie można było dla nich zrobić. Rozkręcił rurę, zamknął wodę, sprawdził zamek. Wszystko wyło, wszystko prosiło, by wejść i choćby pogłodzić sprzęty, dotknąć, choćby w ten sposób przypomnieć im, że nie zostały zapomniane i ostatecznie porzucone – ale siebie było mu bardziej żal. Przypomniał sobie ulubione powiedzonko swojej niegdysiejszej miłości, dziewczyny z wydziału biologii: „Wyższe formy życia mają pierwszeństwo”. Ona sama uważała się za wyższą formę życia,

w związku z czym bardzo szybko rzuciła Rogowa, oddając pierwszeństwo studentowi trzeciego roku Moskiewskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, który zdeptał ją tak, że się nie pozbierała do końca życia. Rogow pamiętał o tym i nie lubił rozmów o wyższych formach życia, ale teraz tą wyższą formą był on i nie miał sił rozdzierać sobie serca widokiem nieszczęsnych sprzętów i zakurzonych powierzchni.

Cały dobytek nie umywał się do rzeczy Kretowa – zniszczone, zesłane na dożywocie meble z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wszystkie dziwnie marne, choć z pretensjami do elegancji – jak zresztą także ludzie z tych czasów. Rogowowi żal było tych rzeczy już wtedy, kiedy je tu zwożono, i jakby widział ich błagalne uśmiechy – przydamy się jeszcze, jeszcze posłużymy... Teraz, kiedy do domu przez całe lato nikt nie przyjeżdżał, w ogóle nie było z nich pożytku i powinny były popaść w ostateczną rozpacz. Rogow nie miał sił pocieszać domu dotknięciami i wypełniać go własnym wątlwym ciepłem. Dom czekała teraz zima, ale własność jest własnością, i gospodarze latem przyjadą znowu. Tak przekonywał siebie i swój dobytek. Zjadł garść jarzębin, już słodkich po pierwszych przymrozkach, i pomyślał, że naprawdę dobrze by się było teraz napić, właśnie porządnie napić.

Nagle zobaczył dym unoszący się z komina sąsiedniego domu. Kretow jeszcze nie wyjechał. Został sam w pustej osadzie, palił w piecu, chodził do lasu, pewnie sobie popijał. Rogow zapukał, a starzec wcale się nie zdziwił.

– Dlaczego nie przyjechałeś tego lata?

Rogow opowiedział o ojcu.

– Wielka szkoda, porządny był z niego chłop – z prostotą, jak zawsze, powiedział Kretow.

– Cóż, teraz ty tu jesteś gospodarzem. Nie ożeniłeś się?

– Mam zamiar – przyznał się Rogow.

– Czemu jej nie przywiozłeś?

– A co ona by tu teraz robiła?

– To prawda, to prawda... No to co, po maluchu?

Kretow kupował wódkę w pobliskim miasteczku, do którego jeździł raz na miesiąc kolejką elektryczną, kupował od razu więcej i nastawiał – na czosnku, selerze, papryce. Taka nalewka stanowiła jednocześnie i trunek, i zakąskę. Rogow z rozkoszą opróżnił szklaneczkę i zakąsił węgierską słoniną.

– Jak było w wojsku? Z tego, co mówiła twoja matka – nie narzekałeś?

– Nie narzekałem, znośnie. Myślałem, że będzie gorzej...

– Ano właśnie. Oczy się boją, a ręce robią. Nie krępuj się, pij, mam zapas.

Kretow dorzucał dREW do pieca, opowiadał, jak jeden wariat zaczął hodować na działce



dwanaście kóz, a Rogow pił, nie zastanawiając się zbytnio, jak będzie wracał. Był dobrym kierowcą, droga była pusta, a bardzo potrzebował się napić, zwłaszcza że pogoda była wyjątkowo nieprzyjemna. Gdyby to był prawdziwy mróz, to jeszcze – ale mrozy ciągle nie nadchodziły i zamiast nich było szare, wilgotne nie wiadomo co.

Porozmawiali krótko o puczu, Kretow przesiedział ten okres na daczce, słuchając radia, i teraz wypytywał o szczegóły, ale Rogow specjalnie się puczem nie przejął. Po pierwsze, nie wychodził z domu, żeby nie denerwować matki, a poza tym był bądź co bądź historykiem, studentem czwartego roku, i wiedział, że z takiego przedsięwzięcia nic nie może wyjść. Wrzawa wokół sierpniowego zwycięstwa tylko go irytowała, a skutki mogły się okazać gorsze od każdego puczu – zwycięzcy dostali *carte blanche*, o czym nie śnili w najśmielszych marzeniach.

– Ja też twierdzę to samo – przytaknął z zadowoleniem Kretow. – Gdyby ktoś teraz naprawdę mógł przejąć władzę... ale spośród nich pewnie już nikt nie pozostał.

– Podziemny komitet obwodowy? – zapytał Rogow. – Stalowa Kohorta?<sup>14</sup> Złota Rota?<sup>15</sup>

– Nie śmiej się. – Starzec, stękając, nalał sobie i jemu. – Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś o tym, jak się dzieli ropę na frakcje?

– Pamiętam. Zaraz potem poszedłem do woja.

– Tak. Tłumaczyłem ci wtedy, ale nie skapowałeś. Czemu miały służyć tamte areszty? Pewnie się nasłuchałeś, że miała to być armia bezpłatnych niewolników... Nie, kochany, oni nawet na swoich zwykłych posiadach orali by jak niewolnicy. Wszystko to, Sława, było jednym wielkim filtrem, tak to rozumiem. I zadanie było jedno – odfiltrowywać tych, którzy w razie czego i odparliby najazd, i odbudowali kraj, i podbili świat. Chwytasz?

– W jaki sposób odfiltrowywać?

– Bardzo prosty, przyjacielu. Najprostszy z możliwych.

– Tych, którzy przeżyją, tak?

– Nie, ci, którzy przeżyli, to drugi gatunek... – Kretow przyglądał kciukiem wąsy. – Oczywiście, to mocne chłopcy, ale dali plamę – oskarżyli samych siebie. Nie można im ufać. Podpisał taki przyznanie się, wydał jeszcze paru innych – i cześć, pojechał na białe niedźwiedzie. Tacy nadają się co najwyżej na wykonawców. A pierwszy gatunek, elita – to ci, którzy niczego na siebie nie podpisali. Ani słówka. Nie oskarżyli nikogo na torturach. Jak inaczej mógł sprawdzić naród? Hitler w Niemczech na całego torturuje swoich, najtwardsi komuniści się łamią, wojna za pasem – jak sprawdzić, kto będzie w stanie przeciwstawić się takiej maszynie? No i odsiewał – tak, w okrutny sposób, ale jeśli się zastanowić, nie był to sposób najgorszy. Nie, nie najgorszy.

– To niemożliwe – powiedział niepewnie Rogow. – Przecież wytrzymywały tylko jednostki, inni się złamali...

– Właśnie o to chodzi, że jednostki. – Starzec wstał i poprawił drwa w piecu. – Jednostki, a po cóż mu była cała reszta? Właśnie tak uważał: reszta – na straty. Skoro to takie zgniłki, to nie zbuduje się z nimi nie tylko świetlanej przyszłości, ale nawet trwałej teraźniejszości. No i zaczął dzielić naród na stal i szlakę. Większość – do łagrów: na nic lepszego nie zasługują. Pomalutku przeniósłby tam wszystkich. Żyliby jak w Kambodży za Pol Pota. Zauważ, że zaczął filtrować nawet swoje otoczenie: w ostatnich latach dobierał się do Berii, wrzeszczał na Mołotowa... Wiadomo przecież, jak się wściekał na Dziewiętnastym Zjeździe. Opublikowano tylko jego oficjalne przemówienie, króciutkie – referował Malenkow, a on potem na zamkniętym posiedzeniu mówił jeszcze trzy godziny! I pomyśl, miał siedemdziesiąt lat... Toteż tasował ich, jak chciał. Zdjął Jagodę, rozstrzelał. Zdjął Jeżowa, rozstrzelał. Berii nie zdążył.

Żeby się opamiętać, Rogow musiał potrząsnąć głową i na nowo rozejrzeć się po wnętrzu sadyby Kretowa – stół, piec, tapczan. Wszystko było jak dawniej, żadnej mistyki. Ale to, co mówił Kretow, brzmiało nie tylko przekonująco – doskonale pasowało do domysłów Rogowa, poczynionych w wojsku, które próbował ukrywać nawet przed sobą samym.

– Daj spokój, wujku Losza – powiedział raczej bez przekonania. – Cała ta jatka zaczęła się nie za jego rządów i nie za jego rządów się skończyła. Co, Breżniew też filtrował dysydentów?

– Ale czy Breżniew filtrował w ten sposób? – Kretow machnął ręką i dorzucił więcej drewna do pieca.

– No i czort z Breżniewem. Ale przecież to wszystko zaczęło się za Lenina!

– Właśnie! – Kretow podniósł palec. – Ale zauważ: za Lenina zasada była przejrzysta, prawda? Biorą szlachtę, tak? Biorą wykształciuchów. Może i bez powodu, może na zakładników – ale przecież nie biorą na zakładnika jakiegoś Żydka ze strefy osiedlenia czy pijaczka z osiedla robotniczego? Łapią bardzo konkretnych ludzi. I Stalin widzi, jak wszyscy ci ludzie, którzy jeszcze wczoraj trzymali kraj w garści, uczyli, jak żyć, pisali do różnych gazet, robią w gacie! Do czego to podobne? Żeby chociaż dla pozorów stawiali opór! Nie – idą pod nóż i jeszcze mają poczucie winy. I tu go olśniło: z normalnym narodem, z dawnymi specjalistami żadnego supermocarstwa się nie zbuduje. Supermocarstwo powinni budować superludzie. Bo inaczej – sam powiedz, po co w dwadzieścia lat po rewolucji rozwalać całą Rosję? No i zrozumiał: etap przygotowawczy został zakończony, zaczęto wznosić wieżę... Odcedzać speckontyngent.

Rogow wciąż jeszcze nie brał tej hipotezy na serio, ale było w niej jakieś ziarno prawdy –

wykonawcy może sami do końca nie rozumieli, co czynią, ale utajony impuls mógł być właśnie taki. Kiedy na ich oczach zaczynał sypać marszałek, czołgał się po cementowej podłodze niedawny władca losów, denuncjował żonę i dzieci ulubiony partyjny felietonista, nawet najbardziej tępy śledczy prócz zwykłej plebejskiej mściwości nie mógł nie odczuwać także satysfakcji wyższego rzędu – że wymierza jakąś wyższą sprawiedliwość. Skoro takie ścierwo uczyło ich wszystkich, jak żyć albo stało na czele armii – dobrze mu tak! Tylko hipoteza Kretowa wyjaśniała masowe aresztowania i egzekucje, rozmiary i nieprzewidywalność kolejnych kampanii, które – jak Rogow wiedział teraz z dokumentów – do pięćdziesiątego czwartego roku dotknęłyby wszystkich ocalałych.

– I gdzie się oni podziewali? Ci, którzy nie podpisali?

– I to jest właściwe pytanie! – Starzec pouczająco podniósł palec. – Podstawowe pytanie! I tak się składa, że znam odpowiedź. Widzisz, w czterdziestym siódmym prowadziłem wierceń pod Omskiem. Oczywiście okazało się, że nie ma tam żadnej ropy, więc szykowałem się już na naganę albo coś jeszcze gorszego. Wtedy przecież wszystkim przyklejali szkodnictwo – nie wiedziałem jeszcze, że to etykieta tylko dla pozorów. I jeden miejscowy, u którego wynajmowałem kwaterę, opowiedział mi, że gdzieś pod Omskiem jest osiedle tych niby rozstrzelanych, a tak naprawdę przywiezionych tam w tajemnicy. Jego kum pracował tam na budowie. Zbudowali osiedle, nawet spore, i porządną jednostkę wojskową – o jakieś dziesięć wiorst na północ od wsi. W prawie nieprzebytej tajdze. I od trzydziestego siódmego roku zaczęto tam zwozić odfiltrowanych, z wyrokami śmierci. Dla wszystkich przestali istnieć, a tu miano ich przygotowywać, jak się patrzy.

– Do czego?

– Do różnych rzeczy. W zależności od predyspozycji. Jednych – do jakiegoś oddziału straceńców, jak sądzę. Innych – do sztabów, do wojskowej elity. Jeszcze innych – do kierowania produkcją na tyłach; mieli sobie flaki wypruwać, ale dawać amunicję... I wiesz co – przecież to właśnie oni wygrali wojnę! To są właśnie nieznanymi żołnierze. Myślisz, że masy ludności potrafiłyby tak walczyć na wojnie? Ludność mi opowiadała, kiedy byłem pod Pitrem, że za Niemców było całkiem fajnie. Porządek i mniej Żydów. A jak nasi uciekali do Niemców? Rację mieli emigranci: w żadnej armii świata nie było tylu dezertersów. Poddawali się do niewoli całymi dywizjami. A tych Stalin strzegł jako głównej rezerwy, to oni w grudniu zmienili bieg wojny. Pamiętasz dywizję syberyjską?

– Pamiętam – odrzekł odruchowo Rogow.

– To ci sybiryści uratowali sytuację. Jak tylko rzucono ich do boju – wszystko od razu się zmieniło. Myślę, że to omskie osiedle nie było jedyne.

Rogow chciał zapytać, skąd Kretow wie o sybirakach i co właściwie sam robił podczas wojny, ale czuł, że tego tematu poruszać nie należy. Była to jedyna rzecz, o której starzec nigdy nie mówił. Kiedy przyjdzie czas – sam opowie.

– A pomnik w Parku Aleksandrowskim – myślisz, że to na cześć nieznanego żołnierza? Bzdura: to oni byli nieznanymi żołnierzami. Tajna rezerwa skazańców, którzy nie mieli dokąd wracać. No, a kto przeżyje – do domu. Rozumiesz, czemu służyła ta formułka – „dziesięć lat bez prawa korespondencji”? Ktoś przecież, tak czy owak, powinien był wrócić. Niemożliwe, żeby zginęli wszyscy. Stalin zakładał, że w ciągu dziesięciu lat – od trzydziestego siódmego – uporają się i z wojną, i z odbudową. Wywiad, jak wiadomo, meldował mu bezbłędnie – wiedział, kiedy się zacznie. Dlatego przetrzepał całą armię – pamiętasz, jak zaczęli likwidować marszałków? Budionnego i Woroszyłowa zostawił jako symbole, a resztę – na przemiał. Tych, co wytrwali – pod Omsk, tych, co się złamali i oskarżyli samych siebie – wiadomo, na rozstrzelanie. Na jakiego grzyba mu taka armia. Tuchaczewski do wszystkiego się przyznał, a uważano go za główną nadzieję, Blücher<sup>16</sup>, inni... Gamarnik<sup>17</sup> sam się zastrzelił.

– Ale za co brali ich rodziny? – nie wytrzymał Rogow. – Na jego oczach ludożerstwo nabierało sensu i celu.

– Rodziny dużo wiedziały – uśmiechnął się Kretow. – Albo się domyślały. A może myślał, że skoro oni sami są takimi zgniłkami, to i rodziny też... Zresztą, zachował je przy życiu, tylko powsadzał do łagrów albo na zesłanie... A tam i tak wszyscy by się znaleźli. Oprócz tych, którzy wytrwali. Wypuszczał tylko takie odpadki, które już zupełnie do niczego się nie nadawały: ci i tak sami by pomarli.

– To wszystko opowiedzieli ci w Omsku? – zapytał Rogow.

– To i owo w Omsku... Reszty sam się z czasem domyśliłem. A upewniłem się ostatecznie, kiedy odsłonięto Grób Nieznanego Żołnierza. Z wiecznym ogniem. Szczątki brali przecież pod Moskwą, akurat tam, gdzie walczyli sybiracy. Nawiasem mówiąc, dwudziestu ośmiu panfilowców to też byli skazańcy. Dlatego tak długo ukrywano, że trzech przeżyli. Pamiętam, że dopiero chyba w sześćdziesiątym piątym zadano sobie pytanie: skoro wszyscy polegli, to kto opowiedział o tym wyczynie? Zresztą może pytanie padało już wcześniej, ale odtajnili to dopiero wtedy. I udzielili głosu tym trzem. No, może nie wszyscy byli stamtąd, z tych odfiltrowanych, ale Kłoczkw na pewno tak. Nie wiedziałeś, że wzięli go w trzydziestym dziewiątym?

– Pierwszy raz słyszę – zdziwił się Rogow.

– No to sprawdź, sprawdź. Nawet niedawno gdzieś o tym czytałem... Ale rzecz jasna ci

pod Omskiem nic o tym nie wiedzieli. Kiedy ich wieziono na front, to naturalnie nie wszystkich, a poza tym tajnie. Tak że mój gospodarz nic nie słyszał o ich udziale w wojnie. Chłopi najpierw myśleli, że przysłano ich tu do jakiejś szkodliwej produkcji albo dla przeprowadzania eksperymentów, ale okazało się, że zaczęli tam sobie żyć jakby w kołchozie. Oczywiście nie wolno im było z nikim korespondować. Dostępu – żadnego, ochrona nie dopuszcza na wiorstę, teren ściśle utajniony. Sam nawet wtedy pomyślałem, że nic, tylko przeprowadzają na nich jakieś eksperymenty. Bogu dzięki bura w Moskwie mnie ominęła, ale zapamiętałem tę historię i w następnym roku znów tam pojechałem. Z własnej inicjatywy. Spóźniłeś się, Aleksieju Stiepanyczu, mówi chłop, u którego kwaterowałem. Rozpuścili ich. Pewnie wysłużyli sobie wolność albo nie są już potrzebni. Jeden, powiada, do mnie zaszedł, zanocował, zapytał, co się dzieje na świecie. Informacji, rzecz jasna, tam żadnej nie mieli. Sam go furmanką odwiozłem na stację, wsadziłem do pociągu... I ochronę zdjęli. Nie wierzysz – mówi – to sam idź i zobacz. I powiedział mi mniej więcej, jak tam trafić.

Jak zwykle, w najciekawszym miejscu Kretow zrobił pauzę, długo nabijał fajeczkę, sapał, pykał... Za oknem zaczynało się zmierzchać, był najwyższy czas wsiadać do samochodu i wracać do Moskwy, ale Rogow zawsze dosłuchiwał opowieści Kretowa do końca. Fascynowały go. A w dodatku rozmowa dotyczyła interesującego go tematu.

– I poszedłeś, wujku Losza? – zapytał, odczekawszy odpowiednią pauzę.

– Poszedłem – przytaknął Kretow. – Zabłądziłem, długo chodziłem, ale dobrze się orientowałem w tajdze i wreszcie znalazłem. Zbudowane było bardzo solidnie. Ale puste.

– Co, żadnych śladów?

– Żadnych. Wszystkie domy puste. Typu baraków, długie, z maleńkimi okienkami. W środku zardzewiałe żeliwne piecyki. Prądu nie ma – nie doprowadzili przewodów, nie wyobrażam sobie, jak mogli tak żyć. Widziałem tam różne dziwne rzeczy, Sława. Placyk, a raczej plac – do ćwiczeń, a może na zebrania. Ręcznie wykopana sadzawka, pojęcia nie mam, jak ją napełniali – pewnie deszczówką... Stojaki z obrazkami, takimi, że mogą się przyśnić.

– Dlaczego?

– Nawet nie pytaj. Rysunki przedstawiające tortury, potwory... Żadnych haseł. Nigdzie w pobliżu nie było tych bzdetów, jakich pełno w miastach, typu „Cześć pracy”. Tylko jedno hasło na ścianie baraku, ale takie, że lepiej, żeby go nie było.

Rogow wstrzymał oddech. Kretow umiał opowiadać.

– Napis czerwoną farbą, równymi literami, wyraźnie, tak, żeby było widać z daleka: „W domu nikogo nie ma”.

Rogow się roześmiał:

– Wszyscy poszli na front.

– Nic podobnego. – Kretow pogroził mu palcem. – Myślisz, że napisali to przed odejściem? Nie, bracie, to nie takie proste. Napis był stary, farba miała z dziesięć lat. Oni po prostu przypominali sobie, że nikt na nich nie czeka. Że całe to życie się skończyło, całe jest za burtą. Że zostali odcięci, od dawna martwi dla całego świata, i narodzili się na nowo. Wszystko – od zera. Pytanie zresztą, jakie wydałoby się im poprzednie życie po tym, co z nimi robiono? Teraz już tylko – nagi człowiek na nagiej ziemi... Czołowy oddział budowniczych komunizmu...

– Dlaczego ich wypuścili?

– Tego nie wiem. Za dużo chciałbyś wiedzieć, Kochany. Myślę, że rzeczywiście czymś zapracowali sobie na wolność. A może on się po prostu zniechęcił do tego zamysłu – było ich bardzo mało... Ale wtedy, jak sądzę, przestaliby aresztować. Chyba raczej ci tam zrobili swoje, no i ułaskawiono ich. A wzięto nowych. Tylko że to miejsce się nie zwolniło. Oni wszyscy wrócili.

– Kiedy?

– Różnie. Napisał mi o tym ten chłop, u którego gościłem. Specjalnie zostawiłem mu adres, żeby napisał, jak się dowie czegoś nowego. Ludzie na Syberii nie byli tak zastraszeni jak w Rosji. No bo dokąd mieliby ich zesłać? Tam i tak tajga na tysiące wiorst... Więc ten chłop niczego nie ukrywał, napisał do mnie.

– I co napisał?

– W pięćdziesiątym pierwszym dostałem od niego list, może jeszcze gdzieś się zachował. Pisał, że pierwsi zaczęli wracać już w czterdziestym ósmym, też przechodzili przez wieś. Wszyscy siwi, szarzy, gęby – że można się przestraszyć. Prawie się nie odzywają, a ze sobą porozumiewają się jakimś niemal niezrozumiałym językiem, jakby szczekaniem. Może naprawdę przeprowadzano tam na nich jakieś eksperymenty?

– Możliwe – powiedział w zadumie Rogow.

– Więcej tam nie pojechałem. To długa podróż, a poza tym jakoś się bałem. Ale tę pustą osadę do dziś mam w oczach, jakbym ją widział wczoraj. I wiesz, co jest najstraszniejsze?

– Co może być straszniejszego...

– Tam, na tym placu, stało kilka ławek, jakby dla widzów. Nie wiem, czemu bałem się na nich usiąść, ale na jednej widziałem napis. I zapamiętałem go. Zresztą jak tu nie zapamiętać – to był wiersz...

– No! – prawie krzyknął Rogow.

– Cztery wiatry dmą co siły, siedem mórz się burzy...

– ...wszystko w świecie jest niezmiennie oprócz mojej duszy – dokończył Rogow; natychmiast wszystko zrozumiał.

– Skąd to znasz? – Kretow popatrzył nań niemal ze strachem.

Wspominając potem ten wieczór, Rogow myślał, że stary miał się czego przestraszyć: w pustej osadzie, bez światła, którego nie zapalali, w odblaskach dopalającego się w piecu ognia usłyszeć od młodego chłopaka wiersz z własnego dawnego koszmaru! On sam chyba by zwariował, ale Kretow był silnym starcem. Rogow opowiedział mu historię o Sutorminie.

– Możliwe, możliwe... – Kretow pokręcił głową. – Na to wygląda... Ale weź pod uwagę, że ten wiersz niekoniecznie napisał tamten oficer. Po prostu mogli go znać dwaj ludzie...

– Mogli – zgodził się Rogow. – Ale ja nie wierzę w takie zbiegi okoliczności, wujku Losza.

– A co, wierzysz w inne zbiegi okoliczności?

– Tak. Widzisz, kilka razy słyszałem historie o tym, jak rozstrzelani wracali. Zresztą sam mi mówiłeś, wujku, że formułka „dziesięć lat bez prawa korespondencji” w wypadku cenionego specjalisty mogła oznaczać całkiem realne dziesięć lat w jakiejś tajnej fabryce. Możliwe więc, że naprawdę się natknąłeś na jakiś tajny oddział...

– Wcale się nie natknąłem – westchnął Kretow. – Widziałem przecież tylko puste miejsce...

– Ale powiedz, wujku Losza.

– Co mam powiedzieć?

– Podaj nazwę osady.

– Daj spokój, Sława, jakiej osady... Tamtej wsi już dawno nie ma. Teraz jest tam miasto, Omsk się rozrósł... I tajgi też już dawno tam nie ma. Więc jeśli nawet gdzieś zostali ci, co przeżyli albo ich potomkowie – to na pewno ukryli się przed ludźmi znacznie dalej. I nie tam teraz należy ich szukać...

– Ściemniasz, wujku Losza – powiedział Rogow z przekonaniem. – Słyszę po głosie.

– A po co miałbym cię okłamywać? Gdybym był młody, sam bym tam pojechał. Zresztą i ty powinienesz – jesteś historykiem, od razu napisałbyś książkę...

– No to powiedz!

– Ale co ja ci mam powiedzieć, skoro tej osady dawno nie ma? Miasto tam jest, mówię ci, miasto!

Rogow popatrzył na zegarek. Matka w domu już się pewnie zamartwia – obiecał wrócić przed szóstą, zasiedział się u Kretowa do wpół do siódmej, a musi jechać co najmniej dwie godziny ciemną drogą. Nie mógł sobie pozwolić na szybką jazdę po dwóch setkach wódki,

nawet czosnkowej nalewki.

- Przyjedziesz jeszcze? – zapytał Kretow, jak się wydało Rogowowi, z nadzieją.
- W tym roku już chyba nie, wujku Losza. Może zabrać cię do Moskwy?
- Nie, pobędę tu do listopada. Co mam robić w Moskwie? Nudy na pudy. Tutaj jestem sam – i nikogo dokoła, a tam jestem sam – i dokoła ludzie. O wszystkim przypominają. Nie, posiedzę tutaj... Przyjedź latem!

Dopiero w samochodzie Rogow wytrzeźwiał i zrozumiał, że staruszek chyba raczej nie kłamał. Kiedy usłyszał wiersz, rzeczywiście przytrzymał się ściany, jakby się bał, że upadnie. Chyba naprawdę natknął się na osiedle, w którym trzymano represjonowanych. Chociaż to jeszcze nie było ostatecznym dowodem hipotezy Kretowa, że pod Omsk zwożono odfiltrowanych i tych, którzy do niczego się nie przyznali. Rogow prawie w to uwierzył, ale brakowało mu ostatniego argumentu – i ten argument otrzymał. Dobra hipoteza zawsze przyciąga potwierdzenia.

W kolejnym almanachu „Minione” pracownik Omskiego Muzeum Krajoznawczego opublikował esej o miejscowym wariacie, którego obłęd od dawna nie budził wątpliwości, ale który przy ogólnej degradacji osobowości odznaczał się niezwykłą pamięcią w kwestii epizodów srebrnego wieku i wierszy ówczesnych poetów. Zmarł w roku sześćdziesiątym w miejskim szpitalu psychiatrycznym, a przedtem dziesięć lat włóczył się po Omsku jako jurodiwyj<sup>18</sup>. Staruszki-dewotki dokarmiały go i uważały za proroka. Nie podawał swojego imienia, ale twierdził, że znał Błoka, widział Jesienina, słuchał Majakowskiego. Potem, mówił, został zesłany. Ale miejscem zesłania nie był Omsk i do roku pięćdziesiątego jurodiwego nikt tu nie widział. Ze szczególnym uporem powtarzał, że umarł i teraz przeżywa drugie życie, po śmierci, ale o tym nie wolno mu mówić. Kilka przytoczonych w eseju opowieści jurodiwego o Błoku, z dokładnymi cytatami z jego wypowiedzi i wierszy, wyglądało szokująco wiarygodnie – Rogow, dobrze znając srebrny wiek, nie miał wątpliwości, że oto ma przed sobą jednego z mieszkańców dziwnej osady.

- Chcieli, żebym ich oskarżył. Wszystkich – i żywych, i martwych. I Aleksandra Aleksandrowicza<sup>19</sup> – mówił jurodiwyj. – Ale niczego im nie powiedziałem. Niczego im nie powiedziałem. A guzik!

Wyraźnie był to jeden z tych, którzy niczego nie podpisali i nikogo nie oskarżyli. Uciekać nie miał dokąd – stracił pamięć i rozum, żył w Omsku z żebraniny. Co do tego jednak, że obłąkany widział i słyszał żywego Błoka, nie było wątpliwości. Właśnie Błok mógł powiedzieć w tysiąc dziewięćset dziesiątym: „Nikt z nas nie jest tym, za kogo się podaje, i ci, którzy to rozumieją, łąą dziesięć razy bardziej. A tych, którzy nie łąą, w ogóle należałoby



uśmiercić zaraz po urodzeniu”.

Rogow miałyby pewnie wątpliwości również teraz, ale otwarto archiwa KGB, i jako wnuk represjonowanego, a w dodatku młody historyk, szybko uzyskał do nich dostęp. Wszystkie akta Kłoczkowa były zamknięte, Rogowowi nie udało się otrzymać jego dokumentów wojskowych. Nie potwierdzało to, ale i nie obalało tezy Kretowa. Kłoczkow był w tym wieku, że spokojnie mogli go zdążyć zamknąć w trzydziestym dziewiątym.

Rogow otrzymał jednak akta sprawy dziadka, które wydano mu po słynnym rozkazie Bakatina<sup>20</sup>. Dziwne było, że o jego dziadka, który pod koniec lat trzydziestych pracował nad beznadziejnym eksperymentem, tak się troszczą – na przykład przechowują akta... Teraz, kiedy już nie żył, to jest złożył największą ofiarę – można się już było nie troszczyć. Rogow przypomniał sobie, że i pierwszego dnia w wojsku, kiedy major w komendzie uzupełnień ostatni raz przeglądał ich rzeczy przed wysłaniem na punkt zborny, w jego głosie pobrzmiwała niemal ojcowska czułość. Byli tu, nigdzie się nie podziali, przywieźli i przynieśli siebie – karma była dostępna i budziła teraz życzliwe uczucia. Troska o akta Skałdina była jak wymiana nagrobka, który mu się nie należał, jak pielęgnowanie grobu, chociaż teraz Rogow bynajmniej nie był przekonany, że prochy docenta wsypano do wspólnego dołu w Dońskim Krematorium. Podejrzenia te wzmógł fakt, że świadectwo o rozstrzelaniu (zgodnie z tym aktem Skałdin zginął na cztery lata przed datą podaną w zaświadczeniu o rehabilitacji) napisano ręcznie, nie na maszynie, a samo sformułowanie było dziwne: zamiast „wyrok wykonano”, zaznaczono po prostu „wykonano”. Ale dziadek trzymał się fantastycznie, Rogow poczuł nagle przypływ wielkiej dumy – rozczuliło go szczególnie, że na fotografii w aktach śledztwa Skałdin się uśmiechał. A ich podobieństwo było wyraźnie widać. Ta fotografia zachowała się znacznie lepiej niż wszystkie, które były w domu. Wyglądała jak zrobiona wczoraj. Rogow nie dopatrył się na twarzy dziadka żadnych znamion załamania. Sfotografowano Skałdina przed wszystkimi przesłuchaniami, był jeszcze pełen życia, i Rogow po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że nie tylko jego babka była niespełna rozumu – dziadek też cierpiał na dziwną formę choroby umysłowej, co wyjaśniało jego patologiczną nieugiętość. Był człowiekiem niewiarygodnie, wręcz patologicznie naiwnym, czego niezbitym dowodem były jego sążniste listy, starannie dopięte do akt. Skałdin rzeczywiście niczego nie rozumiał. W kółko spisywał cały swój życiorys, ze szczegółami, jak dla „Pionierskiej Prawdy”, przedstawiał teorię Michajłowa (według której, nawiasem mówiąc, rośliny reagowały na tembr głosu sadownika i agronoma, a więc należało je traktować z czułością – pogląd antropologiczny, Rogow odnotował w duchu: doktor Steiner też zajmował się metafizyką nawozu...). Ta nieugiętość, która początkowo napawała Rogowa

dumą z przodka, teraz zaczynała go przerażać. Tak się trzymać mógł naprawdę tylko człowiek o bezgranicznej ufności, graniczącej z idiotyzmem. Co prawda, protokoły ostatnich przesłuchań były straszne. Tam dziadek już nic nie mówił – straszne były te jednakowe arkusze bez odpowiedzi i podpisu. Podpięto także (śledczy pracowali rzetelnie) zaświadczenie ze szpitala więziennego o psychozie reaktywnej, jak się okazało, niepoddającej się leczeniu. W czerwcu trzydziestego dziewiątego roku Skałdina rozstrzelano, chociaż w to Rogow wątpił teraz jeszcze bardziej. Na teczce widniał gruby czerwony krzyż i żaden archiwista nie potrafił wyjaśnić, co oznacza.

Co prawda, na aktach sprawy Babla żadnego krzyża nie było, ale Babel na początku sam się oskarżył i dopiero w trzydziestym dziewiątym wycofał swoje zeznania. Protokół o jego rozstrzelaniu napisano na maszynie, żadnych wskazówek co do losu rękopisów Rogow w nim nie znalazł. Ale na końcu akt, już po protokole z wykonania wyroku, podpięto dziwny arkusz papieru, na którym na ukos, od brzegu do brzegu, ostrym charakterem pisma grubo nakreślono: „Rozpatrzyć”. Co tu można było rozpatrywać po tym, jak w lutym czterdziestego roku Babel, który w młodości tyle razy uniknął rozstrzelania, został jednak zabity – Rogow nie miał pojęcia. Może chodziło właśnie o los rękopisów. Jeśli tak, nie było na co liczyć: takie rozpatrzenie raczej nie pozostawiło im szans.

Do żadnych dokumentów starszego lejtnanta Sutormina Rogowowi nie udało się dotrzeć. Wprawdzie archiwa Ministerstwa Obrony nie zostały odtajnione do dziś, ale w informacji, jaką wydano Rogowowi, napisano, że od roku czterdziestego trzeciego do czterdziestego piątego nikogo o takim nazwisku i z takim stopniem wojskowym nie aresztowano. Weteran w pociągu mógł się mylić.

Naturalnie, był też pewien procent takich, którzy się nie przyznali, niemniej w zwykłym, niezmiennym trybie pojechali do łagrów; to podważało nieco teorię. Rogow przeczytał niezliczoną ilość zbiorów „memuarowych”, w których publikowano wspomnienia takich bohaterów. Dla spokoju sumienia niektóre z nich sprawdził, oczywiście te związane tematycznie: okazało się, że większość autorów poniewczasie usiłowało się przedstawić jako bohaterowie. Nie przyznając się do najbardziej niebezpiecznego punktu oskarżenia – w rodzaju terroru – prawie bez nacisku brali na siebie agitację albo inny, mniej niebezpieczny podpunkt artykułu pięćdziesiąt osiem, dostawali swoje pięć albo siedem lat i zostawali łagiernikami – frakcją drugiego sortu. Byli wprawdzie i tacy, którzy do niczego się nie przyznali, a i tak dostawali wyrok: widocznie podczas śledztwa wyszła na jaw jakaś ich cecha i po prostu postanawiano ich nie przyciskać do końca. Takie rzeczy zdarzały się głównie przed przełomowym, feralnym rokiem czterdziestym ósmym, kiedy to selekcja stała się ostrzejsza niż

kiedykolwiek. Z czym to było związane, Rogow nie wiedział: zapewne Wódz obawiał się nowej wojny i jeszcze zbyt dobrze pamiętał, jak haniebnie rozpoczął poprzednią. Słabych należało odrzucić zawczasu. Po czterdziestym dziewiątym tych, którzy niczego nie podpisali, teraz już naciskano do końca – albo wydzierano przyznanie się, albo przepędzano przez wszystkie kręgi piekieł: większość opornych trafiała potem do rubryki „zmarłych na niewydolność serca” (Rogow już prawie nie miał wątpliwości, że oznaczało to wysłanie do „złotego legionu”). Kara śmierci została w tym czasie dość mgliście zniesiona, wprowadzono ćwiartkę<sup>21</sup>, ale tej ćwiartki jakoś żadnemu z opornych nie dawano: ci zdążyli przedtem umrzeć.

Co prawda, także procent obstających przy swej niewinności znacznie zmalał: przyznawali się prawie wszyscy, w dodatku do rzeczy tak nieprawdopodobnych, że nasuwała się myśl o całkowitym ignorowaniu zarówno przez śledczych, jak i przez oskarżonych rzeczywistego stanu rzeczy. Wielkie sprawdzanie w sposób oczywisty stawało się bezsensowne, choćby dlatego, że poczucie winy weszło w krew, wszyscy czuli się jeśli nie winni, to z góry skazani, i obrona własnej niewinności w tych warunkach nie miała sensu. Niewinny w jednej sprawie z pewnością był zamieszany w inną, a zresztą było jasne, że powodem aresztowania wcale nie jest wina. Z tej nowej generacji, wyrosłej z powojennego rozczarowania i nowego terroru, nie można już było wykuć żadnego „złotego legionu”. I wtedy Wódz stał się całkiem bezwzględny: brano więcej osób i nie przebierano w środkach jeszcze bardziej niż w trzydziestym siódmym.

Widocznie sam Wódz nie spodziewał się takiego rezultatu. Wziął pod uwagę wszystko oprócz tego, że po piętnastu latach selekcji nie będzie już z kogo wybierać. Ludzie lat trzydziestych mieli po co bronić swej niewinności, ludzie lat czterdziestych gotowi byli z jednakową pokorą znosić tortury za niepopelnioną winę, jak i za nieprzyznanie się do niej: było dla nich jasne, że żadnej winy nie ma albo że winą jest wszystko, a to w ostatecznym rachunku znaczy jedno i to samo. Z tego nowego pokolenia, obojętnego na własny los, zupełnie nie dawało się stworzyć nieustraszonej kohorty: strach przekroczył poziom, powyżej którego stał się codziennością i zamienił w zobojętnienie. To właśnie był koniec eksperymentu i najbardziej prawdopodobna przyczyna zwolnienia tych, których wyselekcjonowano w trzydziestym siódmym.

Gdyby Wódz pożył nieco dłużej, kawały zaczęto by mu opowiadać prosto w twarz.

Wśród tych wszystkich zajęć, kilku przelotnych studenckich romansów, paru wyjazdów na zagraniczne kongresy (na początku lat pięćdziesiątych naszych zapraszano często i wszędzie) minęły dwa lata, podczas których Rogow nie wyjeżdżał na daczę. Chciał zapytać Kretowa jeszcze o parę rzeczy, ale domyślał się, że starzec powiedział już wszystko albo

prawie wszystko – i wypytywanie nie ma sensu. Poza tym Rogow w dziewięćdziesiątym trzecim się ożenił, a w dziewięćdziesiątym piątym rozwiódł, ponieważ żona według jego kryteriów była właśnie uosobieniem słabości. Złościły go jej niezaradność, nieśmiałość, dziecinność, nie imponowała mu rola ostoji i obrońcy i nie lubił, kiedy spijano mu słowa z ust – zwłaszcza że był absolutnie przekonany o obłudzie żony, która nie rozumiała ani słowa z tego, o czym mówił, a zatem powinna nim w duchu gardzić, jako że – nie miał co do tego wątpliwości – ludzie gardzą wszystkim, co przewyższa ich rozumienie.

W wieku dwudziestu czterech lat w ogóle zaczął mieć dość ludzi. Nawet matka czasem go irytowała, chociaż do niej jednej był prawdziwie przywiązany. Matki nie poddawał swoim wiecznym testom na słabość czy siłę, ponieważ silna była jej miłość do niego i jego miłość do niej, silna była ich więź, a cała reszta nie miała znaczenia. Inni ludzie z jego otoczenia nie potrafili przejść nawet najłatwiejszego testu: nadeszły czasy tolerancji, słabość stała się zasadą, każdą ideę hierarchii z góry odrzucano. Słowo nie znaczyło nic, przysięga nie miała żadnej wagi, pojęcie obowiązku zanikało w oczach, a wszystko to najbardziej przypominało rozkład ciała, które odrzuciło ciężącą mu duszę. W tym świecie nie tyle nie ma się na kim oprzeć – Rogow dawno już nauczył się liczyć tylko na siebie – ale nie było kogo nienawidzić, bo wtedy nienawidzić trzeba by było wszystkich.

Rogow jednak nie wpadał ani w złość, ani w panikę. Był historykiem i wiedział, że każda tyrania rodzi mądrych, dla których z czasem staje się za ciasna, a każda swoboda wspiera głupców, którym staje się niepotrzebna. Każda epoka hodowała w swych trzewiach własnych grabarzy, co zapewniało ich wieczną cyrkulację, obalającą płaską teorię formacji. Żadne formacje nie istniały – było tylko niekończące się następstwo dyktatur i tolerancji, wygładzone na Zachodzie i zbyt ostentacyjne na Wschodzie. Z czasem, jak wszystko w historii, to następstwo przyśpieszało, nasuwając myśl o nieuchronności końca świata: codziennych zmian świat by nie wytrzymał. Chociaż ten model należało jeszcze przemyśleć: po dniu egzekucji nadchodziła noc rehabilitacji, po orgiastycznym samozniszczeniu – orgiastyczna swoboda. Rok zawierał w sobie setki epok. Kłopot był z czym innym: brakowało ludności. Ta powinna była wymrzeć po pół roku takich zmian: publiczne egzekucje wymagały surowca, swoboda wymagała szkodliwych nadwyżek. Wychodziło z tego coś pomiędzy Berlinem Hitlera a Rzymem Nerona z niewielką domieszką Iwana Groźnego. Ale i takie życie – nieustająca orgia na ruinach, w rezultacie łącząca skrajności – byłoby lepsze niż totalne osłabienie, którego Rogow był świadkiem i w miarę możliwości kronikarzem.

Zarabiał nieźle, układając kalendarze historyczne i pisząc frywolne felietony dla kolorowych tygodników; miał powodzenie u kobiet, chociaż nużyły go dłuższe związki; wiele

czasu spędzał w samotności. Nadal – początkowo z ciekawości, potem jakby z obowiązku – uzupełniał swoją kartotekę tajemniczych powrotów tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku i coraz częściej zastanawiał się nad hipotezą Kretowa. Hipoteza nadal tłumaczyła wszystko, badania Suworowa i Awtorchanowa tylko ją potwierdzały. Przejść przez aresztowania miały nie pojedyncze ofiary przypadkowego wyboru, ale naród jako całość – co do tego Rogow nie miał wątpliwości; nie do końca tylko wierzył w złotą kohortę, w osadę pod Omskiem – czuł jednak, że inaczej filtrowanie nie miałoby sensu.

W tym czasie był na daczynie tylko parę razy, przywoząc i odwoząc matkę. Raz nie zastał Kretowa – ten wybrał się akurat po zakupy i nową porcję wódki, drugim razem tylko przelotnie się z nim przywitał, a latem dziewięćdziesiątego piątego staruszek w ogóle nie przyjechał na daczynę – był chory i został w mieście. Rogow myślał o tym, żeby go odwiedzić, zwłaszcza że nawet w chorobie Kretow mimo wszystko kojarzył mu się nie ze słabością, ale z siłą, nie znalazł jednak czasu, zresztą wątpliwe, czy teraz, przedwcześnie wydorosłały i zamknięty w sobie, na coś by się Kretowowi przydał. Kretow umiał niczego nie żądać i nawet nie budzić współczucia – to była jego wielka zaleta i Rogow szanował tę rzadką w dzisiejszych czasach cechę. Dla spokoju sumienia jednak zadzwonił. Telefon Kretowa zapisany był w notesie telefonicznym dużym i też jakby proszącym pismem ojca. Rogow poprosił wujka Loszę i uśmiechnął się w duchu: jakież to teraz dla niego wujek? Sąsiadka powiedziała, że Kretowa nie ma w domu.

Niemniej wczesnym latem dziewięćdziesiątego szóstego roku Rogow musiał jednak pojechać do jego domu na Krasnych Worotach, ale już nie zastał go przy życiu. Zadzwoniła sąsiadka – Kretow mieszkał w komunałce – i powiedziała, że Aleksiej Aleksiejewicz (Rogow po raz pierwszy usłyszał jego patronimik) prosił, by mu coś przekazać. Ten zbieg okoliczności spieszył Rogowa. Większość z tych, którzy powrócili, też chciała coś przekazać. Poczł ukłucie wyrzutów sumienia – mógł przecież odwiedzić staruszkę, który był nieodłączną i może najlepszą częścią jego dzieciństwa, i wraz z nim to dzieciństwo odeszło bezpowrotnie, chociaż widzieć słabość i niedołęstwo Kretowa byłoby chyba czymś jeszcze straszniejszym. A tak przynajmniej pozostanie dla Rogowa uosobieniem owej trwałości i tajemniczości, którą obaj tak cenili w starych rzeczach. I Rogow pomyślał, że Kretow zostawił mu w spadku właśnie jedną z tych starych rzeczy.

Wbrew jego oczekiwaniom Kretow żył w Moskwie biednie, niemal nędznie. Stara sąsiadka zaprowadziła Rogowa do małego pokoju, który teraz zajmował jej wnuk (zapewne nie mógł się doczekać śmierci Kretowa). Ściany były nagie, z odłóżkami tapetami, tylko na jednej wisiała olbrzymia, bardzo szczegółowa mapa geograficzna ZSRR. Zamiast

łóżka była prycza, podczas kiedy na dacy Kretow sypiał na wygodnej, luksusowej czarnej skórzanej kanapie, która jakby wchłonęła znużenie kilku pokoleń i dlatego aż się prosiła, by się na niej położyć. Bywają wymodlone ikony, bywają też wyleżane posłania, na których spoczywało wielu zmęczonych ludzi i na których śpi się najśłodziej.

Wszystko, co najlepsze, staruszek przewiózł na daczę, i Rogow, stojąc w pokoju, ze smutkiem patrzył na otaczające go ubóstwo. Kretow żył całkiem samotnie, a jednak znalazła się spadkobierczyni dacy – jakaś cioteczno-cioteczna wnuczka, siódma woda po kisielu, która ani razu nie odwiedziła staruszka w szpitalu, chociaż umierał długo i w cierpieniach – na zapalenie nerek – ale po jego śmierci objawiła się dosłownie następnego dnia i przedstawiła prawa do spadku. Na rok przed śmiercią, w dziewięćdziesiątym piątym, staruszek wyjechał gdzieś na miesiąc – sąsiadce powiedział, że do miejsc dawnych ekspedycji, gdzie miał przyjaciół. W Moskwie miał tylko jednego przyjaciela, który z rzadka go odwiedzał, tego samego, o którym opowiadał Rogowowi, kiedy byli nad bezdennym jeziorem. Jak mówiła sąsiadka, był to jeszcze dziarski, żyłasty i krzepki starzec – ale ostatnio nie zjawiał się nawet on. Pewnie także chorował. A może Kretow nie chciał mu się pokazywać w chorobie.

Sąsiedztwo na dacy cioteczno-ciotecznej wnuczki zmartwiło Rogowa – ze smutkiem myślał, że rzeczy jego dzieciństwa zostaną wyrzucone na śmietnik albo przejdą obcym zapachem. Jego poczucie winy wobec staruszka było nawet ostrzejsze niż wobec ojca. A jednak jestem świnią, pomyślał. W pokoju nie czuło się żadnego zapachu, oprócz wilgotnej stęchlizny – mieszkanie było stare. Nie pachniało tu nawet leżącą na stole fajeczką Kretowa. Sąsiadka wyszła, na chwilę zostawiając Rogowa samego, a potem przyniosła jakieś płaskie zawiniątko w gazecie.

– O, to prosił panu przekazać – powiedziała. – Właśnie tak, w gazecie. Specjalnie zawinął.

Gazeta była zwyczajna, pół stronicy „Komsomolskiej Prawdy”, sądząc po kroju czcionki, z lat siedemdziesiątych – Kretow przechowywał stare roczniki, twierdząc, że interesuje się tymi nawarstwieniami nie jako były dziennikarz, ale jako geolog. Rogow rozpakował płaskie zawiniątko; w środku było okrągłe, kieszonkowe lusterko.

Zawsze umiał nad sobą panować, ale teraz krew uderzyła mu do głowy i zatętniła w uszach. Kretow mógł mu zostawić dowolną ze swoich rzeczy, tylko nie tę. W tej nie było żadnego widocznego sensu, poza tym, którego mógł się tylko niewyraźnie domyślać. Takie samo okrągłe, kieszonkowe lusterko pokazywał jakiejś dziewczynie stojącej w oknie daleki, daleki petersburski kuzyn ojca – a zatem nie bez powodu puszczał słonecznego zajączka. Rogow trzymał w ręku hasło mówiące nie wiadomo o czym, przeznaczone nie wiadomo dla kogo. Obejrzał ze wszystkich stron fragment gazety. Rzucił mu się w oczy duży nagłówek –

*Czyste serce nauczyciela*; na odwrocie był inny, mniejszy – *Czyste niebo nad Angolą*. Słowo „czyste” w obu tytułach podkreślono czerwonym flamastrem.

– Powiedział, że pan zrozumie – cichym głosem uprzedziła jego pytanie sąsiadka.

– Zrozumiałem – nieoczekiwanie dla samego siebie odpowiedział Rogow. – Tu jest wszystko, co trzeba. Dziękuję pani.

Osada, o której mówił Kretow, nie mogła się nazywać inaczej. Jediną możliwą nazwą było „Czyste”, i jeśli miejsce wybierano w sposób przemyślany, a nie przypadkowo i nie dlatego, że było trudno dostępne, to i nazwa musiała mówić wszystko, co trzeba. Niezrozumiałe było tylko, co ma do tego lusterko – o historii z leningradzkim kuzynem Kretow nie wiedział nic konkretnego. Rogow na wszelki wypadek przyłożył lusterko do gazety, ale nie odkrył żadnego tajnego przekazu – zwykłe odwrócone litery. A może trzeba było mieć lusterko przy sobie i okazać je przy wejściu do osady, która najwyraźniej ocalała i nie została zrównana z ziemią przez żadne miasto? Czy może była to aluzja do tego, że Rogow sam jest z tych, z tej złotej kohorty, którą kiedyś pragnął odnaleźć? Czy lusterko było znakiem rozpoznawczym tych, którzy ocaleli, przetrwali wszystkie tortury i nie pękli – tak jak to stare szkło? Na wszystkie te pytania należało znaleźć odpowiedź, ale jedno było jasne: Kretow podał mu nazwę osady. Nie zdecydował się wyjawić tego za życia, ale teraz przekazał tajemnicę Rogowowi. Spotkanie z potomkami „złotego legionu” było tylko kwestią czasu.

Rogow przeprowadził oczywiście konieczne badania. Przejrzał roczniki „Komsomolskiej Prawdy” z lat siedemdziesiątych i ustalił, że Kretow zawiązał lusterko w kawałek gazety z dwudziestego siódmego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, jednak ta data nic mu nie powiedziała. Sprawdził również w atlasie samochodowym ZSRR, czy w obwodzie omskim istnieje wieś albo osada pod nazwą Czyste. Takich Czystych znalazł trzy, ale nie wiedział, które z nich miał na myśli Kretow. Wszystkie trzy leżały w dużym oddaleniu od Omska, w miejscach nawet obecnie trudno dostępnych.

Rogowa to nie zniechęciło. Nie liczył na spotkanie z kimś spośród ocalałych – dożyć do pięćdziesiątego szóstego roku mogły tylko pojedyncze osoby, a po takich torturach i życiu w takich warunkach w głuchej syberyjskiej osadzie wydawało się to prawie niemożliwe. Ale osada była cała – nie bez powodu Kretow tam ostatnio jeździł. W sierpniu, kiedy w tajdze jest już trochę mniej meszek, Rogow wziął urlop, powiedział matce, że jedzie na Syberię w odwiedziny do dawnej koleżanki ze studiów, szybko się spakował i poleciał do Omska.

Rankiem swego ostatniego dnia w Moskwie Rogow wyszedł na balkon i z dziwnym, pożegnalnym uczuciem rozejrzał się po podwórzu. Zawsze tak robił przed każdą podróżą – poczucie własnej kruchości i śmiertelności było mu znane od dzieciństwa. Samolot mógł się

przecież rozbić, autobus mógł się przewrócić – i wreszcie on mógł po prostu pozostać w Czystem, jeśli je znajdzie. Ów nastrój cichego pożegnania pogłębiały dodatkowo zwykły sierpniowy smutek, jaskrawy błękit nieba z wielkimi, nieruchomymi chmurami, chłód, jarzębina. Na placu zabaw nie było dzieciaków, jakiś stary koń brzdąkał w struny odrapanej gitary, u sąsiada na dole ryczał telewizor. Trwał zwykły, spokojny, błogi poranek miejskich peryferii, radosny i odrobinę smutny, jak każdy pogodny dzień pod koniec lata; piękne były brzozy z żółknącymi liśćmi, staruszki na ławeczkach, topole z zakurzonym listowiem, dom naprzeciw z jego błękitnymi balkonami obwieszonymi praniem – wszystko to było piękne, ale Rogow nie miał tu już nic do roboty.

---

<sup>10</sup> Basmacze – muzułmańskie oddziały w Azji Środkowej, walczące od 1917 roku z bolszewikami; ich opór został ostatecznie złamany w czasie kolektywizacji ZSRR w latach 1929–1933 (przyp. tłum.).

<sup>11</sup> Iwan Jakowlewicz Bilibin (1872–1942) – światowej sławy rosyjski scenograf i ilustrator książek, zafascynowany rosyjskim folklorem (przyp. tłum.).

<sup>12</sup> Ernst Teodorowicz Krenkel (1903–1971) – polarnik radziecki, członek pierwszej radzieckiej dryfującej stacji „Siewiernyj polus” i innych ekspedycji arktycznych (przyp. tłum.).

<sup>13</sup> Arkadij Gajdar (Arkadij Pietrowicz Golikow, 1904–1941) – radziecki pisarz młodzieżowy, autor m.in. *Losu dobosza*, *Błękitnej filizanki* i przetłumaczonej na wiele języków powieści *Timur i jego drużyna* (przyp. tłum.).

<sup>14</sup> Jedna ze zwalczających się frakcji w grze Juggernaut (przyp. tłum.).

<sup>15</sup> Rosyjski frazeologizm mający dwa znaczenia związane z realiami rosyjskiego imperium: początkowo nieoficjalna nazwa kompanii grenadierów pałacowych, później określenie przedstawicieli nizin miejskich i świata przestępczego (przyp. tłum.).

<sup>16</sup> Blücher Wasilij Konstantinowicz (1889–1938) – radziecki dowódca wojskowy, Marszałek Związku Radzieckiego. Zmarł w więzieniu Lefortowo w Moskwie (przyp. tłum.).

<sup>17</sup> Gamarnik Jan Borisowicz (1894–1937) – wicekomisarz obrony, ofiara sprawy Tuchaczewskiego (przyp. tłum.).

<sup>18</sup> Jurodiwyj – w rosyjskiej kulturze: „święty szaleniec”, skrywający mądrość pod maską głupoty (przyp. red.).

<sup>19</sup> Błoka (przyp. tłum.).

<sup>20</sup> Wadim Wiktorowicz Bakatin (ur. 1937) – ostatni szef KGB po nieudanym puczu przeciw Michałowi Gorbaczowowi (przyp. tłum.).

<sup>21</sup> Wyrok 25 lat pozbawienia wolności (przyp. tłum.).



## REKONSTRUKCJA 1

**W** sierpniu czterdziestego ósmego roku kapitan Immanuił Zasławski, według nowych dokumentów Grigorij Abramienko, przyjechał do Moskwy.

Na Dworcu Kazańskim było hałaśliwie, ale czysto. Lodów nie sprzedawano – dla uniknięcia tłumów handel przy stacjach metra był zabroniony. Milicja paradowała w nowych mundurach. Na ulicach było tłoczno – pełno lśniących, lakierowanych aut, z których wiele widział wcześniej tylko na zdjęciach w zagranicznych czasopismach, jakie ojciec dostawał do przejrzenia.

Upredzono ich, że Moskwa jest już nie taka sama i w ogóle niewiele rzeczy pozostało niezmienionych. Upredził ich o tym nowy nadzorca, którego w czterdziestym piątym roku przysłano z centrali na miejsce zabitego Gołubiewa. Gołubiew za nic w świecie nie użyłby sformułowania „nie zdziwcie się”: wiedział, że w Czystym od dawna nikt się niczemu nie dziwi.

W ogóle Gołubiewa uważano za porządnego człowieka. Poległ pod Königsbergiem<sup>22</sup> w sposób zupełnie idiotyczny. Königsberg był jego ostatnim zadaniem, potem miał nadzieję wrócić do domu, do rodziny mieszkającej gdzieś w Kujbyszewie. Szczerze mówiąc, Zasławski był przekonany, że wtedy wypuszczą również ich – ale właśnie nowy nadzorca, którego tak też nazywano, „Nowy”, chociaż jego nazwisko brzmiało Dobrow, wspomniał niewyraźnie o daleko idących planach rozwinięcia kilku operacji w Europie: chodziło zapewne o utrwalenie dokonań.

Niemniej do nowej wojny nie doszło – albo odegrała tu rolę amerykańska bomba, albo Churchill dopiął swego i w Fulton<sup>23</sup> wszystkich zastraszył – w każdym razie postanowiono na razie się wstrzymać i cały pierwszy pobór z trzydziestego ósmego roku, mocno zresztą zdziesiątkowany, rozpuszczono do domów, których większość dawno już nie miała. Zasławski naprawdę nie miał dokąd wracać. Jego rodzice zmarli prawie jednocześnie, w pierwszym

roku pobytu w łagrze: ojciec wykończył się pierwszy, matka przeżyła go o trzy miesiące. Dokładnej daty ich śmierci Zasławskiemu naturalnie nie podano, ale o tym, że nie ma nikogo, kto by na niego czekał, napomknął w czterdziestym roku Gołubiew – zapewne naruszając instrukcję.

Gołubiewa przysłano w styczniu czterdziestego roku na miejsce Feinsteina zabitego przez Korotina za znęcanie się. Dopiero wtedy do władz dotarło, że po tym wszystkim, co z nimi zrobiono, należy ich traktować nieco inaczej: wyraźnie złagodzano rygor, zaczęto karmić nie tylko do syta, ale i smacznie, a nawet informowano o losach rodzin, chociaż tylko w ogólnych zarysach. Feinstein był zielony, wielu rzeczy nie rozumiał. Nie rozumiał, że ci ludzie nie mają nic do stracenia. Nie chodziło o dumę – po tym, co przeszli, nikt nie odczuwał dumy, znalazłszy się w „złotym legionie”, który między sobą, nie krygując się, nazywali „złotą rotą”. Z czego tu być dumnym: Michajłowa zgwałcono w celi (nawet wtedy nie podpisał, ale nie uważał się już za człowieka), Eskinowi sikano w usta, Halperinej wypalono włosy łonowe, nie mówiąc już o gwałtach – na swoje nieszczęście była piękną brunetką w cygańskim typie. Nie, duma nie miała tu nic do rzeczy, ale widocznie w ludzkiej naturze bardzo głęboko, od urodzenia tkwi szacunek dla zmarłych. Ze zmarłymi należało się obchodzić przyzwoicie, a Feinstein kazał im biegać, kopać, wyzywał rysztockowymi słowami. To był zamach na jedyne, co im pozostało – na dumę, na swoistą godność zmarłego, który zasługiwał na szacunek żyjących, choćby dlatego, że oni byli żywi, a on nie.

O dziwo, okazało się, że wytrzymać każde tortury jest w stanie nie tylko siłacz Bambuła, ale także stuprocentowy cherlak, z tych, których prześladowano w szkole i w ten sposób zahartowano, rozwijając w nich wręcz wstręt do życia. Na górze słusznie uznano, że najważniejszy jest duch, a nauczyć można się wszystkiego... W Moskwie to rozumiano, a Feinstein nie rozumiał. Nie wierzył, że ma do czynienia z elitą narodu, której zadaniem jest odeprzeć faszystów, odrodzić kraj, a być może nawet podbić Europę. Na razie miał przed sobą oddział inwalidów, z grubsza podleczonego po torturach i niepotrafiących ani porządnie biegać, ani strzelać. Byli to ludzie tak różnej maści, że przyjaciel Zasławskiego, niejaki Kuzniecowa, za życia lekarz, kompletnie się gubił: wytrzymywali i rdzenni Sybiracy, ponure, tępawe kmioty, i całkowite chuchra z olbrzymimi żydowskimi nosami (złamanymi zresztą już w pierwszych dniach po aresztowaniu). Więcej nawet: inteligentne niedobitki trzymały się najlepiej, a najbardziej zdumiewała Kuzniecowa – jak również Zasławskiego – chuda, surowa dama z dawnej bohemy: teraz szykowano ją na lekarza wojskowego – ktoś przecież będzie musiał operować pod ostrzałem. Raz przy ognisku zaczęli rozmawiać i Zasławski wyraził podziw dla jej pełnego godności spokoju. „Nic w tym szczególnego – odpowiedziała po

prostu – już w trzydziestym roku zrozumieliśmy, że życie nie ma żadnej wartości”. W więzieniu rozborowali jej, a następnie wybili wszystkie zęby i połamali nogi.

Zasławski ją rozumiał. Był dumnym, rozpieszczonym chłopcem, sowieckim książątkiem, więc wszystko wskazywało na to, że powinien się złamać pierwszy. Ale właśnie pyszałkowatość sowieckiego książątka nie pozwalała mu poddać się oprawcom. Często rozpieszczone dzieci i wydelikaczone damy okazują się bardziej wytrzymałe niż najtwardsi prostytutki o byczych karkach, ponieważ gardzą życiem i naprawdę lubią tylko ciastka.

A rodzice Imy Zasławskiego w nadziei ocalenia syna podpisywali wszystko, czego żądano, i zmarnieli z głodu i zimna, z bicia i nieludzkiej pracy, w dodatku rozłączeni – a i tak nikogo nie ocalili. Sam Zasławski niczego nie podpisał i trafił do Czystego. Możliwe zresztą, że w tym, iż najbliżsi krewni prawie wszystkich mieszkańców Czystego zostali zlikwidowani, także był pewien zamysł: nie ma do kogo pisać, nic człowieka nie trzyma przy życiu – w razie czego łatwiej będzie ginąć za ojczyznę.

Początkowo Zasławski miał jeszcze nadzieję, że rodzice żyją, a po ich śmierci na pewno by ze sobą skończył, ale Gołubiew odbył z nim długą rozmowę, w której próbował uzasadnić to, co się stało. Niemal przekonał Imę, że ocalenie pierwszego na świecie sprawiedliwego kraju przed wrogiem zewnętrznym inaczej byłoby niemożliwe, że podobnego eksperymentu jeszcze nigdy nie było, że już najwyższy czas podzielić ludzkość na stal i szlakę – Zasławskiemu nie zaimponowała wielkość eksperymentu, ale tak dalece już nie odczuwał różnicy między życiem a śmiercią, że na razie zrezygnował z prób samobójczych. Tym bardziej, że nikt w Czystym nie miał wątpliwości, iż cały ten eksperyment potrwa tylko do pierwszej bitwy. Zmarłych nie szkoli się na żołnierzy. Zmarłych szkoli się na kamikaze.

Większość była przekonana, że również Korotina, po tym, jak dosłownie skręcił Feinsteinowi kark (Feinstein był sprawniejszy, ale Korotin silniejszy i większy), nie rozstrzelano, tylko wysłano do czegoś jeszcze bardziej elitarnego, jeszcze bardziej Czystego. Rozstrzelanie urządzono by pokazowe, na placu – tam, gdzie nagradzano tych, którzy się wyróżnili w strzelaniu albo walce wręcz. Nagrody były słowne, czysto symboliczne, śmiesznie by było udzielać przepustki w tajdze albo rozpieszczać nieboszczyka zgęszczonym mlekiem. Gwoli prawdy należy jednak przyznać, że wożono ich do miasta, prowadzano do kina: nikt z mieszkańców niczego się nie domyślał – oto maszeruje sobie oddział żołnierzyków (na takie okazje wszystkich przebierano w niewygodne ogólnowojskowe paradne mundury). Większość filmów wydawała się Zasławskiemu bzdurna: albo rzeczywiście zaczęto gorzej reżyserować (wszystkich, którzy to potrafili, zapewne pozamykano i teraz przygotowywano do poważniejszych zadań), albo po tym, co przeżył, każdy film wydawał mu się płytki. Podobała

mu się jednak młodziutka aktorka nazwiskiem Celikowska<sup>24</sup>. Przypominała czymś Irę, chociaż oczywiście była bardziej efektowna.

To, że ich prędzej czy później wypuszczą, było dla Zasławskiego oczywiste już od dawna – od momentu, kiedy zrozumiał, że nie wszyscy zostaną zabici. Prawie w ogóle nie ginęli – jest takie dziwne prawo, zgodnie z którym bomba nie spada dwa razy w to samo miejsce. Gołubiew zginął właśnie dlatego, że był nadzorcą przysłanym do Czystego z góry na stanowisko koordynatora (i zapewne mógł w ogóle wymigać się od frontu, ale na wszystkie operacje wylatywał ze swymi podopiecznymi).

Absolutną niewiadomą było, co Wódz zamierza z nimi zrobić po wojnie. Nadawali się do zabijania, ale do budowania raczej nie. Był pewien procent ideowych, których nawet w Czystym nazywano czerwonymi, i to spory procent – przeszli przez wszystko, uzyskali potwierdzenie, że w niczym wobec ojczyzny nie zawinili, z dumą nosili w kieszonkach na piersi zwrócone legitymacje partyjne i czuli wdzięczność dla Wodza, który ich wybrał spośród milionów innych i powołał do wykonania swoich wielkich zadań. Ale czerwonych było znacznie mniej niż połowa – reszcie, jak to po śmierci, było absolutnie wszystko jedno, co będzie dalej, więc zapalić ich do idei wielkiej budowy nie potrafiłby najbardziej płomienny trybun. W Czystym na porządku dziennym było wstać i odejść nie dosłuchawszy rozmówcy – i rozmówca milkł ze zrozumieniem, jako że i jemu było wszystko jedno, opowiadać dalej czy nie. Mężczyźni i kobiety żyli razem i obcowali na równych prawach, jak dusze: oczywiście do kobiecego baraku mężczyzn nie wpuszczano, zresztą mężczyźni nawet by nie poszli, ale na wymykanie się do lasu ochrona patrzyła przez palce. Kopulowali gdzie popadnie, choćby w oborze (Zasławski został mężczyzną w czasie dyżuru w kuchni; pracowników „z wolności” nie było, gotowali sami więźniowie; jego pierwszą kobietą była leningradka Klara, trockistka, której na przesłuchaniu wybili oko). Przy takiej prostocie obyczajów i niezobowiązujących związkach nie powstał zwarty kolektyw, jak nie mógłby powstać również na cmentarzu: nie było czym zastraszyć, a zatem także zjednoczyć, a wspólne doświadczenie dotyczące tortur nie łączy – raczej dzieli, jak wszelka utajona, wstydliva wiedza o sobie nawzajem. Przyjaźnie w Czystym zawiązywały się rzadko. Ginąć w walce – ginęli, jako że w ciągu trzech miesięcy (a niektórzy nawet w pół roku) przywykli umierać. Ale budowniczy z nich byli do niczego – remontować baraki, łątać szpary, naprawiać piece musiała ochrona.

Rzecz się nie ostoi, a ciało się wygoi, i każda rana z czasem się zabliznia – skoro już trafiło się żyć, to trzeba żyć; wielu, jak przez jakiś czas Zasławskiego, ratowała świadomość wyjątkowości i wielkości własnego losu. Ale żyć trzeba – jakoś, po coś: oni zaś, wyrwani z rodzinnego kręgu, wrzuceni w obce środowisko, pozbawieni nadziei na powrót, nie mieli po

co żyć dalej, i gdyby ich dzień nie był tak wypełniony nauką szyfrów, sztuk walki, studiowaniem najnowszej techniki – wielu pozabijałoby się nawzajem z nudów. Wrogość między ludem a inteligencją nie zanikła nawet po śmierci – nieliczni, jak Korotin, szanowali moli książkowych i cherlaków, reszta uważała, że „miastowych” przywieziono do Czystego przez pomyłkę, i trzeba było całego roku, by zrozumieli, że inteligenci znacznie ich przewyższają w wytrwałości, a niekiedy zaciekłości. Krótko mówiąc, z taką ekipą po wojnie nie było co robić.

Chociaż – biorąc pod uwagę to, czego uczono w Czystym i to, co sam musiał potem robić z innymi, czy naprawdę tak okrutnie ich doświadczano? W ciągu dziesięciu lat, spędzonych w Czystym i na froncie, plus operacja w Japonii, plus Ukraina Zachodnia, Zasławski zrozumiał, że tak na dobrą sprawę się z nimi cackano. Są rzeczy, których zniesienie jest ponad ludzkie siły; są rzeczy, po których człowiek traci chęć i siły do życia; są tortury nieodwracalnie okaleczające ciało. Ze szczególnym zainteresowaniem czytał szkice frontowe i oglądał filmy pokazujące sceny w hitlerowskich katowniach: Niemcy w wielu sprawach poszli dalej. Ich bestialstwo brało się zresztą z poczucia klęski, myślał Zasławski; zrozumieli, że przegrali, i po prostu odgrywali się na ofiarach – u nas zaś nie odgrywali się, ale je hodowali, można nawet powiedzieć, że wykuwali. Dlatego większość tortur hitlerowców w dziwny sposób nawiązywała do doświadczeń Iwana Groźnego (a wątpliwe, czy ktokolwiek z nich znał jego dzieje), a większość naszych do *Młota na czarownicy*: Groźny znęcał się nad przypadkowymi ofiarami za to, że nic mu się nie udawało z opryszczką<sup>25</sup>, a czarownicy oczyszczano dla życia przyszłego, całkiem inna para kaloszy. Testowano przecież, jak się zorientował dość szybko po przybyciu do Czystego i urywkowych rozmowach z towarzyszami niedoli, wcale nie wytrzymałość na ból: sprawdzano zdolność do obstawania przy swoim w beznadziejnej sytuacji, bez sensu, bez nadziei – wyłącznie dla udowodnienia swojej słuszności, która i tak już nikogo nie interesowała.

Ale właśnie ludzie konsekwentni, gotowi ginąć za bezużyteczną, nikomu niepotrzebną słuszność, dla spokoju własnego sumienia – zupełnie się nie nadawali do żadnego budowania, albowiem każde życie jest jednym wielkim kompromisem. Albo niezbyt wielkim, to zależy od szczęścia.

Zasławski nie wiedział jednego – w jaki sposób się ich pozbędą. Jeżeli zabiją, to pojedynczo: masowe rozstrzelanie nie uszłoby im na sucho. Pod tym względem wysłanie „złotej rotty” na wojnę było błędem: przy próbie masowej egzekucji zadziałałby instynkt oporu. Ci ludzie ze swoim doświadczeniem bojowym nie rozbroili do tej pory ochrony tylko dlatego, że nie mieli dokąd uciekać – ale o swoje życie pośmiertne walczyliby jak szaleni.

Oczywiście, potem i tak by ich wyłapano, ale ściągać wojsko, urządzać poszukiwania i obławy pod Omskiem, w gęstych lasach... nie, to za wiele. A więc, albo zabijać pojedynczo, albo zwalniać. Kiedy ich zwolniono, Zasławski, chociaż spodziewał się takiego rozwiązania, jednak się zdziwił.

„Nowy” zebrał wszystkich na placu w pogodny, upalny czerwcowy dzień. Był w galowym mundurze. Zresztą, galowy mundur wkładał na wszystkie święta: siódmego października, pierwszego maja, trzydziestego lipca – w dzień otwarcia Czystego... Słów „komuna”, „kolonia” czy „obóz” tu nie używano: mówiono „Czyste” i już.

– Towarzysze! – krzyknął tubalnie. – Nadszedł dziś dla nas wszystkich... dla nas i dla was... pamiętny dzień! Upłynął termin waszej służby Ojczyźnie i Naczelne Dowództwo... podjęło decyzję... o waszym powrocie do pokojowego, pracowitego życia!

Nikt spośród pięciuset osób – ludności Czystego, w jednej czwartej wybitej przez wojnę, a poza tym całej i zdrowej – nawet nie drgnął. „Nowy” wiedział, że można się po nich spodziewać wszystkiego, toteż uważał, że najlepiej nie oczekiwać niczego. Odczekał pauzę i kontynuował:

– ...Każdy z was... zacznie życie od zera! Nowe życie, towarzysze! Dobrze służyliście Ojczyźnie i Ojczyzna o was nie zapomni! Ci z was... którzy mają rodziny... wrócą do rodzin! Ci, na których nikt nie czeka... bo tak wyszło... – Zająknął się. – Ci, których rodziny, niestety, nie przeszły najwyższego sprawdzianu... i z różnych powodów znalazły się w różnych miejscach... ci otrzymają nowe dokumenty i mieszkania! Odebrałem osobisty rozkaz... by w ciągu trzech miesięcy... przeprowadzić całkowite rozformowanie osady Czyste!

Przy tych słowach Zasławski pomyślał, jak bardzo żywotny jest w człowieku instynkt domu: za każdym razem, wracając do Czystego z zadania (a takich powrotów w czasie wojny miał trzy – po Sewastopolu, Stalingradzie i Königsbergu, i jeszcze coś po wojnie), za każdym razem cieszył go widok znajomego miejsca. Innego domu na świecie nie miał i, o dziwo, żał mu będzie opuszczać ten. Nawiasem mówiąc, niepotrzebnie bali się w czterdziestym pierwszym posyłać ich, moskwian, pod Moskwę. Obawiali się, że uciekną. A dokąd mieli uciekać...? Takie obawy zresztą miano nie tylko w Czystem – osady ze „złotymi rotami” były jeszcze w kilku miejscach, o czym niejednokrotnie napomynał Gołubiew, i było jasne, że próby nie było w stanie przejść tylko kilkuset ludzi. Mowa zaś była o dziesiątkach tysięcy – ale gdzie rozmieszczono pozostałych – Zasławski nie wiedział (i Rogow, w którego głowie rozwijała się po drodze do Omska ta rekonstrukcja, też nie wiedział).

Zasławskiego zwolniono z pierwszą partią. Pojęcie partii było zresztą czysto umowne – odchodzili pojedynczo. Nawet do Omska każdy docierał na własną rękę – jakby im było

śpieszno jak najszybciej się rozstać. Razem nic już ich nie trzymało. Nie wymienili się nowymi adresami i pożegnalne „pisz!” brzmiało czysto symbolicznie. Klara nie uroniła nawet łzy ze swego jedyne go oka.

Tylko jeden człowiek przy pożegnaniu zachował się niezwykle: z zasady był milczkiem, a jeśli już otwierał usta, na rozmówcę wylewał się taki potok rysztołkowych słów, że Zasławski niekiedy, ku własnemu wstydowi, czerwieniał. Nic nie było w stanie go dotknąć, a to dotykało. Bluzgi te były szczególnie nieprzyjemne, gdyż plugawiły ich pośmiertny honor: jakkolwiek podłe były rzeczy, które musieli robić, ich wspólne i najważniejsze zadanie było czyste. Kto o tym zapominał, walczył o klasę gorzej.

Co prawda, akurat ten rzucający mięchem był dywersantem najwyższej klasy, któremu chyba sprawiał satysfakcję sam proces. Trzy razy latał w delegacje na Białoruś organizować ruch partyzancki i pod koniec wojny dostał majora. Był to niesympatyczny typ o maleńkich świdrujących oczkach za okrągłymi okularami, z niestosownym i nieokreślonym uśmieszkiem – jakby się uśmiechał na potwierdzenie jakichś swoich ohydnych myśli. Ten właśnie major, podchodząc do Zasławskiego, żeby się pożegnać, powiedział zaskakująco poważnie:

– Tak sobie myślę, młodzieńcze...

– Nie jestem młodzieńcem, majorze – przerwał mu opryskliwie Zasławski. – Mam dwadzieścia siedem lat, jakież ze mnie, do diabła, młodzieniec...

– Wieczny – uśmiechnął się major. – Jest taki typ: czysty i zapalczywy, strasznie drażliwy rosyjski chłopiec, w ogólnej masie Żyd. – Zachichotał nieprzyjemnie. – Tak, tak, chłopcze.

Nie należy zaprzeczać, pomyślał Zasławski. Major zawsze prowokował – coś mu jeszcze odszczeknę, a nazwie mnie oseskiem.

– No, więc tak sobie myślę – ciągnął major, chytrze błyskając oczkami. – Kiedyś trochę pisałem i tak się zastanawiam: jeśli to wszystko jest jednym wielkim sprawdzianem, to co nas czeka tam? Jak sądzisz?

Wskazał w niebo krótkim, grubym palcem.

– Zależy kogo. – Zasławski wzruszył ramionami. – Ten, kto opowiadał świńskie kawały, na pewno będzie las rąbać. (No, w pięty ci poszło).

– A może ja chcę las rąbać – odparł major z niezmaconym spokojem. – Bo ci najwięksi twardziele szykowani są do takich rzeczy, że nam, zwykłym śmiertelnikom, aż strach pomyśleć. Wszyscy myślimy, że tam jest raj. A tam znów trzeba będzie wysadzać pociągi, wyobrazasz sobie? Bombardować szatana, agitować drobne diabły. Taki to będzie ten raj, te dziewicze hurysy. Słyszałeś o dziewiczych hurysach? (Zasławski pośpiesznie przytaknął, żeby uniknąć kolejnego obrzydliwego wykładu). A najgorsze, że ta służba nie ma końca. Im lepiej

będziesz walczyć, tym bardziej niebezpieczne miejsca ci zaproponują. A jak tam wszystkich powybijasz – znowu cię gdzieś przeniosą, gnoju Pańskiego nigdy nie przerzucisz, jak mawiał towarzysz Bałmaszow<sup>26</sup>... (Towarzysz Bałmaszow to też pewnie było wyjątkowe bydlę). Oto do czego nas przygotowują, rozumiesz, przyjacielu? Dla najgorszych – kopalnie, dla najlepszych – wojenka. Niebiańskie rycerstwo, no nie? Zastanów się w wolnej chwili, czy warto się w to bawić. Cóż, bywaj. Życzę ci szczęścia i zdrowia dobrego. A przede wszystkim – dobrej żony, Rosjanki, i gromadki dzieci. Dzieci, mój drogi, to dla naszych braci Żydów najważniejsza rzecz.

I odszedł.

„Nowy” wręczył Zasławskiemu dokumenty na nowe nazwisko i przydział na pokój w Moskwie. Widać jednak nieźle walczyłem, pomyślał Zasławski – pokój wprawdzie nie był już na Ordynce, tylko w Marjonej Roszczy, ale przecież mogli go upchnąć w ogóle nie wiadomo gdzie, a tak bądź co bądź wracał do miasta swojego dzieciństwa. Nazwisko prawie na pewno należało do człowieka, którego zamierzano w najbliższym czasie aresztować. A może już go wzięli, i albo umarł na torturach, albo wszystko podpisał i pojechał do łagru. Do tych, którzy podpisali, większość mieszkańców Czystego odnosiła się z pogardą, nawet jeśli chodziło o krewnych: pogarda dla tych, co przeżyli, była ich jedynym przywilejem. Mimo to Zasławski nie wiedział, komu było trudniej: czy im, których przez pół roku torturowano, zmuszając do podpisania samooskarżeń – czy tym, którzy natychmiast się przyznali i potem latami męczyli się w kopalniach albo przy wyrębie lasu. Byli zresztą i tacy, którzy wszystko podpisali, a mimo to dostali wyroki śmierci: tak Wódz rozprawiał się z tymi, którym ufał. On w nich wierzył, a oni się złamali podczas pierwszego specprzesłuchania. Zresztą nie mógł przecież marszałków, którzy bądź co bądź sporo wiedzieli, wysyłać do jednego łagru z różnymi szumowinami. Tak w każdym razie rozumował Zasławski, i tak objaśniał to Gołubiew, który w ogóle nie uważał, że musi coś specjalnie ukrywać. Zapewne nie sądził, że ktokolwiek z nich wyjdzie stąd żywy. Stało się inaczej. Nie bez kozery przebąkiwano, że Wódz na starość zlągodniał.

Tak w ogóle to Zasławski zamierzał się w Moskwie zobaczyć z jedną osobą. A raczej z dwiema. Po pierwsze, chciał zobaczyć swoją pierwszą miłość, Irę. Szczerze mówiąc, tracąc niewinność z trockistką Klarą, oczyma duszy widział właśnie ją. W Irze kochał się Marik – jedyny człowiek w klasie, z którym Zasławski naprawdę się przyjaźnił – i skoro Zasławskiego wzięli, Marik na pewno się z nią ożenił. Ima zupełnie nie był tym dotknięty, w Czystem nie miano uprzedzeń, ale bardzo chciał się zobaczyć z przyjaciółmi. „Nowy” uprzedzał, że rozgłaszać informacji o najwyższych sprawdzianach nie należy – ale uprzedzał bez nacisku,



jako że taka wersja istniała już od dawna i plotki o Powszechnym Sprawdzianie na Gnidowatość wałkowano we wszystkich kolejkach. Mieszkańcom Czystego i tak nikt by nie uwierzył – a gdyby ktoś nawet uwierzył i wybrał się do tajnej osady, w jej miejscu znalazłby tylko pustą polanę z pięcioma barakami. Bądź mądry i zgadnij, co tu było – osiedle? obóz? wioska staroobrzędowców? A zresztą komu by się chciało pchać do Omska i sprawdzać...

Zasławski nie był aż tak naiwny, żeby myśleć, że nikt go nie śledzi. Uczono ich rozpoznawać „ogon” (wielu ludzi z Czystego znalazło się potem w wywiadzie), ale najwyraźniej nie nauczono wszystkiego – a i śledzenie miało się chyba zacząć dopiero w Moskwie. Nie bez powodu wydano im przydziały na mieszkania. Wszystkie mieszkania z pewnością są pod obserwacją, ci na górze są przecież ciekawi, jak wypuszczeni się teraz zachowają – czy na przykład nie spróbują mścić się na władzy, która tak się z nimi obeszła... Byli wśród nich świetni dywersanci – ci bez trudu mogliby urządzić w Moskwie niezłe bum, coś w tym rodzaju, co zorganizowali w Pradze (Zasławski do tej pory żałował, że go tam nie było). Może właśnie na przykładzie Czystego rozwiązywano problem, co zrobić na przyszłość z tymi, którzy przeżyli. Właśnie dlatego Zasławski nie zamierzał się na nikim mścić: w odwecie władze mogły po kolei wyróżnić pozostałych. Należało się zachowywać cicho – w każdym razie dopóki nic się nie zmieni. A Zasławski poważnie podejrzewał, że nigdy nic się nie zmieni: system filtracji działał bez zarzutu. Tym, którzy przeżyli, nie chciało się już nikogo obalać. W ich pośmiertnej egzystencji nie było ważne, do kogo należy władza: istota władzy jest zawsze ta sama, i ci, którzy byli na dnie piekła, dobrze to rozumieli. A ci, którzy jeszcze przechodzili najwyższy sprawdzian, wierzyli w Potworne Nieporozumienie, mieli się jeszcze czego bać, mocno trzymali się życia – tak że po nich nie trzeba się było obawiać nieposłuszeństwa.

Właściwie Ima nie miał po co spotykać się z Irą i Marikiem. Chciał tylko wiedzieć, czy już ich brali, czy jeszcze nie. Bardzo możliwe, że jeszcze nie brali. Tych, którzy walczyli jak należy w niebezpiecznych miejscach, mogli nawet nie ruszyć, zaliczając im jako próbę doświadczenia bojowe. Tych jednak, którzy uniknęli frontu, bo zostali wyreklamowani albo innym chytrym sposobem, władze powinny ciągać na całego. Z pewnością Wódz kolejny raz tasował swoją talię, strącając w otchłań tych, którzy znaleźli się na górze. Jeśli Marika jeszcze nie aresztowali, trzeba mu było delikatnie wyjaśnić, że to czeka wszystkich i że w miarę możliwości musi się trzymać twardo. Tortury nie trwają w nieskończoność, na śmierć nie zamęczą – oczywiście jeśli Marik nie był teraz zbyt słaby – a po półrocznych męczarniach zacznie się całkiem przyzwoite życie z perspektywą powrotu, więc nie należy niczego podpisywać. To było wszystko, co chciał mu powiedzieć. Naturalnie, dzielić się tym z Irą nie

zamierzał: jest kobietą, trudniej jej będzie utrzymać język za zębami. Musiał rozmawiać z Marikiem. Należało jakoś go przekonać, że po aresztowaniu nie ma sensu się bać – najgorsze już się stało – i trzeba żyć dalej, raz na zawsze uznawszy siebie za zmarłego. Ima Zasławski przeczytał kiedyś w ojcowskiej bibliotece książkę o wojowniczych samurajach i co nieco z niej zapamiętał. Marik był jego przyjacielem, godnym tego, by znaleźć się w takiej osadzie jak Czyste, a nie gnić w takim mieście jak Magadan.

Nowy adres Marika Ima znalazł nad podziw łatwo. Już w pierwszym biurze adresowym wskazano mu dom w pobliżu Parku Kultury. Ruszył tam od razu – coś nie pozwalało mu najpierw pojechać do Marjinej Roszczy. Tam, jak podejrzewał, wszystkie sprzęty pachną jeszcze poprzednim właścicielem.

Irę od razu poznałby na ulicy. Jak wszystkie niesforne dziewczyny, rozkwitła, ale prawie nie przytyła i nie zbladła przez te dziesięć lat, kiedy się nie widzieli. Była kobietą w całym blasku dwudziestoosmioletniej urody, gospodarną i zręczną, doskonałą panią domu (wystarczyło mu jedno spojrzenie do wnętrza mieszkania). Kto inny po życiu w baraku, w okopach, a potem po pięciu nocach w pociągu uznałby za luksus najskromniejsze wnętrze, ale sowieckie książątka miało wprawne oko i wymagający gust. Marik miał szczęście. Ima dobrze zgadł: rzeczywiście się pobrali. Któż inny by na nią zasługiwał, jeśli nie najlepszy przyjaciel Imy Zasławskiego?

Ona też natychmiast go poznała i był to najlepszy dowód na to, że byli sobie przeznaczeni, tylko wyszło inaczej.

– Ima! – Upuściła ściereczkę. – Imka! Gdzieś ty był?!

– Ech, Ira – odpowiedział (zdawało mu się, że dziarsko, ale wypadło gorzko). – Łatwiej powiedzieć, gdzie nie byłem.

– Ależ wchodź, wchodź, zaraz coś zjesz! (Rzeczywiście, pachniało domowym jedzeniem. Nie, tam, w Czystym, nie pozwalał sobie nawet na sekundę słabości, ale tu, w Moskwie, były chyba jeszcze rzeczy mogące go zmiękczyć – rzeczy, których nie można sobie wyobrazić na odległość, ponieważ rozkoszuje się nimi ciało, a ciało nie ma wyobraźni: wanna z gorącą wodą i pianą, morze, jedzenie, które w rzeczywistości zawsze okazuje się smaczniejsze niż w najbardziej głodnych wyobrażeniach). Zaraz wszystko będzie gotowe.

– Iroczo, śpieszę się. Chciałbym porozmawiać z Marikiem, coś mu przekazać.

– No więc wejdz wreszcie! Marik jest w Ałma-Acie, w delegacji. Buduje hotel. Ciągłe jest w rozjazdach, nie pamiętam już, kiedy był w domu dłużej niż tydzień...

Szansa, odnotował machinalnie Zasławski. Gdybym został, ona wieczorem jest moja. Oprócz jednookiej Klary miał wiele kobiet – w Europie pod koniec wojny nikt nie robił z tym

cerewili. Ale Ira była kobietą jego życia i mógł wziąć, co jego. Co prawda potem, gdyby doszło do tego, na co nie miał w swoim słowniku określenia, musiałby z nią rozmawiać, a na razie nie wiedział, co jej powiedzieć.

– Nie, Ira, jeszcze tu wpadnę. Mówisz, że za trzy dni?

– Ale teraz przynajmniej zostań na obiedzie! Co ty, zaraz chcesz iść?

Podniósł walizkę, w której miał tylko bieliznę na zmianę, i ruszył do windy.

– Ima! – zawołała za nim swoim dawnym głosem. – A pamiętasz, jak wyrzuciłeś mi z pociągu list? „Pociąg pędzi w dal, a ja – w nieznane”.

Zadrzał jak rażony prądem. Całe poprzednie życie nagle wróciło wraz z tym jednym zdaniem – i nagle zrozumiał, co mu odebrano. Żadna doniosłość misji nie kompensowała takiej straty. Przypomniał sobie gorący przedział pierwszej klasy i wiecznie zrządzającą siostrę, która wyszła za mąż za lotnika, wyjechała na Daleki Wschód, a po roku umarła na zapalenie mózgu, i siebie, ósmoklasistę, na dwa lata przed zniknięciem – jak wyrzuca list, którym owinał podniesiony jeszcze na dworcu kamień. Za oknem szybko przemknęły mokre zarośla kłujące nawet z wyglądu – ich sylwetki czerniały na ciemnogrnatowym niebie czerwcowej nocy – i siostra zamknęła okno. Nigdy tego nie wspominał. Wspominać podczas sprawdzianu znaczyło od razu przegrać, rozmazgać się, wyięknąć, pozwolić sobie na rozumienie tego, co się dzieje. To było niedopuszczalne. A potem, po uderzeniu, po którym na całe życie ogłuchł na jedno ucho, wspomnienia w ogóle przychodziły rzadko i stały się niewyraźne.

Umiał jednak wziąć się w garść.

– Pamiętam – rzekł Ima Zasławski, obecnie Grigorij Abramienko. – Wiesz, tyle rzeczy zapomniałem, a to pamiętam.

Nadjechała winda.

Poszedł do Parku Kultury, zjadł lody (miał jeszcze pieniądze, a „Nowy” obiecał, że nie będzie problemów ze znalezieniem pracy: w dowodzie przybito specjalną pieczętkę, przyjmą go na uczelnię, a jeśli zechce, do jakiegoś zakładu produkcyjnego). Przespacerował się przez Nieskuczny Sad. Myślał, żeby zajrzeć na Ordynkę, ale postanowił sobie tego oszczędzić. Wystarczył już ból nieznośnie wyraźnego wspomnienia, które przywróciła mu Ira. A ciekawie byłoby popatrzeć na te ścierwa, które mieszkały w jego mieszkaniu. Tu przywołał się do rozsądku: już od ośmiu lat nie myślał o nikim z taką palącą nienawiścią.

Miasto było w rozkwicie, ale ludzie wydawali się jacyś przykurzeni, przybici. W jego czasach wszyscy byli barwniejsi. Najpierw przypisał to wojnie, potem uświadomił sobie, że co najmniej połowa kraju przeszła już sprawdzian, a to nie dodaje radości życia.

Było wiele nowych domów, całych szarych, podobnych do postawionych pionowo

baraków, i wiele rozpoczętych budów. Zasławski nie mógł pojąć, po co tyle budować, skoro i tak po sprawdzenie pozostanie najwyżej jedna czwarta ludności. Pozostali, nawet jeśli będą gdzieś mieszkać, to już z pewnością nie w stolicy. Ile czasu może zająć eksperyment? Mniej więcej piąta część ludności poległa na wojnie, drugie tyle przefiltrowano przed wojną – czyli wszystko się skończy za jakieś dwadzieścia lat. Czy Wódz pożyje jeszcze dwadzieścia lat?

Ale wobec tego dla kogo budują te domy? Czyżby ich wszystkich mieli naprawdę wypuścić – tych, którzy wytrzymali, i tych, którzy się złamali, tych, których przez rok okaleczano, a potem przez dziesięć lat uczono zabijać, i tych, którzy podlizywali się kryminalistom, opowiadali z dalszym ciągiem powieści Gustave’a Aimarda<sup>27</sup>, wysługiwali się bandytom, jak się kiedyś wygadał Gołubiew? Przecież kiedyś odsiedzą wyroki, a niektórzy pewnie już odsiedzieli – i teraz chodzą w tym samym tłumie, co on? Posępni ludzie, którzy umieją milczeć; ludzie nauczeni cierpliwości. Sprawdzian miał na celu rozdzielenie narodu na pierwszych, niezgadających się podpisać niczego, i drugich, gotowych podpisać wszystko. Jedyne pytanie, to z których jest więcej pożytku: pierwsi nadają się na wojnę, drudzy na pokój. Ale jak będą koegzystować?

Natychmiast odegnał tę myśl. Oczywiście, nikt nie wróci. Mieszkańców Czystego wypuszczono tylko dlatego, że nie stanowili już zagrożenia, a Wódz miał jednak w sobie pewną wielkoduszność. Czy może była to wdzięczność. Oni nigdy nikomu nic nie opowiedzą, niczego nie będą próbowali zmieniać: jest ich zbyt mało, a poza tym większość po pewnym czasie usprawiedliwiła wszystko, co się stało. Bo jak można żyć bez takiego usprawiedliwienia? Człowiek, który rozpalonym gardłem łykał mocz przesłuchujących, musiał sobie wmówić, że wszystko to robiono z nim w jakimś wielkim celu. I w Czystym prawie nikt nie chciał się mścić – wszyscy zaakceptowali swój los, a niektórzy nawet go błogosławili. Takich ludzi można zwalniać bez obaw – czy do Czystego, czy z powrotem do domu. Co innego woły robocze, które same się oskarżyły, teraz powoli dogorywające na Syberii: niewolnicy są potrzebni zawsze, a zwalniać ich nie ma po co i za co. Ludzie drugiego sortu nie interesowali Wodza. Ale czy to by znaczyło, że domy buduje się ot, tak – bez nadziei na zasiedlenie? Zasławski aż się uśmiechnął, że taka prosta myśl nie przyszła mu do głowy. Budują dla samego budowania, tak jak ich męczono dla samego męczenia, a wcale nie po to, żeby się do czegoś przyznali. Rezultat już dawno przestał być ważny – dominował sam proces.

Co prawda, z pochmurnych twarzy, na których już dawno nie było żadnego entuzjazmu, tylko zmęczenie i smutek, Zasławski z łatwością mógł odgadnąć, że bez względu na to, czy Wódz jest wieczny, czy nie, jego przedsięwzięcie z pewnością nie jest wieczne. Ludzka rasa, niezahartowana w Czystym, była wciąż tą samą biedną ludzką rasą; podczas gdy oni,

nienadający się teraz do życia i bezużyteczny pobór z trzydziestego ósmego roku, znali jednak i prawdziwe namiętności, i prawdziwy ból – mieszkańcy owego terrarium, którym teraz stała się Moskwa, w ogóle nie doznawali uczuć, żyli podróbkami. Najwyższy sprawdzian może jeszcze mógłby zrobić z nich ludzi, ale to raczej wątpliwe. I dlatego wcześniej czy później musieli się uwolnić spod hipnozy tego życia – nie zbuntować się, ale po prostu niemrawo wypełznąć, najpierw przestać chodzić do roboty, a potem po prostu przestać zajmować się nawet sobą – i będzie to nie triumf swobody, ale wyraz nieskończonej nudy i zmęczenia. Będzie to zwycięstwo zgnilizny, albowiem żelazo może pokonać tylko rdza – wszystko inne jest wobec niego bezsilne.

Tak oto, kiedy Zasławski chodził po parku, wzbierało w nim najpierw rozdrażnienie, a potem żywa, paląca wściekłość, której przyczyn sam początkowo nie rozumiał, ale siedząc na ławce wśród zakurzonych krzewów dawno przekwitłego bzu, nagle pojął. Kochał Irę, bardzo kochał. Wspomnienie dawno zbladło, ale żywa Ira była na wyciągnięcie ręki. A wraz z nią, z jej żywym urokiem, odżyły i nienawiść do Marika, do której nie przyznawał się sam przed sobą, i pragnienie życia, na które już nie miał nadziei.

Gniew umiera ostatni, wiedział o tym: żyje, kiedy wszystkie uczucia już dawno obumarły. I dlatego jego zmartwychwstanie zaczęło się od powrotu żywego gniewu, dawno wypartego przez spokojną, zwykłą nudę. Gniew bulgotał mu w gardle, nie wiedział, co z nim robić. Złamał gałązkę, znów usiadł na ławce. Musiał się uspokoić. Bo przecież co się tak naprawdę stało? Kiedy z niego robiono elitę kraju, ostatnią jego nadzieję, kobieta, przeznaczona mu przez sam los, trafiła w ramiona innego. To nie wchodziło w rachubę, tego nie wzięto pod uwagę. W końcu nikt nie jest winien, że wzięto go pierwszego. Że Marika to nie ominie – nie ma wątpliwości. Ale wówczas grozi to również jej, a wtedy on znów ją utraci. To już było zupełnie nie do pomyślenia; wstał i szybko ruszył do wyjścia. Musiał natychmiast coś zrobić, dokądś iść, tracić siły, uspokajać krew uderzającą do głowy.

Stop, stop. Ale czy biorą wszystkich? A dzieci? Wiedział jednak, że akurat w trzydziestym ósmym, w którym sprawdzian osiągnął nieprawdopodobne rozmiary, zdjęto ograniczenie wiekowe również dla dzieci: brano je od dwunastego roku życia, a niekiedy nawet dziesięciolatków... Gdy był na froncie, docierały do niego słuchy o dziecięcym łagrze z mnóstwem więźniów – jak to było w tej balladzie? – „Chłopcisku życia nie szkoda, umrzeć dla niego to nic, sprzedawać własne sumienie przy nim byłoby mi wstyd”<sup>28</sup>. (Sprawdzić, kiedy to zostało przetłumaczone, powiedział sobie Rogow). Z tych dzieci wyrastali potem wspaniali dywersanci, tak zwani synowie pułków, o pochodzeniu których nie potrafiono potem wymyślić ani jednej przekonującej legendy. Dzieci, aresztowane w trzydziestym ósmym, o trzy lata

młodsze od niego, w czterdziestym pierwszym dokonywały cudów – osiemnastoletni Matrosow<sup>29</sup>, wsadzony właśnie wtedy, stał się legendą, chociaż o tym, że był aresztowany, nigdzie, rzecz jasna, nie wspominało. Tak, skoro biorą dzieci, to ona tym bardziej nie ma najmniejszych szans: jak wszystkich – to wszystkich. Chyba że...

On, który w ciągu dziesięciu lat przywykł uważać sprawdzian za jedyny ratunek dla otoczonego przez wrogów kraju, on, który w pierwszych swoich dniach w Czystem z lubością wyobrażał sobie, że będzie ją miał każdy z dawnych szkolnych kolegów i każdy wstrętny łobuz z podwórka – sam teraz nie dostrzegał, że w myślach zaciekle broni Iry przed wspólnym nieszczęsnym losem.

Są rzeczy, których nie sposób sobie wyobrazić nawet przy najbujniejszej fantazji. Trzeba je zobaczyć, poczuć, a wyobrażać sobie nie ma sensu – zacierają się już przy trzecim wspomnieniu, a trzeba gigantycznego wysiłku, by je wskrzesić na nowo. Widok żywej Iry sprawił, że zrozumiał, co w niej wtedy widział. Teraz była ta sama i jeszcze piękniejsza. Gdyby wszystko ułożyło się inaczej, mógłby przy niej zasypiać, chronić ją, jeździć z nią na południe, uczyć pływać, budzić ją rankami. Mógłby to wszystko, a teraz może jedno – uczynić lżejszą jej próbę... chociaż... co chociaż? Godzinę temu wyśmiałyby każdego, kto by chociaż marzył o sprzeciwie i ucieczce.

Zasławski jeszcze nie wiedział (nie miał kiedy się o tym dowiedzieć), że należy do tej szczęśliwej i nielicznej grupy ludzi, których w dawnych czasach nazywano pozytywnymi: miłość wyobrażał sobie jako królestwo wzajemnego zaufania i ciepła. Dlatego też myśli, jakie przychodziły mu do głowy w związku z Iry, były spokojne i łagodne – Krym, wspólne zasypianie i budzenie się, dzieci... Zwyczajne myśli człowieka żonatego, kochającego dzieci i żonę – naszego brata Żyda, cholerny major miał rację. Ima nigdy nie miał czasu na zastanawianie się nad swoją nieprzewyższoną naturą i dopiero teraz odezwał się w nim straszny, głuchy instynkt obrony własnego gatunku. Przecież nie trockistkę Klarę miał chronić dla przyszłego życia.

Zaraz, zaraz. Oczywiście, jeżeli najpierw wezmą Marika... dzieci na razie nie mają? Nie. To nie była pora na dzieci. Jeśli wezmą Marika, wszystko będzie proste (mimoходом odnotował pewną dwuznaczność, a nawet podłość tej myśli – ale Zasławskiego przecież wzięli, a w czymże Marik jest lepszy?). Wtedy on znajdzie się obok, poda pomocną dłoń, ona się przyzwyczai, będzie mu wdzięczna za pomoc i ochronę i wszystko samo się ułoży. Ale jeśli wezmą najpierw ją? Cholera, trzeba wyjechać, wyjechać: wracając z Omska i wyglądając przez okno pociągu, widział gigantyczne, niewyobrażalne przestrzenie, do których dotarto by w ostatniej kolejności, a może w ogóle by nie dotarto. Trzeba im

powiedzieć, żeby wyjechali, i wyjechać razem z nimi... a z drugiej strony, dlaczego z nimi? Z nią. Ona z nim pojedzie, widział to w jej oczach. Pójdzie do niej jutro. Wracać dzisiaj byłoby niezręcznie, zresztą trzeba działać rozsądnie, z rozwagą. Marik będzie w Ałma-Acie jeszcze przez parę dni, można przez ten czas wiele osiągnąć. Był teraz absolutnie przekonany, że myśli tylko o jej ocaleniu, a nie o własnym szczęściu.

Nagle poczuł głód; nigdy od czasów szkoły, kiedy co sił w nogach pędził do domu, wymachując czarną, skórzaną zagraniczną teczką, tak bardzo nie chciało mu się jeść. Właśnie zniesiono kartki, otwarto kilka nowych jadłodajni; jedna, w pobliżu parku, nazywała się „Południowa”. Zjedzmy więc coś południowego. Z dań kuchni kaukaskiej była jednak tylko kasza manna i zapiekanka makaronowa – niech będzie zapiekanka. Matka robiła boską zapiekankę. Wtem, po raz pierwszy od dziesięciu lat, niezwykle wyraźnie przypomniał sobie to danie; a jak matka go namawiała, żeby jadł! Jak go kochała! Ale i on ją kochał, był dobrym synem. Olbrzymi nadmiar tej miłości do dziś czekał nietknięty na dnie jego świadomości; część tej miłości przerodziła się w nienawiść, co pomagało mu walczyć, ale jej główny kapitał nie uległ degeneracji i jak zakopany złoty skarb czekał na swoją godzinę. Teraz ten nadmiar należało przenieść na drugą istotę, bo takie jest prawo życia i innego nie ma.

Na te zadziwiające myśli mogła go naprowadzić tylko zapiekanka – kwaśna, oślizgła zapiekanka, delikatna, bosko topniejąca w ustach.

Dopiero kiedy zaczęło się ściemniać, Zasławski pojechał do Marjinej Roszczy rozklekotanym tramwajem, wyjącym z wysiłkiem przy nabieraniu prędkości, niczym startujący samolot. Tramwaj był prawie pusty, zdecydowanie przedwojenny, ze ślizgającymi się po poręczach skórzanymi pętlami, na których tak niewygodnie się wisało – ale w ścisku moskiewskich tramwajów zazwyczaj można się było obejść bez poręczy: podtrzymywał człowieka tłum. Teraz Zasławski jechał sam, jeśli nie liczyć dość paskudnego dziadygi na tylnym siedzeniu i młodej parki z przodu. Oglądali się na niego: widać zwracała uwagę znoszona płócienna marynarka, kupiona w Omsku na starzyźnie, i chudość. Przed wojną Ima Zasławski nigdy nie był w Marjinej Roszczy. Rejon ten miał złą sławę, jak prawie wszystkie moskiewskie peryferie. I rzeczywiście wyglądał ponuro, ale nie była to romantyczna mroczność szkolnych legend, tylko ubóstwo spłaszczonego, nędznego życia, w którym musiały kipieć szczególne, spłaszczone jak kaszkiet i równie brudne namiętności.

Wycofany, zobojętniały Ima dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo odwykł od ludzkiego życia i jak bolesny będzie dlań powrót do niego ze świadomością, że po kolejnym najwyższym sprawdzianie (gdzie gwarancja, że ten był ostatni?) może w jednej chwili wszystko utracić. Przez pół roku go torturowali, przez dwa lata uczyli zabijać, przez pięć lat zabijał, kolejne

dwa lata przeżył jak we śnie i nic nie wiedział o ludzkim życiu. W życiu ludzkim była nie tylko twarda kość, do której było podobne całe jego życie, ale i żałosna tkanka miękka, o której zabraniał sobie myśleć. Mógł sobie pozwolić pożyć tym życiem, ale, ale, ale?! Znał jego kruchość i krótkość, wiedział, jak w jednej chwili może się rozpaść od jednego dzwonka do drzwi, wiedział, jak to jest nasłuchiwać dźwięku silnika pod oknami – i nie był już teraz taki pewien, że chce przez to wszystko przechodzić po raz drugi. Życie jest skończone i jeżeli ma je wznowić, to na pewno nie w zatęchłym i podatnym na ciosy ciepełku. Trzeba spróbować inaczej – może podróżować? Ryzykować? Przede wszystkim – musi być sam, by uniknąć pokusy słabości, żeby nikt nie mógł go szantażować cudzym losem, żeby na wypalonym polu nie pojawiły się nowe kielki. Byłoby głupio znów dać się pogrążyć. Ale tu przypomniał sobie Irę i zrozumiał, że już dokonał wyboru, że za późno na zastanowienie.

Zdażył sto razy odtworzyć sobie w myśli wszystkie szczegóły rozmowy z nią, przypomniał sobie, jakim złotym blaskiem zalśniły jej oczy, jak go namawiała, żeby został – nie bez ukrytej intencji, na pewno; tak, myślała o nim przez wszystkie te lata, skoro pamiętała nawet jego list wyrzucony z pociągu – co do tego nie ma wątpliwości! Wszystkie inne warianty życia natychmiast wydały mu się głupie i niemożliwe. Podróżować, ryzykować... w imię czego właściwie miałyby ryzykować? Będąc jeszcze na pół dzieckiem, osiemnastoletnim skatowanym więźniem, dochodzącym do siebie w zamkniętym sanatorium pod Moskwą wraz z setką takich jak on nieugiętych moskwian z Łubianki i innych więzień, całymi dniami leżąc nieruchomo na łóżku i nabierając jakiego takiego wyobrażenia o przyszłości, to jest po raz pierwszy od pół roku pozwalając sobie o niej myśleć – Zasławski marzył: niech no tylko wyjdę, zemszczę się... Na kim miałby się mścić i gdzie była granica między sprawdzianem a podłą samowolą drobnych płotek? Istniała gdzieś w pierwotnej realności, ale w realności prawdziwej, o której przy pożegnaniu napomykał major, nie było jej. Każda próba była sprawdzianem, a ucieczka przed nim była równie bezsensowna, jak wstawianie się za aresztowanym. Dalej wybór należał do ciebie: poddaj się albo się broń. Zasławski wybrał, teraz będzie się bronił. Szczerze pożałował tych, którzy wejdą mu w drogę.

Tramwaj skończył bieg. Dziadyga poinformował Imę, że od pętli ma jeszcze dziesięć minut drogi przez podwórza, no, może pięć, jeśli będzie szedł szybko... Szybko iść się nie dało – pantofle obcierały mu nogi nawykłe do wojskowych butów, a zresztą nachodził się przez cały dzień. Wskazując punkty orientacyjne, dziadyga przyglądał mu się z dziwną uwagą – i Zasławski nagle znów, po raz trzeci tego dnia, pomyślał, że jest śledzony. Pamiętał instrukcje „Nowego” na wypadek kontroli dokumentów, aresztowania czy jakiegoś innego ulicznego nieporozumienia z milicją. Hasło miał w kieszeni na piersiach, wydano mu je przy wyjeździe



z Czystego. „Nowy” zapewniał, że organa w całym kraju są uprzedzone. Zasławski wyjął okrągłe kieszonkowe lusterko i pokazał je dziadydze.

Ten studiował przez chwilę własną nieogoloną fizjonomię, a potem podniósł wzrok na Zasławskiego:

– Sprzedajesz pan? Nie interesuje mnie to.

– Szkoda – powiedział odruchowo Zasławski i schował lusterko z powrotem do kieszeni.

Na podwórzach pachniało mokrym listowiem. Kilka razy Ima zmuszony był obchodzić suszące się pranie rozwieszane na sznurach między drzewami. Niebo było ciemnogrnatowe, niebo późnego czerwca, ale jednak nie takie, jak dwanaście lat temu, kiedy wyrzucał list. Wówczas patrzył na nie z przedziału pierwszej klasy, na tym polegała różnica.

– E, słuchaj! – zawołał ktoś za nim.

Ani przez sekundę nie wątpił, że okrzyk jest adresowany do niego. Nikogo więcej w pobliżu nie było. Ledwie rozróżniał w mroku ciemne, jednopiętrowe domy. Marjina Roszcza w legendach jego dzieciństwa słynęła z braku latarni i pod tym względem nic się nie zmieniło. Ludzi jednak potrafił dostrzec w najgęstszych ciemnościach – pożyteczny nawyk – i niebezpieczeństwo także wyczuwał od razu. Niebezpieczeństwo było, niezbyt poważne, ale było.

– Nie słyszy – powiedział głos z tyłu. – Głuchy.

Zauważył, że szybko go okrążają i że będzie musiał się bić z pięcioma, a może nawet sześcioma napastnikami, a co do ich zamiarów nie miał żadnych wątpliwości. Jednego widział przed sobą wyraźnie, mężczyzna przysunął się bliżej, z ust zalatywało mu czosnkiem. Tak samo ział na niego jego pierwszy śledczy (wykazał się jednak słabym charakterem i do roboty wziął się inny). Chłopak stojący przed Zasławskim był w kaszkiecie nisko nasuniętym na czoło, takim właśnie, o jakim Ima myślał, jadąc tutaj. Twarz była gładka, okrągła, spokojna, ze złamanym nosem. Zasławski często widywał takie twarze.

Gdyby był zwyczajną ofiarą, popastwiliby się nad nim i dobili, bo oszczędzanie późnych przechodniów w Moskwie czterdziestego ósmego roku nie było przyjęte. A już na pewno nie darowaliby mu zawodu, zawód zaś był nieunikniony – w walizce Zasławskiego nie było nic poza zmianą bielizny i codziennego uniformu noszonego w Czystem (czarny, bawełniany mundur polowy, wysokie buty, onuce). Pieniądzy wystarczyłoby jeszcze na miesiąc oszczędnego życia. Zaczepiono go chyba tylko dla samej bójki. Zasławski dzięki instynktowi wytrawnego dywersanta wiedział, że zaraz złapią go od tyłu za ręce. Stojący przed nim chłopak miał nóż – Zasławski go nie widział, ale zgadywał.

W takich minutach, a raczej sekundach, myślał bardzo szybko. Feinstein był oczywiście

przygłupi, ale Gołubiew znał swój fach, a i inni instruktorzy byli bez porównania lepsi od tych w zwykłych jednostkach. Zasławski się nie bał. Mignęła mu jednak myśl: a jeśli go sprawdzają? Jeśli ten dziadyga go śledził? Jeśli zameldował? I teraz sprawdzają, jak się zachowa – pozwoli się maltretować, jak dziesięć lat temu, powali napastników czy zacznie wzywać pomocy? Czyste trwało nadal, nie było od niego ucieczki. Wyrwał się na parę godzin, uskrzydliło cię, rozmarzyłeś się – no to masz. Był w wiecznej ewidencji, wiecznie sprawdzany, i tacy właśnie przyplaszczeni ludzie zionący czosnkiem mieli go dręczyć, testując jego twardość. To był ich przywilej, niczym nie gwarantowany – bynajmniej nie wszyscy oni wytrzymywali najwyższy sprawdzian. Przecież nikt ich nie uprzedzał, że sprawdzian dotyczy wszystkich. I teraz uważali, że ludzkość będzie się dzielić na tych, których testują i na testujących, którzy mają to prawo od urodzenia. Ktoś jednak powinien im to wytłumaczyć.

Tak czy owak, nigdy nie zaszkodzi się zabezpieczyć. Była jeszcze szansa na uniknięcie konfrontacji (Ira! Ira!); Zasławski sięgnął po lusterko i zauważył, jak przywódcy w kaszkiecie błysnęły oczy. Pewnie uznał, że ofiara sięga po pieniądze. Zasławski wyjął lusterko i uniósł je do oczu herszta. Ten zagapił się na nie, nic nie rozumiejąc.

– Oślepia, drań! – krzyknął do swoich, chociaż kogo mogło oślepić kieszonkowe lusterko w ciemnościach bez jednej latarni?

Nie, zrozumiał Zasławski, to nie sprawdzanie, musi uderzyć pierwszy, i to zaraz. Wytrącić lusterka już sobie nie pozwolił. Jego refleksem zachwycał się nawet Feinstein, który rzadko kiedy się czymś zachwycał. Skąd się to bierze u tych moskiewskich chłopaczków?

Rogow przyłapał się na tym, że rekonstruuje ten epizod według najlepszych tradycji współczesnego kina akcji, którego bohaterem nieodmiennie jest doskonale wyszkolony, ściśle tajny sowiecki agent z jakiejś ostatniej rezerwy, o której istnieniu przekonany był każdy mieszkaniec Imperium. Kiedy wyglądało na to, że wszystko zaraz się skończy, w ostatniej chwili wprowadzano w życie ostatni, arcysekretny plan, albowiem mieszkaniec Imperium nawet nie dopuszczał myśli, że nie wszystko zostało przewidziane. W thrillerach, których pełno było na straganach i w kioskach, działał oficer – z jakiegoś powodu najczęściej major – z rozformowanego, ściśle tajnego pododdziału, przeznaczonego właśnie do działań w ostatecznych, ekstremalnych warunkach. I może ta nadzieja – także bardzo sowiecka, skąd bowiem miałyby się wziąć inna – obudziła w Rogowie pragnienie odnalezienia Czystego. Tam właśnie ukryte było drugie dno Imperium, jego ostatnia rezerwa, która uchroniłaby je od całkowitego rozkładu i ostatecznego rozpadu. Czymże dla człowieka z Czystego było tych pięciu typków?

Strategia Zasławskiego była prosta: wystarczy załatwić jednego, a pozostali uciekną.

Wiedział, że poważny przeciwnik jest jeden – ten, którego miał przed sobą. Błyskawicznie schował lusterko do kieszeni i rzucił się na herszta; rzeczywiście musiał walczyć z pięcioma, nie pomylił się, ale uczono go dobrze. Nie uczono tylko jednego – cofać się, jako że od straceńca takich rzeczy nie oczekiwano. Kilka razy w krótkiej bójce czuł palący, oślepiający ból – ale Zasławski lubił ból. Kiedyś nawet odpowiedział sobie na pytanie dlaczego: ból przypominał mu o więzieniu, o przesłuchaniach, o czasach jego bezwarunkowej prawości. A także – już w Czystym, w czasie szkolenia – czynił z niego bestię: to było upajające uczucie. Kiedy doszedł do siebie, trzech napastnicy leżeli na ziemi – jeden jeszcze jęczał, dwaj inni milczeli i nie ruszali się. Pozostali (dwaj, jak oceniał) gdzieś pobiegli – może po odsiecz, a może po prostu uciekli.

Zasławskiemu aż wstyd się zrobiło, że wziął ich za sprawdzających. Były to zwyczajne bandziory – z takimi poradziłby sobie z łatwością każdy wyszkolony komandos, a co dopiero nieboszczyk. Grupa Zasławskiego bywała w znacznie gorszych tarapatach. Zasławski tylko przez chwilę czuł tę dziką, rozkoszną wściekłość, która zrodziła się w nim po torturach, ale dochodziła do głosu tylko w walce. Wódz jednak wiedział, co robi, przepuszczając ich przez swoją maszynkę do mięsa – nic dla nich nie istniało: ani miłość, ani strach – ale istniała wściekłość. Gnieździła się gdzieś jeszcze przed torturami, ale o niej nie wiedzieli. Teraz wiedzieli.

Zasławski pochylił się nad przywódcą w kaszkiecie. Był niewątpliwie martwy, z gardła sterczał mu jego własny nóż. Takich rzeczy Gołubiew uczył przede wszystkim. Drugi też był załatwiony, trzeci zwijał się na ziemi. Zasławski go nie dobijał.

Ten trzeci należał do dobrze mu znanego typu – takich pełno było także na Ordynce w czasach jego dzieciństwa, chociaż, kierowani jakimś odwiecznym słuźalczym instynktem, sowieckich książąt nie tykali. Był to chłopak o delikatnej, dziewczęcej buzi z szeroko rozstawionymi oczami i niemal bez włosów na podbródku i ciele. Tacy byli najgorsi, i taki właśnie był drugi śledczy Zasławskiego. Odznaczał się tym, że z niesamowitą łatwością i zupełnie niespodziewanie potrafił przejść od życzliwości do pasji: zwyczajny bandyta (a takich Zasławski poznał, kiedy go wpakowali do kryminalistów), żeby się wprawić w szal, potrzebował lekkiej hysterii, a ci różowi i milutcy zadawali pierwszy cios, nie przestając się uśmiechać. Mieli w sobie coś homoseksualnego i starożytni herosi, ideały męstwa i urody w rodzaju Patroklesa z jego dziewczęcym rumieńcem i równie dziewczęcą skłonnością do kpin, zapewne byli właśnie tacy. Zasławski podejrzewał, że są niezwykle sentymentalni – na biurku jego drugiego śledczego stała fotografia córki z pluszowym misiem, a oprych tego samego pokroju, z którym siedział w celi, przepisywał do zeszytu teksty piosenek

i wyśpiewywał rzewnie jakieś tęskne ludowe pieśni. W ogóle zdumiewające było u nich to zamiłowanie do folkloru – barwnych słówek, jakichś smętnych, babskich pów; tkliwość, z jaką zabijali, i rozkosz, z jaką się znęcali, świadczyły o prawdziwym, czystym sadyzmie, graniczącym z czułością wobec ofiary. Drugi śledczy często nazywał Zasławskiego gołąbeczkiem i uśmiechał się słodko, łamiąc mu palce. Zasławski stał przez jakieś dziesięć sekund, wpatrując się w wykrzywioną twarz pięknisia. Ten zwijał się z bólu i skomlał, też po babsku, ale nawet w tym skomleniu Zasławski wyczuwał grę, owo charakterystyczne komedianctwo i udawanie, bez którego różowe przyjemniaczki nie robiły nawet kroku. Chociaż jeżeli ten tutaj nawet udawał, to nie bardzo. W Czystem szkolono rzetelnie i pięknie zapewne nie dociągnąłby do jutra.

Długo tutaj sterczeć jednak też nie należało. Za minutę zbiegną się tu ludzie – odsiecz albo milicja. W ciemności oczywiście nie zdołali mu się dobrze przyjrzeć, ale na pewno dobrze zapamiętali na przykład płócienną marynarkę, z której zresztą niewiele zostało. Zasławski ściągnął ją i pozostał w spranej koszuli, kupionej również wtedy i w tym samym miejscu. Nie było sensu iść pod wskazany adres. I w ogóle odechciało mu się już mieszkać w Marjonej Roszczy.

Podniósł walizkę i pobiegł z powrotem na pętlę tramwajową. Stał tam samotny tramwaj świecący w coraz gęstszych, wilgotnych ciemnościach – najwyraźniej ostatni. Pół godziny później Zasławski był już na dworcu.

Przy kasach nie zauważył nic podejrzanego. Chyba nikt go nie śledził. Pięć minut później kupił bilet do Omska. Było to jedyne miejsce, do którego mógł wrócić – pokusa spokojnego życia zniknęła sama przez się. Żałował tylko, że nie porozmawiał z Marikiem. Trzeba go przecież jednak ostrzec. No nic, napisze do niego z drogi.

Pociąg do Omska odjeżdżał o drugiej w nocy. Wszystkie pieniądze Zasławski wydał na bilet. Ale to nic strasznego, w pociągu nie dadzą mu umrzeć z głodu. Pociąg pędzi w dal, a ja – w nieznane, pomyślał. Też mi nieznane.

W wagonie ludzie długo nie spali, gawędzili z ożywieniem, jak zawsze w pierwszej godzinie podróży nocnym pociągiem. Zasławski poprosił ładną współpasażerkę – chyba studentkę – o kartkę z notesu i pióro i zaczął pisać list do Marika z zamiarem wrzucenia go do skrzynki na najbliższej stacji, ale po napisaniu pierwszej linijki zrozumiał, że nie ma sensu pisać. Oddał pióro, zmiął kartkę i wyszedł na platformę zapalić. Szyba była wybita. Zasławski wyjął lusterko, owinął je pogniecioną kartką i cisnął w przemykające krzaki.

- 
- <sup>22</sup> Po 1946 roku Kaliningrad, pol. Królewiec (przyp. tłum.).
- <sup>23</sup> Chodziło o zminimalizowanie wpływów ZSRR po II wojnie światowej; 5 marca 1946 roku w czasie słynnego przemówienia w Fulton (Missouri) Churchill użył m.in. sformułowania „żelazna kurtyna” (przyp. tłum.).
- <sup>24</sup> Ludmiła Wasiljewna Celikowska (1919–1992) – rosyjska aktorka filmowa i teatralna (role w filmach: *Cztery serca*, *Iwan Groźny*), wieloletnia gwiazda Teatru im. Wachtangowa (przyp. tłum.).
- <sup>25</sup> Oprycznina – system rządów wprowadzony przez cara Iwana Groźnego w państwie moskiewskim (przyp. red.).
- <sup>26</sup> Stiepan Walerianowicz Bałmaszow (1881–1902) – eserowiec terrorysta; dokonał udanego zamachu na ministra spraw wewnętrznych Imperium Rosyjskiego Dmitrija Sipiagina; powieszony w Szlisselburgu (przyp. tłum.).
- <sup>27</sup> Gustave Aimard (1818–1883) – francuski autor powieści przygodowych (przyp. tłum.).
- <sup>28</sup> Z wiersza Roberta Louisa Stevensona *Heather Ale* (Wrzosowe piwo) (przyp. tłum.).
- <sup>29</sup> Aleksander Matwiejewicz Matrosow (1921–1943) – żołnierz Armii Czerwonej, legendarny bohater Związku Radzieckiego; własnym ciałem zasłonił lufę karabinu maszynowego ostrzeliwującego batalion, w którym służył (przyp. tłum.).

W omskim hotelu „Jubileuszowym” Rogow, pochylony nad kupioną w kiosku z gazetami mapą obwodu, wytyczał sobie trasy. Bliskość celu, niejasność własnego statusu i zapach odkrywcy – wszystko to napawało go lekkością i odwagą.

Pierwsze Czyste, które wyszukał na początek jeszcze w Moskwie, było położone najbliżej miasta, najbardziej dostępne i najmniej prawdopodobne jako miejsce hipotetycznej osady. Mało prawdopodobny był zresztą w ogóle sukces całego przedsięwzięcia – ale jeszcze w samolocie, rekonstruując historię Zasławskiego, Rogow uświadomił sobie, że wśród ludzi nie było dla nich miejsca. Mogli tylko wrócić i żyć w swoim odrębnym świecie. Wróciłyby także kobiety, a te już na pewno nie przystosowałyby się do roli cichych gospodyń domowych, posłusznym żon i łagodnych sowieckich urzędniczek. Przyszłyby na świat dzieci. Zapewne miłość zdarzała się również przed wojną, ale z pewnością pilnowali, żeby nie było żadnych dzieci – i oni sami, i ich opiekunowie. Jakie dzieci w grupie dywersyjnej? Radiotelegrafistka Kate<sup>30</sup> to bzdura.

Rogow miał nadzieję znaleźć właśnie tych potomków, wyrosłych w osadzie, nad którą nie rozpościerało się żadne z ludzkich praw. Wiedział, że aby osiągnąć doskonałość, złota kohorta musiała przejść ostatnią próbę – pokojowe życie, które musiało ich odrzucić, tak jak i oni by je odrzucili. Konieczny był ostatni, najwyższy wysiłek: omska pustelnia, do której ich sztucznie wpędzono, powinna się stać pustelnią dobrowolną. Chciwi i słabi ludzie, żyjący codziennością, nie akceptowali elity. Elita musiała powrócić do Czystego. Tutaj dla Zasławskiego, takiego, jakim wyobrażał go sobie Rogow, powinno się zacząć prawdziwe życie – życie bez wyczerpujących treningów, bójek i strzelaniny. W tym życiu być może pojęliby zamysł Wodza, Najwyższego Wodza, który postanowił na zgliszczach ich życia zbudować nowy świat. Ten nowy świat, wznoszony przez ich dzieci z dala od pokus zewnętrznego życia, Rogow mógł ujrzeć już jutro. W głębi duszy jednak był pewien, że prawdziwe spotkanie z tym światem nastąpi nie w pierwszym i nawet nie w drugim, ale w trzecim Czystym – najdalszym, oddalonym od miasta o trzysta kilometrów. Pierwsze, wedle syberyjskich standardów, znajdowało się tuż pod bokiem – o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów: autobusem do Kulomina, a potem, jak powiedziano mu na dworcu, trzeba szukać okazji. Do tego Czystego autobus nie jeździł już od dawna – jak mu objaśnił czekający na

autobus rozmowny myśliwy, mieszkało tam półtora człowieka.

Po trzech godzinach rozklekotany autobus „ogórek”, starsowieckiego typu, tak zachlapany błotem, że nie sposób było dostrzec jego pierwotnego koloru, wysadził około dziesięciu pasażerów w Kulominie.

Oddalając się od Moskwy, Rogow czuł niemal fizycznie, jak oddala się również od współczesności, pogrąża w jakiejś uśrednionej i niezmiennej sowieckiej epoce. W Kulominie trwał rok mniej więcej siedemdziesiąty piąty. Było tu spokojnie, życie płynęło leniwie, i mimo chronicznego dyskomfortu, który Rogow, jak wszystkie hołubione dzieci, zawsze początkowo odczuwał w obcych miejscach, nie czuł dla siebie żadnego zagrożenia. Moskwa była przestrzenią wyjątkowo zagrożoną, przestrzenią, przez którą przebiegało mnóstwo siłowych linii niosących nieznaną niebezpieczeństwo – a tu królowała owa na pół zapomniana, idylliczna stabilność, w której większość czuła się jak w ciepłej wannie, a mniejszość traciła rozum. Tutaj niezwykle łatwo było uwierzyć, że nic i nigdy się nie zmieni – i albo tak przeżyć całe życie, nie budząc się, albo zapić się z tego na śmierć. Była to część obwodu omskiego najbardziej przypominająca środkową Rosję – mieszany las, łagodne wzniesienia, wzdłuż których pełził autobus, jaskrawy błękit nieba, kurz i zapach suchej trawy.

Kulomino nie było ani miastem, ani ośrodkiem rejonowym, ani osadą miejskiego typu, ale jakimś uniwersalnym osiedlem z cechami wszystkich wyżej wymienionych miejsc – zdegenerowane miasto wśród zdegenerowanych wsi. Rogow nie wiadomo po co snuł się po nim, usiłując chyba odwlec rozczarowanie albo szok, kiedy znajdzie poszukiwane miejsce. Na miejscowym bazarze, liczącym dwa rzędy straganów, handlowano pestkami słonecznika, rokitnikiem i siarą – pałeczkami gorzkiej żywicy; Rogow kupił ten egzotyczny smakołyk, żeby poczuć, że jest na Syberii. Żywica była obrzydliwa w smaku i strasznie kleiła się do zębów. Wreszcie zaczął rozpytywać, jak dojechać do Czystego, ale początkowo nikt nie mógł sobie przypomnieć żadnego Czystego, a potem niektórzy z trudem sobie przypominali, że tak, jest niedaleko taka wieś, to znaczy była, ale co tam jest teraz, trudno powiedzieć, dawno nikt tam nie jeździł, bo nie ma po co. Pięć lat temu mieszkali tam trzej starcy i pięć staruszek, którzy czasem zjawiali się w Kulominie, ale czy ktoś z nich jeszcze pozostał przy życiu – diabli wiedzą. W Kulominie były trzy starego typu wołgi z szachownicą, ale żaden kierowca nie chciał jechać do Czystego. Droga, jak powiedziano Rogowowi na bazarze, jest rozmyta i rozjeżdżona, a przede wszystkim jazda tam nie ma żadnego sensu: pustych wsi jest w obwodzie do licha i trochę. Zbyt dużej sumy Rogow nie mógł zaproponować.

W końcu mu powiedziano, że do Czystego będzie co najwyżej dwanaście kilometrów i bez trudu dojdzie jeszcze przed obiadem, jeśli wyruszy o świcie; teraz zaś najlepiej będzie, jeśli

się zatrzyma w tutejszym domu dla przyjezdnych. Tak się właśnie nazywał – chyba dlatego, że zupełnie nie wyglądał na hotel. Był to jednopiętrowy budynek, odrapany, ale kiedyś nie wiedzieć czemu pomalowany na różowo. Okazało się, że Rogow jest w nim drugim gościem. Pierwszym był wojskowy, starszy lejtnant marynarki, który przyjechał na urlop do ojca. Nie chciał jednak u niego nocować – miał w Kulominie dawną pierwszą miłość; była obecnie rozwiedziona, wychowywała samotnie dziesięcioletniego syna i spotkać się z nią mógł tylko w domu dla przyjezdnych – ojciec był najwyraźniej człowiekiem starych zasad i nie można było sprowadzić mu do domu baby, nawet rozwiedzionej. Poza tym w bazie pod Murmańskiem lejtnant miał żonę i córeczkę (nie przywiózł ich do dziadka – po cóż miałyby się taszczyć przez cały kraj), ojciec o nich wiedział i nie pochwaliłby zdrady; do baby lejtnant też nie mógł pójść – w domu był syn. Musiał skłamać, że idzie do kolegi na wódkę, i czekać, aż pierwsza miłość położy syna spać. Z nudów lejtnant był niezwykle rozmowny. Spotkali się w pokoju dyżurnej, która piła herbatę z blaszanego kubka i patrzyła w czarno-biały, rozkręcony na cały regulator telewizor, który był, gdy tylko pojawiały się jakieś napisy – niewątpliwa cecha starości. Starszy lejtnant na szczęście o nic nie pytał i mówił tylko o sobie – głównie o ciężkiej służbie, o głupocie przełożonych, o braku pieniędzy i mieszkania. Rogow był nieciekawym rozmówcą. Kiwał tylko głową i zupełnie nie podzielał oburzenia starszego lejtnanta, w ogóle bowiem nie bardzo umiał rozmawiać z obcymi; a poza tym nie miał do tego głowy. Już jutro mógł zobaczyć własnego dziadka albo przynajmniej tych, którzy go znali. Łapał się na tym, że nie czuje do dziadka prawie nic prócz niewyraźnego poczucia winy za to, co tamten musiał przeżyć – normalny człowiek zawsze czuje się winien wobec tych, którzy wiele wycierpieli, i przez to tysiące łajdaków, długo i zasłużenie bitych przez ludzi bez zahamowań, popełnia wciąż nowe łajdactwa, prawie nie napotykając na sprzeciw.

Rogow zdążył o tym chaotycznie pomyśleć owego długiego wieczora w Kulominie, kiedy wreszcie odszedł od telewizora, wyglądającego tu jak jedyne przypomnienie o realnym życiu, i uwolnił się od starszego lejtnanta. Sam w trzyosobowym pokoju (innych w domu dla przyjezdnych nie było – ludzie, którzy docierali do Kulomina, byli z definicji mało wymagający) długo wpatrywał się w liliowiejące okno i kolejny raz próbował zrozumieć, czy cierpienie ma jakikolwiek sens i czy można się obejść bez tego doświadczenia. Sam zresztą w cichości ducha marzył o najwyższym sprawdzianie – bez niego każda dobroć wydawała mu się niepełna i nieautentyczna. A tak w ogóle nie lubił dobroci. Najczęściej była ograniczona, natrętna i agresywna. Cenił nie dobroć, ale niezawodność, solidność – to, co wyczuwał w Kretowie i co się zachowało w rzeczach z lat pięćdziesiątych. Dobroć przytakiwała człowiekowi i osłabiała go, doprowadzając do owego nieznośnego stanu, w jakim znajdował



się teraz cały świat wokół Rogowa – świat pobłażania, braku odpowiedzialności i rozpadających się budowli. Mimo to zasnął szybko. W chwilach silnego stresu uruchamiał się w nim jakiś mechanizm obronny wyłączający świadomość.

Ranek zapowiadał upalny dzień. Rogow obudził się po siódmej. Dyżurna, nie rozebrawszy się, zasnęła na dole na kanapie: niepojęte było, jakież to niewyobrażalne poczucie obowiązku kazało jej nocować tutaj, gdzie i tak nikomu nie była potrzebna (i skąd ktoś mógłby przyjechać do Kulomina w nocy, skoro autobus jeździł raz na dobę?), ale Rogowowi spodobało się to bezsensowne i niepotrzebne poświęcenie. Było to jedno ze zjawisk świadczących o tym, że jeszcze nie wszystko na świecie sprowadza się do słabości czy wygodnictwa. Rogow wyszedł na ulicę, na którą padały długie, wyraźne cienie. Całym jego bagażem był plecak z dwoma swetrami, bielizną na zmianę, puszką konserw, nożem i zapałkami. W kieszeni na piersi od samej Moskwy trzymał lusterko Kretowa, które na noc wkładał pod poduszkę.

Kierunek wskazano mu poprzedniego dnia: na zachód od Kulomina, wzdłuż linii elektrycznej. Elektryczność doprowadzono do Czystego jeszcze w latach trzydziestych, wszystko się zgadzało, chociaż Kretow o elektryczności nie mówił ani słowa.

Do pokonania dwunastu kilometrów potrzebował zazwyczaj dwóch i pół godziny, ale do Czystego szedł bite cztery, zatrzymując się, żeby odpocząć. Im bliżej była wieś, tym trudniej było mu iść. Jak gdyby pokonując czyjś opór, ciężko dyszał – może ze zdenerwowania, a może z niezwykłego jak na sierpień upału – i zatrzymywał się na drodze kluczącej wśród płaskich pól. Niekiedy trafiały się pasma lasu, po niebie płynęły powoli wysokie, puszyste cumulusy z ołowianym, płaskim spodem. Nisko, jakby na samym polu, leżała w oddali sinoszara chmura. Między Kulominem a Czystym nie było ani jednej wsi – co potwierdzało słowa Kretowa, że osadę założono w bezludnym miejscu – ale Kretow mówił o lasach, tu zaś było pole, równe, wyglądające jak step. Przecież las nie mógł zniknąć. Może zaczynał się bliżej Czystego, przecież Kretow pięćdziesiąt lat temu nie szedł tam od strony Kulomina! Żadnych śladów człowieka – ani domów, ani stogów – w polu nie było, tylko linia elektryczna ciągnęła się coraz dalej i dalej. Ktoś przecież kiedyś oswajał te przestrzenie! Dzisiejszy świat skoncentrował się, zawęził, podczas gdy głównym zadaniem tamtego było nieustannie się rozszerzać, zdobywając nowe miejsca do życia, a czasem po prostu zostawiając ślady. Przewody mogły się gdzieś urywać, a linia prowadzić donikąd: ważne było zaznaczenie, że tu przechodził człowiek. Linia rzeczywiście urywała się o jakieś siedem kilometrów od miasta, przewody dochodziły do ostatniego słupa – i koniec; ale kierunek był właściwy, więc Rogow nie mógł już zabłądzić.

Okolo południa dotarł wreszcie do ludzkich siedzib – siedmiu czarnych chat, które

zapewne nawet w swoich najlepszych latach nie wyglądały zbyt solidnie. Wyraźnie budowane na gwałt, pomyślał Rogow. Zaraz za wsią zaczynał się rzadki, żółknący, mieszany las, niemal przytykający do domów. Żadnej tabliczki z nazwą miejscowości nie było. Rogow kilka razy zawołał „hop, hop” i „halo”, ale nikt mu nie odpowiedział.

Podszedł bliżej do chat i już miał zacząć zaglądać do wszystkich po kolei, kiedy z najdalszej, stojącej pod samym lasem, wyszła dziewczyna z wiadrem w ręce. O żadnej dziewczynie Rogow w Kulominie nie słyszał – wszyscy, którzy pamiętali Czyste, mówili o starcach. Czyżby trafił nie tu?

– Przepraszam, czy to jest Czyste? – zapytał.

Dziewczyna podniosła na niego oczy – szarozielone i zupełnie przejrzyste – i przytaknęła. Rogow nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Przeszła obok niego, zmierzając do studni, ale się obejrzała, więc wziął to za zachętę, żeby pójść za nią.

Nie potrafiłby powiedzieć, czy dziewczyna jest ładna czy brzydka, ale nie określiłby też jej twarzy jako przeciętnej. Cała – i nagie ręce, i nogi, i twarz – była nie tyle blada, ile biała, taką biel ma rozcieńczone mleko. Mierzyła nie więcej niż metr sześćdziesiąt, a może i mniej. Puszyste, słomiane włosy, wysuwające się spod chustki równie białej jak jej skóra, błyszczały w świetle słońca, ale w całej jej postawie był jakiś pokorny, łagodny smutek – wrażenie to podkreślał jeszcze fakt, że nie przemówiła ani słowa. Doszli do studni, pocięte wiadro zanurzyło się w wilgotnej głębi, pachnącej zbutwiałym drewnem, i wynurzyło z głuchym pluskiem. Rogow spróbował wziąć je od dziewczyny, żeby zanieść z powrotem, ale ona w milczeniu pokręciła głową i poniosła je sama, jak gdyby spełniając sobie tylko powierzona powinność.

Rogow szedł za nią – dziewczyna nie zapraszała go, ale i nie oponowała. Na progu chaty zatrzymała się i przywołała go. Gdyby na jej miejscu był ktoś inny – kobieta albo mężczyzna – wystraszyłby się, a w każdym razie miał na baczności, ale po niej najbardziej podejrzliwy gość nie mógł się spodziewać nic złego. Z opuszczoną głową weszła w półmrok starego, rozeschniętego domu, w którym pachniało jakimiś ziołami i suchymi kwiatami, ale i tu przebijał zapach zbutwiałego drewna, choć nie tak wyraźny jak w studni. Za stołem siedział wysoki starzec z białą brodą, w lnianych kalesonach i wypuszczonej na nie koszuli, też białej jak zbierane mleko. Z życzliwym uśmiechem wstał na powitanie Rogowa.

Na całej podłodze była rozłożona sucha stepowa trawa i polne kwiaty, wszystko to schło i pachniało, ale Rogow nie pojmował, co za sens suszyć tę trawę w izbie, skoro na dworze jest tak gorąco, a w dodatku trawa była całkiem zwyczajna – piołun, stepowe zioła bez żadnych leczniczych właściwości. Starzec uśmiechał się w milczeniu, jakoś przepaszająco.

Rogow kilka razy głośno się przedstawił, powiedział, że przyjechał szukać zesłańców, wśród których mógł się w tych okolicach znajdować jego dziadek – ale starzec tylko na niego patrzył, nawet nie kiwając głową; dziewczyna podeszła do niego i stanęła obok, trochę wysunięta do przodu, jakby chcąc go obronić przed donośnym głosem przybysza, i tak, nie porozumiewając się wzrokiem, łagodnie patrząc na Rogowa, stali przez jakieś pięć minut, kiedy on mówił. Rogow opamiętał się i wyjął lusterko. Dziewczyna uśmiechnęła się, podeszła, delikatnie wyjęła mu lusterko z rąk, pochwyciła promień słońca i puściła zajaczką, jakby chciała po raz pierwszy pokazać mu tę sztuczkę. Uśmiechając się ufnie, oddała okrągłe szkiełko i Rogow schował je z powrotem do kieszeni, nie wiedząc, czy otrzymał odzew na swoje hasło. Dziewczyna bez cienia skrępowania wzięła go za rękę, podprowadziła do stołu i wskazała toporny, drewniany stołek. Rogow usiadł, na takim samym stołku naprzeciw siadł również starzec. Nadal nie mówiąc ani słowa i uśmiechając się, dziewczyna nalała mleka z dużego glinianego dzbana, z wiszącej na ścianie szafki, pomalowanej na kolorowo jak w przedszkolu, wyjęła pół bochenka chleba i odkroiła grubą pajdę. Rogow podziękował, upił łyk mleka, też białego, czystego, nietłustego, i ugryzł kawałek czerstwego, ale smacznego chleba. Dopiero teraz sobie uświadomił, jak bardzo chce mu się pić, a kiedy się porządnie napił (dziewczyna wciąż mu dolewała), poczuł też głód, przedtem stłumiony przez pragnienie.

Nie miał pojęcia, jak się zachować, chociaż nie był szczególnie spięty: przyjęto go raczej życzliwie. Milczenie dziewczyny, stojącej za plecami starca, i samego starca, który nie odrywał od Rogowa łagodnego spojrzenia, kiedy ten się posilał – nie wyglądało ani na śluby milczenia, ani na próbę, jakiej poddaje się przybysza, ani na żadną ułomność – na przykład głuchoniemotę. Rogow widywał głuchoniemych, znał ich niespokojne, gorączkowe gesty, którymi z męczącym wysileniem próbowali przekazać rozmówcy całą siłę swych nieznajdujących ujścia pragnień, nadziei i koszmarów. Tu zaś był spokój i cichy wewnętrzny ład, budzący jednak podejrzenie, że jest to nie tyle harmonia, ile zamierzona degradacja, powolna przemiana w roślinę, w drzewo, we własną chatę. Język nie był tu potrzebny i zastąpili go głuchotą i ciszą, jakby uwalniając się od zbędnej składowej, a teraz śpieszno im było uwolnić się od innych zbędnych rzeczy w rodzaju myślenia. Chociaż mówienie o pośpiechu nie miało sensu – już samo to słowo zdawało się tu nie istnieć.

Rogow dopił drugi kubek mleka, zjadł chleb i już chciał rozpocząć wyjaśnienia i wypytywanie, ale poczuł, że też nie ma to sensu; siedział w milczeniu, nie spuszczał oczu ze starca, jakby w obawie, że przegapi jakiś znak. Starzec wstał i wyszedł, niczego nie wyjaśniając. Rogow wyjrzał za nim: gospodarz usiadł na ganku i zapatrzył się w przestrzeń; Rogow uznał, że całkiem naturalnie będzie usiąść obok. Wciąż czekał, że wreszcie zaczną

z nim rozmawiać, odsłonią głęboką i ważną tajemnicę, dla której dotarł aż tutaj – ale jeśli nawet była tu tajemnica, oczekiwano, że odkryje ją sam. Działo się tu coś prostego, ale niezwykle doniosłego, coś, co wymagało odosobnienia i ciszy. W bezdźwięcznym upale odzywał się tylko od czasu do czasu duży, rudy kogut na podwórzu i brzęczały rozbudzone nagle muchy, ale w tym milczeniu czuło się nie senność, lecz skupienie wciąż na tej samej tajemnicy. Aby ją poznać, trzeba było tylko wyrzec się słów, wspomnień, wszystkiego, co aktualne i natychmiastowe – zniżyć się o jeden stopień, na poziom trawy, drzewa, muchy, ich pozbawionego słów, skoncentrowanego życia; ale Rogow nie potrafił się zdobyć na ten wysiłek – nie był stąd i wszystko wskazywało, że zmierza nie tu. Może gdyby dokonał na sobie tej jednej, jakże prostej operacji, zrozumiałby, że nigdzie nie musi iść i nie ma czego więcej szukać, albowiem całe nasze nieszczęście polega właśnie na jakiejś zbyteczności niepotrzebnie przeganiającej nas z miejsca na miejsce – ale nie był jeszcze gotów do rozpoczęcia takiego skrótowego, trawiastego życia. Wciąż jeszcze zdawało mu się, że człowiekowi w jakimś celu dano słowo i myśl, a w Czystym już wiedziano, że wszystko to niczemu nie służy.

Nie wiedział, ile czasu przesiedział tak obok starca – minutę czy godzinę. Z sąsiedniej chaty wyszła zgarbiona, niedowidząca staruszka o ciemnej, łagodnej twarzy i zaczęła karmić kury, a potem znów zniknęła w chacie, zdążywszy jednak uważnie popatrzeć na Rogowa i uśmiechnąć się do niego jak do wyczekiwanego gościa, który nie mógł nie przyjść – toteż nie ma co okazywać zbytniej radości. Niebawem w oddali ukazało się niewielkie stado chyba dziewięciu krów, które z takim samym skupieniem i spokojem jak wszystko tutaj zmierzało do chat, napływając z powoli blaknącego słonecznego blasku. Za stadem, z biczem na ramieniu, szedł niewysoki, zakurzony pastuch. Jak wszyscy wiejscy pastusi, jakich Rogow widział w życiu (właśnie to podobieństwo wszystkiego wokół do jego własnych wyobrażeń sprawiło, że potem zaczął myśleć, że Czyste tylko mu się przywidziało), szedł w rozdeptanych, rudych ze starości butach z dermy, ubrany był w bufiaste portki i połataną szarą marynarkę, a na głowie miał szary, płócienny kaszkiet. Z wyglądu miał co najmniej sześćdziesiątkę, w ustach połyskiwały mu metalowe zęby. Palił bielomora, ale podchodząc do wsi, napluł na niedopałek i wyrzucił go. Po zagnaniu krów do długiej obory na samym skraju wsi (ten skraj Rogow nazwał w myślach stepowym, w odróżnieniu od leśnego) pastuch wszedł do niewielkiej, najstarszej i chyba najędźniejszej chałupy, i więcej się nie pokazał.

Dziewczyna, która przez cały ten czas coś robiła w izbie, też wyszła i usiadła na ganku. Rogowa ucieszyło jej przyjście. Wzięła go za lewą rękę, długo wpatrywała się w dłoń, jakby mu chciała powróżyć, ale zamiast tego tylko musnęła ją palcami, tak lekko, że skrzywił się,

czując łaskotki. Uśmiechała się przy tym, jak uśmiechają się dobre, ciche dzieci, wiecznie pogrążone w jakichś swoich myślach, ale nieobrażające się, gdy się im przeszkodzi. Rogow przypomniał sobie, gdzie i kiedy widział taki uśmiech.

Kiedyś, kiedy kochał się w studentce medycyny, ta zawiozła go za miasto do internatu dla ociemniałych i głuchoniemych; były tam też inne dzieci z wrodzonymi wadami; jedna dziewczynka cierpiała na jakieś dziwne schorzenie czołowych płatów mózgu, które degenerowały się powoli bez żadnej widocznej przyczyny. W dzieciństwie jeszcze zapamiętywała wierszyki, brała udział w zabawach, ale w okresie dojrzewania prawie przestała reagować na otoczenie. Wychowawczyni, która oprowadzała ich po internacie (o dziwo, tutaj Rogow nie bał się zdeformowanych dzieci, tylko gorąco im współczuł), poprosiła, żeby zwrócił szczególną uwagę na cienkie, arystokratyczne palce dziewczynki, na całą jej gibką, wysoką figurkę, na błogi i skupiony wyraz twarzy: trudno było uwierzyć, że to dziecko nie ma żadnej tajemnicy, że to tylko ciche życie rośliny (choć może życie rośliny jest właśnie najgłębszą tajemnicą – i dlatego pośmiertny rozkład ciała, jego przemiana w błoto, kamienie i trawę, owiana jest w naszej świadomości taką tajemniczą nadzieją). Dziewczynka błędziła oczyma po stepie, ani na chwilę nie skupiając na niczym wzroku. Prawie nie czuła bólu ani zimna, łatwo obchodziła się bez spacerów, wkrótce miała przestać samodzielnie chodzić do ustępu – ale Rogow, patrząc na nią, nie myślał o wszystkich tych strasznych rzeczach, czuł tylko łagodność i dobroć promieniujące z tej półroślinnej istoty. Czyste skojarzyło mu się właśnie z owym internatem w Zagorsku, ponieważ, kiedy chodził z wychowawczynią po tym także milczącym domu, wyczuwał niezwykle silne pole naprężeń, jakby dzieci pozbawione daru mowy nieustannie wymieniały między sobą jakąś pozasłowną informację. Tutaj nie mówiono, tutaj chwymano sygnały – i dokładnie tak samo w internacie nagle wziął go za rękę głuchoniemy, ale dobrze widzący ośmioletni chłopiec, który przebiegał obok i raptem się zatrzymał, popatrzył uważnie na Rogowa i postanowił się z nim przywitać. Co chłopiec mógł odczytać z jego dłoni? Dlaczego zaraz się odsunął, posmutniał, postął nieruchomo parę sekund i na łeb, na szyję rzucił się z powrotem tam, skąd przed chwilą przybiegł? I jakiej nieopisanie smutnej prawdy dowiedziała się o nim ta dziewczyna, która długo wpatrywała się w jego dłoń, a potem jakby pocieszająco ją pogładziła?

Wszystko wokół się nad nim użalało: zakurzone pole, zachodzące słońce, błądzące, ale zagęszczające się w oczach błękit. Wszystko wokół stało się zamglone i bladoniebieskie, a w tej mgle, mlecznej jak niebieska akwarelowa farba, rozcieńczona przed chwilą w nalanej z kranu wodzie z nieosiadłym jeszcze osadem, poruszały się spokojne, życziwe cienie. Z domów wychodzili ludzie, zmierzając w stronę starca, który wstał ze schodków i gestem

weszał Rogowa za sobą. Zdjął z pękatego kredensu lampę naftową, postawił ją na stole i zapalił. Natychmiast w ciepłym, wieczornym powietrzu, powietrzu ostatnich ciepłych wieczorów, zawirowały nad stołem białe i beżowe ćmy o bladych skrzydłach. Dziewczyna wyjęła z pieca saganek kartofli (Rogow tak właśnie wyobrażał sobie nigdy niewidziany saganek). Do chaty starca – najwyraźniej, żeby popatrzeć na gościa – schodzili się wciąż nowi ludzie, w sumie dziewięć osób. Rogow zobaczył staruszkę, która karmiła kury, i jeszcze dwie, tak samo zgrzybiałe, zgarbione i przyjazne kobiety. Ostatni przyszedł pastuch; zabrakło dla niego stołka, więc stanął w kącie przy drzwiach. Dziewczyna nie siadała ani na chwilę, krzątała się wokół stołu, wyjmowała miski, nakładała ziemniaki i kiszoną kapustę, kroїła chleb, potem bezszelestnie podeszła do pieca i stanęła oparta o niego plecami.

Stół stał przy oknie i błękitne światło, zagęszczając się powoli i ciemniejąc, padało na miski z ziemniakami, na dzbanek i chleb. Między domem a lasem rozciągnęło się pasmo chłodnej mgły. Zapachniało wilgotną ziemią. Ćmy niestrudzenie trzepotały wokół lampy. Rogow nawet nie zauważył, kiedy w powietrzu narodził się przeciągły, wysoki dźwięk przypominający i brzęczenie przewodów elektrycznych, i gwizdek dalekiej lokomotywy – takie odgłosy słyszy się tylko nocami w stepie. Dźwięk narastał, to się wznosząc, to zamierając, i dopiero kiedy to przeciągłe murmurando podchwycił drugi głos, Rogow zrozumiał, że starcy śpiewają.

Była to pieśń bez słów i jak gdyby bez motywu – albo z motywem tak złożonym, że nienawykłe ucho nie potrafiło go wyłowić. Nie sposób się było zorientować, czy każdy ciągnie swoją oddzielną partię dlatego, że nie słyszy innych i nie chce się do nich dostrajać – czy dlatego, że tak trzeba. Nie, zrozumiał Rogow, oni słyszą, chwilami w splocie głosów powstawało coś na kształt dialogu – jeden robił pauzę, drugi podchwytował, ale nie dało się wyodrębnić frazowania: rytmu też albo nie było, albo był zbyt skomplikowany i różnorodny, jak ułamek nieokresowy. Starcy jednak mruźli z przejęciem, wyciągając szyje, napinając splecione na kolanach palce i patrząc w okno, wszyscy w jedną stronę i jakby nawet w jeden punkt. Rogow nie umiałby określić, jak długo to trwało. Na stepie całkiem się już ściemniło, a oni wciąż się nie rozchodzili: jęk przycichał, urywał się, odkasływali i wycierali nosy, ale po chwili znów zaczynali równo i od tej samej nuty, na której przerwali. Milczała tylko dziewczyna. Stała bez ruchu przy piecu, czasem tylko przenosząc czułe, serdeczne spojrzenie z jednej twarzy na drugą; niekiedy jej oczy prześlizgiwały się też po Rogowie.

Nagle wszyscy odwrócili się do niej: najwyraźniej czekała na to, wiedziała dokładnie, kiedy powinna się włączyć – ale mimo to drgnęła, napięła się cała i zacisnęła pięści. Potem się wyprostowała, dziwnie odrzuciła głowę, wzięła wysoką, gardłową nutę, jakby ochryple

krzyknęła – i znów zamilkła. Okrzyk się powtórzył, palce dziewczyny zaciskały się i rozluźniały. Na twarzach starców malowała się napięta uwaga.

Przy trzeciej próbie nagle poprowadziła melodię – Rogowowi po raz pierwszy wydało się, że ją wychwycił, po raz pierwszy w jej nurcie i falowaniu pojawił się jakby zarys rytmu – i rozwinięcie tego tematu zapowiadało coś wręcz nieznosnie pięknego. Czuło się w tym śpiewie ogromne, bezkresne przestrzenie, które jednak nie wydawały się majestatyczne: brzmiała w tym gorzka skarga, której na całych tych nieskończonych przestrzeniach nie ma kto usłyszeć, a błagać step i niebo nie ma sensu. Ale z samej daremności tej skargi mogło się zrodzić i oto już się rodziło niewypowiedziane, niepotrzebujące żadnych słów piękno, a Rogow aż się uniósł na swoim stołku, jakby chcąc ku niemu bieć – kiedy nagle dziewczyna urwała melodię i rozkaszała się głośno, przyciskając dłonie do ust i patrząc na wszystkich ze skruchą i przestraszeniem.

Najwyraźniej zdarzyło się to nie po raz pierwszy. Każdego dnia starcy powoli ciągnęli niejasną, nieuchwytną pieśń, doprowadzając ją do głównego solo, i za każdym razem wszystko się psuło, kiedy zdawało się, że już za moment powinno się zrodzić coś niezwykłego. Co mogło się stać po pokonaniu tego niewidzialnego progu? Odzyskaliby mowę, step zazieleniłby się nową trawą, niebo rozbłysłoby wszystkimi gwiazdami? Rogow nie wiedział, ale przecucie bliskiego, obiecanego i nieziszczanego cudu było tak wyraźne, że się nie ruszał, w obawie, iż go spłoszy. Przez jakieś pięć minut wszyscy milczeli. Potem starzec podszedł do dziewczyny i przytulił ją, a ona ukryła twarz w jego piersi.

Wszyscy zaczęli się żegnać – podchodzili do dziewczyny, głaskali ją po głowie, ramionach, rękach, na krótko przypadali do piersi starca i wychodzili, spoglądając jeszcze od progu z niespokojnym współczuciem. Jedna ze staruszek, idąc do drzwi, szybko kiwała głową. Wkrótce Rogow pozostał w chacie tylko z dziewczyną i starcem. Starzec wyszedł na ganek i siedział tam długo, zapatrzony w step. Mgła się rozwiązała, na horyzoncie migotały ciche, blade błyskawice.

Dziewczyna, teraz jeszcze bardziej pokorna i pełna skruchy, szybko wyszła do sieni i wróciła ze starym, kolorowym siennikiem: dokładnie taki sam miał Rogow na dacy. Położyła go przy piecu i szybko, nie rozbierając się, wdrapała się na przypiecek. Rogow też się położył, nakrywając kurtką. Słyszał jeszcze, jak wrócił starzec i, cicho wzdychając, położył się na ławie. Z przypiecka nie dochodził żaden dźwięk. Rogow usnął i spał bez snów, dopóki nie obudził go czyjś lekki dotyk.

Otworzył oczy. Dziewczyna siedziała na podłodze przy jego wezgiłowiu i trzymała mu ciepłą rękę na czole. Palce jej drgały, jakby wychwytywały jakieś ukryte i dręczące myśli, niepojęte

nawet dla niego samego. Za oknami wstawał blady świt; dziewczyna siedziała tak chyba już od dawna. Na jej twarzy malowało się takie współczucie i męka, że Rogow poczuł straszną litość i dla niej, i dla samego siebie. Nawet nie mógłby pomyśleć o czymś, choćby z grubsza przypominającym bliskość. Jej wargi poruszały się bezgłośnie i nie wiedział, czy dziewczyna układa słowa, czy po prostu przygryza usta z bólu, jaki jej sprawia zetknięcie się z jego duszą.

Rogow utracił poczucie czasu i znowu zapadł w niebyt. Przez sen słyszał, jak dziewczyna wstaje z podłogi, wychodzi do sieni i delikatnie pobrzękuje wiadrem, wychodząc do udoju. Jak zawsze, kiedy obok ktoś nie spał i coś robił, Rogow zasnął przy wszystkich tych odgłosach szczególnie mocno. Kiedy znów się obudził, tym razem na dobre, było już całkiem jasno. Zapowiadał się złoty i upalny dzień. Starzec siedział przy stole i uśmiechał się przyjaźnie. Rogow się zerwał, zwinął siennik, kiwnął głową starcowi i wyszedł na dwór.

Staruszka z sąsiedniego domu w milczeniu i skupieniu rozrzucała na trawie gęstą sieć o drobnych oczkach; potem zbierała ją i rozkładała od nowa. Najpierw Rogow pomyślał, że coś łowi, ale sieć spadała i unosiła się bez żadnych śladów połowu. Staruszka obracała się w miejscu i znów zarzucała w trawę swój niewód, a ten znowu był pusty – tylko czasem w oczkach więzły źdźbła trawy. Zajęcie to w swej bezsensowności – albo z uwagi na niepojęty sens – wydawało się tym samym, co suszenie trawy na podłodze w izbie. Inna staruszka grzebała w swoim ogródku – grzebała w dosłownym sensie, rozkopując kijem dołek w ziemi. Jakiś staruszek wyszedł z ostatniej chaty, odwrócił się w stronę lasu i zaczął siusiać; Rogow podszedł i przyłączył się. Nie widział koło domów ani jednego ustępu – najwyraźniej od dawna obchodzono się bez tego.

Dziewczyny nigdzie nie było widać. Kiedy Rogow wrócił do chaty, starzec ostrożnie i starannie wtykał w ściany papierowe chorągiewki, w rodzaju tych, którymi dowódcy wojskowi w sowieckich filmach obficie znaczą wielkie mapy. Chorągiewki były zrobione ze szpilek i nierówno wyciętych kwadracików czerwonego papieru do aplikacji; czasem starzec zamyślał się i przemieszczał dopiero co wetkniętą chorągiewkę wedle siebie tylko znanego planu – trochę wyżej albo niżej wzdłuż futryny, dalej albo bliżej od okna. Przeprasząco popatrzył na Rogowa i powrócił do swego tajemniczego zajęcia. Rogow kiwnął pokrzepiająco głową i, nie chcąc mu przeszkadzać, wyszedł na ganek.

Nie wiedział, co ma tu robić. Robić mógł, co by mu się żywnie podobało – nosić wodę sitem, zatykać szpary blinami, podpalać wodę i gasić ją słomą – ale nie dojrzał jeszcze do tych zajęć, toteż rozumiał, że w Czystym nie ma dla niego miejsca. Zdawał też sobie sprawę, że nie mieszkają tu ludzie, których szukał. Bóg jeden wie, kiedy to pojął: czy podczas pieśni bez słów, czy w nocy, czy teraz, kiedy każde z nich zajęte było metodyczną, ale bezsensowną



i tajemniczą pracą (wiedział, że obejmuje to wszystkich mieszkańców wsi – tych, którzy są w domach, i tych, którzy może są w lesie) – ale złota kohorta wybranych nie mogła dożywać swych lat w takim idyllicznym rozkładzie i ich udziałem nie mogła się stać starcza łagodność. Może i natrafił na cud – nowy stopień w ewolucji człowieka w jego drodze powrotnej do niemego stworzenia – ale nie był to ten cud, którego szukał.

Dziewczyna wyszła z lasu z koszem grzybów, z daleka uśmiechnęła się do Rogowa, i podchodząc, już nie odrywała od niego oczu. Potem postawiła kosz przy schodkach i stanęła przed nim, jakby na coś czekając. Nagle zapragnął opowiedzieć jej o sobie, chociaż wszystko, co najważniejsze, skądś i tak wiedziała: może rzeczywiście w nocy palcami przeczytała jego myśli. Wziął ją za rękę – nie cofnęła jej – i poprowadził za sobą w step.

Odeszli na jakieś trzysta metrów od wsi. Dziewczyna szła bez sprzeciwu, o nic nie pytając i wciąż czule popatrując na niego z boku i z dołu. Bóg wie, czego się spodziewała. Wreszcie Rogow usiadł na szorstkiej trawie i wskazał jej miejsce obok siebie.

Długo milczał, patrząc na tę suchą, kłującą jesienną trawę, którą zresztą lubił bardziej niż wiosenną: wiosenna była bezbronna, niczego nie rozumiała i cieszyła się nie wiadomo z czego, a ta już coś wiedziała, do czegoś dojrzała i przestawała być po prostu trawą. Twardniała, drewniała, kłuła i przy próbach wypielenia kaleczyła ręce. Jeszcze trochę i przeszłaby w inną jakość: źdźbła rzepu, popłochu, dziurawca robiły się twarde i łamliwe, na daczy wyrastał cały las rzepów, sterczały suche badyle moskiewskiej mimozy – to były niemal drzewa, które już wiedziały to coś najważniejszego, ale zdrewnienie oznaczało śmierć. Najważniejszego nie można było pojąć za żadną inną cenę.

Rogow popatrzył na dziewczynę: nie spuszczała z niego oczu i nie ruszała się z miejsca.

– No więc – powiedział. – Dziękuję ci, teraz odejdę. Wiesz, szukam takich ludzi, którzy już nie całkiem są ludźmi. Bardzo ich męczono, wiele widzieli. Zostali specjalnie wybrani, żeby ocalić wszystkich pozostałych, rozumiesz?

Nie przytaknęła i nie poruszyła się, ale wiedział, że rozumie wszystko, co zostało powiedziane, a może nawet i to, czego nie powiedział.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, jacy powinni być ci ludzie – ciągnął, kładąc się na brzuchu i czując przez koszulę ukłucia suchych źdźbeł. – Zupełnie ich nie znam. Wiem tylko, że jeśli ktoś dzisiaj jest w stanie wszystkich ocalić, to tylko oni albo ci, których wychowali na swoje miejsce. Inaczej wszyscy zginiemy, a może się zdegenerujemy. Staniemy się jak tutejsi starcy, którzy łowią trawę siecią. To bardzo dobrzy starcy, ale nie chcę z takimi żyć.

Opuściła oczy, po raz pierwszy okazując jakąś reakcję na jego słowa; było jej przykro tego słuchać.

– Zostałbym z tobą – pośpiesznie tłumaczył się Rogow. – Rozumiem, że bez ciebie zginą, a może ty sama jesteś stąd i nie mogłabyś żyć nigdzie indziej. Ale ja tak nie chcę. Oczywiście to też jest niezupełnie ludzkie, ale ja potrzebuję czegoś innego. Szukam jakiejś siły, na której można by się oprzeć, która już raz wszystkich obroniła i teraz uratuje. A tak w ogóle – przewrócił się na wznak i znowu usiadł – szukam ich nie po to, żeby kogoś ratowali. Chcę tylko ich zobaczyć. I może odnaleźć swojego dziadka, który był jednym z nich. Zawsze czułem, że nie załatwia się tylu ludzi tak po prostu. Był w tym jakiś cel i chyba go odkryłem. Nie da się żyć w takim miejscu, gdzie tylu ludzi uśmiercono bez potrzeby. W takim miejscu już nigdy nic nie wyrośnie. I właśnie chcę się dowiedzieć, czy wyrośnie, czy nie.

Dziewczyna nadal na niego patrzyła; w jej oczach mignął cień niepokoju, chociaż mogło mu się tylko tak zdawać.

– No więc odchodzę – powiedział twardo. – Oczywiście jeszcze tu wrócę. – Doskonale wiedział, że nie wróci, ale nie mógł odejść od tych nieszczęśników tak po prostu, bez podziękowania, nie pozostawiając im nadziei. Może czekali na kogoś takiego jak on, jak się oczekuje Mesjasza – no bo jak inaczej wytłumaczyć ich dziwną gościnność, ich pieśń, którą może śpiewali tylko dla niego? Nie, nie mógł odejść, nie obiecując, że wróci. – Przyjdę później, kiedy ich znajdę. Albo nie znajdę. I wtedy ci powiem, czy ich znalazłem, czy nie.

Wstał, ale ona, wciąż siedząc na ziemi, oburącz chwyciła go za rękę i pociągnęła w dół; ciągnęła słabo, ale uparcie, a na jej twarzy pojawił się błagalny, łzawy wyraz – taka bezradność i pokora, że jeszcze trochę, a znów zapiekłyby go oczy.

– Muszę – powiedział. – Muszę to zrobić, rozumiesz?

Rozpaczliwie potrząsnęła głową.

– Muszę – powtórzył Rogow. – Nie mógłbym tu u was żyć, i tam – machnął ręką w stronę dalekiego Kulomina – też bym nie mógł. Bywasz czasem w mieście? Żeby kupić chleb, odebrać ich emerytury?

Przytaknęła.

– No więc sama widzisz.

Dziewczyna pochyliła głowę i puściła jego dłoń.

– Wstawaj, idziemy. – Nachylił się i zajrzał jej w twarz, na której malował się teraz dziwny wyraz – była otępiała, jakby zastygła; dziewczyna niewidzącym wzrokiem patrzyła w ziemię. – Chodźmy, chodźmy. – Rogow dotknął jej ramienia.

Wstała powoli, niezgrabnie, i powlokła się za nim. Wrócili do wsi, Rogow wziął plecak, w progu pokłonił się starcowi i wyszedł. Dziewczyna, jak szmaciana lalka, stała oparta o drzwi. Nie poruszyła się, kiedy wychodził. Jakby jej wyjęto kościec, pomyślał.

Kim był dla tych ludzi, i czy w ogóle ludzi? Wyczekiwany księciem, za którego oddaliby swoją jedyną opiekunkę, swoją ostatnią pociechę? Albo rzeczywiście owym prorokiem, po którego nadejściu zdołaliby wreszcie dośpiewać do końca swoją wiecznie rwącą się pieśń? A może tak bardzo odwykli tu od ludzi, że sprawiał im radość każdy nowy przybysz?

Rogow włożył plecak, obejrzał się jeszcze raz i ruszył w stronę miasta. Idąc, oglądał się jeszcze kilka razy – dziewczyna stała w drzwiach, staruszka grzebała kijem w ziemi. Uszedł już prawie kilometr, kiedy dobiegło go ze wsi głucho, żałosne muczenie. Spojrzał za siebie: w stronę wsi sunęły krowy. Niektóre doszły już do domów i stały tam, wyciągając za nim szyje i bezradnie, żałośnie muczały.

Zatkał sobie uszy i biegiem rzucił się do ucieczki. Ten, kto zostanie tam na dwa dni – w ogóle stamtąd nie odejdzie. Ale nawet kiedy Rogow zasapany ruszył normalnym krokiem, a domy znikły mu z oczu, wciąż jeszcze słyszał wysoki, przeciągły jęk i nie wiedział, czy dobiega z zewnątrz czy już wiecznie będzie rozbrzmiewać w jego głowie.

---

<sup>30</sup> Postać z serialu *Siedemnaście mgnień wiosny* (przyp. tłum.).

## REKONSTRUKCJA 2

– **T**aty nie ma w domu – odpowiedział załamujący się głos; dziwnie ciepło i wzruszająco zabrzmiało owo „tata” wypowiedziane młodzieńczym barytonem. Poczł ostre ukłucie zazdrości, ale sam sobie był winien, sam porzucił Miskę. – Jest w delegacji, wraca za dwa tygodnie. Chce pan, Izaaku Emmanuiłowiczu, żebym zawołał mamę? Jest u sąsiadów...

– Nie trzeba – powiedział Babel. – Wpadnę wieczorkiem i sam przekażę.

Nie, nie zamierzał rozmawiać z żoną Kozajewa, z jego synem też nie. Pokazać się w Moskwie należało jak najmniejszej liczbie osób z poprzedniego życia – niepotrzebne indagacje i pogłoski mogły tylko zaszkodzić. Od dawna wiedział, co będzie robić po wyjściu z Czystego (że Czyste nie jest wieczne – nie miał wątpliwości, wąpił tylko, czy dożyje). Anonimowość, całkowita bezimienność, inny człowiek z innym losem. Uprzedzono go zresztą: pisać, piszcie, ale pamiętajcie: nazywacie się Tiernowicz. Mieli tam zabawne wyobrażenie o pisarstwie i znaczących nazwiskach. On nigdy by sobie nie pozwolił w opowieści o swojej poniewierce na takie bezguście jak „Tiernowicz”<sup>31</sup>.

Chciał tylko jakoś spłacić stare długi. Ostrzec, żeby wiedzieli, jak się zachować: co do tego, że wcześniej czy później wszyscy będą musieli się jakoś zachować, nie miał żadnych wątpliwości. Pierwszy eksperyment – ten, który przeprowadzono na nich – w czasie wojny dał wspaniałe efekty, a nie była to ostatnia wojna: będzie następna, i to niedługo – jak nie międzynarodowa, to wewnętrzna.

Wszedł z budki i ruszył w stronę poczty: niziutki, w okularach, nierzucający się w oczy; na okrągłej twarzy nieżydowski nos jak guziczek, na ramieniu brezentowa torba.

Na poczcie pachniało rozgrzanym lakiem, pod dwoma portretami przysypiała znudzona dziewczyna. Kupił kopertę i podwójny arkusz papieru listowego z wizerunkiem wiejskiego domku. Stalówki były do niczego, drapały. Pisał jak zawsze powoli, dobierając słowa – gdzie gwarancja, że nie czytają już CAŁEJ korespondencji. Jemu nic więcej nie mogli zrobić, od

samego początku niewiele mogli mu zrobić – ale nie chciał zaszkodzić Kozajewowi. Przekaz ustny – to co innego, w rozmowie mógłby wyjaśnić wiele rzeczy, teraz zaś musiał być ostrożny. Liścik zajął mu pół godziny, raz przyjrzał mu się uważnie starszy pan, który przyszedł zapytać, dlaczego nie wrzucono mu do skrzynki pisma „Gudok”, które prenumeruje już dwadzieścia lat, skandal! – ale nie znalazłszy niczego interesującego w okrągłej twarzy, nieogolonej à la Biezuchow<sup>32</sup>, przytaknął jakimś swoim myślom i wyszedł. Babel popatrzył za nim, odczekał chwilę – i stalówka znów zaczęła popiskiwać i drapać (jak kobieta, która nas nie chce, dodałby w młodzieńczych latach).

„Drogi przyjacielu mój – pisał, ze starego nawyku stawiając »mój« po »przyjacielu«; w ogóle zresztą lubił postpozycje – drogi przyjacielu mój, napiszę krótko, pan zrozumie. Wykonywałem pracę, trudną i związaną z niebezpieczeństwem. Nie wszystko mogę opowiedzieć. Przyjdzie czas, kiedy o wszystkim porozmawiamy jak kiedyś. Spieraliśmy się wtedy, czy jest jakiś zamysł w tym wszystkim, co się dzieje. (Uznał to sformułowanie za dość wymijające, by można je było rozumieć także w sensie metafizycznym, ale Kozajew zrozumie w dosłownym, jako że na pewno nie zapomniał ich rozmów). Mnie się zdaje, że jest, toteż proszę się nie dziwić, jeśli los dotknie i pana. Proszę tylko o jedno: niech się pan zgadza ze wszystkim, co będą panu mówić. Niech się pan nie upiera. Proszę pamiętać o naszych przypuszczeniach, że jeśli nikt nie będzie się upierał, to być może nasz wspólny los będzie lżejszy. Miał pan rację, chociaż nie dosłownie. Niech pan pamięta: uporem nikogo pan nie ocali. Nigdy nie znamy ogólnego planu, możemy jedynie w miarę możliwości go nie zakłócać. Wróciłem na krótko i nikt nie powinien się dowiedzieć o tym urlopie. Ostrzegając pana, nie przekraczam swoich pełnomocnictw, niemniej proszę, by pan nikomu nie mówił o tym liście. Jeśli wszakże uzna pan, że należy przekazać moją radę jeszcze komuś, to tym lepiej. Może pan powiedzieć, że otrzymał ją od kogoś pewnego. Teraz wiem, że w jakimś sensie zasługuję na to określenie.

Proszę się nie martwić i niech się pan trzyma, jeszcze się zobaczymy. Wspominam urocą Waleczkę i kochanego Loszę i wierzę, że ominą was wszelkie smutki. Jeśli jednak los wielu okaże się także waszym (zadał sobie pytanie, czy nie jest to zbyt jasne, i uznał, że nie), proszę pamiętać, że nic nie dzieje się bez powodu i uwzględnienia naszych cech. Nieprzypadkowy był także mój los, wcale nie taki beznadziejny, jak można by myśleć. Jeżeli zaś pomyśli pan teraz (był to istotny, delikatny moment i należało go jakoś podkreślić), że przekazuję panu nie swoją opinię lub nakłaniam pana do popełnienia błędu, proszę sobie przypomnieć moją obietnicę, że zawsze będę z panem szczery. Mam wobec pana zobowiązania, pamiętam o tym i dotrzymuję słowa. Jeśli kiedyś w jakiejś sprawie pan mi ufał, jeśli pan pamięta wieczory

w waszym cudownym domu, o którym często myślałem, będąc z dala od niego – proszę, żeby pan mi zaufał i teraz.

Ściskam pana i wierzę – nie, wiem – że czeka nas jeszcze wiele radosnych spotkań i że nasze kochane południe jeszcze nas zobaczy jako wesołych, grubych staruszków, którzy będą wtedy mieli co wspominać. Pański rebe Izaak”.

W tym akapicie były dwa hasła – wzmianka o grubych staruszkach (Kozajewa bardzo wtedy bawiło to zdanie) i „rebe Izaak”, żartobliwy tytuł używany przez Kozajewa w ich rozmowach. Te hasła powinny były rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Nagle pomyślał z uśmiechem, że nigdy nie pisał do Kozajewa. Łączyły ich rozmowy wolne od etykiety słowa pisanego. Gawędzili najczęściej w cztery oczy, nie zwracając sobie głowy aluzjami. Kozajew był prostym facetem, Babel lubił ludzi bezpośrednich i nieskomplikowanych, nie ufał estetom – najczęściej słabeuszom i histerykom. Ale ten niewyszukany szyfr dziennikarz powinien był zrozumieć – pytanie tylko, czy mógł uwierzyć. Niewielu było teraz ludzi, którzy by w coś wierzyli – zwłaszcza jeśli chodziło o starych, dawno niewidzianych przyjaciół. Przeszłość oddalała się z każdym nowym dniem strachu, z każdą bezsennością. Babelowi robiło się czasem żal tych, którzy przeżyli te dziesięć lat na wolności. Ich nieustanne i bezsensowne oczekiwanie było straszniejsze od wszelkich tortur. Myślał też niekiedy o tym, że martwi współczują żywym – ale martwi nikomu nie współczuli, wiedział o tym na pewno.

Tak, dziś ludzie nie wierzyli, że istnieli i jakoś działali wczoraj i przedwczoraj, czas się rozciągał, on sam zaczynał wątpić, czy żył kiedyś wśród ludzi, a nie w tajdze, nie w Czystym. Kozajew jednak nie był z tych, którzy odżegnują się od przeszłości, Babel dostrzegał to w nielicznych jego publikacjach, które zdążył przejrzeć na froncie i potem, w Moskwie. Oczywiście zniknęły z nich świeżość i radość, i ten naiwny zapał, z jakim wszyscy rówieśnicy Kozajewa, którzy nie widzieli wojny domowej, pisali o pustyniach, kołchozach i samolotach. Naiwny i radosny patos wędrówek i zagospodarowywania nowych ziem, ich dziecięcy konstruktywizm, krótkie upojenie nieszkodliwym, jak się zdawało, gwałtem, zadawanym rzekom i pustkowiom, szybko zostały wyparte przez chorobliwe uniesienie i histeryczną egzaltację samoponiżenia. Ton na pozór pozostał ten sam – zachwyty i święte otumanienie – ale siła nie była już własna, tylko cudza, i wszyscy ci młodzi szczęśliwcy zachwycali się już nie człowiekiem jako takim, ale zupełnie konkretnym człowiekiem, który jakby skupił w sobie wszystkie ich talenty i moc. Kozajew trzymał się chyba dłużej niż inni. Było nie do pojęcia, jak wszyscy ci pionierzy i reformatorzy w niecałe pięć lat stali się bezbronniymi, śmiertelnie wystraszonymi dziećmi, jak władcy piaskowych burz sami sprowadzili się do poziomu piasku;

nawet teraz nie całkiem rozumiał, jak się to stało. Żadnym strachem nie dałoby się tego osiągnąć – widocznie działała tu inna zasada. Wystarczyło poczuć się wszechmocnym, stać się panem rzek i dróg, a natychmiast rodziło się marzenie o podporządkowaniu. Nie ma władcy, który natychmiast nie stworzyłby sobie drugiego, najwyższego pana – pewnie widział go nad sobą również sam Wódz, i Babel nie zdziwiłby się na wieść, że ten u schyłku życia (które nie może przecież trwać wiecznie) zamierza wstąpić do klasztoru, powierzając swą trzódkę panu wszelkiego stworzenia. Ci, którzy najbardziej upajali się własną potęgą, wędrując bezwodną równiną albo wzlatając pod obłoki z pilotem odzianym w czarną skórę – ci przodowali również w upajaniu się własną nicością w obliczu władzy i nie kłamali ani przedtem, ani potem. Nie było takiej hierarchii, w której choćby jeden uczestnik piramidy okazał się wolny od poczucia wszechwładzy nad tymi z niższego poziomu i bezradnego podporządkowania temu z wyższego poziomu, wszystkie człony bambusowego pnia były na głucho ze sobą zlutowane. Kozajew w niczym tu nie zawinił.

Babel zakleił list, napisał adres, wrzucił kopertę do skrzynki i wyszedł na obmytą ulewą, odświeżoną moskiewską ulicę. Sierpień czterdziestego ósmego roku był gorący, parny, z częstymi burzami. Dopiero po nich można było na krótko odetchnąć. Tak jest ze wszystkim. Jakkolwiek okropnie było w dziewiętnastym roku, oddychało się wtedy jak nigdy i przez wytartą tkaninę prawie już nieistniejącego życia prześwitywała lewa strona, można było rozróżnić supelki. Źle wtedy patrzył, oczy zbyt często przesłaniała mu chęć usprawiedliwienia, ale oddychało się, oddychało – swobodnie, lżej niż przedtem i potem. Gdybyż ta cudowna świeżość była możliwa bez burzy! – ale, sama będąc dla burzy jedynym usprawiedliwieniem, nie mogła się wziąć znikąd.

Szedł po Moskwie i myślał: dlaczego z jej nowej architektury bije taka wielkość, a z literatury taka nieznośna miałość? Dlaczego te ogromne cegły, ułożone w wielkie gmachy, są piękne i będą piękne nawet wedle przyszłych kryteriów (może wtedy właśnie staną się szczególnie piękne, uwolnione od piętna epoki, jej znaków szczególnych i nawarstwień), a takie same wielopudowe sterty dzisiejszych eposy z kołchozowo-przemysłowego życia wywołają jedynie śmiech?

Przypomniał sobie, jak w Omsku pierwsze kroki skierował do księgarni: sam się za to nienawidził, ale przez całe życie nic nie interesowało go bardziej niż literatura. W Czystem nowości książkowe były rzadkością, nie zalecano im czytania. Dopiero po jego długich i natarczywych prośbach zaczęto coś przysyłać, ale wtedy zaczęła się wojna i nikt nie miał do tego głowy. W Omsku oczywiście nie można było dostać świeżych czasopism, ale wybór książek był bardzo przyzwoity: przejrzał kilka bezbarwnych eposy i stwierdził, że niewiele

się zmieniło pod jego nieobecność. Nowy geniusz nie narodził się z tego całego płomienia, a i płomień okazał się nie taki jak w dziewiętnastym wieku. Z jednego ognia wyfruwa feniks, z drugiego wypęła salamandra, z trzeciego w ogóle nie da się wydobyć nic prócz popiołu i kości.

Najprawdopodobniej cały sekret polegał na tym, że we wszystkich sztukach plastycznych, od malarstwa po kinematografię, w której sporo chałturzył przed wojną, martwa natura była piękna i majestatyczna, a w literaturze – jedynej ze wszystkich sztuk mającej do czynienia z żywą duszą – martwota pozostawała martwotą. Wszystko, nawet muzyka, było ciałem kultury, monumentalnym i muzealnym ciałem, tylko w literaturze oddychała dusza – i jeśli przestawała oddychać, słowo było tylko nieczułą materią. Coś takiego jeszcze na początku lat dwudziestych zaobserwował w awangardzie. Awangarda była wspaniała w malarstwie, w architekturze, w teorii, ale nie do zniesienia w literaturze – nie dało się czytać futurystów, niewymownie nudni byli epigoni Biełego<sup>33</sup>, na wszelkie sposoby kaleczący język. Była to martwa masa niepozwalająca zaczerpnąć oddechu. Dlatego nie lubił powieści, przestał wierzyć w powieść. Powieść była domem w nowym stylu, wielopudowym, kamiennym, z tą tylko różnicą, że zamieszkanym przez równie martwe cegły pod różnymi nazwami. Teraz należało pisać krótko, wiedział już jak, ale się nie śpieszył. Najpierw musi wyjechać bardzo daleko, ukryć się. Wiedział już, gdzie się ukryje. Tam mógł pisać – nic innego już nie będzie musiał robić.

Do Erenburga zadzwonił z budki telefonicznej. Dziwne – tyle się pozmieniało w mieście, a telefony pozostały te same. Nikogo chyba Babel nie był tak pewien jak Erenburga: zmieniali się ci, którzy mogli się łamać, a on zawsze tylko się gwał. Woda przyjmuje kształt kolby, szklanki, strzykawki – ale kształt naczynia nie ma wpływu na skład wody. Ta cecha zasługiwała na szacunek: Erenburg i w Paryżu, i u nas, i pewnie gdy po raz pierwszy pojechał za granicę w piętnastym roku, kiedy jeszcze się nie znali, był zawsze taki sam.

Słowo „Żyd” właściwie o niczym nie mówi, ma jeszcze szerszy, bardziej rozmyty zasięg niż „Rosjanin”. Jest Izraelita, jest gudłaj, chasyd, rabin, szlimazel, jowialny odesyjczyk, jest kilka typów kobiecych, które skłonny był określać raczej imionami, bo znał je osobiście, a z niektórymi był bardzo blisko. Ale jeśli był na świecie Żyd, właśnie Żyd, czysty Żyd, to był nim Erenburg.

Dominowała w nim ta wyłącznie żydowska cecha – a dokładnie ich zlepek, cudowna synteza niezależności i zdolności przystosowania, nie tylko się nie wykluczające, ale nawzajem się warunkujące. Zgadzał się na wszystko, dopasowywał się do każdego otoczenia – byle tylko zachować to coś własnego, niezależnego od otoczenia. Babel sam miał kłopot, jak



to nazwać: wolnomyślicielstwem? sceptycyzmem? skargą? Smutnym, obłąkańczym „nie”, które Żyd mówi Stwórcy, podczas gdy wszyscy mówią tylko „tak”, po tysiackroć „tak” i „dziękuję”? Babel lubił tę jego anegdotę, lubił całą tę książkę, w której przez dziennikarską skrótowość przeglądał nieprzeparty smutek wewnętrznej pustki. Może we wszystkich epokach Żydzi byli prześladowani właśnie za to, że odgadywali tę pustkę i byli dla świata wiecznym przypomnieniem o niej; w każdym razie ich szaleńcze postęпки brały się właśnie stąd. Wszystko to było zabełtywaniem otchłani, oplataniem jej nićmi żmudnej i bezsensownej pracy, której jedynym celem było zapomnienie o braku celu. Wyczuwano w nich tę ssącą, świerzbiącą pustkę i to dzięki niej byli tak nieuchwytni, nie do wytępienia. Żyd na wszystkim rysował znak zapytania. Izraelita wiedział, po co żyje, i czuł w swoich chudych łędźwiach wielką potęgę Stwórcy; odeski bandyta wiedział, po co żyje, i nawet szlimazel potrafił niekiedy zbudować sobie wszechświat na własną miarę; ale Żyd, prawdziwy Żyd, tchórzliwy i niezależny, nieokiełznany i pokorny, wiedział, że nie ma niczego. Dla niego materia wszechświata zniknęła na długo przed oszałamiającymi odkryciami młodego stulecia. Erenburg był właśnie takim Żydem – i za to jedno, że nie pozwalał, by jakiś pogląd, jakiś jednolity system wypełnił tę otchłań, jaką w sobie nosił, Babel szanował go szczególnie. Nieważne było, co pisze. Wszystko, co pisał, tylko podkreślało tę świszczącą pustkę, jak gips wlany w szczeliny pompejańskich zgliszcz tylko je wyraźniej zaznaczał.

Nawet wojna niczego w nim nie zmieniła, chociaż wyrobiła mu nazwisko, czego nie dokonały ani wiersze, ani proza. Jego felietony i wstępniaki, często wodniste, zawsze za długie, czytano tylko dlatego, że, wiecznie nieusatisfakcjonowany, usiłował zrozumieć wszystkich: dla niego Niemcy też byli ludźmi, żalonymi, oszukany ludźmi, toteż lektura jego artykułów niosła pewną pociechę. Wrogowie w jego interpretacji nie byli istotami innej natury, których tak się początkowo bano, ale konkretnymi Kurtami i Frycami, którzy mieli rodziny i też się bali, a zwykłych ludzi nam, bądź co bądź nie całkiem ludziom, wstyd byłoby nie pobić.

Babel wiedział, że Erenburg nie odbierze telefonu osobiście, nie ta skala. Wiedział jednak i to, że Erenburg jest w Moskwie – przedwczoraj przemawiał na kongresie, zawsze przemawiał na kongresach, po to go zresztą trzymali. Było mu wszystko jedno, o czym ma mówić i do kogo. Jego skomlała w poczuciu ogromnej, kosmicznej pustki dusza nie brała w tym udziału.

– Słucham – powiedział oficjalny kobiecy głos – sekretarki albo gosposi.

– Proszę powiedzieć Ilji Grigorjewiczowi, że dzwoni Izaak Emmanuiłowicz, on będzie wiedział – szybko powiedział Babel, nie zapominając rozglądać się na wszystkie strony

maleńkimi, ale bystrymi oczkami w okrągłych okularach.

Erenburg oczywiście niczego nie rozumiał. Babel usłyszał jego warknięcie.

– Ilja, jestem w Moskwie i chcę się z panem zobaczyć – powiedział tak samo szybko w odpowiedzi na jego szorstkie „słucham”. Tym zdaniem – „Jestem w Moskwie i chcę się z panem zobaczyć” – zawsze rozpoczynał ich coraz rzadsze rozmowy: wiecznie jeden drugiego nie zastawał w Moskwie.

Erenburg ochrypl z przejęcia, Babel usłyszał, jak odchrząkuje.

– Isa – wykrztusił po drugiej próbie – Isa, wiedziałem. Proszę nic nie mówić. Chyba że pan może?

– Mogę mówić, ale musimy się zobaczyć. U pana lepiej nie. Gdzie i kiedy byłoby panu wygodnie?

– Może u Hercena<sup>34</sup>? – z przyzwyczajenia zapytał Erenburg, ale natychmiast się zmieszał. – Przepraszam, po prostu... zawsze o tym wiedziałem, ale teraz całkiem zgłupiałem z zaskoczenia.

– Nic się pan nie zmienił, Iljusa. Nawet się cieszę, że się pan nie zmienił. Zapomniał pan, że dawniej też nigdy nie chodziłem do Hercena. Jeśli nie sprawi to panu kłopotu, spotkajmy się na bulwarze Gogola, koło klubu fotograficznego. Ma pan przecież teraz samochód z kierowcą?

– Tak – odrzekł Erenburg z dumą, której nie udało mu się ukryć.

– Więc niech pan zostawi auto gdzieś na początku bulwaru i dojdzie pieszo. Siedzieliśmy kiedyś razem na tej ławce, pamięta pan, kiedy spotkaliśmy tę staruszkę...

– Boże! – wykrzyknął Erenburg. – On pamięta staruszkę! Ale proszę powiedzieć, gdzie się pan zatrzymał?

Głos wcale mu się nie zmienił, brzmiała w nim taka sama jak kiedyś niemal kobieca troskliwość, jak u kwoki.

– Nie mam się po co tu zatrzymywać – powiedział Babel. – Jeżeli ma pan jakieś sprawy, proszę je odłożyć: jutro wyjeżdżam, a musimy porozmawiać.

Rzeczywiście Erenburg zupełnie się nie zmienił, nadal miał w sobie tę nierozdzieloną mieszanię czegoś wzruszającego i odpychającego, wzrusząco-odpychającego. Łączyło się to podobnie jak jego lotny, a zarazem szurający chód – wysilone dążenie naprzód. Tak samo szurały dygresje w jego powieściach, dobrych reporterskich powieściach, zepsutych sileniem się na epos. I tak samo mówił „Isa”. Zawsze chciał być trochę Europejczykiem albo Azjatą, albo kimkolwiek innym, tylko nie tym, kim był. Woda szukała naczynia, bała się, że się przeleje... Raz nawet Pawlenkę<sup>35</sup> nazwał Pierre – ten się zachnął, jak zachnąłby się rosyjski

robociarz, gdyby żona zaproponowała mu miłość francuską. „Isa” brzmiało raczej z kaukaska, czuło się w tym burkę, szablę, jakby aluzję do kawaleryjskiej przeszłości.

Kiedyś siedzieli na tej samej ławce, szóstej od soboru Chrystusa Zbawiciela; właśnie wyszli z „Ziemi i fabryki”<sup>36</sup>, gdzie napili się herbaty w gabinecie sympatycznego, po kozacku zażywnego Narbuta<sup>37</sup>, którego załamanie stało się jakoś mniej widoczne przy tej tuszy, przestało się rzucać w oczy. (Wiedział o Narbucie, wzięli go wcześniej; myślał, że uratuje żonę, wszystko podpisał i przeżyłby, ale był kaleką, a kaleka nie miał szans. Kaleka powinien był się trzymać do końca, nie miał nic do stracenia. Chociaż cóż my wiemy o tym, co robią z innymi?) Wtedy w kwietniu, w pogodny i słoneczny dzień, wyszli z ZiF-u, który mieścił się na rogu Warwarki, i nie mając akurat nic do roboty, pogrążeni w rozmowie szli bulwarami – do Teatru Artystycznego i dalej; tu usiedli i Erenburg zapalił ohydnie śmierdzącego norda. Palił szybko i chciwie, i tak samo jadł, nie mogąc się nasycić.

Toczyła się rozmowa, chyba pierwsza ich prawdziwa rozmowa – Ilja oczywiście zgrywał się trochę na adepta, tytułował Babla „maître”. (Obaj lubili Francję). Obok przechodzili jacyś szczęśliwi ludzie, stukały kopytami konie, pachniało nawozem, ziemią, mokrą korą – i nagle zatrzymała się przed nimi wysoka, tęga staruszka, wyraźnie z „byłych”, chociaż takie wyniosłe dostojeństwo widywał niekiedy u zwykłych prostych wieśniaczek. Przystanęła, przyjrzała im się i przemówiła zaskakująco wysokim przy tej posturze głosem:

– Myślicie, że przez całe życie będziemy za was płacić? Nie, moi drodzy, najpierw my za was, a potem wy za nas. Tak się kręci to koło.

Obaj się zmieszali, chociaż Erenburg krzyknął nawet coś obraźliwego w odpowiedzi – w rodzaju: poszła won, jędzo, w soboty nie dajemy jałmużny – ale nastrój już mieli zepsuty. I nie chodziło o pretensje do Żydów, zrozumiał potem Babel. To koło rzeczywiście tak się kręciło, tylko przyspieszyło tak bardzo, że między „nimi” i „nami” prawie nie było już różnicy.

Teraz stali przed tą samą ławką; Erenburg objął go niezgrabnie i natychmiast się odsunął. Babla to zabolalo. Na widok przyjaciela, który nic się nie zmienił, zupełnie zapomniał, że on sam jest teraz ulepiony z innej substancji, że ludzie źle się przy nim czują. Nie, do Toni nie może iść w żadnym wypadku...

– Wrócił pan na dobre? – zapytał Erenburg, by wypełnić pauzę.

– Byłem w łagrze – odparł Babel. – Miałem do wykonania pewną pracę, i nadal mam, jeszcze nie została zakończona.

– W kopalni? – zapytał ze zgrozą Erenburg. Jak zawsze znał wszystkie słuchy.

– Nie w kopalni. Powiem panu w swoim czasie. A co u pana, Iljusza, jak tam? Niewiele wiem o pańskim życiu, chociaż sporo czytałem...

– Ostatniej powieści pan nie czytał? – ożywił się Erenburg. – Myślę, że to wartościowa rzecz. Po raz pierwszy od wielu lat czuję, że dałem Europę, żywą Europę. (Zwroty typu „dać” albo nawet „dać rzecz” przejął od konstruktywistów: to samo produkcyjne podejście, wytwórcy rzeczy, dyżurna prośba o włączenie literatury do planu pięcioletniego, żeby potem złożyć sprawozdanie...). Ale co ja gadam! Niech pan mówi o sobie, o sobie! – I ze skrępowaniem pogładził rękaw zakurzonej marynarki Babla.

Babel pokręcił głową, patrząc nań znad okularów. Iljusz się nie zmienił i nie zmieniło się w nim to coś kokieteryjnego, komicznego, nieprzyjemnego. Chociaż dobrze, że przynajmniej to, co nieprzyjemne, się nie zmienia, chwala mu za to! A co się zmieniło w nim samym, oprócz nawyku dopatrywania się u wszystkich wszystkiego? Czy czytał ostatnią powieść! Powiedzmy nawet, że tam, gdzie był (niebezpieczne zadania mogą wszak być różne), miał czas i okazję, by czytać sowieckie nowości – ale żeby zacząć rozmowę właśnie od tego... Erenburg nawet stojąc pod wiadomą ścianą, pytałby pluton egzekucyjny, czy czytali jego ostatnią powieść i co o niej sądzą. Przeklęte rzemiosło, które sprawia, że swoje literki człowiek uważa za sens istnienia. Ludzie, ludzie, co się z wami dzieje! Jak mawiał pewien prototyp jego bohatera, wciąż czekający na swoją kolej i nigdy chyba nigdzie nieumieszczony – szewc z Homla, spuszczając baty uczniowi: „Choćbyś nie wiem jak bił, pożytku się nie dobijesz. Jeśli bijesz mięso, możesz zrobić bitki, ale jesiotra już nie zrobisz. Gdyby ci na górze to rozumieli, już dawno wszystko byłoby inaczej. Ale jeżeli będziesz mięso tylko głaskać i oblizywać, to i bitki z tego nie wyjdą”. Cóż, szewc miał pewną słuszność. Ciekawe, jakich uczniów wychował. Zapewne było tak jak u wszystkich – z tych, co mieli smykałkę do rzemiosła, był pożytek, a z pozostałych wyrastali męczennicy.

– Iljusz – odezwał się Babel po chwili milczenia – nie mogę panu powiedzieć wszystkiego, ale pańskie domysły okazały się w wielu wypadkach prawdziwe. Widzę, że ludzie pana rozpoznają. Przejdźmy się, nie siedźmy tak na widoku.

– Samochód czeka – zaproponował Erenburg. – Pojedziemy do mnie?

– Nie, dziękuję. Chciałbym pospacerować, dawno nie byłem w Moskwie.

Wstali i statecznie ruszyli bulwarem, skręcili w Siwcew Wrażek – tam było mniej ludzi – Erenburg zapalił; teraz palił długie, eleganckie papierosy ze złotą obwódką, z pudełka z napisem „Sowiecka Ukraina”. Pewnie dostał je w prezencie na jakimś jubileuszu sowieckiej Ukrainy. Zaproponował, żeby zajrzeć do małej księgarni na Arbacie, chciał kupić Bablowi swoją ostatnią powieść, ale Babel się śpieszył. Ciągle pamiętał, żeby się rozglądać: nie, nikt go nie śledził.

– Czy pan tam przynajmniej pisze, Isa? – zapytał Erenburg.

– Piszę, piszę. Niedługo wydam. Ale skontaktowałem się z panem nie po to, żeby rozmawiać o literaturze. Muszę pana uprzedzić: mogą zacząć aresztować.

Twarz Erenburga pobladła, ugięły mu się kolana. Dziwne, że do tej pory tak się boi.

– Wiem – wybełkotał.

– Nie pana osobiście. – Babel się skrzywił. – Mogą wziąć każdego. Ma pan tyle samo podstaw do obaw, co wszyscy. Chcę tylko powiedzieć: jeżeli pana wezmą, niech pan podpisuje. Nie więcej niż panu podsuną, ale i nie mniej. Niech pan opowiada, kaja się, wymyśla szczegóły. Oni nie są zbyt dobrzy w wymyślaniu szczegółów. Niech pan pomaga w śledztwie, jest pan przecież pisarzem. A przede wszystkim, niech się pan nie upiera, że jest pan niewinny. Będą torturować, a koniec i tak jest jeden. Jeśli przyzna się pan do wszystkiego, co było i czego nie było, wyślą pana do łagru, dostanie pan pięć albo siedem lat... To można przeżyć.

– Wiem – przytaknął Erenburg. – Zabołocki<sup>38</sup> wrócił... Myślałem, że i pan wrócił...

– Wrócił? – ożywił się Babel. – I co, publikuje?

– Tak, wzięli od niego dwa wiersze – żeby je schłastać. Teraz długo się nie wychyli. Głównie tłumaczy. Bardzo się zmienił – zestarzał się, chudy...

– No, że chudy, to nie szkodzi. Bo wyglądał zupełnie jak prosiak. Widzi pan, pisze... Przede wszystkim niech pan pamięta: jeżeli pana biorą – to nie znaczy, że jest pan winien. To znaczy, że jest pan potrzebny, że to jest sprawdzian – i musi się pan zgadzać, na wszystko zgadzać. Pewnie pan myśli, że jestem nasłany. Nie, Iljusa, chociaż nie wiem, jak to panu udowodnić. Musi mi pan uwierzyć, przecież mnie pan znał.

Odnótował w duchu to „znał” w czasie przeszłym i pomyślał, że jego język jest mądrzejszy od niego.

– Myślałem, że pana już nie ma – powiedział cicho Ilja.

– W pewnym sensie nie ma, to znaczy nie ma tutaj, nie ma w literaturze... No, w literaturze nie było mnie od dawna – czasem tylko dawałem o sobie znać, żeby nie pomyślano, że całkiem straciłem dar mowy. Bo nie pisałem nic, rozumie pan? Powieść, nowy cykl – wszystko to bzdura: miałem trzydzieści teczek początków i zakończeń, szkiców, a ani jednego całego kawałka. Dopiero tam znów zacząłem pisać, tam dzieje się wiele ciekawych rzeczy.

– Jest pan tam? – Erenburg wskazał brodą w stronę, gdzie zapewne wyobrażał sobie zagranicę.

– Nie, jestem w głębi kraju, tam też mam co robić. Byłem w czasie wojny na Białorusi, byłem w Polsce, przeszedłem po starych śladach Armii Konnej... Myślę wprowadzić uzupełnienia do książki – skłamał z łatwością, chociaż o Białorusi i Polsce powiedział

prawdę; zrzucono go tam, by organizował oddział partyzancki. Oddział działał z powodzeniem, wiele wsi spalono w odwecie za jego udane akcje. – Znam pana trochę, Iljusza, i lubię, naprawdę. Właśnie dlatego nie mówię panu wszystkiego, że szczerą z pana duszą. Nie potrafi pan utrzymać przy sobie żadnego usłyszanego słowa: wszystko w panu bulgocze i się ulewa. Czasem trzeba uwierzyć komuś na słowo. Nie nasłano mnie na pana, nie jestem agentem, nie jestem szpiegiem, nie pracuję w wywiadzie. Byłem dość blisko powiązany z tymi sprawami, chodziłem do wiadomych domów, ale ich człowiekiem nigdy nie byłem, pan o tym wie. Chcę tylko uchronić pana przed niepotrzebnym cierpieniem. Wielu spośród tych, którzy szli w zaparte, uratowało się, kupiło sobie życie. Tak kupiłem je i ja, chociaż zapłaciłem drożej niż trzeba: ono nie jest tyle warte. Nie przyznałem się do niczego. Ale pan nie wytrzyma do końca, a tych, którzy poddają się w pół drogi, nie czeka nic dobrego. Dlatego radzę: niech się pan podda od razu. Niczego pan tym nie zmieni, nikogo nie zdradzi. Sam niech pan nie podaje żadnych nazwisk, ale jeśli o kogoś zapytają, to znaczy, że go mają na muszce i pan mu już nie zaszkodzi.

– Pytali pana o mnie? – wyszeptał Erenburg, znowu blednąc.

– O pana nie – skłamał Babel. – Ale niech pan słucha dalej, przechodzę do ważnych spraw. Oni biorą nie po to, żeby skazać. Po prostu rozstawiają ludzi jak pionki, bo tylko w ten sposób można stwierdzić, kto się do czego nadaje. Wydaje im się, że poprzez taki ostateczny sprawdzian można prawidłowo podzielić społeczeństwo. Mleko też pewnie nie ma lekko w wirówce, prawda? Dawniej istniała zasada – kto ile zrobi; potem nadeszły surowe czasy i wymyślili zasadę – kto ile wytrzyma. Tych, którzy wytrzymują wszystko, wykorzystują, tych, którzy się załamują – odrzucają; najśluszniej postąpią ci, którzy od razu odmówią udziału w tej grze i pozwolą im się oskarżać o wszystko, co im przyjdzie do głowy. Tacy dostaną po pięć albo siedem lat i wrócą.

Szli obok szkoły, w której dobiegały końca przygotowania do rozpoczęcia roku szkolnego: dzieci, które już powróciły z wakacji, zamiatały placyk przed wejściem i zbierały gałązki, inne zawieszały nad wejściem transparent, dwaj chłopcy malowali kraty.

– Co, dziewczynek nie biorą teraz na subotniki<sup>39</sup>? – zapytał Babel. – Oszczędzają je?

– Nie wie pan? – odpowiedział pytaniem Erenburg. – Teraz szkoły nie są koedukacyjne. Gdzież pan był, że pan nie wie takich podstawowych rzeczy?

– Tam nie było dzieci – rzekł z westchnieniem Babel. – Nie wyobraża pan sobie, Iljusza – to jest osobny, szczególny świat, z własną hierarchią i mnóstwem prowincji. W piekle są palacze, są nadzorcy i grzesznicy. Myślę, że grzesznicy mają najlepiej. Pomęczą ich, oczyszczą z grzechów i wypuszczają. A palacze i nadzorcy muszą tam tkwić wiecznie. W piekle lepiej

być gościem niż gospodarzem, nie sądzi pan?

– Może – jakby niechętnie zgodził się Erenburg. – Ale pan się mniej zmienił, niż się wydaje. Chciałbym przeczytać, co pan pisze.

– Przeczyta pan – obiecał Babel. – Ale jeśli rzeczywiście mało się zmieniłem, uwierzy mi pan i nie będzie grać w ich gry. Wie pan, co jest najważniejsze? Najważniejsze to nie przyjmować ich warunków. Próbowałem to robić tutaj, ale tam nie od razu się przestawiłem. No bo jak oni działają? Też nie od razu to zrozumiałem, ale teraz mogę to w przybliżeniu przedstawić: oni chcą, żeby pan grał według zasad. A sami robią, co chcą. Chcą, żeby pan był konsekwentny, a sami idą tak krętą drogą, że się pan w niej nie połapie. Ich najważniejszym celem jest wykręcić wszystko tak, żeby pan okazał się winny. Więc niech pan będzie winny od samego początku – wtedy już nikt panu nic nie zrobi.

– A pan? – zapytał Erenburg. – Jak było z panem?

– Ja to co innego – odparł niechętnie Babel. – Ja z początku myślałem, że jeśli się zaprę, to zmuszę ich, żeby się wycofali. W rezultacie zachowali mnie przy życiu, dali nawet robotę, ale to jest tylko mój wariant, dla innych się on nie nadaje. Oni i tak dopną swego. Jeśli pan wytrzyma wszystko – założmy, że będzie to taki nieprawdopodobny przypadek – zmuszą pana, żeby pan robił, co zechcą, myśląc, że teraz jest panu wszystko jedno, skoro jest pan z żelaza. I będzie pan to robić dla nich. Wszystko, co pan robi, będzie dla nich, na tym polega cała sztuka. Teraz i tak pan nie rozumie, o czym mówię. Dlatego niech mnie pan po prostu usłucha i od razu się przyzna: wtedy przynajmniej nie będą mogli najpierw pana torturować, a potem wykorzystać.

– Nie, zrozumieć – powiedział nieoczekiwanie Erenburg. – Od dawna się domyślam. Wie pan, Isa, to lepiej, że nie jest pan teraz w Moskwie i że w ogóle pana nie widać. Zgaduję po pewnych oznakach... i mówią... – Nachylił się do ucha Babela i gorączkowo wyszeptał: – Niedługo wezmą się za nas. Będzie państwowy pogrom.

Babel ze zdumieniem spojrział nań znad okularów. Jeszcze nie całkiem wyzbył się dziwienia czemukolwiek.

– To bardzo interesujące.

– Tak, tak... Szykują wielki pogrom, już nie mogliśmy opublikować książki o zbrodniach hitlerowskich na terenach okupowanych, już się uważa, że zwyciężył tylko naród rosyjski... Zaczynają z daleka, ale celują w nas. Najpierw potępiają Zachód, potem sympatie do Zachodu... ja wiem, wiem. Następni będziemy my. Może to także ma nas doświadczyć – w końcu on był w seminarium duchownym, mógł czytać, że Bóg doświadcza swój naród. Ale najprawdopodobniej po prostu ma nas dosyć. Myślę, że pan przesadza, mówiąc o

sprawdzianie. Pana jednego mogli pozostawić przy życiu cudem, pomni na zasługi, talent... Może będą potrzebować świadka swoich niezwykłych dokonań, kiedy można będzie o nich opowiedzieć... Oni przecież tak lubią obdarzać pisarza bezcennym doświadczeniem. Ale tu wszystko będzie bez sprawdzianu, po prostu wezmą i poszczują nas, pozostałych (nawet tu nie powiedział „Rosjan”, lubi Rosjan, pomyślał Babel). A wie pan, że to bardzo łatwe.

Babel nie próbował go przekonywać o sprawdzianie. Nie było sensu opowiadać o Czystem: jego milczenie na ten temat podyktowane było nie zakazem, ale wstydem. A tak w ogóle pomysł zrobienia porządku z Żydami był na swój sposób piękny, był wspianą ilustracją owej niekonsekwencji będącej podstawowym warunkiem wszystkich zwycięstw. Dopiero co ocaliliśmy naród żydowski i natychmiast pokazaliśmy mu, kto teraz jest Bogiem Izraela. W tym nagłym zwrocie czuło się niemal biblijną potęgę. A więc rozsortować Żydów, stworzyć oddział NASZYCH Żydów... a resztę na przemiał – marny sort... Cholera, może się w tym pokapowali, patrząc na mnie? Cieszyłem się przecież u nich dobrą opinią, mówili, że takiego sapera ze świecą szukać... Tak, cokolwiek byś robił, zawsze grasz w ich gry. Ale z drugiej strony... z drugiej strony, była w tym swego rodzaju konsekwencja – konsekwencja nieubłaganego, najdokładniejszego wyboru; wiedział, że Wódz się nią kieruje, i teraz był pełen podziwu dla jego wyczucia. Wybierać spośród już wybranych, wyselekcjonowanych przez lata prześladowań, zahartowanych tysiącletnimi tułaczek... dziwne, że nie zaczął od nas, ale początkowo chciał jeszcze zachować pozory powszechnej równości. Teraz może się wziąć za nas; tak, taki był cel od samego początku. Jakie to dziwne, że nawet w swoich najgorszych przypuszczeniach do tej pory za nim nie nadążam! Cała rzecz w tym, że on zawsze grał na utrzymanie przewagi: nie zdążysz się nauczyć żyć z jedną ręką, a już odrąbują ci nogi...

– Nie wykluczam tego – powiedział wolno Babel – chociaż nie wiem wszystkiego. Ale myślę, że moja rada jest słuszna także w tej sytuacji. Niech pan się kaja za dowolne grzechy.

– Jak Bucharin<sup>40</sup> – wyszeptał ledwie dosłyszalnie Erenburg.

– Bucharin to osobny przypadek, sam do nich należał – szybko odrzekł Babel. – Bucharin był jego bliskim przyjacielem i złamał się tak łatwo, że uznali to za zdradę. Pozostali – to zupełnie co innego, ich nie zabito. Pana też nie zabiją, nie jest pan aż taką szyszką, żeby uważali pana za swojego. A jeżeli pana zabiją – zawsze należy mieć na względzie również taki wariant, z tym zawsze trzeba się liczyć – przynajmniej umrze pan jak człowiek. Nie jak zwierzę, czołgające się we własnych ekskrementach, ale jak człowiek.

– Jak człowiek?! – powtórzył ze wzburzeniem Erenburg. – Do wszystkiego się przyznać, oskarżyć samego siebie – pan to nazywa dobrą śmiercią?

– Dobra śmierć nie istnieje – uśmiechnął się Babel. – Istnieje śmierć zła i bardzo zła. Ta, o



której panu mówię – nie jest najgorsza.

– Isa, czy pan w ogóle żyje? – zapytał nagle Erenburg. – Mam wrażenie, że przysłali pana nie oni, ale – uśmiechnął się – jakaś wyższa instancja.

– To błąd – powiedział Babel. – Bardzo niebezpieczny błąd. Naszą największą wadą jest to, że cały czas myśleliśmy, że oni mają jakiś związek z wyższą instancją. I że ona zsyła nam coś za ich pośrednictwem. Nie, Iljusa, oni mają swoje zamysły, a tam mają swoje.

– Tam też zawsze przegrywamy – uśmiechnął się sceptycznie Erenburg.

To był wciąż ten sam Erenburg: tchórzliwy, ale mówiący „nie”; bardzo możliwe, że i to swoje „nie” mówił z tchórzostwa, nie chcąc przyznać racji kipiącej, krwawej, ognistej lawie życia – ale ta lawa i tak nie miała żadnej racji. Czy trzeba się w niej gotować przez całe życie, żeby to zrozumieć? Nie zawsze godny zaufania, próżny jak wszyscy lennicy ich sromotnego literackiego rzemiosła, we wszystkich kompromisach zachowywał tę swoją negację – taką negację, że na jej tle było wszystko jedno, do czego się dostosowywać. Tak, to był wciąż ten sam Erenburg, ale nie widzieli się dziesięć lat i Babel teraz zrozumiał, jak mimo wszystko lubił biedaka.

– Nie sądzę – odparł. – Tam nie zawsze przegrywamy. Jeszcze o tym pogadamy.

Dziwne, że Ilja jeszcze nie pokonał w sobie strachu. Nie daj Boże, żeby ten strach wybili z niego pięściami przy przesłuchaniu. Czas było iść. Babel nie wiedział, czy się jeszcze zobaczą, ale prawie nie miał wątpliwości, że Erenburgowi sądzone jest pójść własną drogą: on zrobił chyba wszystko, żeby dać mu szansę na ocalenie. Bał się go tam puszczać, ale i nie miał gdzie ukryć.

– Pana nie zabiją – nagle zapewnił go Babel. – Jest pan zbyt wielką postacią, żeby pana zabić, uczynić wrogiem. Będzie im pan potrzebny żywy. Niech pan robi, jak powiedziałem, a przeżyje pan. Mówię to panu z całym przekonaniem. No, do widzenia.

Pośpiesznie, niezgrabnie uściśnął Erenburga i odszedł.

– Isa! – zawołał za nim Erenburg. – Pokaże się pan jeszcze?

Obejrzał się, kiwnął głową i przyśpieszył kroku.

Musiał się koniecznie zobaczyć jeszcze tylko z jednym człowiekiem, a człowiekiem tym był Olesza – cudem ocalały, spisany na straty jeszcze w trzydziestym siódmym<sup>41</sup>. Wszyscy znajomi Babla z tych kręgów twierdzili bez ogródek, że Olesza zachowuje się podejrzanie. Przez jakiś czas Babel myślał, że to podstęp (we wszystkim wówczas dopatrywał się wyrafinowanych, skomplikowanych podstępów, dopóki nie zrozumiał, jak bardzo jest to proste). Wielu sądziło, że Oleszy ze wszystkimi jego knajpianymi filipikami i salonową frondą nie ruszają właśnie dlatego, że był informatorem... Ale Olesza nie był informatorem. Babel

w całym swoim życiu ufał tylko pięciu czy sześciu przyjaciołom, z których do dnia dzisiejszego dożyło trzech; dwóch już ostrzegł.

Numer telefonu Oleszy był teraz inny, ale Babel wiedział, gdzie może znaleźć przyjaciela. Była taka nikomu nieznaną mordownia koło Dworca Białoruskiego, do której Olesza chadzał, kiedy nie miał forsy. Sądząc po atmosferze, chyba niezbyt dobrze prosperowała. Przed wojną bywał w „Nationalu”. W gruncie rzeczy nie było sensu go ostrzegać – był teraz zapewne kompletną ruiną, takich nie brali. Zaczął się doprowadzać do ruiny już dawno i konsekwentnie, w ogóle był pedantem, a to było najlepsze wyjście: wyprzedzić ich o jedno posunięcie, zdążyć zniszczyć samego siebie zanim uczynią to oni. Dlatego właśnie nie wzięli go w trzydziestym ósmym, że już w trzydziestym szóstym właściwie nie było co brać. Erenburga Babel szanował za samozachowawczość, Oleszę – za samozniszczenie, którym uprzedził własny los. Taka gra drogo kosztowała.

Babel zdążył wypić dwa kufle piwa, stojąc przy brudnym marmurowym stoliku. Niechlujny starzec, który garbił się obok, poczęstował go wędzonym leszczem – Babel podziękował i wziął kawalek. Za oknem zaczął siąpić deszcz, już nie taki, jak rano – ulewny, odświeżający – ale drobny i cichy. Babel nie usłyszał go, tylko zobaczył jego ukośną, kropkowaną linię na szybie, która z każdą minutą mętniała i szarzała. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak można namalować moskiewski pejzaż: w moskiewskim pejzażu nie było kolorów.

Olesza przyszedł około dziewiętej wieczorem, już pijany, w brudnym czarnym palcie, mimo że było ciepło: no dobrze, pada, ale jak można chodzić latem w takim łachu! To pierwszy symptom upadku – stale się marznie: wszyscy włóczędzy, jakich Babel widział, i wszyscy złodzieje, których opuściła dobra passa, nosili wyszmelcowane szmaty i wyliniałe kacabaje. Olesza przystanął na progu, wypatrując znajomych twarzy, zobaczył Babla i podszedł do niego bez cienia zdziwienia czy strachu.

– Witam, panie Babel – powiedział. Starzec obok kiwnął głową Oleszy, nie zwracając najmniejszej uwagi na wymienione nazwisko – był pochłonięty swoją rybą. – Dobrze, że pan przyszedł. Ostatnio takie dranie tu przyłazą. Wczoraj był Awerbach<sup>42</sup>.

Awerbach podpisał wszystko, oskarżył mnóstwo ludzi, kajał się, ale nie mogli go oszczędzić: swoich nie oszczędzali. Oni dali mu władzę, a on ich zawiódł.

– Różni przychodzą – ciągnął Olesza, nie robiąc pauz na ewentualną odpowiedź rozmówcy. Od dawna przywykł do monologów: nie było nikogo, kto by podtrzymał błyskotliwą rozmowę, a od zjawy próżno by oczekiwać odpowiedzi. – Był Woronński<sup>43</sup>, był Diemientjew<sup>44</sup>. Meyerhold nigdy nie przychodzi, nie może mi wybaczyć, że nie uchroniłem Ziny<sup>45</sup>. A co ja mogłem? Majakowski też nie przychodzi, wierzył we mnie, a ja zawiódłem jego nadzieje. Ale

to, co robię tutaj – to też sztuka.

Było to nieco teatralne, ale właściwie całkiem niezłe. A na pewno lepsze niż epopeja. W pewnym sensie Olesza wynalazł nowy gatunek, ale mógł go uprawiać tylko on sam. Dobrze, że ubyło metafor – odwracały uwagę od istoty rzeczy i raziły oko, podczas kiedy język zasadniczy, język uczuć i charakterów, był dość ubogi. Olesza potrafił porównać tak, żeby było widać, jak umie porównać, ale nie tak, żeby było widać przedmiot.

– Niezłe – pochwalił szczerze Babel. – Ale musi pan to zapisywać, bo inaczej to umrze razem z panem. Może to być sztuka, monodram. Pan jeden rozmawia ze wszystkimi, ich nie widać, widz widzi tylko pana, ale dla pana oni są rzeczywiści.

– Rozczarowałem się teatrem, bo nie podobają mi się jego ludzie. – Olesza wyjął z kieszeni na pół opróżnioną ćwiartkę i osuszył ją jednym haustem. – Lubiłem Meyerholda, a on mnie odepchnął. U Meyerholda było tak: brali człowieka, zbliżali do siebie, przyjmowali za swojego, a potem wyrzucali, bo spodobał im się ktoś nowy. Powinienem był się z tym liczyć, ale ja to co innego. Lis zna mnóstwo rzeczy, jeź zna tylko jedną wielką rzecz. Przez całe życie myślę tylko o jednym, o moim prawie do życia. Meyerhold myślał o tysiącu różnych rzeczy i szybko mu się znudziłem. Znudziłem się wszystkim, a pan mnie toleruje tylko dlatego, że pana też interesuje jedna wielka rzecz. Interesuje pana zagłada, a ja ginę. I pan na to patrzy.

– Powiedziałbym nawet, że się zachwycam – odparł Babel, rzeczywiście pełen zachwytu.

– I co, dowiedział się pan tam wreszcie, jak to jest?

– Jak to jest, wiedziałem i tutaj. Ale czym to jest, nie wiem do dziś. Najgorsze, że i tam człowiek tego nie rozumie. Więcej: najczęściej nawet nie zauważa, w którym momencie to się z nim dzieje.

– Ale jest pan w raju? Mam nadzieję, że jest pan w raju.

– Nie, przyjacielu, to wszystko nie jest takie proste.

– Chwileczkę, chwileczkę... To ciekawe. Zaczeka pan, aż przyniosę sobie piwo?

Babel już miał poprosić, żeby przyniósł i jemu, ale zrozumiał, że byłoby to złamanie zasad, i w milczeniu kiwnął głową. Olesza wrócił z dwoma kuflami, obydwą postawił przed sobą i ostrożnie zdmuchnął pianę z pierwszego.

– No więc niech pan opowiada dalej. Zaczął pan o raju.

– Jeszcze nie byłem w raju – odrzekł Babel. – Byłem w piekle, smażyłem się tam, aż mieli mnie już dość. Myślę, że największe swoje grzechy odkupiłem. Teraz jestem w czyścicu – półmrok, jakieś stoły, kufle... Dziś w nocy przeniosą mnie do raju.

– Ostro... – Olesza spojrział na niego spode łba. – Nie wytopili z pana jadu w tym piekle. Jeżeli to jest czyściec, to jest tu całkiem niezłe. Tylko piwo nędzne, ale piwo teraz wszędzie

jest nędzne. Wszystko jest teraz nędzne. Dawniej to było dobrej jakości: i oprawcy, i męczennicy, i męki. Teraz jest tak sobie, odrabiają życie byle zbyć...

– Ma pan dwadzieścia kopiejek<sup>46</sup> – powiedział Babel.

– Nie, mnie też dotknęła ta przecena. Naprawdę tak kiedyś mówiłem? Chociaż pan na pewno nie pamięta, mówią, że tam pamięć obumiera...

– Kłamią.

Olesza go nie usłyszał – snuł nowy monolog:

– Ale mogę jeszcze wymyślić temat. Chce pan temat? I tak się panu nie przyda, ale jeśli w raju nagle zacznie pana ciągnąć do pisania – to niech pan bierze. Pewien uczony... psycholog... nagle odkrywa, że każdego można pozbawić zdrowych zmysłów, dobierając do jego psychiki specjalny kod. Wystarczy powiedzieć kilka słów i staje się pan dzieckiem albo psychopata, albo rośliną – bez uczuć, bez myśli... Zabawia się, dobierając te klucze, studiując życiorysy, przeprowadzając eksperymenty... I wie pan, co się okazuje? Aby dziewczyna, o której miłość zabiegał, utraciła wszelką wolę sprzeciwu, trzeba jej przeczytać starożytny hymn bojowy – tak silna jest jej nienawiść, tak silna wola. Hymn wejdzie w rezonans z jej nienawiścią, jak maszerujący oddział żołnierzy z mostem, i wszelki opór runie. Ale najdziwniejsze jest to, co trzeba zrobić, żeby odebrać rozum miejscowemu tyranowi. Trzeba mu wyrecytować dziecięcą wyliczankę – entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek. Tyran jest przecież dzieckiem, tyle że skrzywdzonym dzieckiem. Najstraszniejsze istoty na świecie to skrzywdzone dzieci. Właściwie przez całe życie nie robię nic innego, tylko szukam takich kluczy, ale na razie doprowadziłem do utraty zmysłów jedynie samego siebie...

Starzec, który poczęstował Babela wędzonym leszczem, spojrział ze zgrozą na Oleszę i, nie dopijając piwa, z niezwykłą jak na niego szybkością wyszedł.

– A to jeszcze jeden – uśmiechnął się Babel.

– Tak, mógłbym to napisać... ale teraz duże rzeczy to nie dla mnie. Mogę pisać tylko króciutkie kawałki – po parę zdań. To już koniec, rozpad. – Olesza pociągnął ogromny łyk.

– Pan mi przypomina ptaka. – Babel rozejrzał się z przyzwyczajenia. – Przypomina mi pan ptaka, który nauczył się latać i skarży się, że nie może już chodzić. Po cóż pisać powieści? To martwy gatunek, gatunek dzieciństwa ludzkości. Proszę tylko spojrzeć, wszystko się zmniejsza, miniaturyzuje. Jeszcze dożyjemy przenośnych radioodbiorników, miniaturowych maszyn do pisania, które same biegają po papierze, kierowane być może ruchami naszych oczu... Literatura zostanie sprowadzona do opowiadania, a opowiadanie – do słowa, znaku. Niech pan pisze swoje urywki, złoży je w książkę i to będzie księga pańskiego życia.

W oczach Oleszy po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy błysnęła nadzieja.

– Tak pan myśli? – zapytał.

– Myśli pan – odparł Babel. – Ja tylko wyrażam pańskie własne skryte myśli.

– Ale co, jeżeli jest pan żywy? – zapytał Olesza. Jak wszyscy prawdziwi, skończeni alkoholicy, na krótko trzeźwiał, żeby potem popaść w ostateczne zamroczenie.

Babel znów się uśmiechnął: zabawne. Erenburg się bał, że on jest martwy. Olesza się boi, że jest żywy.

– Podaruję panu temat na sztukę. – Babel znów się rozejrzył. – Rozmawiają dwaj ludzie i każdy jest pewien, że rozmówca nie żyje. W pewnym sensie obaj mają rację. Tak czy owak, mogą niczego nie ukrywać. Jest to jedyna forma szczerej rozmowy.

– Jedyne powód – powiedział Olesza z nieoczekiwane żalną nutką w głosie – dlaczego mnie nie biorą? Czy jestem już zupełnym zerem?

– Co pan – uspokoił go Babel. – To nie jest kryterium. A co do książki-urywków – naprawdę niech pan o tym pomyśli. Z przyjemnością bym ją przeczytał. No, czas na mnie. Niech pan wpadnie, jak pan będzie w Odessie.

– To pan do Odessy?

– Sądzę, że tak – powiedział Babel. – Jakiż inny raj mogliby wymyślić oprócz Odessy? Chociaż, wie pan, czasem sobie tak myślę: a jeżeli w raju jest tak samo, tylko w jeszcze większym stopniu? Znowu kogoś zabijać... Zaczyna mi się nawet wydawać, że u was w czyścicu jest lepiej. A pańskim zdaniem?

Ale Olesza już mu nie odpowiedział. Krótkotrwałe ożywienie minęło, jego wzrok stał się bezmyślny, dolna warga brzydko obwisła. Rozkład nigdy nie jest miły dla oka. Babel wsunął mu pod kufel kilka banknotów i wyszedł na deszcz.

Nazajutrz Olesza obudził się i mętnie przypomniał sobie rozmowę. Był Babel, tak; podpowiedział mu pomysł na zbiór krótkiej prozy... Ale Babela dawno nie ma. To wszystko mówił jego własny chory umysł, przecież słowa jego halucynacji to były jego własne słowa. A więc mózg znalazł wyjście. Trzeba tylko pisać codziennie, choćby jedną linijkę, ale codziennie. I do końca życia był przekonany, że sam to wymyślił.

Pociąg do Odessy odchodził z Dworca Kijowskiego o dwudziestej trzeciej piętnaście. Babel kupił bilet jeszcze rano, żadnych więcej spraw w Moskwie już nie miał, bez pośpiechu dojechał trolejbusem B do placu Smoleńskiego i pieszo przeszedł przez most Borodiński. Plac dworcowy był przegrodzony – budowano metro. Dochodził już do budynku dworca, kiedy usłyszał za sobą okrzyk:

– Majorze!

Ludzi o tej porze było niewiele. Okrzyk mógł się odnosić tylko do niego, trzeba było

porzucić nadzieję. Majora dostał po Krakowie. Obejrzał się.

– Góra z górą – powiedział Sutormin.

Sutormin trafił do jego grupy pod koniec czterdziestego trzeciego, kiedy naboru do Czystego już prawie nie było. Solidny gość, dlatego go wzięli.

– Czołem, lejtnancie – powiedział Babel.

– Dokąd się wybierasz?

– A co mam tu robić, jadę w rodzinne strony.

– A żona, dzieci?

– Syn od dawna ma nowego tatę, a żony nie chcę wystraszyć.

– A ja sobie spaceruję, majorze. Tu w dworcowym bufecie jest otwarte do rana, kawiorek, kultura... Chodź, wypijemy parę setek.

– Nie mogę, zaraz mam pociąg.

– A... Wiesz, myślałem, że już nic mnie nie ruszy, a tu łączę sobie dzisiaj po Moskwie, nagle patrzę – to on! Ten, co wtedy mnie wydał. Wiem, że on doniósł, nikt inny nie mógł. Politrak oczywiście nie mówił kto; w ogóle rozmowy tam były krótkie. Ale ja to czułem, o wielu rzeczach rozmawiałem tylko z nim. Może jeszcze listy... ale listy pisałem bardzo ostrożne. I wyobraź sobie – idzie odsztyftowany, w mundurze, widać został w wojsku... Wiersze sobie razem cytowaliśmy, masz pojęcie? Znałem wiele wierszy... Idzie prosto na mnie, pomyśl! Wpadłem do budki telefonicznej, stoję tam, a ten jakby mu ktoś palcem pokazał – gapi się na mnie! I aż się biały zrobił! Tu już nie miałem cienia wątpliwości: na pewno on. On doniósł. Kiwam na niego palcem, a oczami myszkuje w tłumie: ludzi mnóstwo, nikt nie zauważy, jak go... Jasne, dobrze by było go pomęczyć, żeby popamiętał, ale gdzie to zrobić? Nigdzie ze mną nie pójdzie, nie jest głupi... A tak bym go z łatwością wykończył, mam przy sobie wierną przyjaciółkę, o... – Sutormin zrobił nieuchwytny ruch, błysnęło cienkie ostrze. Był mistrzem w tych sztuczkach. – No. A on nagle nogi za pas... To on, jak nic. Teraz sobie spaceruję. Mam przecież prawo, co, majorze?

– Masz, lejtnancie – odparł Babel. – Masz, Kostia.

Mógł teraz nazywać go po imieniu. Sutormin zbyt krótko był w Czystym, był jeszcze zbyt żywy, żywa była jego nienawiść i śmieszne pragnienie zemsty. Zemsta na kimkolwiek jest niemożliwa: zdawali sobie z tego sprawę wszyscy, którzy byli w Czystym od przedwojnia.

– Muszę iść – powiedział Babel. – Bądź ostrożny z tą swoją przyjaciółką.

– A kto mi teraz co zrobi? Jesteśmy przecież nietykalni. Odsłużyliśmy. Dalej niż do Czystego nie wyślą.

– Wyślą, Kostia. – Babel spojrzał mu głęboko w czarne, lekko wylupiane oczy. – Na nic

nie będą patrzeć, i ta cała ich wdzięczność... mogą od razu stuknąć. Myślisz, że masz tutaj immunitet? – Trzepnął go po kieszeni na piersiach. – Skąd wiesz, może to twój wyrok śmierci.

– Immu... co?

– Daj spokój, Konstantin, przede mną się nie zgrywaj. Wyczuwam takich moli książkowych na wiorstę. To tylko tam ledwie mówiliśmy – a no ładuj, cel, pal... Studiowałeś, prawda?

– Bystry jesteś, majorze. Na historii.

– Skoro na historii, to tym bardziej powinieneś wiedzieć wszystko o ich wdzięczności.

I radzę ci – wyjedź z Moskwy jak najdalej. Mama żyje?

– Żyje. Niedawno wróciła.

– No to wyjedźcie oboje, póki jesteście cali. Jak najdalej, jak najdalej. Najlepiej na wieś.

Nie powinieneś paradować na widoku, powinieneś się ukryć.

– Tak myślisz?

– Nie tylko myślę, ja to robię. – Babel popatrzył na zegarek: miał jeszcze dziesięć minut – dokładnie tyle, żeby dojść do pociągu. – Bądź zdrow, lejtnancie.

– Dokąd się teraz wybierasz?

– Do Briańska – skłamał Babel. Nie należy być zbyt szczerym nawet z takim świetnym chłopakiem jak Sutormin.

– Jak będę w Briańsku, to cię poszukam.

– Poszukaj. – Babel klepnął go w ramię, odwrócił się i ruszył do pociągu.

– Ej, majorze! – krzyknął za nim Sutormin. – Jak się nazywasz? Znaczy teraz?

– Siemion – odrzekł, nie odwracając się Babel.

W Odessie wynajął pokój w pobliżu portu, znalazł sobie pracę w „Majaku”, gdzie sekretarzem redakcji był pamiętający go zaufany człowiek, i spokojnie przeżył jeszcze dwadzieścia lat jako redaktor stylistyczny – dodawał blasku cudzym gazetowym elaboratom, w których za przygnębiającą kancelaryjną szarzyzną nietrudno było dostrzec ironiczną i zapalczywą duszę południowca. Uwalniał tę duszę, oskrobywał z niej łuskę i już niczego nie musiał dodawać. Teraz „Majak” zaczął się nadawać do czytania, stał się powodem do dumy.

Zobaczył swoją ukochaną Mołdawanę i Priwoz, i Diuka<sup>47</sup>, i Jekatierińską, i Puszkina. I zobaczył morze. Nad morzem spędzał teraz prawie cały wolny czas, ciągnąc myśl, która przyszła mu do głowy w Moskwie, o tym, że monumentalna architektura jest piękna, a monumentalna literatura nie do zniesienia. Teraz tę myśl rozwijał. Siedząc nad morzem, zrozumiał, że epoka, która go kiedyś tak urzekała, jedynie naśladowała przyrodę, przejmowała jej prawa – albo raczej jej jedyną zasadę racjonalności. W świecie przyrody nie ma rzeczy niezastąpionych, żadna morska fala nie jest gorsza od drugiej, i on sam żył w świecie,

w którym nikogo nie uważano za wyjątek. Przyroda nie ma zasad moralnych, ale ma głuchy i ślepy instynkt życia: jest on piękny w trawie, w bluszczu oplatającym ruiny, piękny nawet wtedy, kiedy przyroda chciwie i szybko unicestwia dzieło ludzkich rąk. Ale społeczność ludzi kierujących się tylko tym instynktem jest nie do zniesienia dla ludzkiej duszy.

Przyroda zna przykłady wzajemnej pomocy i przykłady walki o przeżycie, jest genialnie niekonsekwentna i przez to nieodparcie urokliwa. Przyrodzie nie można ufać, przypisywanie jej duszy i myśli jest śmieszne. Dusza i myśl są dane tylko nam, i jeśli w pogoni za wielkością przyrody naśladowujemy jej obojętność i chciwą, pełzającą wolę życia, jedyną dostępną nam wielkością staje się wielkość bestialstwa. Zrozumiał teraz, co go zachwycało w wybitnych i silnych charakterach dziewiętnastego wieku. Miał przed sobą ludzką masę odrzucającą wszystko, co ludzkie, żyjącą mrocznym i nieprzepartym instynktem przeżycia, konsekwencji i równowagi; był myślącą szczapką unoszoną przez to morze, ale łyzy strachu i zachwytu przeszkadzały mu dostrzec prawdę. Prawda zasadzała się w tym, że kraj, uważający za największą cnotę zdolność przystosowania i roślinną czepliwość, był skazany na pożeranie samego siebie, w bólach i mękach znów rodząc człowieka. I tak jak martwieje literatura, przejmując monumentalny kamienny majestat nowego empire'u, tak martwieje życie, chociaż społeczeństwo rozciąga na siebie kryteria prehistorycznego świata zwierzęcego, w którym nie ma sumienia i świadomości, chociaż jest dzika siła i prawdziwa wielkość.

Lubił patrzeć na morze, rozkoszując się tym, jak harmonijne i naturalne było tu to wszystko, co tak go nękało w historii. Polubił puste plaże, pustkę i rdzę peryferii, triumf trawy i piasku nad śladami człowieka, zwycięstwo okręgu nad linią prostą, siłę i bezlitosność przyrody w jej ostatecznym przejawie. Wiecznie ciągnęło go do przeciwieństw, do ślepego, potężnego pragnienia, do nieśmiertelności pełzającej siły. Kochał to wszystko, tak jak można kochać coś absolutnie i beznadziejnie odmiennego. Wszystko to nas przeżyje, i słusznie. Człowieka zawsze ciągnie do morza, pustyni i dżungli, do gwałtownego rośnięcia, wspaniałego kwitnienia, kruchych, łamliwych źdźbeł, bezlitosnych i fałszywych kobiet, jedynych, które potrafią wzbudzić prawdziwą namiętność; ale dopóki człowiek żyje, jest istotą innej natury.

W pięćdziesiątym drugim ożenił się z młodziutką dziewczyną świeżo po szkole i przez następnych szesnaście lat swego życia opowiedział jej wszystko. Napisał dwa zbiorki krótkich opowiadań i kilka listów do starych przyjaciół, rzekomo od czytelników. Katajewowi podrzucił pomysł jego późnej fragmentarycznej prozy, z wierszami pisanymi w ciągu, dobrze zaczynającemu Trifonowowi poradził, żeby zostawił powieść i spróbował noweli o tematyce miejskiej, a jeszcze lepiej opowiadań. Dostał działkę za miastem i z przyjemnością ją uprawiał. Jego syn, urodzony w drugim małżeństwie, wyemigrował na początku lat



osiemdziesiątych, teraz mieszka w Los Angeles, jest programistą. Proza leży u żony, gotowa do publikacji, ale jej czas jeszcze nie nadszedł.

- 
- <sup>31</sup> *Tiern* (ros.) – cierń (przyp. tłum.).
- <sup>32</sup> Piotr Biezuchow, jeden z głównych bohaterów *Wojny i pokoju* Tolstoja (przyp. tłum.).
- <sup>33</sup> Andriej Bięły (1880–1934) – poeta, prozaik, teoretyk literatury, zaliczany do tzw. młodszego pokolenia symbolistów (przyp. tłum.).
- <sup>34</sup> Tzw. Dom Hercena – zabytkowy pałacyk na bulwarze Twerskim, w którym urodził się Aleksander Hercen; od roku 1920 siedziba związku pisarzy, opisana przez Bułhakowa w *Mistrzu i Małgorzacie* jako „Gribojedow” (przyp. tłum.).
- <sup>35</sup> Piotr Andriejewicz Pawlenko (1889–1951) – pisarz (przyp. tłum.).
- <sup>36</sup> Ziemia i fabrika (ZiF) – sowieckie wydawnictwo, powstałe w latach dwudziestych (przyp. tłum.).
- <sup>37</sup> Władimir Iwanowicz Narbut (1888–1938) – sowiecki poeta, prozaik, krytyk; aresztowany w roku 1936 pod zarzutem „ukraińskiej propagandy burżuazyjno-nacjonalistycznej”, rozstrzelany w łagrze w 1938 roku (przyp. tłum.).
- <sup>38</sup> Nikołaj Aleksiejewicz Zabołocki (1903–1958) – rosyjski poeta i tłumacz, założyciel awangardowej grupy artystycznej OBERIU; ofiara czystek; zesłany w 1938 roku na Syberię, powrócił w 1946 (przyp. tłum.).
- <sup>39</sup> Czyn społeczny organizowany najczęściej w soboty (przyp. tłum.).
- <sup>40</sup> Nikołaj Iwanowicz Bucharin (1888–1938) – działacz partii bolszewickiej, główny oskarżony w procesie antysowieckiego bloku prawicowo-trockistowskiego, skazany na karę śmierci (przyp. tłum.).
- <sup>41</sup> W latach trzydziestych wielu przyjaciół Jurija Oleszy represjonowano, a jego książki w 1936 roku objęto zakazem druku, który zdjęto dopiero w 1956 (przyp. tłum.).
- <sup>42</sup> Mowa o Leopoldzie Leonidowiczu Awerbachu (1903–1937), krytyku literackim i działaczu komsomolskim; w latach wielkiego terroru Awerbach został aresztowany na podstawie fałszywego oskarżenia i rozstrzelany (przyp. tłum.).
- <sup>43</sup> Aleksander Konstantinowicz Worosiński (1884–1937) – bolszewicki rewolucjonista, pisarz, krytyk literacki, ofiara wielkiego terroru, został rozstrzelany (przyp. tłum.).
- <sup>44</sup> Nikołaj Iwanowicz Diemientjew (1907–1935) – poeta, członek grupy literackiej „Pieriewał”; popełnił samobójstwo w wyniku zaburzeń psychicznych (przyp. tłum.).
- <sup>45</sup> Meyerholda rozstrzelano w 1940 roku. Jego żona aktorka Zinaida Reich po złożeniu skargi na brutalność agentów NKWD podczas rewizji w ich mieszkaniu została zamordowana przez nieznanych sprawców (przyp. tłum.).
- <sup>46</sup> Zapewne aluzja do esejów Oleszy *Co dzień choć kilka słów* (przyp. tłum.).

<sup>47</sup> Pomnik Armanda de Richelieugo (1766–1822), gubernatora Krymu, który doprowadził Odesę do rozkwitu (przyp. tłum.).

Rogow czuł, że to tutaj, i wszystko się zgadzało: w dużej wsi Czyste, do której musiał iść pieszo trzy kilometry od rozjazdu w Kamyszynie, nie spędził nawet godziny, a już wiedział, że wreszcie znalazł. Wszystko się zgadzało z opisem Kretowa: dookoła las, o mieszkających w nim kiedyś ludziach rozmawiano tu niechętnie, i krajobraz w każdym calu odpowiadał legendzie, w którą Rogow ani przez sekundę nie wątpił: majestatycznie i mrocznie. Może zresztą przyczyną był dziwny, czerwono-bury kolor wieczornego nieba i niechętnie nastawienie starca, u którego się Rogow zatrzymał. Dom był stary, mocny, pachniał złożoną mieszaniną woni – mieszkało tu wielu ludzi i każdy z nich pozostawił w tym zapachu coś własnego. Teraz stary radził sobie sam, ale obecność tamtych osób w dziwny sposób się tu zakonserwowała i jeszcze była wyczuwalna – zdarza się tak w drewnianych domach. Zachowanie starego też nie wskazywało na to, że jest samotny: nie czuło się w nim ani słabości, ani smutku, ani rezygnacji. Przyjął Rogowa bez szczególnej ochoty i nawet zapłata za trzy noce z góry nie zmieniła jego nastawienia: dość hojnie zapłacił – trzy papiery po sto tysięcy – ale stary tylko schował je na półce, w książce, której tytułu Rogow nie zdołał odczytać. W domu niewiele było do czytania – kilka starych numerów pisma „Robotnica” i wiekowy *Poradnik agronoma*, jeszcze przedwojenny, z czasów Skałdina. Zabawne, jeśli Skałdin go widział, odchodząc z Czystego i zatrzymując się tutaj.

Do kolacji usiedli późno, jak to na wsi, po ósmej. Starzec widać jadał tylko przed nocą i tylko żeby zasnąć – z pełnym żołądkiem robił się senny. Nad stołem paliła się słaba, żółta żarówka bez klosza. W kątach zalegał cień. Stary jadł w milczeniu, na maszynie elektrycznej syczał czajnik. Rogow polał ziemniaki olejem, zanurzył w soli dziki czosnek i odkroił sobie pajdę czarnego chleba. W duchu miał nadzieję, że stary postawi na stole coś do wypicia i się rozgada, chciał się też trochę odprężyć – droga tutaj go jednak zmęczyła. Ale gospodarz nie pił – pewnie staroobrzędowiec.

– A co, Nikołaju Akimyczu – zagadnął Rogow, wyjmując z plecaka paczkę pierników do herbaty – nie ma tu gdzieś w pobliżu jakiej osady? Słyszałem, że tam zsyłali...

– Chodzą ludzie – odpowiedział enigmatycznie stary.

– Daleko?

– A bo ja wiem... Do nas nie zagładają.

– Znaczą co, chodzą po lesie?

– Niekiedy i po lesie.

– Co to za ludzie?

– Nie wiem.

Rogow zrozumiał, że niczego tu nie wykryje, i zdumiał się, jak głęboko zakorzeniony jest w tym starcu strach. Cała tajność dawno się skończyła, ale on najwyraźniej wciąż się bał z czymś wygadać. Trzeba spróbować go podejść z innej strony.

– Mój dziadek tu mieszkał, mniej więcej w pana wieku.

– Może i mieszkał – odparł bezmyślnie gospodarz.

– Zesłali go tutaj.

– Niby kiedy zesłali? Do nas nikogo nie zsyłali. – Stary spojrzął mu prosto w oczy z nieukrywaną wrogością.

– W trzydziestym dziewiątym – powiedział Rogow. Postanowił zagrać *va banque*.

– Mieszkam tu od dwudziestego czwartego – powiedział podejrzliwie starzec. – Nikogo tu nie zsyłali. Myślisz, że jak to Syberia, to od razu do nas? Syberia jest wielka.

Rogow nie znalazł na to odpowiedzi, a bał się zapuszczać w wyjaśnienia. Wyglądałoby to na próbę usprawiedliwiania się przed gospodarzem, chociaż wcale nie czuł się winny. A wypytywać o osadę – ilu mieszkańców, z czego żyją, czy w ogóle im płacą w przekształconym kołchozie – nie miał zamiaru: wiedział z doświadczenia, że takie rozmowy wywołują u mieszkańców wsi tylko złość. Albo czuli, że Rogow w rzeczywistości interesuje się zupełnie czym innym, albo nieprzyjemnie im było kolejny raz przyznawać się do nędzy i ruiny.

Po chwili milczenia starzec przemówił pierwszy. Nie wziął pierniczków Rogowa, dopił swoją herbatę, pogryzając z chrzęstem twardą, żółtą kostkę cukru, i znów wpatrzył się w gościa.

– A co, szukasz dziadka?

– Tak. – Rogow nie odwrócił wzroku.

– I skąd wiesz, że jest tutaj? Pisał do ciebie?

– Nie pisał, ale... coś słyszałem.

– Ktoś ci powiedział?

– Tak, jeden człowiek. – Rogow nie chciał wyjawiać wszystkiego. – Pracował tutaj jako geolog i... no, widział go.

– Gdzie go widział?

– W lesie.

– No popatrz, popatrz. – Stary po raz pierwszy się uśmiechnął, zresztą bez cienia radości. –

A co, twój dziadek był leśnikiem?

– Nie – ze złością odparł Rogow. Nie podobało mu się, że stary bez żadnego powodu traktuje go tak nieżyczliwie i jeszcze natrzęsa się ze Skałdina. Przez sekundę mignęła mu myśl, że może on właśnie jest Skałdinem – i że teoretycznie mógłby nim być każdy starzec – no, ale dziadka na pewno by rozpoznał. Nikołaj Akimycz nie miał nic wspólnego z człowiekiem na zdjęciu w aktach sprawy, a zresztą wyglądał zbyt młodo, za dobrze nawet jak na swoje lata. Dziadek był znacznie starszy.

– Ot, co ci powiem. – Stary nie wiadomo czemu obejrzał się na drzwi. – Mieszkać, mieszkać sobie, nie przeszkadza mi to. Ale mam dla ciebie radę – nie chodź do lasu. Wiem, wiem, jakiego ty dziadka szukasz.

– Jakiego? – przestraszył się Rogow. – O co tu chodzi?

– A o to. Chcesz mi tu mydlić oczy? Znajdź sobie innego głupiego. I jedno ci powiem... bez tych waszych... My tutaj mówimy prosto z mostu. Nie chodź do lasu. To nie jest takie miejsce, żebyś tu chodził po lesie. Pójdiesz szukać – i znajdziesz coś takiego, co ci się nawet nie śniło. No. A robić ze mnie durnia nie próbuj, nie tacy próbowali. I szukaj ich teraz.

– W porządku, Nikołaju Akimyczu. – Rogow naprawdę się rozżościł. – Pan ze mną szczerze – to i ja będę szczerzy. Słyszałem, że mojego dziadka, którego aresztowano w trzydziestym ósmym, wysłali właśnie tutaj. Powinni byli rozstrzelać, a zamiast tego zesłali. I że takich jak on było wielu. Dlatego go szukam. Rozumie pan? I proszę mi nie przypisywać Bóg wie czego. Nie ma tu u was złota ani ropy, nie ma czego szukać.

Starzec popatrzył na niego uważnie, z wyrazem, którego Rogow nie potrafił odczytać: ni to szyderczo, ni to współczująco.

– Co, ty myślisz, że ich wszystkich nie rozstrzelowali, tylko zsyłali?

– Nie wszystkich. Niektórych.

– Myślałem, że tylko wtedy ludzie w to wierzyli. A i to sami głupcy. Myślałem, że takich już nie ma.

Rogow nic na to nie odpowiedział. Stary przez chwilę milczał.

– Powiedziałem, co miałem powiedzieć. Nie moje zmartwienie, kogo ty tam szukasz. Ale do lasu nie chodź. To nie jest miejsce, w którym nowy człowiek powinien sam chodzić po lesie.

Rogowowi mignęła myśl, że stary chce sobie przydać ważności, żeby wziąć go na przewodnika.

– To może pan mnie zaprowadzi? – zapytał.

– Drwisz sobie ze mnie?! – krzyknął nagle gospodarz z wściekłością, o jaką Rogow, mimo

całej tej starczej niechęci, nigdy by go nie podejrzewał. – Z kogo innego rób sobie żarty, u siebie w domu! A ze mnie nie żartuj!

– Ależ ja nie żartuję, przecież sam pan powiedział...

– Wiem, co powiedziałem! Jak chcesz iść – to idź, twoja sprawa. Tylko żebyś potem nie żałował.

Starzec wstał od stołu i wyszedł na ganek zapalić. Rogow poszedł się spakować. W dusznym, drewnianym domu długo nie mógł zasnąć, a kiedy mu się to wreszcie udało, spał niespokojnie – cały czas śnił mu się jakiś składany aparat latający, który nosił w plecaku i wyjmował w razie potrzeby, kiedy musiał przelecieć niewielką odległość; było to coś na kształt składanego krzesła z mnóstwem kółek zębatach pod siedzeniem. Należało usiąść na tym krześle i ostro pociągnąć w dół do oporu czarną, metalową wajchę – wtedy aparat wzbijał się w górę i z metalicznym terkotem mknął nisko nad lasem. Sen był kolorowy, w czarno-fioletowej tonacji, czarno-fioletowy był też świerkowy las o ostrych wierzchołkach. Wzleciawszy jednak kolejny raz, Rogow poczuł, że popełnił jakiś nieodwracalny błąd – albo za słabo pociągnął wajchę, albo zapomniał złożyć ster – w każdym razie teraz nie on nadawał kierunek, ale terkoczący aparat niósł go według własnego widzimisie. Rogow pamiętał we śnie, że to widzimisie bardzo odbiegało od jego zamiarów, że musi lecieć zupełnie gdzie indziej, że w ogóle chyba miał wracać do domu – ale teraz nic już nie mógł zrobić. Nagle obróciło go i poczuł, że leci teraz głową w dół – a właściwie nie leci, tylko spada. Aparat powoli, niby jesienny liść, opadał wraz z nim gdzieś w las, w czarną gęstwinę drzew rozstępujących się w miarę spadania; w lesie były polany, a między nimi studnie, i ostatnim wysiłkiem – chyba wysiłkiem myśli – powinien trafić nie do studni, ale na polanę, by z niej znów wystartować, lecz Rogow, budząc się już z przerażenia, zrozumiał, że aparat nigdy więcej nie wzleci. To nie był taki las, z którego można odlecieć, nawet nie taki, z którego się można wyczołgać.

Obudził się niemile zdziwiony: jednym z jego najtwardszych dziecięcych przesądów był ten, że jeśli latasz we śnie, to znaczy, że rośniesz. Na rośnięcie było już za późno. Od dawna już nie doznawał ani rozkoszy lotu, ani urywanej, łomoczącej grozy upadku, znał jednak owo niewyraźne, przygnębiające uczucie, że zapuścił się nie tam, gdzie trzeba. Sen budził w nim lęk także dlatego, że to uczucie, zatruwające jego podświadomość już od dwóch tygodni, wreszcie się ujawniło i mógł je nazwać. Nie był to strach przed niewiadomym czy dyskomfort znalezienia się w nieznanym miejscu, ale właśnie świadomość, że coś unosi go coraz dalej od celu i że sam cel też nie istnieje, jest wymyślony, i to źle wymyślony. Czasem w półśnie pytał sam siebie, co tu robi, ale lusterko, lusterko Kretowa pod poduszką na wszystko mu

odpowiadało. Namacał je i teraz, pomyślał przelotnie, czyby go nie pokazać Nikołajowi Akimyczowi, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Nikołaj Akimycz nie był człowiekiem, któremu należało pokazywać lusterko.

Czarna cisza drobno tykała – czas odmierzał zegar ścienny, na szczęście niebijący – pewnie dawno zepsuty. Godzinę jeszcze pokazywał, ale bić już nie potrafił. W kompletnych ciemnościach, trzymając się ściany, Rogow wyszedł na ganek. Noc była zimna, z mnóstwem dużych sierpniowych gwiazd. Jak zawsze w chłodne noce, wszystkie były jasne i jednobarwne – w tym biało-błękitnym odcieniu, jakim w naszej świadomości zawsze świeci przedmiot albo bardzo zimny, albo bardzo gorący. Układ gwiazdozbiorów był nieznamy, przesunięty: Rogow z trudem odszukał konstelację Kasjopei, Wielkiego Wozu musiał szukać dłużej, a na skraju nieba już majaczyła srebrzysta smuga, zawsze widoczna jesienią. Tylko bardzo bystre oko wypatrzyłoby tam cztery gwiazdy ułożone w romb i piątą u jednego z jego wierzchołków. W duchu nazywał to pasmo latawcem.

W żadnej chacie dokoła nie świeciło się w oknach, nie słychać było nawet szczekania psów w obejściach. Las także trwał w milczeniu, nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Jego czarna, zębata ściana wyglądała jak monolit: czarniejsza i bardziej nieprzenikniona niż ciemnoszare niebo naprawdę Rogowa przestraszyła.

„I teraz otchłań się obnaża”<sup>48</sup> – przypomniał sobie. W nocy nie należy podejmować decyzji, nie wolno się też poddawać nocnym nastrojom. Ale właśnie teraz jak nigdy zapragnął wracać do domu. Nie odczuwał niczego takiego nawet w wojsku. Jeszcze trochę, a rozplakałby się jak porzucony szczeniak albo dziecko płaczące w nocy po tym szczeniaku. Trzeba wracać, powiedział głośno, żeby się uspokoić. Wracać i zostawić to wszystko albo przyjechać z kimś. Dlaczego przyjechałem sam? Czy dlatego, że to mój obowiązek i moja sprawa? Ale przecież wszystko może się zdarzyć, od samego początku wiedziałem, że wyruszam w głąsę. Nie wiadomo, jak mnie przyjmą, mogą nie pomóc żadne hasła. Wstrząsnął się z zimna. Tak, ale kogo miałem ze sobą zabrać? Nie mam przyjaciół, którym mógłbym zaufać w stu procentach. Jestem zupełnie sam. Dawniej ta myśl go cieszyła, teraz dręczyła. W tym zapomnianym przez Boga zakątku, pod wielkimi gwiazdami, nagle poczuł się niesamowicie opuszczony. Dawniej gwiazdy budziły w nim lekki, słodki smutek, jako coś pięknego i niedosiężnego – teraz jednak były groźne, a nawet nie tyle groźne, co niewyobrażalnie obojętne. Wszystko było obce – ten starzec, chata, las, niebo. Wszystko żyło własnym życiem, które w żadnym punkcie nie przecinało się z życiem Rogowa. Co mi strzeliło do głowy, że oni mnie zaakceptują? Z pewnością mają takie samo osobne życie, od dawna niemające nic wspólnego ze światem żywych. Wszelkie ich związki zostały przecięte tysiąc lat

temu. Trafiał nie tam, gdzie trzeba, ale zaszedł już tak daleko, że nie mógł tak po prostu wrócić.

I dokąd miałby wracać? Ta myśl wyświetlała się w świadomości coraz wyraźniej, w miarę jak Rogow coraz bardziej się budził i trzeźwiał, a nad jego przestraszonym ciałem z jego zwierzęcymi lękami stopniowo brał górę rozsądek. Rozsądek ustawiał wszystko na właściwych miejscach i ustalał zwykłe punkty orientacyjne. Rozsądek zapytywał: co jest w domu? W domu był krąg życia, z którego nie było wyjścia; kobiety, które potrzebowały tylko niańki; słabość i bezradność, których ślady wszędzie znajdował; matka, do której cały czas tęsknił, ale z którą nie znajdzie wspólnego języka, dopóki nie uporządkuje własnego życia. A uporządkować własne życie znaczyło znaleźć przyczynę tego, co się tu działo czterdzieści lat temu, bo nie potrafił tak po prostu z tym żyć. Musiał albo wyrzec się wszelkiego człowieczeństwa, zaakceptować wyższą logikę, albo wrócić do ciepłego i nudnego, zabałaganionego życia, w którym nie miał co robić. Popatrzył teraz na gwiazdy jak na równe sobie, ale na niebie nic się nie zmieniło.

Obejmując się ramionami, stał jeszcze przez jakiś czas na podwórzu, a potem poszedł spać. Stary obserwował go przez okno, ale Rogow nie zwrócił na niego uwagi.

Teraz szedł przez las i uprzytamniał sobie coraz wyraźniej, że zabłądził, ale jakoś dziwnie: kiedy obudził się w nocy, stosunkowo bezpieczny, i wyszedł na ganek – pod biało-błękitnymi gwiazdami ogarnął go strach, a teraz, w nieznanym lesie pełnym wiatrołomów, gdzie na wiele wiorst dokoła nie było chyba żywej duszy, nie odczuwał strachu. Może to dzięki dziennemu światłu, jeszcze jasnemu, chociaż jego zegarek wskazywał wpół do piątej, a może dzięki temu, że od dziecka lubił las. Iść samemu do tajgi, gdzie mógł się natknąć na dzikiego zwierza, mógł zgubić drogę, to było samobójstwo, ale Rogow czuł, że idzie dobrze, jakby czyjś wzrok utkwiony w jego plecach popychał go na właściwą drogę. Poza tym miał toporek zabrany jeszcze z pierwszego Czystego, ćwiartkę chleba i puszkę konserw, miał nóż, zapaliki, no i miał lusterko.

Las dokoła niego był dziwny – Rogow zawsze inaczej wyobrażał sobie tajgę. Drzewa rosły raz gęsto, raz rzadko, często trafiały się bure polany, zasypane suchym igliwem, albo wysepki brzeźniaków – za każdym razem Rogow uznawał je za prześwit, wyjście, ponieważ na daczy brzozy rosły wzdłuż skraju lasu i tak się przyzwyczaił – skoro są brzozy, to znaczy, że już blisko dom. Tu jednak szedł ścieżką, która zagłębiała się to w brzozy, to w osiki i coraz bardziej się zacierała; nagle spostrzegł, że idzie bez drogi. Ruszył z powrotem, ale chyba poszedł za bardzo w lewo. Zgubił ścieżkę, chociaż, mimo iż dokoła pełno było wiatrołomów i martwych, powalonych pni, miejsce nie wyglądało na dzikie. Co prawda, śladów ludzkiej obecności, rozpoznawalnych dla podmoskiewskiego grzybiarza, tu nie było, i to właśnie



początkowo go peszyło: nigdy jeszcze nie chodził po lesie, w którym nie poniewierałyby się zardzewiałe żelastwa czy plastikowe kubeczki. Tutaj człowiek nie pozostawiał żadnych śladów – chyba że dziwne znaki na pniach, niekiedy świeże, niekiedy zatarte, na wysokości półtora metra od ziemi. Ale to w końcu mogło być także zwierzę. Jakie zwierzę? Tego nie potrafił sobie wyobrazić. Łoś? Ślady nie miały żadnego sensu: bezładnie rozrzucone na pniach brzoź i osik poziome nacięcia, nic więcej. Znajdował też grzyby – rozmoknięte i przejrziałe; chociaż z żalem przepuścił też kilka pięknych koźlarzy. Od czasu do czasu las zaczynał szumieć, ale na ogół dzień był spokojny i jasny, przypominający złotą jesień. Do twarzy kleiła się pajęczyna. Rogow miał ze sobą kompas i wiedział, że wracać w razie czego – jeśli zacznie się ściemniać, a on nie znajdzie ani osady, ani ścieżki – będzie musiał dokładnie na zachód.

Przeleciał samolot. Jego różowiejący ślad był dla Rogowa nadzieją i pociechą, dowodem, że gdzieś jest zwyczajny świat – a poza tym błyszczący punkcik na niebie nad lasem przypominał mu okładki miesięcznika „Junost”, których tyle oglądał na strychu u Kretowa. Samoloty latały też nad lasem wokół ich daczy – niedaleko było lotnisko wojskowe. Ów długi ślad był jak żywcem przeniesiony ze starych filmów o geologach, o ogniskach i śpiewach przy gitarze, o wyrąbywaniu przesiek, o liniach wysokiego napięcia w tajdze. Za każdym razem, kiedy słyszał w lesie odgłos schodzącego do lądowania samolotu albo po prostu widział na niebie białą smugę kondensacyjną ciągnącą się za ledwie widoczną, nieśpiesznie przesuwaną kropką – przypominało mu to o tamtych szybkich i niepewnych, ale wesołych czasach. Rogow poweselał.

W lesie nie było słyhać żadnych dźwięków prócz jego własnego oddechu i kroków oraz od czasu do czasu niegłośnych rozmów, jakie toczył sam ze sobą, żeby nie czuć samotności. I nagle – zaraz potem, jak odprowadził wzrokiem samolot – w jego uszach rozległ się szybki i niewyraźny kobiecy szept, jakby ktoś powiedział mu w samo ucho jakieś niezrozumiałe zdanie; kilka razy uporczywie powtarzało się w nim jedno i to samo słowo. Dziwne było nie tylko to, że słyszał wyrazisty, choć niezrozumiały szept w pustym lesie, dziwne było również to, że ów szept, rozbrzmiewający przy samym uchu, nie brzmiał, jakby się zwracano do niego – brzmiał raczej jak zakłęcie. Ktoś mamrotał sam do siebie, i było to jeszcze dziwniejsze niż sam dźwięk cudzego głosu tuż obok.

Rogow drgnął i obejrzał się: akurat w tym momencie zakołysała się nad nim sosna i halucynacja znalazła proste, wręcz nieciekawe wytłumaczenie. Mimo to nie na żarty się wystraszył: najwyższy czas skończyć te samotne wędrówki. Sprawdził kierunek na kompasie i energicznie ruszył na zachód, chociaż i bez kompasu widział, gdzie zachodzi słońce. Wcześniej czy później dojdzie do ścieżki; na pewno przed zapadnięciem zmroku.

Nie przeszedł nawet pięciu kroków, kiedy szept się powtórzył, tak samo wyrazisty: teraz Rogow nie miał już nawet zbawczych wątpliwości – nie był to szelest liści. W dodatku wiatr ucichł i nad jego głową nie drgnął ani jeden listek. Zdanie, które wypowiadał głos, było krótkie, ale powtarzało się minimum trzykrotnie – co prawda nie natarczywie, ale tak, jak mamrocze sobie pod nosem szaleniec, usiłując zagadać, zamącić samego siebie. Dlaczego Rogow uznał, że głos jest kobiecy – sam nie potrafiłby odpowiedzieć: przyczyną było pewnie to, że szept był gorący i nieuchwytnie wilgotny i że czuł go jakby w głębi własnego ucha. Obejrzał się gwałtownie – i znów nic nie zobaczył. Mamrotanie się powtórzyło i Rogow ruszył szybciej. Brzmiało to jak modlitwa i zamawianie, i zaklęcia – a najbardziej przypominało bezsensowne mamrotanie przez sen.

Po dziesięciu minutach szybkiego marszu Rogow na serio się przestraszył: okolica była nieznamoma, nacięcia na pniach powtarzały się coraz częściej i teraz miały różne kształty – wygięte wężykiem albo proste, parzyste, równoległe; raz wydawało mu się, że zobaczył coś podobnego do strzałki. Na pewno tędy nie przechodził. Pocieszając się, że przedtem kluczył, a teraz idzie prosto, i nie przestając robić sobie wyrzutów za niefrasobliwość w tajdze, z którą nie ma żartów, szedł dalej, ale przerażenie, takie, jakie poczuł kiedyś w morzu, gdy odpłynął zbyt daleko od brzegu i nadchodził sztorm, już oblepiało go jakoś od dołu, jakby wspinało się po nogach. W dodatku zaczęło się ściemniać. Najstraszniejsze jednak – do czego się sam przed sobą nie przyznawał – było nieustające wrażenie czyjś wzroku, który zdawał się popychać go w plecy. Chociaż teraz już nie popychał, ale obserwował ze złośliwą satysfakcją, co Rogow teraz robi.

Obejrzał się. Znowu ten dźwięk!

Jakby w powietrzu zawisała niewidzialna struna. Rogow czuł niezwykle napięcie, gotowe lada moment się rozładować. Obserwowano go, i to obserwowano nieżyczliwie, jak ten stary przy kolacji. Niech go diabli porwą z jego ostrzeżeniami! Na wszelki wypadek Rogow wyjął lusterko i pokazał je wciąż pustemu lasowi. Nic się nie zmieniło.

– Jak tak dalej pójdzie, to zwariuję – powiedział głośno.

Trzasnęła gałązka. Rogow obejrzał się szybko: nikogo. Zegarek wskazywał wpół do szóstej, ale miał wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu, ponad godzina; przyłożył zegarek do ucha. Tykanie wydało mu się ogłuszające.

Ściemniało się szybko, jak zawsze w lesie. Różowe niebo zaczęło nabierać ciemnej liliowej barwy, Rogow dostrzegł nawet pierwszą gwiazdę. Teraz rozmawiał sam ze sobą bez ustanku, w nadziei, że pozbędzie się halucynacji – ale nawet dźwięk własnego głosu wydawał mu się dziwny. Serce mu łomotało jak ściganemu zającowi. Tymczasem przed nim zarysował

się prześwit między drzewami i Rogow przyspieszył kroku. Najprawdopodobniej dotarł do Czystego, tylko niezupełnie w to miejsce, z którego wyruszył. Nawet wracając z lasu na daczy, zazwyczaj kierował się bardziej w lewo lub w prawo – być może podświadomie pragnąc urozmaicenia. Bez wątpienia zbliżał się do ludzkich siedzib – zdawało mu się nawet, że czuje zapach dymu.

Ale zamiast siedzib zobaczył rozległą polanę, niemal idealnie okrągłą. Na polanie stał nieznamy chłop w wysokich gumiakach. Patrzył wyczekująco i jakby ze złośliwą satysfakcją. Nad jego ramieniem sterczała lufa strzelby, na głowie miał bezkształtny kaszkiet. Poza tym w jego wyglądzie było coś dziwnego, ale Rogow nie umiał określić co.

– Mógłby mi pan powiedzieć, jak dojść do Czystego? – spytał rwącym się głosem.

Mężczyzna milczał i Rogow już pomyślał, że ma szczęście do milczących rozmówców, kiedy z zarośli wyszło jeszcze dwóch, też ubranych na ciemno, ze strzelbami, w bezkształtnych czapkach. Jednocześnie od tyłu podeszli do Rogowa czwarty i piąty. Poczł, że się zbliżają, więc odwrócił się gwałtownie, ale ci dwaj bez słowa wykręcili mu do tyłu ręce. Rogow zgiął się wpół i krzyknął zduszonym głosem:

– Co robicie? Jestem z Czystego... puszczajcie... co robicie...

Człowiek na środku polany zrobił ręką jakiś gest. Tamci dwaj podprowadzili do niego Rogowa. Trzymali go mocno – nie mógł się nawet obejrzeć, żeby zobaczyć, kto go prowadzi. Dopiero teraz zauważył, co dziwnego było w wyglądzie milczącego mężczyzny, który zapewne był ich starszym: nie miał brwi, zamiast nich czoło przecinały mu dwie blizny. Kiedy podprowadzono go bliżej, Rogow zobaczył, że u lewej dłoni dziwnego człowieka brakuje dwóch palców.

Trędowaci, pojął z przerażeniem. Kolonia trędowatych ukrywających się w tajdze. To przed tym ostrzegał go stary.

Starszy szarpnął głową – był to widocznie jakiś umowny znak – i dwaj pozostali, którzy dotychczas tkwili obok krzaków, z których wyszli, zbliżyli się i obszukali Rogowa. Ściągnęli mu plecak, odebrali nóż, resztę wepchnęli z powrotem. Rogowowi zaświtała ostatnia nadzieja.

– Zajrzyjcie do kieszeni na piersiach. – Wskazał podbródkiem kieszonkę.

Kiedy go obmacywali i oklepywali, żaden z nich nie zwrócił uwagi na lusterko. Starszy zbliżył się o krok do Rogowa, wyjął lusterko, popatrzył, krótko skinął głową i schował je z powrotem.

– Skąd? – zapytał cicho i ochryple, jak ktoś, kto dawno nie mówił.

– Dostałem... od pewnego geologa. Zostawił mi w spadku.

– Ty skąd jesteś? – z rozdrażnieniem uściślił starszy. Rogow wciąż nie wiedział, czy lusterko zadziało, czy nie.

– Z Moskwy – odpowiedział, nienawidząc się za swój strach.

– A tutaj po co?

– Szukam... – Zająknął się. Tak naprawdę nigdy się nie zastanawiał, jak określić tych, których zwieziono tu w trzydziestym ósmym. – Zesłanych.

– Po co?

– Tu był mój dziadek... chyba – odrzekł Rogow.

– Kogo przyprowadziłeś?

– Jestem sam. A wy kim jesteście?

Na to pytanie nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Dziwny człowiek przyglądał mu się długo i bez słowa. Rogow miał teraz szansę przyrzeć się z kolei jemu. Nie potrafiłby określić jego wieku: mógł mieć zarówno czterdzieści lat, jak i sześćdziesiąt. Rogow nigdy nie przypuszczał, że brak brwi może tak zmienić twarz, uczynić ją niemal jak nie z tej planety – chociaż wrodzone cechy tego Ziemianina też były niezwykłe. Twarz długa, żółta, bez jednej poziomej zmarszczki, z niemowlęcą gładką czołem – ale z dwiema głębokimi pionowymi bruzdami na policzkach, też przypominającymi szramy. Najdziwniejszy jednak był wyraz tej twarzy, wyraz, którego Rogow nie potrafił przypisać tylko temu, że go ujęto: był to wyraz dziwnej radości, w jakiś sposób przypominający ten, który można zobaczyć na ostatnich, już z okresu szaleństwa, zdjęciach Lenina. Z takim wyrazem patrzył na rekrutów jeden z najokrutniejszych „dziadków” kompanii Rogowa, plutonowy, niezwykle pomysłowy w kwestii poniżania. Podczas kiedy inni dręczyli „kotów” tradycyjnie, nie zwracając sobie głowy obmyśleniem nietypowych upokorzeń (takie obmyślenie wymagało obserwowania ofiary, wyszukiwania jej słabych punktów i strachów), to dla plutonowego Gamalejewa nie było lepszej rozrywki nad przemyślane, wyrafinowane dręczenie dla samego dręczenia. Ofiara początkowo w ogóle sobie nie wyobrażała, że ktoś może czerpać satysfakcję z takich rozrywek. Plutonowy Gamalejew był postacią wręcz bajkową, niemal bohaterem dziecięcych książek – klinicznym przypadkiem zła świadomego siebie i rozkoszującego się sobą. Czy czuł się nadczłowiekiem, zmuszając wspomnianego już Massalitinowa, by podał listy od dziewczyny, które przechowywał w szafce, albo szczegółowo klarując nieszczęsnemu Czurilinowi, co myśli o jego matce, która przyjechała do jednostki po otrzymaniu jednego szczególnie smutnego listu od syna? W tym drugim przypadku zresztą cały urok tortury polegał na tym, że Czurilin czuł się współuczestnikiem przestępstwa, to jest również jakby poniewierał własną matkę, bo trzymało go trzech oprawców i nie mógł nic zrobić

Gamalejewowi, a plucie mu w twarz byłoby zbyt melodramatyczne – oznaczałoby ostateczną hańbę. Nawiasem mówiąc, Czurilina w końcu przeniesiono do innej jednostki, ale jedyny list, jaki napisał do kolegów z nowego miejsca, świadczył o tym, że tam jest mu jeszcze gorzej.

Tak więc Rogow nie uważał, że Gamalejew po prostu zgrywał się na nadc człowieka. Sam nie ujmując się za prześladowanymi i nie uczestnicząc w torturach, uważnie obserwował plutonowego i domyślał się, że doznawana przezeń satysfakcja jest innej natury. Gamalejew na serio badał granice ludzkiej wytrzymałości i boskiej cierpliwości. I jedno, i drugie okazywało się bezgraniczne. Nie wystarczało mu do tych eksperymentów zwykłe bicie czy mała pomysłowa fala w rodzaju rozkazu uprania munduru. W rezultacie szeregowy Maslenow, „kot”, który nie przesłużył nawet trzech miesięcy, brutalnie kopał swojego kolegę z jednego poboru, Gromowa, bo w przeciwnym razie Gamalejew ze świętą zatłukłby jego samego – a Gamalejew, czysty, surowy idealista, w tym momencie z rozkoszą zginąłby pod walącym mu się na głowę sufitem albo przyjąłby uderzenie pioruna z bożej ręki, ale Bóg nie reagował, Gromow skowyczał, a Maslenow czuł się niemal równy „dziadkom” i coraz bardziej się nakręcał (dlatego szczególną rozkoszą było zmuszenie go, by zaraz potem na oczach kolegów robił pompki). Takich wyrafinowanych katuszy (którym Gamalejew poddawał nie tyle „kotów”, ile istotę najwyższą) żaden z uczestników tego globalnego eksperymentu w ogóle sobie nie wyobrażał, nawet w książkach nie czytali o niczym takim, toteż Gamalejew był dla nich postacią czysto baśniową: w życiu przecież bardzo niewielu ludzi czyni zło z czystego, idealistycznego pragnienia czynienia zła. Zło popełnia się zazwyczaj z lenistwa albo dla zysku, z mnóstwem usprawiedliwień. Gamalejew był szczególnym przypadkiem, chociaż możliwe, że jego demoniczne wyzwanie rzucane Bogu podyktowane było tak naprawdę zwykłym wrodzonym sadyzmem i tym, że nie potrafił się mu przeciwstawić. Jakkolwiek jednak było, ofierze początkowo trudno było uwierzyć w istnienie tak czystego, idealnego wzorca konsekwentnego i uporczywego bestialstwa, zwłaszcza jeśli była niedouczone i w ogóle wzięto ją w kamasze, kiedy akurat zeszła z gór po sól. Właśnie na widok owego zdumienia, niewiary w realność tego, co się dzieje – „czy to naprawdę przydarza się mnie, czy to w ogóle możliwe” – na twarzy Gamalejewa pojawiał się ów wyraz skrywanej, jakby wstydlivej radości, z jaką lubieżnik patrzy na nową kochankę, która okazała się dziewicą. Jakby on sam też nie mógł uwierzyć, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Coś podobnego do tej wstydlivej radości, w której mieszały się pogarda, uwielbienie i przedsmak, Rogow zobaczył teraz na twarzy starszego – i naprawdę zaczął żałować, że pchał się do Czystego.

– Oczy – rzucił starszy z ową wspaniałą pogardą, bez której nie obchodzi się żadna tortura, i Rogowowi zawiązano oczy.

Dalej bardzo brutalnie i mocno zaczęto go dokądś popychać, trzymając z tyłu za ręce. Nie zadawał żadnych pytań, świadomy, że teraz najlepszym wyjściem będzie dla niego siedzieć cicho. Minęło co najmniej pół godziny, zanim zamiast iglastego poszycia Rogow poczuł pod butami udeptany, twardy grunt. Przypomniawszy sobie opowieść Kretowa o placu w środku tajgi. Ale i po tym placu prowadzili go z dziesięć minut, zanim cała procesja się zatrzymała. Rogow usłyszał skrzypnięcie drzwi – widocznie starszy wszedł gdzieś, żeby o nim zameldować. Jeszcze przez jakieś trzy minuty wszyscy czekali. Wreszcie przygięto Rogowowi głowę i wepchnięto go do bardzo gorącego pomieszczenia. Pachniało tu nagrzanym drewnem, jak w saunie.

– To on – powiedział starszy, sądząc z głosu, gdzieś w pobliżu. – Szuka swojego dziadka.

– Puścić go – przemówił słaby starczy głos. – I rozwiążcie mu oczy, teraz to już...

Stojący z tyłu rozwiązał ciasną przepaskę i Rogow potrząsnął głową, mrużąc oczy. W pomieszczeniu, do którego go wprowadzono, panował półmrok, a w oknie, naprzeciw którego stał, była już zupełna ciemność – widać szli tu bardzo długo. Na grubo ciosanym stole własnej roboty paliła się lampa naftowa, do której siedzący za stołem starzec sięgnął, żeby podkręcić płomień. Przyglądał się uważnie Rogowowi, któremu przed oczami migwały iskry – opaska była ciasna i teraz mało co widział – zresztą, cóż mógł zobaczyć oślepiiony, przy jednej naftowej lampie.

Mimo to dostrzegł, że przy stole, z boku, siedzi w takim samym grubo ciosanym, ale wygodnym fotelu bardzo blady starzec o wygolonej twarzy skopca i oczach, które wydawały się czarne jak węgiel. Rogow nie mógłby za to ręczyć, ale odniósł wrażenie, że starzec jest lekko skonsternowany. Z całej jego postaci biła wielkość i władczość, ale wyraźnie nie wiedział, jak użyć tej władzy wobec Rogowa. Milczenie się przeciągało, starzec lekko bębnił palcami po stole i kręcił głową. Wyglądał na siedemdziesiątkę z okładem. Rogow zauważył, że jest niskiego wzrostu, dość chudy i chyba słaby.

– Idź, Wasilij – odezwał się wreszcie. – Zabieraj swoich orłów. Wystarczy mi Andron. (W kącie na ławie siedział jeszcze jeden wielki, gruby chłop, ale Rogow nie widział jego twarzy). – Pogadamy sobie z nowym o tym jego dziadku.

Wasilij uśmiechnął się i wyszedł. Za nim owi dwaj, którzy trzymali Rogowa. Dwaj pozostali z grupy widocznie czekali na zewnątrz. Plecak Rogowa leżał wypatroszony na stole; jego żalosa zawartość nie wzbudziła w nikim zainteresowania.

– Poturbowali cię? – zapytał równym głosem starzec, kiedy drzwi się zamknęły. Nie zaproponował, by gość usiadł, zresztą nie było na czym – całe umeblowanie pokoju stanowiła ława Androna i fotel starca. Najwyraźniej rozmawiać z nim należało na stojąco. Był tu

przywódcą tak ważnym, że starszeństwo Wasilija nad jego ludźmi było czystą iluzją w porównaniu ze starszeństwem starca nad wszystkimi.

– Nie bardzo – odpowiedział uczciwie Rogow.

– Nie miej do nich żalu, musieli. To nasza ochrona – nie zmieniając tonu, rzekł przywódca.  
– Mów, czego chcesz.

Zamiast odpowiedzieć, Rogow wyjął lusterko i pokazał je starcowi. Ten wziął je i obejrzał. Rogow odniósł wrażenie, że na twarzy odmalowała mu się ta sama konsternacja, co wcześniej: należało jakoś zareagować, a on nie bardzo wiedział jak. Wreszcie kiwnął głową, jak Wasilij na polanie, i oddał lusterko.

– Ale kto ci powiedział? – zapytał, wciąż nie zmieniając tonu, tak że Rogow nadal nie wiedział, czy hasło Kretowa coś mu mówi, czy nie.

– O waszej osadzie opowiedział mi pewien człowiek, który był tu w czterdziestym ósmym.  
– Rogow postanowił powiedzieć prawdę. – Myślę, że był tu także mój dziadek. I w ogóle, chciałem... zobaczyć, jeśli można.

– Coś się przywidziało temu twojemu człowiekowi – powiedział przywódca. – W czterdziestym ósmym były tu tylko wilki. Natknął się na wilka i coś mu się pomieszało ze strachu. Co to za człowiek?

– Geolog.

– Geolodzy miewają różne zwidy. Co chcesz zobaczyć?

Rogow nie wiedział, co odrzec. Nawet samemu sobie nie odpowiadał, czego tu szuka – tak dalece było dla niego jasne, że szuka w Czystym jakiegoś innego życia; ale jak miał to wyjaśnić człowiekowi żyjącemu tym właśnie innym życiem?

– „Cztery wiatry dmą co siły, siedem mórz się burzy – zadeklamował, postanowiwszy powiedzieć wszystko. – Wszystko w świecie jest niezmiennie oprócz mojej duszy”.

Starzec uniósł brew, ale Rogow nie dostrzegł na jego białej twarzy żadnego błysku rozpoznania.

– Masz gadane, ale nie znasz prawa – powiedział wreszcie przywódca. – Zapamiętaj sobie na przyszłość: kiedy ze mną rozmawiasz, stoisz na bacność. Przez trzy dni damy ci spokój: mieszkaj sobie, patrz. Jeżeli w ciągu tych trzech dni zrozumiesz prawo – będziesz żyć, jeśli nie zrozumiesz – miej pretensje do siebie. U nas przez trzy dni obserwuje się człowieka, zapisuje jego grzechy, ale się nie karze. Czwartego dnia przypomną ci wszystko, czym zgrzeszyłeś – i ukarzą tak samo jak wszystkich. Andron – starzec odwrócił się do grubasa na ławie – zapisz: nie stał na bacność. – Znów zwrócił się do Rogowa: – Jak ci na imię?

– Wiaczesław.

– Andron, zapisz: odpowiedź niepełna. Należy powiedzieć: „Jestem Wiaczesław” albo „Mam na imię Wiaczesław”, jak wolisz, ale odpowiadasz pełnym zdaniem. Ja mam na imię Konstantin i jestem tu szefem. Nade mną jest tylko prawo i przestrzegam go jak my wszyscy. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

– A to prawo... czy mogę się gdzieś z nim zapoznać? – zapytał Rogow, nie chcąc popełniać więcej błędów.

– Andron – Konstantin znów zwrócił się w stronę ciemnego kąta, gdzie grubas zapisywał coś w bielejącej niewyraźnie księdze magazynowej. – Zapisz mu drugą nieprawidłową odpowiedź. Nie odpowiedziałeś mi; zapytałem cię: „Czy chcesz o coś zapytać?”. Należało odpowiedzieć: „Chcę” albo „Tak, chcę” – jak wolisz. Wtedy ja odpowiadam: pytaj. Wtedy ty pytasz. Zapytałeś niewłaściwie i naruszyłeś prawo. Mimo to odpowiem ci: prawo można zrozumieć albo nie. Jest zbyt wielkie, żeby je można było zapisać. Zapisuje się nie prawa, ale załączniki do nich na różne przypadki. Nie możemy przewidzieć wszystkich przypadków, toteż nie zapisujemy prawa. Jeżeli je zrozumiesz, będziesz żyć. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

– Nie – odrzekł Rogow, wciąż stojąc na baczność.

– Ten dzień się nie liczy, przyprowadzono cię wieczorem. Przypatruj się przez trzy dni, a czwartego dnia będziesz taki jak wszyscy. Teraz pójdziemy, będziemy żegnać nowo straconego Gawriiła. Przy okazji zobaczysz stypę, u nas to rzadkość.

Starzec wstał (okazał się wyższy, niż Rogow przypuszczał) i bezpośrednio na swoją białą koszulę narzucił waciacz wiszący obok na przybitej do ściany, grubej, gładko wypolerowanej suchej gałęzi. Z tyłu podniósł się Andron: Rogowa kosztowało wiele wysiłku, żeby nie rzucić się w tył na widok jego twarzy. Twarzy właściwie nie było: same supły i guzy, świeże i stare blizny i jedno oko, jak u cyklopa, spoglądające z tej mięsnej miazgi. Można było rozróżnić nos i podbródek, ale wszystko było w czerwonych bąblach. Tak, to trędowaci, upewnił się Rogow – trędowaci, którzy nie mają już żadnego innego życia i żadnej rozrywki prócz restrykcyjnego reglamentowania tego życia i karania niepokornych. Boże, a jeśli zarażą i mnie? Ale przecież trąd nie zawsze jest zaraźliwy, bywały wypadki, że ludzie przebywali z nimi całymi latami i nic... Andron miał na sobie czarną koszulę i spodnie od dresu. Był olbrzymi jak góra.

– Dzisiaj jesteś gościem, pójdiesz od razu ze mną – oznajmił mu Konstantin.

Był to najwyraźniej wyjątkowy zaszczyt. Za trzy dni Rogow przestanie być gościem, stanie się jak wszyscy i będzie podlegał wszelkim karom, ale teraz ma chwójny status nowego człowieka, wątpliwy przywilej gościa, któremu odroczone wyrok. Konstantin był jedynym, u którego Rogow nie zauważył żadnych okaleczeń – w każdym razie widocznych. Chociaż w krainie ślepców nawet koślawy jest królem – było rzeczą zupełnie naturalną, że tą komuną



trędownych rządzi zdrowy.

– Zawiniłem, tato – odezwał się Andron, bełkotliwie i niewyraźnie, jakby miał kluski w ustach. – Z początku myślałem, że go nie weźmiesz, a ty go wzięłaś. Wedle prawa nie wolno mi było tak o tobie myśleć, a ja pomyślałem. Mam to sobie zapisać?

– Pójdiesz do starosty i powiesz – odparł z lekką irytacją starzec. – Po co masz pisać o sobie, cóż to, nie zapamiętasz? No, chodźmy...

Starzec popchnął Rogowa, wyszli i Rogow po raz pierwszy mógł się rozejrzeć. Pod tymi samymi zimnymi i jasnymi gwiazdami, pod którymi zeszłej nocy przeczekiwał przyptyw smutku i słabości, na idealnie udeptanym, twardym placu pośród lasu, którego ściana rysowała się dookoła w promieniu co najmniej kilometra, stało siedem czy osiem dużych domów z bali. Rogow, pamiętający opowieść Kretowa, spodziewał się zobaczyć baraki, ale natychmiast zrozumiał, że w swoim nowym, dobrowolnym pustelniczym życiu mieszkańcy Czystego musieli sobie stworzyć bardziej cywilne siedziby. Chaty wydawały się ogromne, trwałe i groźne; w żadnej się nie świeciło. Ludzi Rogow dostrzegł tylko w pobliżu najbardziej oddalonej chaty, przy której migały ogieńki papierosów i poruszała się gromadka może dwudziestu osób. Ktoś wchodził, ktoś wychodził.

Skierowali się właśnie do tej najdalszej chaty. Rogow już pomyślał swoim zwyczajem, że teraz ma ostatnią szansę na ucieczkę: z tyłu szedł Andron, ale jego misją było najwyraźniej chronienie starca i usługiwanie mu, zresztą, gdyby nawet rzucił się za Rogowem w ciemny las – cóż on tam wypatrzy w ciemnościach swoim jedynym okiem? Ale tu są ludzie, nieważne jacy, ale są, i dach nad głową – a tam panował ziąb, coraz ostrzejszy, w dodatku zaś w izbie starca pozostał plecak z ciepłymi rzeczami, nożem i zapalkami. Rogow nie bardzo wierzył, że znalazł tych, których szukał, ale kimkolwiek byli – warto było przynajmniej zdobyć nowe i niezwykle doświadczenie. A poza tym, odkąd pamiętał, próba ucieczki zawsze pozostawała dlań jedynie teoretyczną ewentualnością, odrobiną otuchy dla wystraszonej duszy. Czasem zadawał sobie pytanie: czy gdyby jego dziadek wiedział, że nazajutrz po niego przyjdą – próbowałby uciekać czy nie? Przecież zawsze jest możliwość zrobienia uniku, mógł wyjść w nocy z domu, wsiąść do pociągu, pojechać gdzieś w głąsę, do Tmutarakania, ukryć się tam... Wiedział, że wielu jest takich, którzy wyobrażają sobie kraj jako taki sam nieprzebyty gąszcz, jak on wyobraża sobie las w nocy: można się tam ukryć, przeczekać burzę. Ale nikt nie uciekał, wszyscy drżeli w oczekiwaniu na nocny dzwonek do drzwi – i nie dlatego, że w nowym miejscu trudno by się było urządzać, a nowy człowiek zwróciłby na siebie uwagę: istniały takie głucho ostępy, gdzie na nowych ludzi nie zwracają uwagi – żyj i daj żyć innym... Nikt nie uciekał wyłącznie dlatego, że zbyt silne było przekonanie, iż to, co się dzieje, jest

słuszne i nieuniknione: taki był odwieczny porządek, gra według reguł. Kara jest jedną z reguł tej gry i wcale nie zakłada winy – winą jest tylko złamanie zasad, odejście od nich, a dla tego, kto od nich odszedł, nie ma żadnej litości. Ten, kogo wezmą w nocy, może jeszcze dowieść swojej niewinności, ale ten, kto ucieknie, jeśli go złapią, nie może liczyć na pobłażliwość. A jeśli go nie złapią – to znaczy, że z powodu jego ucieczki w grze przesunie się jakaś taka śrubka, przez którą w rezultacie rozleci się cały system, a to będzie gorsze od najsurowszej kary. To, co się teraz działo z Rogowem, też miało się stać – nie bez powodu jakaś siła wyrwała go z przytulnej Moskwy, która teraz wydawała się nierealna, i zaniosiła w głuche lasy, do wsi potworów, na pogrzeb straconego skazańca. Chociaż co za sens miała egzekucja w osadzie, w której z pewnością liczył się każdy zdrowy mężczyzna?

Im bliżej podchodzili do chaty, tym wyraźniej było widać światło przesączające się przez niemal całkowicie szczelne okiennice. To światło wydawało się w gęstych ciemnościach szczególnie jasne i jakby rozpierało chatę od środka. Stojący na ganku ludzie, którym Rogow nie zdołał się przyjrzeć, pośpiesznie rozstąpili się przed Konstantinem. Starzec wszedł na ganek, popychając przed sobą Rogowa. Andron deptał im po piętach. Najwyraźniej czekano tylko na nich: palacze zdeptali papierosy i bez słowa weszli za nimi.

W chacie pachniało wilgotnym drewnem i gorącym woskiem świec, podłoga była usłana igliwem. Cały dom składał się z małej sionki i olbrzymiego, przestronnego, jasno oświetlonego pomieszczenia z zabitymi oknami: oprócz okiennic wszystkie trzy okna były od środka zasłonięte ekranami zbitymi z grubych, szarych desek. Paliło się mnóstwo świec – i zwykłych, cerkiewnych, gładkich i brązowych, i własnej roboty – kręconych, krzywych, albo w ogóle składających się tylko z kaganka z płynnym woskiem i długiego knota wijącego się w nim jak węgorz. Pod ścianą w głębi na kozłach z takich samych grubych, szarych desek stała trumna – świeżo oheblowana, biała, wykonana z wielką starannością i troską o szczegóły – pokryta wyzywająco wymyślnie wyrzeźbioną girlandą liści i jagód – i w ogóle w tej wilgotnej, obszernej izbie wyglądająca wręcz pogodnie i odświeżenie. W trumnie, przykryty po pierś wytartą, pikowaną kołdrą, spoczywał siwy, mniej więcej czterdziestopięcioletni mężczyzna – jego wiek Rogow mógł określić jedynie po mocnej, okazałej budowie ciała: mężczyzna był nagi; na muskularne bezwłose ramiona i piersi opadały malowniczo długie, czarne, siwiejące włosy i prawie całkiem siwa broda. Na ramionach widać było ślady uderzeń – jak się wydało Rogowowi, od bicia, świeże, ledwie zaschnięte. Świeży trup, świeże rany, świeża trumna – Rogow sam się zdziwił, że właśnie to słowo samo się nasuwa dla określenia zarówno mężczyzny, jak i entourage'u; tylko wytarta kołdra psuła nieco odświeżność obrazu. Świeżo stracony Gawriił twarz miał naburmuszoną i tępą. Rogow rzadko

widował nieboszczyków, ale w twarzy każdego dostrzegał tajemnicę – albo spokój, albo niewysłowioną, wzgardliwą obojętność, z pewnością nie do pogodzenia z życiem, jak pisano w epikryzach o urazach i ranach. Jeżeli nowo straconemu coś się w ogóle objawiło w ostatnich mikrosekundach życia, napełniło go to takim poczuciem własnej ważności i spóźnionej godności, jakby przez całe życie domyślał się właśnie tego, co ujrzał, i jakby potwierdzenie własnej przenikliwości nawet w obliczu śmierci było dla niego ważniejsze niż ta nowa rzeczywistość. Zresztą, możliwe, że nigdy nie uważał się za godnego raju, a ujrzawszy raj, aż się nadał z dumy. W jaki sposób stracono tego potężnego brodacza, Rogow się nie domyślał: bruzdy wisielczej nie było widać z powodu włosów i brody, zresztą przed powieszeniem nikt chyba nie chłostałby skazańca pejcem – a z daleka nie było widać żadnych innych obrażeń oprócz szram na ramionach.

W jasnym pomieszczeniu Rogow nagle zupełnie przestał się bać, zresztą w ogóle nie bał się nieboszczyków, raczej się nad nimi litował – oto odegrali swoje i zostali porzuceni przez ową siłę, która ożywia świat, a od nich się odwróciła. Spełnili to coś, czego od nich wymagano, i uwaga niewidzialnych panów przeniosła się na innych – co za sens interesować się sprawami zakończonymi? W życie pozagrobowe Rogow też nie wierzył: odbierało wszelkie znaczenie życiu ziemskiemu. Realizować się należy na wyznaczonym odcinku.

Tak się jakoś stało, że, popychany przez Androna, znalazł się na samym środku izby i tu się zatrzymał, nie mając śmiałości podejść bliżej. Nieco dalej, wsunawszy zziębnięte dłonie pod pachy, stał Konstantin: w jasnym oświetleniu było widać, że ma co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, a może nawet jest dobrze po osiemdziesiątce. Jego białe włosy były jednak gęste i starannie uczesane z przedziałkiem na środku. Pozostałych Rogow widział niewyraźnie, zresztą trudno było cokolwiek dostrzec – prawie wszyscy mężczyźni byli brodaci, nieliczne kobiety były w chustkach zawiązanych nisko, tuż nad oczami. Wszyscy byli w waciakach i wysokich butach z imitacji skóry, ale wyczyszczonych, pewnie na tę uroczystą okazję.

– Przyjrzyj się, przyjrzyj – zahuczał Andron, popychając Rogowa w plecy. – Ty też tak będziesz leżał.

– Dlaczego? – spytał Rogow, oglądając się.

– Wszyscy tak będziemy leżeć – westchnął Andron.

Rogow wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Starzec zaczął, aż wszyscy wejdą do izby i staną pod ścianami: stłoczyło się tam z siedemdziesiąt osób.

– Wszyscy są? – zapytał, prawie nie podnosząc głosu.

– Wszyscy – odpowiedział ktoś od drzwi.

– No to chyba zaczniemy – rzekł Konstantin wciąż tym samym równym głosem, wysuwając

się pół kroku naprzód, w stronę trumny – a im bliżej do niej podchodził, tym z każdym krokiem jego równy głos przybierał na sile. – Gawriił, nasz współłagiernik (przy słowie „współłagiernik” serce Rogowa drgnęło – teraz już nie miał wątpliwości, że wreszcie jest u celu) znał prawo – i odstąpił od prawa; odstąpił od prawa – i zachował prawo; zachował prawo – i odbił się od prawa.

Słuchając jego mowy żywo przypominającej pajęczynę albo raczej wąż anteny teleskopowej, gdzie każda fraza łączyła się wspólnym ogniwem z poprzednią, Rogow natychmiast się pogubił i przestał dostrzegać w niej choćby cień sensu. Nie mógł się tylko nadziwić, jak starzec może pamiętać całą tę dwudziestominutową litanię, w której wszystko kręciło się wokół prawa; odstąpił od prawa, wypełnił prawo, wypaczył prawo; niekiedy czasowniki się powtarzały, ale nieregularnie, co ostatecznie pozbawiało tę dziwną modlitwę choćby szczypty racjonalności. Rogow próbował liczyć, patrząc w podłogę: „przekroczył” powtórzyło się po trzech słowach, „wypaczył” po pięciu, nagle pojawiło się już całkiem dziwne „rozluźnił prawo”, „rozpuścił prawo” – ale Konstantin budował swą orację precyzyjnie, wyraźnie według przygotowanego szkicu, i po piętnastu minutach tego słowotoku Rogowowi zaczęło się wydawać, że jeśli starzec się pomyli, opuści jakiś czasownik – rozsypią się w proch i chata, i trumna, i las. I odwrotnie, właściwe, zgodne z regułą powtórzenie słów może w jakiś sposób, jeśli nie wskrzesić Gawriiła, to przynajmniej przeprowadzić go na tamten świat maksymalnie gładko. Bóg nie został wymieniony ani razu i ani razu Konstantin nie odwrócił się twarzą do zebranych – wciąż stał z opuszczoną głową przy trumnie i wyraźnie powtarzał słowa. Zakończył równie niespodziewanie, jak zaczął: „Rozdrażnił prawo – i zjednał prawo, zjednał prawo – i przyjął prawo, przyjął prawo – i pomieścił prawo” – w tym momencie nagle odwrócił się twarzą do tłumu. Rogow patrzył wstrząśnięty na jego zastygłe, rozszerzone oczy.

Ale zanim Konstantin się odwrócił, z tyłu, od drzwi, dobiegł przesywająco wysoki kobiecy głos – Rogow odruchowo zasłonił uszy; nie było sensu się oglądać – z tyłu stała zbita, ciemna, wilgotna masa – istny monolit, więc i tak nikogo by w niej nie rozróżnił. Sądząc po piskliwości i natężeniu, krzycząca miała około czterdziestki, a może i mniej – kto wie, jak szybko oni się tu starzeli.

*Wiozq drowno w siedem koni,  
Siedem nie uciqgnie – ósmego przyprzegajq,  
Ósmego przyprzegajq – drugiego nie kietznajq,  
Drugiego nie kietznajq – na lewo nie skręcajq,  
Na lewo nie skręcajq – obcego nie zabierajq,*

*Obcego nie zabierają – innego nie chwytają,  
Innego nie chwytają – drogi nie rozjeżdżają,  
Drogi nie rozjeżdżają – podkowy nie spadają,  
Podkowy nie spadają – jedwabiu nie rozdzierają...*

Dalej sens znowu się gubił i Rogow pomyślał, że te powtórzenia służą tylko temu, by płaczka, powtarzając ostatnie ogniwo, zdążyła wymyślić następne. W tym dziwnym lamencie, miarowym jak głos fletu, nie sposób się było dopatrzeć ani owego świętego prawa, ani logiki – pozostały tylko rymy, a potem zanikły także słowa, zamieniając się w mieszaninę sylab połączonych tylko podobnym brzmieniem. Rogow przestał słuchać i tylko czekał, kiedy się to skończy. Ale do końca było jeszcze daleko – włączały się nowe głosy i wносиły nowe rymy: słowo było tu jedynie materiałem, budulcem. Rogowowi nasunęło się skojarzenie z procesjami pokutnymi, ale tam ludzie się biczowali i upadali – tu zaś stali nieruchomo, żarliwie wykrzykując jakieś niezrozumiałe brednie, urywając je w ściśle określonym momencie i jakby przekazując następnym sztafetę obrzędu. Sam obrzęd polegał tylko na zmianie rytmów, to jest na czysto zewnętrznym naśladowaniu jakiegoś dawno utraconego kanonu; na kanon wskazywały sensowne, pozornie zrozumiałe pierwsze wersy każdego lamentu, Rogow znał nawet ludowe pierwowzory tych tekstów – na przykład o koniach i drewnie – ale wystarczyło, by żałobnicy tylko zaczęli, a natychmiast po oryginale pozostawało tylko metrum i rysunek fonetyczny przestrzegany z bezmyślną surowością.

– Wybił dno i poszedł won – znów przemówił stojący przy trumnie Konstantin – wypił dno i wypadł won, widział dno i wypił won, wytarł dno i wyciekł won...

Przerwał (nagłe przerwy, jak zauważył Rogow, należały do rytuału) i opuścił oczy; oznaczało to koniec jakiegoś jednego etapu ceremonii i rozpoczęcie drugiego. Zapadła całkowita cisza. Konstantin znów popatrzył na zgromadzonych, przebiegając wzrokiem po twarzach. Rogow stał trochę wysunięty do przodu, za nim – nieruchomy Andron, jakby zabraniając mu się oglądać.

– Gawriił został przestępcą i przestał być przestępcą – powiedział spokojnie starzec. – Wszyscy wiemy, jakie przewinienie popełnił, i wszyscy wiemy, że nas jego przewinienie nie obchodzi. Niech sobie w świecie uważają, że są przewinienia ciężkie i lekkie: my wiemy, że każde przewinienie jest przewinieniem i za każde można karać jednakowo. Kto popełnił małe przewinienie – popełni i duże, kto popełnił duże – popełniał i małe. W świecie o tym nie wiedzą, ale my wiemy. (Rogow domyślił się, że światem nazywa się tu wszystko poza osadą). Egzekucja się odbyła, porządek został przywrócony. Gawriił pomylił się w obliczeniach, nie doliczył się dwóch drzew i został ukarany chłostą. Gdyby ukradł albo zabił, nie złamałby

prawa bardziej, niż zrobił to w ten sposób. Ale teraz jest czysty i znów nazywamy go bratem. Już pora. Kto ma dyżur?

– Paweł – odrzekł ochrypły męski głos.

– Pomożesz Gawriiłowi się wynieść – polecił zwyczajnie starzec. – Mamy nowego, wciągnąć go na listę zaopatrzenia, spać będzie w chacie Pawła. Paweł, zapoznasz go z zasadami na pierwsze dni. Rozchodzimy się.

Przy tych słowach nagi Gawriił usiadł w trumnie, odrzucił wytartą kołdrę i opuścił zaskakująco chude, pokryte wrzodami nogi. Zza pleców Rogowa wyszedł rosły chłop z naręczem odzieży – Gawriił bez cienia skrzępowania zaczął wciągać czarne gatki, stare portki, różową flanelową koszulę. Całe ciało miał pokryte starymi i świeżymi strupami. Rogow patrzył nań oniemiały.

– To on żyje? – zapytał, odwracając się do Androna i czując w nim chyba jedyne swoje oparcie w tym szalonym świecie.

– A tyś myślał, że trup? – Andron uśmiechnął się szeroko, ukazując równe, mocne dolne zęby i niemal całkowity brak górnych. – A skąd brać ludzi? U nas nie karze się śmiercią.

Panował gwar, tłum się rozchodził; Gawriił, ubrawszy się pośpiesznie, chwycił miotłę i już zamiatał podłogę, dwaj inni mężczyźni, dziwnie podreptawszy przy marach, jakby się przymierzali, jak najwygodniej je uchwycić, zaczęli zdejmować trumnę z kozłów. Rogow przyjrzał się lepiej i zupełnie osłupiał, widząc, że obu brakuje jednej ręki – jednemu lewej, drugiemu prawej. Trumnę zdejmowali, stojąc do siebie plecami. Nagle w tanecznych, błazeńskich podskokach zbliżył się do nich mały chłopina – o wydatnych kościach policzkowych, blady, zezowaty; ująwszy się rękami pod boki rzucił się w prysiudy i zaterkotał:

– Dobrze ci tak, Gawriiłuszka, dobrze ci tak! Za mało ci jeszcze wlepili, za mało! – Chodził w prysiudach wokół Gawriiła, który malowniczo zamaszystymi ruchami zamiatał podłogę, plątał mu się pod nogami i błaznował: – Bili cię, a tyś wiatry puszczał! Bili cię, a tyś pierdział! Upierdziało ci się, Gawriiłuszka! Na drugi raz będą bić mocniej! Andronuszka, zapisz mu!

Rogow był pewien, że Gawriił zaraz chłopinie przyleje, ale ten nadal zamiatał, starając się nie zawadzić o podrygującego pokrakę.

– A gdzie to nowy, gdzie to nowy! – krzyknął nagle jurodiwyj, zatrzymując się i rozglądając. – Wreszcie jego rozbiegane oczy dostrzegły Rogowa. – Krzepki chłop, krzepki, krzepki! Na długo nam go wystarczy! – Znów ruszył w prysiudy, teraz wokół Rogowa; zalatywało od niego czymś kwaśnym.

– Nikołka, odczep się – nie odwracając się nie podnosząc głosu, powiedział od drzwi Konstantin. – On jest tu pierwszy dzień, jeszcze się nie wdrożył.

– I nie wdroży się, dziadziusiu, widzę po oczach – nie wdroży się, nie wdroży! Gdzieżby się tam wdrożył! – Nikołka klepał się po kolanach i udach, chodząc wokół Rogowa jak Cygan wokół konia. – Kije go nie miną, chłosta go nie minie!

Nagle Rogow poczuł do tego płasającego potworka tak rzadko do kogokolwiek odczuwaną nienawiść, że się zamachnął, ale Nikołka odskoczył z wrzaskiem:

– Dziadziusiu, ukarż go! Zapisz mu! Nikołki nie wolno ruszać! Nikołki nie wolno! Zapisz mu! – i zawył tak przeraźliwie, że Rogow znów chciał zatkać sobie uszy.

Konstantin, już wychodząc i nadal się nie odwracając, rzucił:

– Nikołki nie wolno ruszać. Paweł ci wyjaśni.

– Wyjaśnię – zawieszystym basem przemówił rosły mężczyzna i oderwał się od ściany; najwyraźniej czekał na tę chwilę. W jego głosie brzmiała radosna gotowość, której Rogow naprawdę się wystraszył: tak pewnie jeden ludożerca zwierzał się drugiemu ze swego apetytu, starając się przy tym, żeby przyszłe pieczone na pewno usłyszało to czułe gruchanie. – Zaraz mu wszystko wyjaśnię. Idziemy, nowy! Aha, i pamiętaj: kiedy cię wołają, odpowiadasz po imieniu: „Słyszę, Pawle!”. Takie prawo. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, Pawle – posłusznie odpowiedział Rogow; wiedział już, że w ciągu tych trzech pierwszych dni za wszelką cenę musi znaleźć jakiś sposób ucieczki.

Bał się spojrzeć na twarz Pawła, ale kiedy się wreszcie zmusił, by podnieść oczy – aż go odrzuciło: po raz pierwszy widział człowieka z wyrwanymi nozdrzami. O takich rzeczach tylko czytał. Paweł wyglądał na trzydzieści lat i było jasne, że na pewno nie okaleczono go w katowniach Wódza – a zatem tortury w Czystym trwały do dziś; no tak, bo czymże jeszcze mogli sobie wypełniać czas ludzie, których życie podporządkowane było nieustannemu hartowaniu i sprawdzianom? Dopiero teraz Rogow pojął, że ci, których poszukiwał, skazani byli na życie w nieustannym zadawaniu sobie nawzajem mąk, testując jedni drugich na wytrzymałość i znajomość prawa: cała reszta nie miała sensu, zresztą nie umieli już nic innego.

– Idziemy. – Paweł delikatnie ujął Rogowa za ramię i skierował do wyjścia. Za drzwiami znikali ostatni spośród zgromadzonych – ten o kulach, tamten z kosturem, jeden naciągając czapkę, inny z gołą głową, z nieodmiennymi długimi, brudnymi kłakami.

– Nie ma takiego prawa, żeby tykać nowych – zahuczał Andron. – Ręce trzymaj od niego z daleka. Zapisuję ci.

– Ach nie, nie, nie, Andron! – zajęczał Paweł, kołysząc się i chwytając za głowę; Rogow

zorientował się natychmiast, że ten się wygłupia, ale nie wiedział dlaczego. – Ach, Andron, nie zapisuj! Andron, już nie będę!

– Nie ma takiego prawa, żeby mnie prosić. Zapisuję ci na jutro kije – powiedział Andron. Nie rozstawał się z zeszytem: trzymał go zwinięty w rulon w specjalnej pętli pod pachą; zaczepiony tam był też obgryziony długopis, chyba jeszcze z lat siedemdziesiątych. – Idź i nie pokazuj mi się.

– Idziemy, idziemy – powtórzył przeciągle Paweł, na wszelki wypadek trzymając rękę w kieszeniach.

Rogow wyszedł na chłodne powietrze. Bał się, że kiedy tylko zejda Andronowi z oczu, Paweł się rozzuchwali i zacznie mu dokuczać, a może i bić – toteż, nienawidząc sam siebie za tchórzostwo, obejrzał się kilka razy w nadziei, że Andron idzie za nimi. Jakkolwiek był bowiem przerażający, Andron przynajmniej przestrzegał prawa. Paweł jednak zachowywał się spokojnie; popychał Rogowa w kierunku najdalszego domostwa, a Andron poszedł w drugą stronę – doganiał Konstantina.

Teraz Rogowowi nie pozostało nic innego, jak iść z Pawłem do długiego baraku, do którego już ciągnęły ledwie widoczne w ciemności kilkuosobowe grupki; szli w milczeniu, migotały tylko ogieńki papierosów. Paweł się nie odzywał. Rogow oczekiwał instruktazu, ale widocznie jedną z reguł gry było wytrzymywanie niewielkiej pauzy w celu zbudowania napięcia; ofiara powinna była dojrzewać w strachu i niepewności. Wkrótce znaleźli się na miejscu: tak jak w głównej chacie, będącej najwyraźniej miejscem zgromadzeń żałobnych i odświętnych (jeśli w ogóle bywały tu inne uroczystości oprócz tej, której Rogow właśnie był świadkiem), okiennice były na głucho zamknięte. Przez szczeliny nie przebijało żadne światło.

Rogow miał dość tego milczenia i oczekiwania. Już wiedział, że w najbliższym czasie naruszy prawo nie raz i nie dwa razy, toteż postanowił wykorzystać trzydniową bezkarność i zadawać jak najwięcej pytań.

– Gdzie będę spać?

– Zaraz ci pokażę – nieoczekiwanie spokojnie i niemal życzliwie odpowiedział Paweł. – Klepiska tu nie ma, sam widzisz, a świec bez potrzeby nie zapalamy. Wejdz.

Rogow wszedł do pomieszczenia, w którym krzątali się i układali do snu mieszkańcy baraku w liczbie, na ile mógł ocenić, około dwudziestu. W nos uderzył go odór niemytych ciał i wilgotnej odzieży – sukna, wełny; tak pachniało w kompanijnej suszarni po biegach na deszczu. Paweł poświecił zapalniczką.

– Tu będziesz spać – wskazał miejsce w kącie. – Na razie razem ze mną. Gdzie cię umieszczą po kwarantannie – zdecyduje Konstantin; przez trzy dni będę ci pokazywać co i jak,



jeżeli wgrzysiesz się w prawo – może będziesz żył.

Rogow wychwycił w tych słowach pocieszającą nutkę. Pomyślał nawet, że Paweł w głębi duszy nie życzy mu źle, i kto wie, czy w razie czego nie pomoże mu w ucieczce – ale na razie nie kwapił się z odsłanianiem przed nim kart. Wszystko tu było mylące i za życzliwością mogła się kryć nowa pułapka; zresztą na ucieczkę było za wcześnie. Wciąż nie był pewien, czy znalazł to, czego szukał.

Pośrodku baraku, w którym wszyscy położyli się na podłodze, na ubraniu, siennikach albo śpiworach, stał wielki żelazny piec, przy którym czuwał dyżurny. Od czasu do czasu dorzucał drewno, a potem wte i wewte spacerował przejściem między leżącymi, od ściany do drzwi. W koszarach takie przejście nazywa się pasem startowym.

– Teraz śpij, jutro cię oprowadzę i pokażę, jak tu żyjemy. Kładź się i przykryj tym. – Bezbłędnie, w całkowitych ciemnościach wziął z jakiejś niewidocznej półki gruby wojskowy koc i wepchnął go Rogowowi w ręce. Dokoła nich wszyscy układali się w milczeniu, skądś zaczęło już dobiegać chrapanie.

– A jak będę musiał iść w nocy za potrzebą?

– Podejdiesz do dyżurnego i mu to powiesz. On ci pokaże gdzie, za domem. I nawet nie próbuj drapnąć: dzisiaj chodzi taki patrol, że połamię ci wszystkie żebra, zamienią w miękki worek.

– Wcale nie mam zamiaru...

– Nie obchodzą mnie twoje zamiary... I przymknij się.

Rogow był zadowolony, że nie zaczął się zwierzać Pawłowi: temu szybko zmieniały się nastroje, od życzliwości i sympatii tak błyskawicznie przechodził do wściekłości, że Rogow zaczął już podejrzewać, iż to także należy do reguł gry, tak jak do reguł zen należy nagłe uderzenie kijem.

Bez sprzeciwu położył się na drewnianej podłodze. Wzrok stopniowo przyzwyczajał mu się do ciemności, ale nie było tu na co patrzeć poza dyżurnym przechadzającym się tam i z powrotem po „pasie startowym”; od czasu do czasu podchodził do któregoś ze śpiących i świecił mu w twarz kieszonkową latarką, czasem trącał nogą tego, który zbyt głośno chrapał; ktoś wyszedł na dwór i wrócił. Paweł leżał obok, oddychając niemal bezgłośnie: spał czy pilnował? Rogow nieprędko zapadł w ciężki, duszny sen.

Obudził się jak od szturchnięcia: w pomieszczeniu nadal było ciemno, ale przez uchylone drzwi wpadało szare, pochmurne światło. Ranek wbrew jego oczekiwaniom nie zaczynał się od pobudki i ustawiania w szeregu, ale od stękania, przekleństw i jęków: każdy wstawał sam z siebie, niektórzy jeszcze leżeli z głowami zakrytymi kocem lub czapką, by zatrzymać resztki

snu. W ogóle dyscyplina nie była surowa, i to najbardziej zaskoczyło Rogowa pierwszego dnia: prawo z jego niezliczonymi jezuickimi subtelnościami, którymi obwarowany był każdy krok, nie dotyczyło ani idealnej czystości w barakach, ani jednakowej odzieży. Jeśli celem jest maksymalne udręczenie siebie i innych, nikt nie może się zajmować drobiazgami w rodzaju czystości albo porządku dnia, ale to Rogow zrozumiał dopiero pod wieczór. W ogóle do wieczora wiele zrozumiał.

Teraz, w świetle dnia, mógł wreszcie obejrzeć cały obóz. Wykarczowany i udeptany plac w środku lasu był znacznie większy, niż wydało mu się w nocy – wielka, równa przestrzeń, na której stało luźno dziesięć drewnianych budowli. Najmniejszą była chata Konstantina, zbudowana z grubych, kwadratowych bali, największą – barak, w którym poprzedniej nocy odprawiano żałobne nabożeństwo za nie do końca straconego Gawriiła. Na dalekim krańcu placu, za barakami, Rogow dostrzegł wysoki drewniany pomost, przeznaczony, jak początkowo sądził, do wystąpień publicznych. Jedli w drewnianej stołówce na stojąco, nabierając kaszę z konserwą mięsną albo tłuczone ziemniaki z dużych baków, podobnych do wojskowych – i tak jak w wojsku, robiąc przerwę na papierosa po każdej porcji. Śniadanie jedli zaraz po wstaniu: Rogow zobaczył grupki mieszkańców osady zmierzających do stołówki z trzech innych baraków. Ogólną liczbę leśnych ludzi udało mu się określić dopiero wieczorem – jak się okazało, wielu nie przychodziło na posiłki; w sumie w barakach mieszkało około osiemdziesięciu osób. Na wczorajszą ceremonię nie stawił się patrol i kilku chorych.

Kaszy perłowej z tuszonką każdy nakładał sobie, ile chciał. (Rogowa zainteresowało szczególnie, skąd mieli konserwy – ale najwyraźniej tutejsi mieszkańcy często zaglądali do Czystego, jeździli nawet do samego Omska, chociaż wypuszczano tam nie wszystkich, tylko tych już sprawdzonych). Chleba było mało – własnego zapewne nie piekli, a zresztą jak tu w tajdze siać, żąć, młócić; tymi słowami Rogow, niezbyt mocny w tematyce rolniczej, zwykł określać wszystkie prace polowe. Dla chętnych na oddzielnym stole stało kilka misek z jarzynami – grubo pokrojone gorzkie ogórki i blade pomidory posypane gruboziarnistą solą. Wszystko to rosło pewnie w warzywnikach rysujących się ciemnozieloną smugą za pomostem. Po śniadaniu, zakończonym żółtą herbatą bez cukru, Paweł poprowadził Rogowa właśnie tam.

– Zbiórka jest co wieczór tutaj – pokazał kwadratowy, ogrodzony palikami placzyk przed pomostem. – Tu odbywają się też egzekucje.

– Jak to, co wieczór?

– Nie, egzekucje przeprowadzamy w święta. Wczoraj było święto – nów księżyca. Nie ma potrzeby robić egzekucji co wieczór. W dni powszednie stosuje się drobne kary. Kije, baty,

dyby – zachichotał. – Ale ty się nie bój, masz jeszcze dwa dni.

– Pawle, czy gdzieś można... no, chociażby przejrzeć prawo?

– Jeżeli w ciągu trzech dni zrozumiesz prawo, nie będziesz go musiał przeglądać. A jeśli nie zrozumiesz, to żadne przeglądanie ci nie pomoże. Zrozum, kapuściana głowo, prawo nie jest zapisane, prawo musi być o tu. – Stuknął się palcem w wypukłe czoło. – Skąd jesteś?

– Z Moskwy.

– No, no, ale cię zaniósł! Po coś tu przyszedł?

– Chciałem zobaczyć – odparł ostrożnie Rogow.

– Ktoś ci opowiadał? Ale ciekawe kto, u nas nie było nikogo z Moskwy... Oprócz Konstantina, oczywiście, ale on nie był w Moskwie już od czterdziestu lat.

– Mówił mi jeden geolog.

– Skąd tutaj geolog? No, chyba że dotarli do nich słuchy... Nie, z samej Moskwy nikogo u nas jeszcze nie było. Byli różni, z Nowosybirska, z Ałtaju, z Kułundy...

– A ty skąd jesteś? – Rogow przygotował się już na okrzyk „Przymknij się” albo „Dzisiaj to my zadajemy pytania”, ale usłyszał całkiem przyjazną odpowiedź:

– Z Kazachstanu. Nie dało się tam już żyć, Kazachowie wszystko mi zabrali, wyrzucili z roboty... No i przyjechałem do Omska do brata, a tam usłyszałem o Konstantinie. Gadają o nim różne rzeczy, ale tak w ogóle go szanują... No i przyjechałem.

– I jak?

– Jak? Żyje się... – enigmatycznie odpowiedział Paweł.

Doszli do pomostu, na którym Rogow zobaczył z bliska ogromny, drewniany kłoc – tak właśnie wyobrażał sobie pień katowski. Obok wznosił się niewysoki, mocno wbity w ziemię słup z poprzecznym ramieniem – co prawda, bez stryczka. Tuż obok stała budka przypominająca wiejski wychodek, wyraźnie obliczona na jedną osobę.

– No, to, co najważniejsze, zobaczysz wieczorem – wyjaśnił nonszalancko Paweł – a tam są warzywniki. Ziemia tu żyzna, dobrze rodzi... Ogrodników nie tykają, nie wolno. Ogrodników jest tylko pięciu. Można na nich wykonywać egzekucje, ale kar im nie zapisują – na nich spoczywa cała robota, ziemia – poza nimi nie ma kto się tym zająć...

Wydarta lasowi ziemia rzeczywiście była żyzna: Rogow ze zdumieniem zobaczył wąsy arbuzów, a na nich niewielkie, ale na oko całkiem dobre owoce. Gęsto rosła pietruszka, wysoko w górę strzelały żółte konstelacje baldachów kopru, wypierała spod ziemi ogromna marchew, z ciemnej zieleni zewnętrznych liści wychylały się dorodne głowy kapusty.

– Skąd bierzecie wodę? – zapytał Rogow. Nie zauważył nigdzie ani stawu, ani pompy.

– Niedaleko jest rzeka, nie widziałeś? To jak tu szedłeś?

– Nie szedłem sam – uśmiechnął się Rogow. – Prowadzili mnie z zawiązanymi oczami...

– O, tam jest rzeka, o jakieś dwieście metrów. Za lasem. Właśnie dlatego Konstantin kazał się tu budować.

Rogow słyszał o takich rzekach w tajdze, a właściwie strumieniach, ale sam nigdy ich nie widział. Najbardziej żałował teraz tego, że w swojej wczorajszej wędrówce nie dotarł do rzeki: koryto by go wyprowadziło – wiedział, że idąc wzdłuż rzeki, nie można zabłądzić. Teraz najważniejsze to dostać się nad rzekę, ale rzecz jasna nowego człowieka nie puszczono by samopas, a w dodatku patrole... Nie pojmował jednego: skoro przy każdym nowiu księżyca człowieka biją niemal na śmierć, a co wieczór męczą według skróconego programu – dlaczego pozostali nie uciekają? A może tu się pilnuje każdego? Chociaż skąd by wzięli tylu strażników? Zresztą zaczynał się już domyślać celów tej dziwnej osady, choć na razie wyobrażał je sobie dość mętnie, bojąc się uwierzyć we własną hipotezę. Najbardziej był ciekaw, jak ze swoimi żałosnymi piecykami i nieszczelnymi barakami przetrzymują mroźne, kontynentalne omskie zimy – ale ta męcząca walka o przeżycie akurat potwierdzała jego domysły.

– A dawno tu jesteś? – zapytał Pawła.

– Trzeci rok przyjeżdżam – padła niezrozumiała odpowiedź.

Same baraki z pewnością nie pochodziły z lat trzydziestych – Rogow odróżniłby jednak ówczesne budynki od stosunkowo niedawnych. I w ogóle z tamtych czasów w osadzie, w której przeważali ludzie w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, pozostał chyba tylko Konstantin. Chociaż był jeszcze cień nadziei – Rogow nie widział tu jeszcze wszystkich.

– Chodźmy, pokażę ci obóz dziecięcy. – Paweł skierował go w stronę niewielkich domków na samym skraju lasu.

Obok domków znajdował się ogrodzony chwiejnym, plecionym płotkiem plac o powierzchni dwadzieścia na dwadzieścia metrów. Kiedy do niego podeszli – od pomostu do obozu było około pięciuset kroków – Rogow zobaczył przez płot, że dzieci w waciakach i tandetnych starych kurtkach robią coś w rodzaju porannej gimnastyki. Na wczorajszym obrzędzie żadnych dzieci nie było, ale z drugiej strony rzeczywiście nie było sensu zabierać ich na taką imprezę, w dodatku tak późną.

Gimnastyka odbywała się w milczeniu; ćwiczenia pokazywał ubrany w stary dres mężczyzna około czterdziestki, bez widocznych okaleczeń. Nawiasem mówiąc, pokazywał jedno, a dzieci robiły całkiem co innego, każde po swojemu. Jediną wspólną cechą tych ćwiczeń był całkowity brak sensu: trener stał na jednej nodze, podkulając drugą i rozpościerając na boki zgięte w łokciach ręce. Jego chuda postać przypominała czapkę bijącą

skrzydłami, tyle że bardzo rytmicznie i niewzruszenie. Dzieci było piętnastoro – Rogow zaraz je policzył – w różnym wieku, mniej więcej od ośmiu do piętnastu lat, każde wykonywało własne ruchy, nieładne, monotonne i bezsensowne. Jeden wirował jak bąk, drugi, z jedną ręką wyciągniętą w bok, a drugą opuszczoną wzdłuż ciała, przestępował w miejscu w prawo i w lewo, jeszcze inny robił pompki, chwilami padając na ziemię i po prostu tak leżąc (jest przecież zimno, przeraził się Rogow), albo klepał się po udach, po ramionach, po uszach – i powtarzał te uderzenia w innej kolejności.

– Długo tak ćwiczą?

– Do obiadu. – Paweł wzruszył ramionami.

Tu trener gwałtownie podskoczył, wylądował na obu nogach, zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i stojąc tyłem do dzieci, pochylił się nieprzyzwoicie, dotykając ziemi palcami chudych rąk. Teraz Rogow spostrzegł, że mężczyzna nie ma ucha. Żadne z dzieci nawet nie patrzyło na trenera, każdy zmieniał ruchy jak i kiedy chciał, dwoje czy troje obejrzało się na Rogowa i Pawła. Reszta wydawała się całkowicie pochłonięta bezsensowną gimnastyką.

– Jaki ma być pożytek z tej całej szarpaniny?

– Uwalniają się. Nie zrozumiesz prawa, dopóki nie oczyścisz głowy.

– To może i ja powinienem spróbować? – spytał Rogow, nabierając odwagi i pozwalając sobie na lekko wyzywający ton.

Zamiast odpowiedzieć, Paweł nagle mocno uderzył go w oko. Pierwszą reakcją Rogowa było natychmiast oddać cios, ale Paweł był wyraźnie silniejszy, a poza tym Rogow zdawał sobie sprawę, że jeniec nie powinien ryzykować. Istniało, co prawda, ryzyko, że Paweł pomyśli, iż może z nim sobie pozwolić na wszystko – ale wolał się tak od razu nie stawiać, jak to określono we wszystkich zamkniętych kolektywach.

– Co jest, o co chodzi? – wykrzyknął, odskakując i nienawidząc sam siebie za żałośnie przypoehlebny ton.

– To jest twoja gimnastyka – nieoczekiwanie spokojnie odparł Paweł. – Chodźmy, pokażę ci pasiekę.

Kiedy znów szli na drugi koniec osady, do pasieki, Rogowowi przebiegło przez głowę tysiąc pomysłów, jak się zemścić i uciec, ale wszystkie były na razie raczej niewykonalne. Odebrali mu nóż, a zresztą nie bardzo sobie wyobrażał, jak miałby się nim posłużyć; powalenie Pawła uderzeniem pięści było nierealne, ogłuszenie od tyłu niemożliwe – ten cały czas szedł za Rogowem i bardzo chętnie niepytany objaśniał przeznaczenie obozu.

– Widzisz, u nas wielu mieszkańców ma dzieci, a że nie można ich umieścić we wspólnym

baraku, mieszkają w obozie. Poza tym w mieście jest wiele bezdomnych dzieciaków – przywożą je tutaj ci, co o nas wiedzą. A one tutaj szybko wzywają się w prawo.

Co do tego Rogow nie miał wątpliwości, ale głośno nic nie powiedział. Od czasu do czasu obmacywał oko, pod którym urosła śliwa. Paweł bynajmniej nie uderzył go z całej siły, ale i to wystarczyło. Mógł mu oczywiście powiedzieć, że nowych się nie rusza – ale tego widocznie nie uważano za „ruszanie”. Było to właśnie coś na kształt inicjacji, po której Paweł od razu zrobił się bardziej przyjazny, albo tutejszego ćwiczenia gimnastycznego, tylko w wersji dla dorosłych.

Z przeciwka nadeszli trzej mężczyźni niosący ciężką belkę. Wśród nich Rogow rozpoznał Androna.

– Paweł, dlaczego nie czapkujesz? – zapytał Andron. – Zapisuję!

Wszyscy trzej zatrzymali się jednocześnie i zrzucili belkę. Paweł pośpiesznie ściągnął granatowy welwetowy beret, ale Andron już wyjmował spod pachy swój zeszyt. Starannie wpisał tam kilka słów (Rogow zdołał dostrzec, że na górze strony czerwonym długopisem wypisano ładnie „Paweł Bataszew” – widocznie każdy miał założoną w zeszycie osobną stronę) i znów schował zeszyt pod pachę, po czym zakomenderował:

– Bierzemy!

Rogow nie pojmował, po co i dokąd nieśli tę belkę: nigdzie dokoła nie było żadnej budowy. Pasięka ciągnęła się na jakieś dwieście metrów wzdłuż skraju lasu – kilka dużych uli, między którymi chodził rosły brodacz w brezentowym kombinezonie, odpowiedzialny za całe to gospodarstwo. Rogow właściwie nawet się nie zdziwił, widząc, że twarz mężczyzny jest cała opuchnięta od mnóstwa ukąszeń; bronienie się przed czymś takim zapewne nie było tu przyjęte.

– Witaj, Michaił! – zawołał do niego Paweł jeszcze z daleka. – Prowadzę nowego!

– Co, mam go ochrzcić? – zapytał skwapliwie Michaił; Rogow nie miał najmniejszych wątpliwości co do charakteru tego chrztu.

– Nie, jest na razie na kwarantannie! Po prostu pokażesz mu...

– Da się zrobić – odrzekł z katowskim zapałem pokąsany Michaił; wyglądał na bardzo pewnego siebie i zdawało się, że ta pewność siebie, czerwona i jadowita, wręcz go rozpięra – tak że z każdym kolejnym ukąszeniem nabierał jakby coraz większego samouwielbienia. Wpływało to zapewne również z tego, że pasiecznik żył oddzielnie, z dala od baraków, na uboczu, i w odróżnieniu od innych miał prawo mieszkać z żoną: jego chata, trochę koślawą, stała tuż obok. Żony wprawdzie nigdzie nie było widać, ale z kilku wzmianek, jakie padły w jego rozmowie z Pawłem, Rogow się zorientował, że pszczelarz jest żonaty od niedawna,

a żonę przywiózł sobie z miasta. Pasięka działała wspaniale: Rogow, mimo że w ogóle nie miał pojęcia o pszczelarstwie, nie mógł nie zauważyć, jak solidne są ule, i nie docenić miodu; Michał podał mu na aluminiowym talerzu trzy kawałki plastra.

– Całkiem jakbym wiedział – powiedział radośnie. – Baba mi dzisiaj mówi: daj mi miodku! A ja na to: nie, matko, zaczekaj, będziemy mieli gościa! Czuję nowego! Kiedy przyszedł?

– Wczoraj – odparł niemal z czułością Paweł. Kiedy rozmawiał o Rogowie z innymi mieszkańcami osady, przybierał czuły, pieszczotliwy ton, w którym pobrzmiewała jakby skrywana duma z przybysza – tak jak gospodyni chwali syna prymusa albo udane ciasto. – Wczoraj go przywieźli, był na stypie. Szkoda, że nie przyszedłeś.

– Nie wolno mi – westchnął Michał.

– Daj spokój. – Paweł machnął ręką. – Na ile styp masz zakaz?

– Na cztery – odparł żałośnie Michał, w jednej chwili tracąc swoją pewność siebie.

– I ile jeszcze?

– Jeszcze jedna...

– Na pewno by ci darował. Przyjdź następnym razem.

– A kiedy teraz?

– Ech, Michał – powiedział Paweł. – Całkiem się odbiłeś od ludzi, nic nie wiesz. Dzisiaj wieczorem Pietka pokaże przedstawienie, czyli to będzie jego koniec.

– Pietka? – Pasięcznik się uśmiechnął. – No to popatrzę. Warto.

Przed obiadem Paweł pokazał Rogowowi magazyny, mówiąc, że prawo zabrania zbliżać się do nich wszystkim prócz kobiet dyżurujących w kuchni; opowiedział, jak się wyznacza dyżurnych w osadzie i na patrole (każdy musiał dyżurować dwa razy w miesiącu), a na koniec poprowadził do baraku kobiecego. Męskich baraków było dwa, a kobiece jeden, i fetor był w nim jakby słabszy, ale i wstrętniejszy niż w tym, w którym Rogow spał tej nocy. Zauważył, że także w szpitalach, w których kilka razy zdarzało mu się krótko leżeć we wczesnej młodości, zapach na salach kobiecych jest inny: nie tak silny, ale znacznie bardziej odrażający. Czuł podświadomie, że to, co zobaczy w kobiecym baraku, będzie o wiele gorsze od tego, co do tej pory widział w męskich: wiedział też, że kobiety, które często bywają bez porównania piękniejsze, odważniejsze i zdolniejsze od mężczyzn, dokładnie tak samo przewyższają ich w upadku, niechlujstwie, nieuctwie – i nawet ich kalectwo jest straszniejsze i jakoś bardziej bluźniercze niż męskie. Kobiet w osadzie nie było widać, Rogow zauważył tylko jedną, kiedy szli z Pawłem w stronę pomostu. Kobieta – pewnie dyżurna z kuchni – wyszła z lasu z koromysłem. Rogow domyślił się, że te, które nie mają dyżuru, cały dzień spędzają w baraku: tutejsze prawo najwyraźniej uwzględniało też specjalną dodatkową mękę – życie

w całkowitej izolacji płci.

W baraku było duszno. Jedne kobiety szyły, inne wyszywały albo robiły na drutach, jeszcze inne, siedząc na schodach i pod ścianami, ucierały z cukrem rokitnik. W głębi baraku, gdzie też paliło się w żelaznym piecu, wiele kobiet było na pół rozebranych; wejście dwóch mężczyzn ani ich nie speszyło, ani nie skłoniło do narzucenia czegoś na siebie. Ze wstydlivością w Czystem w ogóle było jakoś dziwnie.

Rogow instynktownie odwracał oczy. Nie powitano go tu ani szyderczymi uśmieszkami, ani zaczepkami – kobiety po prostu oglądały go spokojnie jak eksponat i najwyraźniej oceniały, jaki będzie, kiedy zaczną go dotyczyć ogólne zasady; ponieważ jedyną rozrywką mieszkańców osady było, jak zorientował się Rogow, oglądanie męczarni pobratymców, każdy z nich już się zastanawiał, jak się zachowa Rogow w dybach albo na widełkach (widełki wyobrażał sobie mętnie i nie wiedział, jak może wyglądać ta kara). Tylko jedno spojrzenie poczuł na skórze – spojrzenie, które chlasnęło go jak wąskie ostrze. Rogow spojrział w kąt baraku, skąd błysnęło prześlizgujące się po nim ciemne oko: na ławce pod ścianą siedziała niewysoka dziewczyna w nasuniętej na czoło chustce, zgarbiona, kołysała się na boki i coś mamrotała. Rogow nastawił uszu: wydało mu się, że z kąta dobiega ten sam gorący szept, który usłyszał wtedy w lesie.

– Maraka... karaka... baraka... taraka... – mamrotała dziewczyna z opuszczoną głową i splecionymi palcami. Nagle jednak, jakby poczuła jego wzrok, uniosła twarz i popatrzyła na niego spode łba, wyzywająco.

Ze zgrozą spostrzegł, że ma ona tylko jedno oko – jedno, ale ogromne, czarne i wilgotne jak jagoda; drugi oczodół zakrywała pomarszczona powieka. Sądząc z wyglądu, miała jakieś dwadzieścia pięć lat, smagłą twarz o wydatnych kościach policzkowych – trójkątną twarz z maleńkimi, brązowymi ustami. W jej ptasim, okrągłym oku było coś pociągającego i przerażającego; Rogow poczuł, że istnieje jakaś dziwna więź między nim a nią – i w tej samej chwili przypomniał sobie, że w jego dziwnej fantazji na temat Imy Zasławskiego też była miłość do jednookiej trockistki. Często mu się zdarzało coś takiego, wiedział, że ma zdolność przewidywania przyszłości, z pozoru absurdalną i niepojętą – najbardziej nieprawdopodobne wyobrażenia, które bał się nawet ciągnąć do końca, nagle ziszczały mu się w życiu; nie bez powodu więc przyszła mu do głowy ta jednooka! Teraz siedziała naprzeciw niego, celując mu w twarz swoim jedynym okiem i Rogow zrozumiał, że trafił w te strony nie bez jej skrytego udziału.

– Idziemy – rzekł, trącając go Paweł. – Do kobiecego baraku nie mamy wstępu, pokazujemy tylko nowym – żeby wiedzieli, gdzie nie wolno im chodzić.



Wyszli na dwór. Rogow popatrzył na zegarek – była już druga.

– Zegarka mieć nie wolno – powiedział surowo Paweł i wyciągnął rękę całkowicie przekonany, że Rogow bez szemrania się podporządkuje.

Rogowowi szkoda było zegarka – drogiego, kupionego w Czechach – ale rzeczywiście go oddał. Nie wiedzieć czemu wywołało to u Pawła sceptyczny uśmieszek.

– Nie wgrziesz ty się w prawo. – Pokręcił głową i Rogow nie wiedział, czy chodzi o to, że nie oddał zegarka od razu, czy o to, że oddał go teraz.

Obiad jedli długo, znów była ta sama tuszonka, teraz z wodnistymi tłuczonymi ziemniakami; wydano im też kilka arbuźów. Potem palili w milczeniu. Do Rogowa nikt nie podchodził, jakby z powodu kwarantanny uważano go za zakaźnie chorego, zadżumionego, do którego może się zbliżyć tylko Paweł. Rogow zdawał sobie sprawę, że przez ten i dwa najbliższe dni będzie całkowicie uzależniony od Pawła i bał się, czym się to wszystko może skończyć. Paweł zaś chętnie rozmawiał z innymi, ale o Rogowie nie wspominał: omawiali głównie zapowiadany show Piotra. Rogow wywnioskował, że będzie na co popatrzeć. Sam Piotr się nie pokazywał; ze słów Pawła wynikało, że tamten się przygotowuje, schowany w budce przy pomoście. Show miał się rozpocząć trzy godziny po obiedzie, a czas, zwłaszcza bez zegarka, ciągnął się Rogowowi nieznośnie długo. Z palarni, drewnianej wiaty w kształcie grzyba obok stołówki, wszyscy zaczęli się stopniowo rozchodzić. Rogowa najbardziej interesowało, gdzie podziewają się ludzie z osady w ciągu dnia: schodzili się na wieczorne zebrania albo na tłusty konserwowy posiłek, ale na udeptanym terenie obozu Rogow i jego przewodnik przez trzy godziny przed obiadem spotkali tylko Androna i jego trzech pomocników, niosących zagadkową belkę. W obozie nikt nie pracował, tylko kobiety chyba ciągle siedziały w baraku, łątając swoją i cudzą odzież albo robiąc konfitury. Wszyscy wrzucali niedopałki do stojącego pod grzybem żelaznego wiadra i rozchodzili się w różnych kierunkach – czasem pojedynczo, czasem po kilku. Jedni znikali w barakach, inni w lesie: czyli wolno było wychodzić do pracy poza teren osady.

Patrząc na tych ludzi, idących do swoich tajemniczych zajęć, Rogow czuł coraz większy smutek: taki sam smutek odczuwał zawsze, znajdując się w nowym miejscu, gdzie ludzie żyli wedle ustalonego porządku, a on miał się w ten porządek dopiero wdrożyć. Zupełnie tak samo czuł się w nowej szkole po przeprowadzce – to była ósma klasa – i po pierwszej nocy w wojsku, w jednostce szkoleniowej, do której przyjechał z ostatnią partią. Wszyscy już maszerowali, biegali, coś nosili – oni zaś, ostatnia trójka dopiero co oskubanych tępą maszynką poborowych, tylko przyszywali pagony do mundurów. Posadzono ich akurat w kompanijnej palarni i pozostawiono samym sobie; czasem podbiegał do nich któryś

z „kotów”, którzy już przeszli tydzień czy dwa, i z miną starego wygi uprzedzał, że wkrótce będzie z nimi krucho. Dokoła kipiało życie, nieważne, że byle jakie – oni byli wyrzuceni z każdego. Szyć trzeba było tak, żeby palec nie przechodził między ściegami. Rogow nie umiał szyć. Ale jego przygnębienie brało się nie tylko z tego, i nawet nie z owego odizolowania od wszystkich, które kiedy indziej by go cieszyło – ale przede wszystkim z tego, że wszystko to było przedsmakiem nowego i przerażającego życia, którego częścią miał niebawem zostać. W ogóle Rogow nie cierpiał wszelkich okresów przejściowych i nieokreślonych – lubił sytuacje ustalone, konkretne, i nawet w słoneczny jesienny dzień w głębi duszy krzyczał: no prędzej! Niech prędzej się skończy cała ohyda zimy z jej ciemnymi rankami i totalną wrogością wobec człowieka – wrogością, którą i tak czuł we wszystkim, tylko latem się ona maskowała, a zimą była jawna: jeśli zabijać, to lepiej szybko i uczciwie.

Teraz także, siedząc w palarni, zadręczał się głównie tym, że na razie przebywa w piekle jako turysta, ale po trzech dniach go naturalizują i wtedy niepojęte reguły piekielnych czeluści obejmą także jego. Źle jest być izolowanym od wszystkich, ale gorzej będzie razem ze wszystkimi; był tego świadom i jego dusza wyła z bólu.

– Pawle, a co oni wszyscy robią? – odważył się wreszcie zapytać, nie mogąc dłużej milczeć.

– Zależy kto i co. – Paweł splunął. – Spędzają czas. Jedni znaczą drzewa, inni liczą. Gawriił się pomylił – i widziałeś, co było. Krótko mówiąc, pracują przy drzewach... Niekiedy piłują, ścinają... Wyrabiają mięśnie...

– A kto daje zadania?

– Na początku sezonu Konstantin wyznacza, gdzie kto ma być – no i tam sterczą. Tylko dyżurnych się wyznacza no i do nowych w kwarantannie. Mnie często rzucają na kwarantannę – dobrze znam prawo. Wchłonałem.

Rogowa zastanowiły słowa o początku sezonu, ale nie wypytywał o detale, mimo że Paweł chyba lubił sobie pogadać. Rogow kompletnie nie mógł się połapać w jego nastrojach. Oto spełniał się na jawie jeden z najstraszniejszych koszmarów jego dzieciństwa – wędrówka z obłąkanym towarzyszem podróży; koszmar ten śnił mu się częściej niż inne i sprawiał, że Rogow zrywał się z łomoczącym sercem. Śniło mu się, że błądzi o zachodzie słońca po pustym mieście – z reguły po Moskwie, po jakichś jej rejonach, na których się wtedy dla niego kończyła, i w miarę, jak poszerzała się geografia jego podróży – do krewnych, do kolegów, do korepetytora – zmieniał się też pejzaż snu, aż wreszcie jego akcja przenosiła się na realne przedmieścia i osiedla podmiejskie w rodzaju Nowopieriedielkina. Horyzont był chorobliwie czerwony, słońce już zaszło, ale całe niebo spowijała szkarłatna mgła, a on w ten gorący,

pełen kurzu wieczór wędrował po mieście z obłąkanym mężczyzną (rzadziej kobietą), nie wiedząc, jak się od niego uwolnić. Najstraszniejsze było to, że towarzysz tej wędrowki był nieprzewidywalny – mógł wybuchnąć śmiechem, mógł zaatakować, a Rogow cały czas musiał do niego mówić, przy czym w którymś momencie ten przestawał słuchać rozpoczętej opowieści i tylko wpatrywał się w Rogowa tak, jak umięją to robić jedynie szaleńcy: z bezmyślną podejrzliwością. I tak krążyli i krążyli, aż wreszcie obłąkany sięgał do kieszeni na piersi po coś niewyobrażalnie straszego – ale po co konkretnie, Rogow nigdy nie zdążył zobaczyć. Najbardziej na świecie bał się szaleństwa – cudzego, jako że o swoim nawet nie potrafił pomyśleć bez drżenia.

– Po co liczą drzewa? – zapytał.

– Za pytanie „po co” prawo przewiduje chłostę – powiedział Paweł z ponurą satysfakcją. – Zapamiętaj sobie.

– I co, zapiszesz mi?

– W czasie kwarantanny się nie zapisuje. Ale ty sobie gdzieś zapisz.

– Jakich jeszcze pytań nie wolno zadawać?

– Zależy od sytuacji – mgliście odpowiedział Paweł. Na jego twarzy odmalowało się coś na kształt natchnienia – widać rzeczywiście dobrze znał i lubił prawo. – Czasem na przykład nie wolno pytać „Co słyhać?”. Przy ładnej pogodzie nie wolno pytać „Co mam dzisiaj robić?”. W pochmurny dzień nie wolno pytać o patrol – na przykład kto jest w patrolu i kiedy mój dyżur. Przy północnym wietrze nie wolno pytać, która godzina.

– Ale przecież zegarki są zabronione – na pół pytająco powiedział Rogow, jako że dzień był pochmurny, a licho wie, jakich słów nie wolno wymawiać przy takiej pogodzie.

– No. – Paweł z powagą kiwnął głową. – Zabronione. (Zawiesił głos, jakby obmyślając wytłumaczenie). Ale tylko w kwarantannie, a po kwarantannie wolno mieć zegarek, jeśli ktoś go potrzebuje. Mnie na przykład wolno, ale tylko pod warunkiem, że to będzie mój własny. Widzisz, mam własny. – Wyjął z kieszeni zegarek Rogowa i pokazał mu go ze spokojem.

W głowie Rogowa mignął cień domysłu – na sekundę wydało mu się, że uchwycił samo sedno prawa – ale zaraz wszystko znów zatoneło w chaosie.

Nagle – on zawsze pojawiał się nagle – z dalszego baraku (drugiego męskiego, określił go w duchu Rogow) wyskoczył Nikołka i biegiem popędził do stołówki. Nie było go ani na śniadaniu, ani na obiedzie – widocznie jadał oddzielnie i w ogóle miał specjalne przywileje.

– Co, Pawłuszko – krzyczał z daleka – nie wszystko zjedli, nie wszystko wrąbali? Co? Nowy nie wszystko zeżarł? Krzepki z niego chłop, krzepki, brzuch sobie napchał! – Obiegł Rogowa dookoła. – Zeżresz, a potem odpracujesz, wszystko odpracujesz! Popatrzmy sobie,

popatrzemy na nowego! – Popląsał jeszcze chwilę, owiewając Rogowa cuchnącym oddechem, po czym odskoczył i bokiem pobiegł do stołówki, wciąż łypiąc na palarnię.

– A co robi Nikołka? – zapytał Rogow.

– Co chce, to i robi. – Paweł wzruszył ramionami. – Ma taką pozycję, że tylko Konstantin może mu rozkazywać. Nikołka to boży człowiek, błogosławiony.

Rogow miał trudności z wyobrażeniem sobie Boga, który miałby takich ludzi, ale widocznie innego Boga tu nie znali.

– I co, nie wolno go ruszać?

– Nie wolno ruszać, nie wolno się na niego skarżyć, nie wolno się z nim spierać. Nikołka sam jest prawem. Na przykład: prawo zabrania kraść. Ale jeśli kradnie Nikołka, wolno mu. Nikomu innemu nie wolno, a jemu tak.

– I dlaczego go tolerujecie?

– Nie o to chodzi – rozzłościł się nagle Paweł. – Jest potrzebny wedle prawa. Bez niego prawo jest niepełne. Nikołka to sól ziemi. Jest bogonośny, rozumiesz?

– Bogo co? – zapytał Rogow z nieukrywaną kpina. Zaczynał mieć tego wszystkiego naprawdę dość, a kiedy był zły, zapominał o strachu, tak jak człowiek spragniony zapomina o głodzie.

– Bogonośny! – warknął Paweł. – „Bogo co!”, sam jesteś bogo co, zarazo bagienna, a od Nikołki ci wara! Wszyscyśmy od niego wyszli, sam Konstantin od niego zależy! Rozkazuje mu, ale zależy od niego. Głos Nikołki – to głos boży. Tu wszystko jest w imię Nikołki. Bo inaczej dla kogo?

Znów coś znajomego mignęło Rogowowi we wszystkich tych określeniach – głos Nikołki, wyszli od Nikołki, w imię Nikołki – ale jego umysł w Czystym wciąż był dziwnie zmacony i myśl znów utonęła w obawach i smutku.

– Wszystko już widziałeś – zastanawiał się tymczasem Paweł. – No, chyba że pokażę ci chlew... Chodźmy. – I ruszyli na skraj osady, skręcając w lewo od pomostu.

W zagrodzie tłoczyło się i chrząkało dwanaście świń. Przed chwila dwaj jednoręcy, którzy poprzedniej nocy zdejmowali z kozłów trumnę niedoszłego straconego Gawriiła, przyciągnęli z baraku stołówki ogromny kocioł resztek z obiadu – w kotle we wstrętnej brei chlupały skórki od arbuza, kawałki chleba, kasza z tłustym mięsem. Kocioł został powitany wybuchem chrząkania i kwiku. Zwierzęta utrzymywano w czystości, ale świnia zawsze znajdzie brud – zagroda była wydeptana i zryta racicami i w tym kurzu, który po każdym deszczu zamieniał się pewnie w lepka kaszę, leżały dwie najgrubsze, już niemające siły się podnieść.

– Świnia to zwierzę proste, ale mądre – powiedział z zaskakującą dumą Paweł. – Wie,

kiedy przynoszą żarcie.

– Kiedy świniobicie? – zapytał Rogow, by cokolwiek powiedzieć.

– Przed nadejściem mrozów wszystkie pójdą pod nóż – odpowiedział Paweł z taką samą dumą, ale teraz już nie ze świń. – Jedne zjemy, a inne sprzedamy. Trzeba cię pokazać Prowowi. Prow!

Z maleńkiej chatki bez okien wyszedł niski chłop około trzydziestki, o żółtej, nalanej twarzy i mętnych oczach. Rogow z nawyku poszukał u niego okaleczeń, ale nie znalazł – pewnie coś było pod ubraniem, tak jak u Gawriiła.

– Kto mnie wołał? – zapytał chłop obojętnie, ale pod tą obojętnością, za rozbieganymi, wybałuszonymi oczami Rogow od razu wyczuł dziką wściekłość, tylko czekającą na pretekst.

– Ja – radośnie odrzekł Paweł, najwyraźniej czując przedsmak zabawy. – Przyszedłem ci pokazać nowego.

– Ty jesteś nowy? – zapytał Prow wciąż spokojnie, ale z najwyższą pogardą, jakby Rogow należał do jakiegoś najniższego gatunku. – Hę? Co tak milczymy, nowy?

Ten zwrot per „my”, imitujący rozmowę z dzieckiem, Rogow doskonale znał z wojska: stawiamy się, żołnierzu?

– A o czym tu z tobą gadać? – zapytał, czując narastający gniew.

– Szurasz? Szurasz? – powtórzył Prow owym niezapomnianym, do bólu znanym bandyckim tonem. Wyraźnie miał za sobą doświadczenie drobnego oprycha, który oglądał takie inicjacje jako szeregowy członek bandy – banda pewnie stała półkolem, kiedy herszt przeprowadzał rytualną indagację, będącą preludium do długiego i wymyślnego znęcania się nad ofiarą. – No czego szurasz, co? Czego szurasz, ty? – I szturchnął Rogowa w pierś krzywym palcem.

Paweł stał przy zagrodzie, obrzydliwie szczerząc zęby. Rogow poczuł w żołądku nienawistny chłód, jakby zaciskała się tam lodowata pięść.

– Kwarantanna – powiedział, nienawidząc sam siebie za podłą chęć osłonięcia się tutejszym prawem. – Odczep się, jestem w kwarantannie.

– No i co, że w kwarantannie, no i co? – powtarzał niewzruszenie Prow, podchodząc coraz bliżej. – I co? Trawa ma nie rosnąć?

– Prow, nowych nie ruszamy – odezwał się Paweł, ale wyraźnie tylko pro forma, licząc na pomyslową reakcję.

– I co z tego? – zapytał go Prow. – A pamiętasz, jaki dziś dzień? Jaka data? Dzisiaj jest dwudziesty piąty. – I znów natarł na Rogowa. Był dwudziesty pierwszy, to Rogow pamiętał. – Kwarantanna, powiada. Patrzcie go, jak to się wyuczył prawa. Prawa mu się zachciewa. A gównu żreć – to twoje prawo. No? I czego milczymy, co? – I zanim Rogow zdążył się

uchylić, otrzymał ciężki, zaskakująco silny cios w szczękę; usta natychmiast wypełniły mu się krwią.

To go zmobilizowało: nienawidził preludium, oczekiwania, przygotowań, ale po pierwszym ciosie strach zniknął i wtedy Rogow działał tak precyzyjnie, że mogli mu pozazdrościć bandyci. Nigdy nie trenując, nie ucząc się sztuk walki czy chwytów samoobrony, które uważał za poniżej swojej godności, miewał czasem przypływy tak strasznej wściekłości, że trudno go było odciągnąć od ofiary. W wojsku bił się tak tylko raz, kiedy plutonowy wyrzucił z jego szafki listy od matki; incydent kosztował go pięć, a potem jeszcze dodatkowe pięć dni służby w kompanii, ale plutonowego nikt nie lubił i większość kompanii była po stronie Rogowa. Co prawda, bić się Rogow nie potrafił, ale w takim stanie pewnie mógłby nawet zabić.

– Zabiję cię, ścierwo! – zawył Prow, nie nadążając się osłaniać przed gradem ciosów, ale ten wrzask tylko dodał Rogowowi impetu. Puścił w ruch także nogi i Prow już przyklęknął na jedno kolano, osłaniając tylko głowę, a potem w ogóle upadł – ale tu Paweł skoczył i zbił Rogowa z nóg.

– Coś ty zrobił, teraz koniec z tobą! – wrzasnęła. – Zostaw go, zarazo wściekła! To jest świniarz, wiesz, co ci zrobią za świniarza?!

– Zabierz go, zabierz go! – jęczał Prow, tarzając się po ziemi. Przez szum krwi w uszach Rogow słyszał dobiegający z zagrody szaleńczy tupot i chrząkanie. Przyłożyłby też Pawłowi, ale zaczął się już uspokajać, a i Paweł nie był ułomkiem.

– Oszalałeś? – ciągnął już spokojnie Paweł. – Kto rusza świniarza? Za świniarza czeka cię wedle prawa szafa, a po szafie trzy dni samemu za świniarza. – Rogowa szczególnie drażniło, że Paweł wymawia „świniarz” ze specjalnym naciskiem, ale nie miał już siły się na niego złościć: jak zawsze po ataku wściekłości czuł tylko wewnętrzną pustkę.

– Jaka szafa? – spytał obojętnie.

– Wkrótce się dowiesz, za trzy dni od razu szafa. Bo za świniarza zapisuje się zawsze – kwarantanna czy nie kwarantanna...

– Osobiście zrobię mu szafę – plując na czerwono i podnosząc się ze stękaniem, wtrącił Prow. – Osobiście, żebym tak zdrow był, osobiście!

– No dobra – powiedział Paweł, uśmiechając się szeroko. – Poznaliście się. Wracamy, niedługo wielkie zgromadzenie. Prow, przyjdiesz oglądać Piotra?

– A co to, ja Piotra nie widziałem? – Prow splunął.

W drodze powrotnej Rogow zapytał Pawła:

– Słuchaj, a dlaczego za świniarza zapisują nawet w kwarantannie? Przecież Konstantin

mówił, że trzy dni.

– Trzy dni, dopóki nie przyswoisz prawa – znów życzliwie odpowiedział Paweł. – A skoro rzuciłeś się na świniarza, to znaczy, że zaczęłeś je przyswajać. Tylko patrzeć, jak już na drugi dzień twoja kwarantanna się skończy.

– Jasne – powiedział Rogow. – A twoja ile trwała?

– A co, śpieszy ci się? – Paweł znów wyszczerzył zęby, tak jak wcześniej niespodzianie wpadając w złość.

– Śpieszy, a bo co? – odparł Rogow.

– Uważaj – powiedział Paweł z czymś na kształt szacunku i niemal podziwu. – Jeszcze trochę – i całkiem przyswoisz. Ja przyswajałem całe trzy dni, nawet sobie zapisywałem – to wolno, tego nie wolno... Konstantin zobaczył zapiski, i grusza.

– Pełna grusza? – zapytał Rogow, zakładając, że grusza to odpowiednik kłapy.

– Gdyby była pełna – tobym nie przeżył. – Paweł splunął. – Odkryli do połowy.

Rogow umilkł; nie był w stanie wyobrazić sobie gruszy. Przez półtorej godziny, jaka pozostała do rozpoczęcia zgromadzenia, wylegiwał się na trawie pod okiem Pawła i chyba nawet na krótko się zdrzemnął – tak bardzo wszystko tutaj było nierealne i tak go zmęczyło.

Zgromadzenie było największym wydarzeniem dnia: ubrani w co kto miał – w starych mundurach wojskowych, w staromodnych dresach, w waciakach i ortalionowych kurtkach, w brudnych chińskich puchówkach – mieszkańcy Czystego ścigali w stronę pomostu. Pojawiali się zewsząd – z lasu, z baraków, ze stołówki, spod ziemi; Rogow zobaczył wreszcie, że pięciu ludzi kopało dół, wyraźnie zbyt wielki nawet jak na bratnią mogiłę – usytuowany był na skraju placu, za barakiem Konstantina, w kopaniu go było tyle samo sensu, co w dźwiganiu belki. Ziemię, wyrzuconą z dołu, widocznie natychmiast rozrzucano i wyrównywano, bo Rogow nie zauważył żadnych kopczyków.

Ukazał się Konstantin z nieodłącznym Andronem – on w czystym długim palcie, sięgającym mu do pięt, Andron we wczorajszym kożuszku. Robiło się chłodno. Rogow poprosił Pawła o pozwolenie na pójście do baraku po plecak, ale naturalnie nikt by go nie puścił samego. Doszli do baraku, Rogow włożył sweter; Paweł poganiał go z wyraźnym zniecierpliwieniem:

– Na zgromadzenie nie wolno się spóźniać. Wiesz, co cię czeka po kwarantannie za takie spóźnienie? Co najmniej palec.

Rogow nawet nie chciał dociekać, co to są te wszystkie „grusze” i „palce”. Był w osadzie niecałą dobę i miał już śmiertelnie dosyć tej huśtawki między strachem a złością: innych stanów – olśnień, objawień, błogostanu – nawet tu nie oczekiwał. Ostatnie wątpliwości mogło rozwiązać zgromadzenie – najważniejsze, co powinien tu zobaczyć. Najstraszniejsza była jednak

myśl, że tylko takie życie, całkowicie podporządkowane skomplikowanemu i wyrafinowanemu prawu, mogło się stać udziałem mieszkańców prawdziwego Czystego lub ich spadkobierców: nic oprócz komplikowania prawa i kar za jego nieprzestrzeganie nie mogło już mieć dla nich sensu. Ponieważ zaś Rogow nigdzie na świecie nie widział nic podobnego do tej osady, pozostało mu tylko przyznać, że to właśnie jej szukał – i nie mógłby znaleźć niczego innego, ponieważ tylko nieustanne samoograniczanie się z ciągle nowymi wymysłami mogło interesować człowieka, który przeszedł najwyższy sprawdzian. Taki człowiek powinien był ubóstwiać zasady i czynić zasadę z każdego drobiazgu, reglamentować każde kichnięcie i za najdrobniejszy objaw nieprzestrzegania ograniczeń karać tak, jak na przykład za zabójstwo – albowiem z punktu widzenia kogoś, kto wytrzymał pół roku tortur i nie poddał się, z definicji nie istnieje różnica między błędem, wykroczeniem i zbrodnią.

Ale czym jest to prawo, myślał Rogow, idąc ze wszystkimi w stronę pomostu – czym jest to prawo, które, według słów Pawła, zaczął już rozumieć – jeśli mu wierzyć, rozumieć po ataku na świniarza? Chociaż w co tutaj można wierzyć... Dla nowego człowieka wszystko było oszustwem, przejść przez to pole minowe i nie wylecieć w powietrze nie potrafiłyby najwytrawniejszy jasnowidz. Prawo dwudziestego piątego, który był dwudziestym pierwszym; północny wiatr; cudowne przeobrażenie cudzego zegarka we własny; nietykalny Nikołka, grusza, palec, widełki, trzy sezony – wszystko zlewało się w jeden nieznośnie długi, bezsensowny koszmar, i z założenia nie można było do niego dobrać jakiegoś jednego kodu; jedynym prawem mógł być tylko brak kodu – ale w tym momencie mu przeszkadzono. Był tak pogrążony we własnych myślach, że nie zauważył, jak podeszła do niego jednooka i pociągnęła go za rękaw. Zalatywało od niej owym słabym, mdlącym odorem kobiecego baraku, ale zrobiła makijaż – i, co najbardziej odrażające, umalowała nie tylko usta i policzki, ale również powieki: grubo, jak na więzienny koncert amatorskich talentów; szczególnie okropnie wyglądała pomarszczona niebieska powieka brakującego lewego oka. A przecież jest młoda, pomyślał Rogow – młoda i byłaby ładna, gdyby miała oboje oczu i gdyby gdzieś zniknęły te wojenne barwy.

– Przyjdź po zgromadzeniu, pójdziesz ze mną – powiedziała cicho, nachylając się do jego ucha i omal nie muskając go wargami; rozpoznał wilgotny, gorący szept, który wczoraj o zachodzie słońca zwodził go w lesie.

– A on? – spytał, wskazując na Pawła.

– On ci nic nie robi, porozmawiam z nim. Odczekaj godzinę po capstrzyku. Zabrali ci zegarek?

Rogow przytaknął.



– Masz – podała mu szybko małeńki damski zegarek z bransoletką. – O dziesiątej.

– A ty?

– Wezmę sobie inny, jestem starostą baraku – powiedziała z nutką władczej dumy. – Co, nie spodziewałeś się?

Rogow wzruszył ramionami.

– A patrol?

– Nie skapowałeś? – W jej jedynym oku odmalowało się wyraźne rozczarowanie. – Nie ma żadnego patrolu. Na ciebie natrafili przypadkiem, nasi znaczyli tam drzewa. Cóżes ty taki tępy, nowy? Paszka mi mówił, że zaczynasz chwytac.

– Kiedy zdążył ci powiedzieć? – zdziwił się Rogow.

– Nie potrzebujemy wiele czasu. Długo spałeś. – Zachichotała i odeszła.

Do Rogowa natychmiast podskoczył Nikołka.

– E, nowy, nowy! Zobaczysz Piotra, zobaczysz Piotra! A potem ty sam, a potem ty sam! Przyglądaj się pilnie, przyda ci się!

– Poszedł won – powiedział Rogow.

– Sam pójdziesz, sam pójdziesz! Andronuszka, zapisz mu!

Ale Andron był już daleko z przodu i nie miał głowy do Nikołki. Udzielał ostatnich instrukcji czwórce ponurych mężczyzn otaczających piątego, związanego. Rogow nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, bo zasłaniały go szerokie plecy eskorty – widział tylko, że jest gruby; w Czystem w ogóle było zadziwiająco mało ludzi tęgich. Pomost na razie był pusty; potem dwaj ludzie wnieśli na niego fotel – dla Konstantina, domyślił się Rogow. Domyślał się także, kim był Konstantin, i już rozumiał, dlaczego w czterdziestym ósmym kolega z pułku uciekł przed lejtnantem Sutorminem z takim przerażeniem i wstrętem, jakby ujrział wysłannika piekieł. Jakby czytając w jego myślach, Konstantin odwrócił się w jego stronę i kiwnął głową – przytakując nie jemu, ale własnym myślom; potem przywołał palcem Androna i gdy ten pochylił się nad nim służalczo, coś mu szepnął. Andron ruszył w kierunku Rogowa, a ten ze wstydem i odrazą poczuł, że pocał mu się dłonie i żelazna ręka znów ścisła mu żołądek. Dwudziesty piąty: już nie chroniła go kwarantanna. Nie był bezpieczny przed żadną z tutejszych kaźni. Boże, pomyślał, dlaczego nie zostałem z tamtymi? Boże, uczyni mnie drzewem, trawą, ścieżką, Boże ukryj mnie przed człowiekiem!

– Chodźmy – rzekł basem Andron. – Konstantin umiłował cię, pamięta o tobie. Dajcie tu nowego, powiada, żeby lepiej widział.

Andron doprowadził go do samego pomostu; teraz Rogow nie widział znów twarzy ludzi stojących z tyłu. Obok niego, drapiąc się, stał Paweł. Tymczasem ci sami dwaj mężczyźni,

których widocznie używano w Czystym tylko do noszenia ciężarów, by stale demonstrowali wszystkim swoje kalectwo, wtaszczyli na pomost olbrzymi pień katowski z dwiema przybitymi poziomo po bokach zwykłymi klamkami. Ich puste rękawy majtały się symetrycznie. Cisnęli pień na pomost, z tyłu podszedł Prow z toporem. Jego sino-żółta twarz była grubo upudrowana.

– Świniarz! Świniarz! – krzyknięto w tłumie, znowu ze szczególnym akcentem. Rogow co nieco zrozumiał, i to co nieco wcale go nie ucieszyło.

Tymczasem ściemniało się stopniowo, ubywało pochmurnego światła. Konstantin ciężko wspiął się na pomost i powoli opadł na fotel. Andron pięć razy głośno klasnął w ogromne dłonie – zapewne miało to zastępować bicie kurantów. Zapadła cisza. Z rzadka kroił drobny deszcz, ale szybko ustał.

– Bracia – cicho, skrzypiącym głosem przemówił Konstantin. – Dziś po raz pierwszy karzemy dwóch nowo wtajemniczonych, Aleksieja i Jelisieja, dusimy siostrę naszą Annę, która nas zdradziła, i ostatni raz żegnamy się z bratem naszym Piotrem, który przebrał miarę cierpliwości naszej. Pora jest późna, pogoda szara – pośpieszmy się. Andron, wejdź tu i odczytaj.

Tego wszystkiego, co nastąpiło później, Rogow starał się nie widzieć, ale nie mógł się powstrzymać i od czasu do czasu patrzył – pokusa była zbyt silna, chociaż rozumiał mroczną, podziemną naturę tej pokusy. Ogarnęło go straszne podniecenie i na usprawiedliwienie tego uczucia miał tylko jedno: nie wierzył tak do końca w realność tego, co się dzieje. Ale było to jak najbardziej realne: dwóch osiłków wywlokło na pomost bladego, oniemiałego z przerażenia młodego chłopca, który dygotał i obwisał im w rękach.

– Nowo wtajemniczony brat nasz Aleksiej! – obwieścił Andron. – Przystępstwo: wyrzucił niedopałek między południem i pierwszą godziną popołudnia. Kara przez odrąbanie. Świniarzu, czyń swoją powinność.

– Stać, stać. – Konstantin podniósł rękę i przerwał ceremonię. – Nie spowalniać, ale i nie przyśpieszać. Należy mu się słowo. Mów, Aleksiej, świniarz zna się na rzeczy, zdąży.

Ale Aleksiej nie tylko nie mógł mówić – w ogóle ledwie się trzymał na nogach. Rogow znowu odwrócił wzrok, ale zdążył dokładnie zobaczyć jego bladą twarz, długie, rude kędziory związane w kucyk i szeroko otwarte szare oczy. Znacznie łatwiej było wyobrazić go sobie w hipisowskiej komunie albo na imprezce programistów; pasowałyby też do tolkienowców. Aleksiej przez chwilę chwycił ustami powietrze, patrzył na twarze, prześlizgnął się wzrokiem także po Rogowie, który od czasu do czasu ukradkiem zerkał na pomost. Upłynęła prawie minuta.

– Pu... Pu... puśćcie mnie, ja się rozmyśliłem – powiedział bardzo cicho Aleksiej.

W tłumie rozległy się oklaski. Rogow wreszcie się obejrzał: na wszystkich twarzach malowała się niepoohamowana ciekawość i nieskrywana rozkosz.

– Młody jest. – Konstantin uśmiechnął się zachęcająco. – Młody, ale nieźle rokuje. No nic, jeszcze się nauczy – palców ma dużo. Zaczynamy, bracie świniarzu.

Na pomost wskoczył Nikołka, który oczywiście nie mógł sobie darować widowiska. Zawirował wokół pnia, podrygując i powtarzając:

– Mało ci jeszcze, mało, Aleksiejuszka! Zapiszcie mu – źle prosi, źle prosi! Na drugi raz nie rzucaj niedopałków, nie rzucaj!

Nikt go nie skarcił, przeciwnie – taki przebieg akcji był w osadzie czymś zwykłym i budził gorącą aprobatę.

Dwaj mężczyźni, trzymający brata Aleksieja, siłą powlekli go do pnia i położyli na nim lewą rękę nowo skazanego. Aleksiej zakwiczał jak zarzynana świnia. Rogow zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, co sam by zrobił w podobnej sytuacji, która przecież mogła się stać jego udziałem już następnego dnia; po pierwsze, są rzeczy, których nie da się przeciwiczyć, jako że w sytuacjach ekstremalnych wszystko dzieje się na odwrót, wbrew zwykłej logice; po drugie, nie sposób było uwierzyć w realność tego, co się działo. Był przecież dziewięćdziesiąty szósty rok, sierpień, wschodnia Syberia – a tymczasem świniarz wziął zamach, z krótkim radosnym stęknieniem opuścił topór, wrzask Aleksieja się urwał i sekundę później coś ciężko stuknęło o pomost. Prow szybko podniósł ów przedmiot i pokazał go tłumowi: Rogow zrozumiał, co miał na myśli Paweł, mówiąc o karze „palca”. Oczywiście natychmiast pomyślał: wykroczeń jest tyle, że zabrakłoby ludzkich istnień. A palców sporo, licząc także te u nóg. Ciekawe, co popełnili jednoręcy? Jak nic musieli kichnąć podczas ceremonii. Aleksiej płakał cicho, popiskując; dwaj mężczyźni szybko i z wprawą bandażowali mu lewą rękę. Świniarz schował odrąbany palec do kieszeni. Rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

– Ciachnęli, ciachnęli! – krzyczał Nikołka. – Pewnie się sfajdał, na pewno się sfajdał! – Sturlał się z pomostu po stopniach, nie próbując zeskoczyć z powodu małego wzrostu i, jak się domyślił Rogow, strachliwego charakteru. Rogow miał ochotę go zabić. Teraz już prawie nie miał wątpliwości, że mógłby to zrobić – więcej, że ten uczynek mógłby się stać głównym uzasadnieniem jego życia.

– Radujmy się za nowo ukaranego brata naszego – powiedział cicho i ciepło Konstantin. – Każdy z nas wie, jaka błogość zstąpiła teraz na duszę jego. Żywym przejść przez kaźń i z nową siłą powrócić do życia, odwrócić się od braci swoim niesłychanym występkiem i powrócić

w ich wybaczące objęcia – czyż istnieje inny raj, najmiłsi? Powitajmy brata Aleksieja!

Z tyłu zaczęto szaleńczo klaskać. Paweł zapalił papierosa. Rogow dał sobie słowo, że podpatrzy, gdzie ten schowa niedopałek.

– Brat Jelisiej! – oznajmił basem Andron. – Przepięknie: nie wyrzucił niedopałka między dwunastą a pierwszą po północy. Niedopałek schowany w kieszeni znalazł brat Jewgienij. Kara przez odrąbanie. Komplikacja: prosił, żeby mu nie zapisywać. Kara przez plunięcie.

– Świniarzu, zaczynaj – zezwolił Konstantin.

Jelisiej był wyraźnie łagiernikiem ze stażem, szedł bowiem pewnie, nawet przytrzymywano go z tyłu, żeby tak nie wyrywał do przodu, nie przyspieszał kulminacyjnego momentu. Świniarzowi podano pęczek jakiejś trawy; włożył ją do ust i zaczął powoli żuć, ciężko poruszając szczękami.

– Mów, Jelisieju – polecił Konstantin, znów powstrzymując Prowa gestem.

– Uznaję ciężki grzech mój i błagam o odpuszczenie choćby po odkupieniu – wyskandował dziarsko Jelisiej.

– Mógłbyś powiedzieć coś poza formułką – skrzywił się Konstantin. – Następnym razem zapisz mu to, Andron. Nie można tak szablonowo, ludzie cię słuchają.

– A jeśli nie szablonowo – Jelisiej rozprostował ramiona. – Jeśli nie szablonowo, ale od serca... to powiem tak: siedem dni dali mi między występkiem a kaźnią, i przez całe siedem dni bałem się, co ze mną będzie. A teraz się nie boję, bracia, bo wszystko będzie już zaraz! Bać się śmierci, to, powiem po chłopsku, to samo, co chędożyć babę i bać się skończyć. Oto, co wam powiem, i pozwólcie mi, żebym jak ulubiony bohater mojego niezapomnianego dzieciństwa, sam wydał komendę: rąb mnie, świniarzu!

– Andron – z niezadowoleniem powiedział Konstantin, czując zapewne, że tłum nie wie, jak zareagować na tę zuchwałą, zbyt gładką wypowiedź. – Zapisz mu samowolę w zawieszeniu na trzy tygodnie, kara przez kwas. Jest co prawda prawo, żeby skazanemu przed wykonaniem wyroku nie zapisywać, ale jest też inne prawo – nie pobłażać samowoli, nawet gdy okazuje ją skazany; wobec przewagi tego drugiego prawa sprzeczność rozstrzyga się na jego korzyść. A teraz czyn swoją powinność, świniarzu.

Na pomost znów wyskoczył Nikołka:

– Samowola, samowola! Dokonam plunięcia, dokonam plunięcia!

Dwaj oprawcy tak samo przycisnęli do pieńka rękę zdetonowanego nieco Jelisieja, Prowa stęknął, Jelisiej zawył krótko, odczekał pauzę i wreszcie wydał z siebie długi, potężny wrzask na jednej nucie, wznosząc ku niebu wykrzywioną twarz. Opatrzono go z ręcznie, potem nagle wykręcono mu ręce i Jelisiej zgiął się wpół, z zaskoczenia przestając wrzeszczeć.

– Plunięcie! – oznajmił Andron; Prow podszedł do Jelisieja i obficie charknął mu w twarz przeżutą trawą. Rogow zamknął oczy i zaczął trzeć sobie twarz – policzki, powieki – żeby powstrzymać wymioty.

Oprawcy ściągnęli Jelisieja na dół i cisnęli pod pomost, gdzie natychmiast zwinął się na boku w pozycji embrionalnej. Teraz krzyczał bezdźwięcznie – z szeroko rozwartymi ustami, nie śmiejąc otrzeć twarzy albo o tym nie pamiętając. Palec pieczołowicie położono obok niego, po czym dwaj mężczyźni wrócili na pomost.

– Pawle – odezwał się Rogow, wmówiwszy sobie na chwilę, że to wszystko mu się śni. – Przepraszam, że przeszkadzam...

– Co? – zapytał Paweł całkowicie pochłonięty widowiskiem.

– Chciałem zapytać: jeden wyrzucił niedopałek, drugi nie wyrzucił. A palce odrąbali obydwóm. Czy prawo to jakoś wyjaśnia?

– A jakże. – Paweł napluł na niedopałek, włożył go do ust, żuł przez chwilę, po czym połknął. – Prawo wyjaśnia wszystko. Jeden – to Aleksiej, drugi – Jelisiej. Gdyby Aleksiej nie wyrzucił niedopałka, nic by mu nie było, choćby ponapychał petami wszystkie kieszenie, choćby spalił sobie przez to waciak. A gdyby Jelisiej, przykładowo, wyrzucił peta, to nawet by dostał pochwałę. Tak, pochwałę. Widzisz, jakie mamy prawo? Nasze prawo jest powszechne – podsumował niezrozumiale, ale z satysfakcją. – A teraz będzie najciekawsze.

Pod pomostem uwijał się Nikołka, spluwając w twarz Jelisiejowi.

– Siostra nasza Anna – powiedział sucho Konstantin, kiedy ucichł pełen podniecenia gwar – znów nas zdradziła trzy dni temu, opuszczając obóz w nocy. Kara przez uduszenie.

Rogow zdumiał się, dlaczego o ukaraniu Anny postanowił oznajmić sam Konstantin, nie powierzając tego Andronowi – ale rozumiał wszystko, gdy na pomost, jak na estradę, wbiegła rzeczona Anna. Anną okazała się jednooka starościna baraku, która namawiała go, by poszli w nocy do lasu. Skoro starościnie baraku za samowolne oddalenie się w nocy grozi uduszenie, pomyślał Rogow, to mnie w ogóle utną łeb. Poza tym, jeśli uduszenie będzie prawdziwe (wykroczenie było poważniejsze niż sprawa niedopałka, i Rogow wcale nie wykluczał, że przynajmniej jedna egzekucja na każdym zgromadzeniu może się okazać realna) – to propozycja Anny, by spotkał się z nią w nocy, nabierała interesującego znaczenia. Ta myśl nieco rozruszała jego otępiały umysł: Rogow znał tę swoją szczęśliwą umiejętność popadania w otępienie w momentach silnego przestachu albo zagrożenia: prawdziwy lęk doganiał go później. Było to tak, jakby wychodził z narkozy, i ten ból był czasem większy niż tamten, od którego się uwalniał dzięki szczęśliwej właściwości psychiki.

Przy Annie stanęli dwaj mężczyźni, którzy najpierw wlekli Aleksieja, a potem Jelisieja;

Anna usiadła na pieńku. Trzeci wyskoczył skądś z tyłu z długim, mokrym ręcznikiem. Kolejni dwaj – wciąż ci sami jednoręcy – wnieśli na pomost nosze i zeskoczyli na dół, tuż obok Rogowa, który gwałtownie odskoczył. Ze zgrozą przyłapał się na tym, że jest bardzo podniecony i z wielkim zainteresowaniem obejrzy duszenie Anny.

– Zaczynać! – zakomenderował Andron.

Anna zdjęła chustkę i okazało się, że jest ciemną szatynką o lśniących, dobrze umytych włosach. Świniarz podszedł z tyłu i wziął ją za ręce. Dwaj mężczyźni (Rogow nazwał ich w duchu „dwaj ze szkatułki”<sup>49</sup> w odróżnieniu od pary jednoręcznych, których nazywał „dwoma bez szkatułki”) owinęli jej wokół szyi mokry ręcznik i zaczęli skręcać jego końce, tak jak się wykręca bieliznę. Z ręcznika pociekła woda, twarz Anny spurpurowiała, dziewczyna kilka razy zaszurała po pomoście obcasami topornych wysokich butów. Rogow patrzył na nią chciwie. Mężczyźni coraz mocniej skręcali ręcznik, Anna oddychała z coraz większym trudem i wreszcie głowa trochę teatralnie opadła jej na bok; „dwaj ze szkatułki” z wyraźnym wysiłkiem skręcili ręcznik jeszcze parę razy, wyciskając kilka ciężkich kropel, i natychmiast go rozwinęli. Rogow nie widział, czy Anna jest przytomna, czy nie: jedyne oko miała wywrócone i nie ruszała się. Wspólnymi siłami położono ją na noszach i zniesiono pod pomost.

– Udaje – powiedział z przekonaniem Paweł. – Znam Ankę. A ci źle duszą: ona dopiero zaczęła wymiękać, a ci już kończą. (Rogowowi starczyło jeszcze podłości, której natychmiast się zawstydził, żeby zwrócić uwagę na dwuznaczny sens tych słów). Jak ja ją dusiłem, gołymi rękami – miała prawdziwy odlot. Opowiadała, że widziała anioły. Wszystko w iskrach – mówiła. A mnie żebyś nie wiem jak dusił, żadnych aniołów nie zobaczę.

– Piotr! – głośno i uroczyście obwieścił tymczasem Andron. Rogow usłyszał stłumiony szmer aprobaty. Wszystko wskazywało na to, że show Piotra był kulminacyjnym punktem programu, zwłaszcza że Konstantin oznajmił, iż egzekucja Piotra będzie ostatnia, gdyż cierpliwość łagierników się wyczerpała.

Na pomost wypchnięto tęgiego, rosłego faceta ze związanymi rękami; waciak miał rozpięty, widać było pod nim podkoszulek. Fizjonomia Piotra była zdecydowanie bandycka, nalana, zarośnięta, a dla dopełnienia tego obrazu wszędzie miał tatuaże, głowę ogoloną, a niskie czoło pofałdowane w grube zmarszczki.

– Rozwiązać. – Konstantin łaskawie skinął głową. – A ty się przygotuj, świniarzu: odrąbać głowę – to nie to, co palec. To chyba dopiero twoje trzecie ścięcie, prawda?

– Czwarte – poprawił świniarz.

– Andron, zapisz mu, że zaprzecza... Zaczynaj, Piotrze.

– Przebacz, Konstantinie – powiedział Piotr z prawdziwym przejęciem. – Zawsze przecież tak jest: pokajasz się, a potem coś ci wzbierze w sercu – i znowu grzeszysz. Nie chciałem cię obrazić, Bóg mi świadkiem, nie chciałem.

– Ty mi tu Boga nie wzywaj – odrzekł z wyraźnym zadowoleniem Konstantin, któremu odgrywanie tego spektaklu przed niewielkim, ale bardzo przejętym audytorium sprawiało niezwykłą przyjemność. – Kajaj się, zostały ci tylko sekundy.

– Sokoliku mój, gronostaju precudny! – wykrzyknął Piotr, z głuchym stukiem padając na kolana; pomost zadygotał, ale leżący pod nim Jelisiej i Anna ani drgnęli. – Światło oczu moich! Nóżki ci będę całować, tylko pozwól jeszcze raz mamyńkę zobaczyć. Jakże ja umrę, nie widząc mamyńki! – Jego lament stawał się coraz bardziej rozpaczliwy, stanowiąc zaskakujący kontrast ze specyficzną powierzchownością. – Mamyńka oczy będzie wypatrywać; gdzież to mój syneczek, co zszedł na złą drogę? Oszczędź, ojczy umiłowany, pozwól wiek Boga błagać!

Już coś takiego słyszałem albo czytałem, pomyślał Rogow. Sam się zdumiewał, że starcza mu jeszcze sił i nikkzemności, by analizować to, co się dzieje, z takim spokojem i nawet pewnym estetyzmem. Chociaż nie można było tego wszystkiego traktować inaczej – zgromadzenia wyraźnie były od dawna dokładnie wyreżyserowane i Rogow jakimś skrajem świadomości czuł, że w gruncie rzeczy przemawiają właśnie do jego poczucia estetyki, a nie moralności – zwłaszcza że przestępstwa Piotra nie wymieniono, a zresztą chyba nie miało ono znaczenia. Ale na pewno gdzieś to czytałem, pomyślał znowu. *Książę Srebrny? Doktor Żywago?* Ta „mamyńka” jest na pewno z *Żywagi*, a „nóżki” z któregoś opowiadania Gorkiego, gdzie zabijają koniokrada; cóż za odczytane towarzystwo!

Tymczasem Piotr już całkiem teatralnie podrzucał głową, klęcząc i kołysząc się całym ciałem, i lamentował nad gorzką swoją dolą. Mieszał razem rozmaite ludowe lamentacje, bez końca powracając do mamyńki, która roni łezki i wypłakuje oczka, i zawodził w głos o zmarnowanej młodości, nie zapominając wszakże obiecać całowania nówek. Łzy były bez wątpienia prawdziwe, a im bardziej kamienny stawał się spokój Konstantina, którego zaczynał już chyba nudzić przeciągający się prolog widowiska, tym prawdziwsza rozpacz malowała się na twarzy Piotra: widocznie zaczynał rozumieć, że teraz już nic mu nie pomoże.

– Dosyc – odezwał się wreszcie Konstantin. – Nieciekawe. Zwiążcie go, chłopcy, i szybciej kończmy. Czas na kolację.

– A-a-a! – zawył Piotr, zrywając się z kolan i jednym susem odskakując od krawędzi pomostu, na który napierał tłum, popychając Rogowa i ciężko dysząc. – Okrutni! Okrutni! A-a-a! Nie dotykajcie mnie! Wszystkich pozabijam i sam zostanę! – Nagle wyciągnął z rękawa

niezwykle długi i ostry nóż, którym kilka razy przeciął powietrze wokół siebie. Stojący z tyłu świniarz rzucił się na niego, ale Piotr wyczuł go chyba po drzeniu desek, odwrócił się szybko i pięścią huknął świniarza między oczy; ten dostał już dzisiaj od Rogowa i ledwie zdołał zapudrować sińce, toteż teraz odleciał o pięć metrów i omal nie runął na ziemię. Wykorzystując ogólne zamieszanie, Piotr zeskoczył na drugą stronę pomostu, do warzywnika, odrzucił kopniakiem ogrodnika, który chciał mu zastąpić drogę, i pognął do lasu. W gęstniejących ciemnościach sierpniowego wieczoru tam pogoń mu raczej nie zagrażała.

Przez tłum przetoczyło się stłumione „A-a-ach!”.

– Uciekł – rzekł basem Andron. – Zapisuję sobie.

Tłum zamarł, nie wiedząc, jak zareagować. Przez jakieś dwie minuty trwało milczenie; Konstantin nie odwracał się i nie wstawał z fotela. Głowę miał spuszczoną i to milczenie nie zapowiadało niczego dobrego.

– Tym razem Pietka słabo się popisał – lekceważąco wycedził Paweł. – Z pistoletem wypadło lepiej. Ale Konstantin zabrał mu pistolet, bo wtedy naprawdę skaleczył Makara.

– To co, on ucieknie? – zapytał tępo Rogow. – Nie szukają go...

– A komu on potrzebny, żeby go szukać! – Paweł ziewnął szeroko, ale natychmiast z przestachem zasłonił sobie usta. – Jeszcze czego. Jutro przylezie jak baranek. Ucieczka to jego specjalizacja, ale ładnie lamentuje. Jeszcze ani razu nie wykonano na nim egzekucji. Skazują go co tydzień, a karać – nie karzą. Odgrywa ucieczkę. Raz uciekł prosto ze stryczka – namówił Grigorija, i ten nadciął sznur. Ale była niespodzianka! Dzisiaj wypadło tak sobie, nie nakręcił się. A kiedyś potrafił tak prosić, że wszyscy płakali. Padał do nóg. A potem i tak uciekał. W taki sposób się nakręca – najpierw prosi, błaga – a potem pif-paf! Albo z nożem, jak dzisiaj. Raz biegał z drutem do robótek, podwędził babom. Pomysłowy drań. I w ogóle zaczął się lenić: co chcesz, koniec sezonu.

– I co? – zapytał Rogow. – Jutro tak sobie spokojnie wróci?

– Jeżeli go jakiś zwierz nie zagryzie – przytaknął Paweł. – Ale co tu są za zwierzęta? Pietka na pewno ma wykopaną norę albo postawił sobie szałas – przesiedzi noc, a rano wróci. On przecież nie chce uciekać, po co miałby uciekać? Po prostu Konstantin przydzielił mu taką robotę, a tak za mojej pamięci przez trzy sezony ani razu się stąd nie oddalił. Biega tu w pobliżu w nocy, czasem straszy baby – jęczy w lesie i różne takie... A rano zawsze jest z powrotem, żreć mu się chce. Czy ty wiesz, jak on żre? Ale Konstantin powiedział, żeby mu nie żałować, bo mówi, że Pietka ma nerwowe *emploi*...

To jedyne, w czym na moment mignęło coś prawdziwego, okazało się największym oszustwem. Piotr nie był ani męczennikiem, ani uciekinierem. Rogow popatrzył na Konstantina



z dziwną mieszaniną odrazy i rozczulenia. Tak, nie było wątpliwości: to on, ostatni z pierwszego pokolenia czystowców. Rogow znalazł to, czego szukał: oto jest. Każdy z mieszkańców osady mógł się okazać potomkiem jego dziadka – ciotecznym wujem, cioteczno-ciotecznym bratem samego Rogowa; nawiasem mówiąc, Paweł całkiem się na takiego kuzyna nadawał. Co jeszcze mogli tutaj robić? Jakie inne rozrywki mogli mieć ludzie, których cały czas testowano i katowano, dopóki nie zrozumieli, że jest to jedyne zajęcie, do którego w ostatecznym rezultacie sprowadzają wszystkie inne? Po cóż mieli się bawić, kłócić, kochać, skoro ostatecznym wyrazem życia, jego najbardziej nasyconą formą była kaźń, łącząca w sobie i ukryty erotyzm, i przestrzeganie skomplikowanego prawa, i poczucie sprawiedliwości, i element wychowawczej rozrywki dla obserwatora? Co mogło ich interesować poza kaźnią, co bardziej ostatecznego mógł wykoncypować ludzki mózg i co jeszcze mogli robić ludzie, których rodzice odeszli od świata? Wszystko wydawałoby się niewystarczające tym, którzy żyli tu, w tajdze, bez komfortu i elektryczności: tu potrzebne było życie ostre, pełne napięcia, a takiej ostrości doznań nie dawało nic oprócz nieustannego samoudręczenia. Tak, znalazł się w Czystem, bez żadnych wątpliwości. Kretow nie kłamał, mówiąc o przedstawiających tortury rysunkach, które widział w gazetce ściennej. Ciekawe tylko, dlaczego zamazali napis „W domu nikogo nie ma” i gdzie się podziały ławki, stojące dawniej na placu. Chociaż wtedy pewnie nie było pomostu, a ławki służyły do tego, żeby wysiadywać na nich podczas niekończących się zebrań partyjnych i szkoleń politycznych. Teraz zamiast nich były zgromadzenia, to jest egzekucje – były krótsze, a przede wszystkim bardziej dynamiczne. Dręczenie – oto jedyna rzecz, która nigdy się nie nudzi.

Konstantin wciąż siedział nieruchomo ze zwieszoną na piersi głową. Andron podszedł do niego, pochylił się i zajrzał mu w twarz. Rogow nie zdążył nawet pomyśleć, że starzec może umarł podczas przedstawienia: ten Piotr jednak umiał porwać widzów. Oczywiście śmierć starca niezbyt by Rogowa zmartwiła, chociaż bez niego mogły tu wybuchnąć zamieszki, w których on pierwszy by ucierpiał. Najbardziej jednak zląkł się tego, że teraz nikt nie opowie mu o dziadku. Ale Konstantin był żywy i zdrowy. Po prostu przysnął. Andron potrząsnął go za ramię, starzec podniósł białą głowę i mętym wzrokiem powiódł po tłumie. Z ust zwisała mu nitka śliny. Był jednak bardzo stary, strach pomyśleć, jak stary.

– Rozchodzimy się, bracia, kolacja – powiedział Konstantin spokojnie i znowu zwiesił głowę na pierś. Andron ostrożnie wziął go na ręce jak dziecko i ruszył w stronę rezydencji. Za nim „dwaj bez szkatułki”, symetrycznie majtając pustymi rękawami, ponieśli fotel.

Kolacja upłynęła na powściągliwym omawianiu ucieczki Piotra i sporach, o której można się go jutro spodziewać; ktoś pytał natarczywie, dlaczego nie ma Jelisieja – to przecież silny

chłop, a od plunięcia nikt jeszcze nie umarł...

– A dlaczego nie ma stypy po Annie? – zapytał Rogow Pawła.

– A po co stypa, czy to w ogóle była egzekucja? Konstantin ją oszczędza, lubi ją. Bardzo ładnie wierzga nogami, tylko szybko traci przytomność. A opowiada potem – że boki zrywać. Co tam widziała i tak dalej.

– I co, co widziała?

– Żryj, nie gadaj. – Zmiany nastroju następowały u Pawła błyskawicznie. „Dlaczego nie ma stypy po Annie” – powtórzył, przedrzeźniając Rogowa. – Każdemu co mu się należy. No i nie ma porównania z Gawriilem. Ten jak zacznie przed kaźnią żegnać się z tym światem, prosić wszystkich o przebaczenie – no! Takie grzechy wymyśla, których w żaden deseń nie mógł popełnić. Opowiada całe historie, za każdym razem nowe. Stypa po nim to całe święto, no i zawsze się rozbiera.

– A Anna? – zapytał Rogow ze szczerym zainteresowaniem.

– Anna nie zawsze. No, żryj!

No, no, głównego wychowawcę kwarantanny, starego niedźwiedzia Baloo, znawcę prawa, najwyraźniej coś łączyło ze starościna kobiecego baraku. Był w niej zakochany – może nawet z wzajemnością – a już na pewno świadczył jej usługi, które na upartego można by określić jako miłosne: dusił gołymi rękami, doprowadzał do stanu, w którym widziała anioły... Niepojęte, na co mógł jej być teraz potrzebny ktoś nowy. Sądząc jednak z tego, że nie ukrywała przed Pawłem, iż zamierza spotkać się z nim w nocy – Rogow nie interesował jej jako kochanek.

– Powiedz mi, Pawle – Rogow zmienił temat – czy nie znasz tutaj nikogo o nazwisku Skaldin?

– Nie-e. – Paweł pokręcił głową z ustami pełnymi chleba z masłem; na maśle rozmazał namoczony w herbacie cukier.

Często robiono tak w wojsku i wyglądało to obrzydliwie. Rogow wolał rozgniatać swój kawałek cukru między dwiema łyżkami. Teraz zresztą w ogóle nie miał apetytu.

– Nikogo nie znam z nazwiska – dodał Paweł, przeżuając. – To nie jest u nas przyjęte. I jestem tu dopiero trzy sezony...

– A przedtem? Czy ktoś jest tu dłużej?

– Są tacy – odparł Paweł wymijająco. – Ale nazwiska zna tylko Konstantin, a tobie do końca kwarantanny nie wolno się do niego odzywać. – Paweł dopił herbatę z aluminiowego kubka i nachylił się do ucha Rogowa: – O twoich nocnych spacerach nic nie wiem, nic nie słyszałem. Z Anką lepiej po nocy nie chodzić, ale skoro ci zaproponowała – idź;

w kwarantannie się nie odmawia. Tylko uważaj, nikt nie może o tym wiedzieć. W kwarantannie wybór jest prosty. – Parsknął krótkim śmiechem. – Nie pójdziesz – szafa, pójdziesz – grusza.

– A powiedz, Pawle – Rogow znów nabrał śmiałości, ucieszony, że Paweł nie chodzi z Anną po nocach. – Co świniarz robi z palcami?

– Wiadomo co – uśmiechnął się Paweł. – Daje świniom. Świnia zeżre wszystko.

Po kolacji rozeszli się do baraków. Rogow spojrział na zegarek – kwadrans po ósmej. Był tak zmęczony i tak bardzo pod wrażeniem tego, co zobaczył, że początkowo nie mógł zasnąć – wciąż czuł podniecenie i wciąż ta sama lodowata ręka zaciskała mu się w żołądku na myśl o tym, że jest tu jeńcem, że nie ma nikogo, kto by go stąd wyprowadził. Na Pawła pod tym względem nie miał co liczyć – wysłucha, pokiwa współczująco głową i zaraz doniesie Konstantinowi. Rogow zupełnie nie rozumiał prawa, które rzekomo już sobie przyswoił, a od pojutra to prawo zacznie go obejmować, więc na ucieczkę pozostał mu tylko jeden dzień – jutrzejszy.

Mimo wszystko po jakimś czasie zaczął przysypiać, ale na krótko, momentami. Cudza wola, która przedtem go interesowała lub napawała lękiem, a w której władaniu się znalazł, teraz budziła w nim tylko nienawiść. Nikt nie ma prawa trzymać go diabli wiedzą gdzie, a w dodatku te sztuczki z egzekucjami... Ci się hartują i są testowani, tamci się tym bawią. Nie, trzeba uciekać, uciekać, jedyna nadzieja w tym, że Anna po nocach wychodzi z osady. Może jest lunaticzką, a może tęskni za miłością, w każdym razie w nocy gdzieś znika; a może po prostu ma ochotę na normalne jedzenie, a nie tę wieczną tłustą tuszonkę z wodnistymi warzywami. Jeśli tak, to na pewno biega do wsi – choćby po chleb; stąd właśnie tamtejsze słuchy o tajemniczych ludziach. Może Anna tym razem zabierze go ze sobą, chociaż naprawdę nie rozumiał, czym mógł zasłużyć na jej życzliwość. Stuprocentowej pewności co do jej życzliwego nastawienia nie miał, ale co do innych miał stuprocentową pewność, że by go wydali. Nie pójdziesz – szafa, pójdziesz – grusza.

Jeśli jednak był choćby cień szansy na ucieczkę z tego miejsca, o którym tak marzył, należało spróbować; co pół godziny budził się i spoglądał na zegarek. Wskazówki świeciły słabo (wiedziała, co mu dać!) i pokazywały dziewiątą, wpół do dziesiątej, dziesiątą... Rogow zapragnął nagle wtulić się w posłanie; to pragnienie nawiedzało go zawsze, kiedy ciepło i przytulność były nietrwałe: nic nie czyni koca tak ciepłym, jak konieczność wstania! W wojsku, kiedy dyżurny budził go na służbę w wartowni albo w stołówce (oddział kuchenny wstawał o godzinę wcześniej niż reszta kompanii), Rogow obiecywał sobie, że w Moskwie co noc będzie nastawiać budzik na wpół do czwartej, według jego obserwacji najbardziej senną

porę, żeby z tym większą rozkoszą uświadomić sobie, że nie musi nigdzie iść, i znów zapaść w sen. Nie zdążył jednak zrealizować tego pomysłu – i nigdy go nie zrealizuje, pomyślał, jeśli się stąd nie wyrwie.

Za piętnaście jedenasta wstał, skłamał dyżurnemu, który z tępą i senną miną chodził tam i z powrotem między drzwiami a piecem, że idzie za potrzebą („Wiesz gdzie?” – „Wiem”) i wyszedł w zimną noc.

Chmury zasłaniały niebo, skrywały księżyc i gwiazdy; wzmagął się wiatr. Rogow nie mógł wziąć plecaka, żeby dyżurny nie nabrał podejrzeń, ale przed wyjściem naciągnął drugi sweter. Żał mu było zostawiać własne, prywatne rzeczy w obcych rękach; wszyscy tu byli mu po trzykroć obcy, więcej – inni, całkowicie odmienni; powinien był wiedzieć, czego szuka. Mieszkańcy Czystego, tak jak on, nie mieli wyboru; potomkowie nieszczęśników, zwiezionych tu przemocą, musieli się stać właśnie tacy, byli na to skazani – wieczna dyscyplina, wieczny sprawdzian, wieczne polowanie na nowych, żeby uzupełniać materiał...

Rogow postawił kołnierz kurtki i szybko, długimi krokami ruszył w stronę kobiecego baraku, ale tu, nie wiadomo skąd – jak zawsze – wyskoczył Nikołka.

– Nowy ucieknie! – rozdarł się nieznośnie piskliwym głosem. – Już prawie uciekł, już leci! Wstawajcie, ludzie, świeże mięsko umyka!

Rogow, kompletnie w tej chwili nie pamiętając o nietykalności Nikołki, z całej siły trzasnął go w nos.

– Nie ma takiego prawa, żeby bić Nikołkę! – wrzasnął na całe gardło jurodiwyj.

– Nie ma takiego prawa, żeby wszystkich bić, a jednego nie bić – powiedział Rogow i przyłożył mu jeszcze w oko. – Nie ma takiego prawa, żeby nie tykać wyrodków. Nie ma takiego prawa, żeby ich tolerować!

Nikołka natychmiast zamilkł i popatrzył na Rogowa z nieopisanym zachwytem; w jego oczach, z których jedno szybko puchło, Rogow wyczytał niemal uwielbienie.

– Ale skumał! – wyszeptał jurodiwyj, odginając kciuk. – Przyswoił prawo, skumał, skumał... Przewyższać, po prostu – przewyższać, ot, i całe prawo... Oni ci – nie ma takiego prawa, a ty im – nie ma takiego prawa, żeby nie było takiego prawa! I w ogóle. Aj, zrozumiał! Aj, zrozumiał! – i potoczył się gdzieś donikąd, tak jak znikąd się pojawił.

W tym momencie wszystkie części łamigłówek ułożyły się Rogowowi w pełny obraz. Zrozumiał, że żadnego prawa nie ma, nie będzie i nigdy nie było, a jedynym celem mieszkańców osady jest nie przestrzeganie prawa, ale osiągnięcie maksimum możliwej męki przy minimalnym, czysto formalnym jej uzasadnieniu. Ta myśl świtała mu już wcześniej, ale nie potrafił jej zwerbalizować: tak, oczywiście, żadnego rygoru tu nie ma! I wielkiego prawa,

prawa Imperium – też nigdy nie było, jako że jest ono pełne prawnych absurdów i sprzeczności, i jedynym jego celem we wszystkich epokach było maksymalne znęcanie się nad wszystkimi, gdyż w przeciwnym wypadku człowiek staje się meduzą bez kośćca. Dręczenie było jedynym sposobem na to, by dać człowiekowi superwłasny cel – przecież w dobrobycie potrafił się troszczyć tylko o własny, a człowiek jest tak skonstruowany, że przeskoczy wysokość metr siedemdziesiąt, tylko jeśli poprzeczka jest ustawiona na metr dziewięćdziesiąt; kiedy zaś nie ma poprzeczki, bardzo szybko zaczyna dreptać w miejscu, i to tyle, jeśli chodzi o skoki.

Cel życia, prawdę, moralność – wszystko to osiągnano nie poprzez praworządność, ale poprzez gotowość znoszenia tortur; jedynie na torturach można było poznać prawdę, wszystko inne ją tylko przesłaniało. Tak było wszędzie, w wielkim świecie także: prawo już dawno niczego nie reglamentowało. Uwzględniało system tortur, częściowych egzekucji i innych sposobów zadawania sobie nawzajem mąk, a reguły postępowania – co tam, można je było łamać po dwadzieścia razy dziennie. Słuszność stała się tania jak nigdy – wystarczyło powiedzieć pierwszemu napotkanemu: „Nie ma takiego prawa, żeby szurać nogami” – i stawałeś się jego panem, dopóki nie pojawił, że odzwemem na takie hasło jest: „Nie ma takiego prawa, żeby się wtrącać”. Im głupsze i bardziej podłe było to, co o nim powiedziałaś, tym więcej miało szans na sukces, na brutalne zniewolenie – i świat przestępczy, kiedy wychowywał mazgaja, i władza, kiedy walczyła z dysydentami, zaczynali mniej więcej tak samo: popatrz na siebie! Tu następowała niepochlebna analiza powierzchowności bohatera, z naciskiem na brudną, nieświeżą bieliznę; gdyby dysydenci w odpowiedzi wytykali śledczemu, że tak, mają nieświeżą bieliznę i łupież, ale jemu śmierdzi z ust zgnilizną – kto wie, może ta przewaga tak by zaskoczyła śledczego, że spadłby z krzesła albo wypuścił dysydenta. „Nie ma takiego prawa, żebyś tu żył” – przypominała na każdym kroku ojczyzna. „Nie ma takiego prawa, żebyś kłapała jadaczką” – tak powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź.

Teraz naprawdę zrozumiał. Teraz na uwagę, że przy północnym wietrze w dni parzyste nie wolno wysmarkiwać lewej dziurki w nosie, Rogow zawsze mógł odpowiedzieć, że zgodnie z wykładnią jest to dopuszczalne, ponieważ dziś jest pochmurno; a ty popełniłeś wykroczenie, i to poważne: wczoraj byłeś we flanelowej koszuli, ajajaj – w niedzielę, we flanelowej koszuli – wstyd! Punkt piętnasty artykułu trzydzieści osiem – pamiętasz? No jak to! Tam się za to przewiduje sam wiesz co... Żadnego innego kryterium poza gotowością, by iść coraz dalej i dalej, i wreszcie zapłacić życiem, na razie nie wynaleziono.

A więc jestem jednym z nich, pomyślał Rogow. A więc znam prawo. Jedyne prawo,

według którego żyła odszukana przezeń elita narodu, jak również samuraje, robiący wszystko, by obwarować swoje życie maksimum zakazów i przy najdrobniejszym ich naruszeniu popełnić rytualne samobójstwo: mów i rób, co chcesz, byleby twoja męka była możliwie największa. Ta męka to jedyny miernik ważności tego, co z tobą robią. Być może początkowo rzeczywiście ich życie było regulowane jakimś prawem, ale po sześćdziesięciu latach od założenia Czystego sytuacja nie tyle uległa zwyrodnieniu, ile logiczną kolejną rzeczą doszła do upragnionego absurdu, do naturalnej granicy. Przestrzeganie prawa stało się mniej ważne niż jego łamanie; i jeśli tortury tak czy owak stanowiły główne zajęcie mieszkańców Czystego, to sama logika nakazywała, by stopniowo uczynić je wartością samą w sobie, a pretekst – czystą formalnością. Życie istniało tu w swym maksymalnie skoncentrowanym wyrazie, szlachetna istota kary występowała w chemicznie czystej formie, sama w sobie, nieskażona powodem, pretekstem, frymarzeniem... Śmieszny i głupi jest świat pozagrobowy w wyobrażeniu tych, którzy postrzegają go jako gigantyczną niebiańską księgowość: tyś popełnił, ty otrzymasz odpłatę. Nie, oczyszczenie duszy, jej sublimacja następuje niezależnie od twoich grzechów – bo cóżeś ty zawinił, skoro przyszedłeś na świat, gdzie wszystko zaczyna zadawać ci męki już od pierwszego dnia? Nikomu nie wolno nikogo sądzić, albowiem żaden człowiek na świecie nie jest lepszy od drugiego: nikomu nie wolno ustanawiać prawa nad drugim człowiekiem, ale każdemu wolno męczyć każdego, albowiem tylko to daje człowiekowi poczucie, że żyje. W stałej atmosferze strachu i miłość była silniejsza, i równość zagwarantowana sama przez się, kiedy i starosta baraku, i ostatni nawiedzony każdego dnia mogli się stać ofiarami świniarza na oczach zgromadzonego tłumu; i za znającego prawo uchodził właśnie ten, kto się rzucał na nietykalnego – na błazna--jurodiwego, na kata-świniarza... Wykonywanie prawa zaczynało się od targnięcia się na prawo, tekst żałobnej litanii nie miał żadnego sensu, rytuału przestrzegano dla samego przestrzegania rytuału...

Ach, ten Konstantin! W tej chwili Rogow szczerze go podziwiał. I chociaż męczący fizyczny strach przed bólem i ciągłym dyskomfortem świadczyły o tym, że takie życie nie jest dla niego, pojmował jasno, że jego marzenie, marzenie o sprawiedliwym świecie, gdzie ludzie troszczą się nie tylko o złość, spełniło się właśnie tutaj. Wprawdzie bez żadnego artyzmu, bez jakiegokolwiek przebłysku światła – ale cały artyzm zużyto na tortury, a czyż tortura nie jest kwintesencją owej literatury, którą Rogow miał jeszcze naiwność kochać? Co robi literatura? Transmituje cudze doświadczenie, najczęściej doświadczenie bólu. Tortura transmitowała to samo doświadczenie, dając się poznać to średniowiecznym czarownikom, to sowieckim partyzantom. Jeżeli gdzieś na świecie istniało jeszcze intensywne życie ze skoncentrowaną, nieznośnie zgęszczoną miłością, strachem i nadzieją – to było ono tutaj, w Czystym, i tylko

potomkowie ukochanych pupili Wodza mogli na to wpaść. Oto skąd się brała owa niesamowita, wręcz fizycznie odczuwalna intensywność życia w filmach z lat trzydziestych i w muzyce, powiedzmy, z czterdziestych.

Mieszkańcy Czystego poszli dalej: całkowicie zarzucili nudne, rutynowe zajęcia w rodzaju wypieku chleba czy wytopu stali, sprowadzili do minimum troskę o wyżywienie, cały dzień poświęcając umyślnie bezsensownym zajęciom, uwalniającym umysł... „To jest twoja gimnastyka” – przypomniał sobie. Cóż, nie najgorsza gimnastyka. A zresztą, czy przeniesienie belki albo kopanie dołu mają mniej sensu niż długa i nudna codzienna harówka, aby się wyżywić – robota, która ani ziębi, ani grzeje, robota, po której żłopiesz piwo przed telewizorem, a potem walisz się spać? Czyste dlatego było Czystem, że stanowiło wzorzec życia całkowicie oczyszczonego, w którym wszystkie umowności zostały odrzucone, wszystkie mechanizmy obnażone; życie w całej swojej olśniewającej nagości, model graficzny, pestka bez brzoskwini – oto, co stworzono w syberyjskiej tajdze, która rozstała się z szacunkiem przed wielkim i bezsensownym cierpieniem – jedynym, co odróżniało człowieka od innych stworzeń. Inna sprawa, że Rogow z powodu swej słabości i nieprzygotowania nie potrafiłby na razie żyć takim nagim życiem; przywykł do szukania pociechy w jego niezliczonych umownościach, chowania się w nich jak w fałdach kołdry; ale kołdrę trzeba odrzucić – czas wstawać! Sens życia polegał nie na zarabianiu pieniędzy na chleb, nie na budowaniu domów, które prędzej czy później i tak się rozsypią, nie na tworzeniu książek, których rosnąca liczba, wciąż się mnożąc, całkowicie pozbawiała znaczenia te nowe; sens życia polegał nie na zabijaniu podobnych sobie i nie na zagarnianiu cudzych ziem, nie na żalosnej, wręcz zwierzęcej walce o przetrwanie – sens życia polegał na zadawaniu i odczuwaniu bólu, bezsensownego i niepotrzebnego, który to tłamsił duszę, to ją wywyższał. Ból został wyniesiony do rangi dogmatu – nie tępy ból zabijanego zwierzęcia, ale wzniosła metafizyka kary, wobec której wszyscy są równi; ból wysublimowanego męczeństwa, ból-katharsis, ból-ulga! Ta zaiste nadludzka koncepcja miała jedną, jedyną wadę – była zbyt wzniosła; ale przecież kiedyś dojrzeją do niej wszyscy!

Od dzieciństwa fascynowało go męczeństwo za wiarę: nie mógł pojąć, jak ci męczennicy mogli znosić nieludzkie męki, wierząc przy tym w swojego Boga. Było przecież rzeczą oczywistą, że Bóg, w którego wierzyli i za którego warto było tak cierpieć, nie mógł do czegoś takiego dopuścić. Teraz zrozumiał, że wiara była dla nich sprawą trzeciorzędną, najważniejszą zaś stało się męczeństwo, ból, cel sam w sobie, jedyny sposób, by samemu stać się Bogiem – najwyższym, największym Bogiem, dla którego nie istnieje ani cierpienie, ani współczucie. Próby przypisywania mu jakiegś moralności były daremne – on cenił tylko

wielkość.

Obezwładniony zachwytem wobec tej lodowatej abstrakcji Rogow nie dostrzegał ani wzmagającego się wiatru, ani lasu głucho szumiącego w oddali. Gdyby teraz nagle niebo się oczyściło i ukazało jasny, ciemnogrnatowy firmament, gwiazdy, odrastający paznokieć księżycy – byłoby to w absolutnej harmonii z nagłą i oślepiającą jasnością w jego duszy. Ale nic takiego nie nastąpiło – przyroda nie cierpi efektów specjalnych.

Anna z niewielkim plecakiem na ramionach czekała na niego przed barakiem, kuląc się i przytupując, uderzając butem o but. Z koniuszka nosa zwisała jej kropla: zimno, towarzysze, zimno!

– Szkoda, że nie później! – krzyknęła szeptem. – Ktoś cię widział?

– Tylko dyżurny. – Incydent z Nikołą Rogow przemilczał.

– No, wasz dzisiejszy dyżurny to tępak – powiedziała spokojnie Anna. – Dobra, idziemy. – I szybko ruszyła w stronę lasu. Rogow ledwie za nią nadązał.

– Dokąd idziemy? – zapytał, kiedy podeszli do pierwszych drzew.

– Wyprowadzę cię. Nasi by cię zabili, jesteś dla nich zbyt prostolinijny.

Rogow czuł jednocześnie i szaloną ulgę, i niemal bolesną pogardę do samego siebie: właśnie objawiło mu się najwyższe, prawdziwe życie, a on okazał się tak haniebnie na nie niegotowy! Ale to nic, zdąży jeszcze nabrać dystansu do ziemskich pokus i wrócić tutaj.

– Powiedz mi – zapytał – znasz tu może kogoś o nazwisku Skałdin?

– Nie znam. – Szła szybko i pewnie między wysokimi pniami, nie oglądając się. – Zwracamy się do siebie po imieniu, a imiona sami sobie nadajemy. Ja też nie byłam przez całe życie Anną.

– A dawno tu jesteś?

– Szósty sezon. Jak zrobiłam skrobankę, powiedzieli mi, że nie będę już mogła mieć dzieci. Nie chciałam dłużej żyć. Spotkałam Konstantina i on mnie tu przywiózł. Ależ byłam głupia! Tutaj jest prawdziwe życie. Przedtem w ogóle nie znałam życia. Konstantin sprytnie mnie podszedł – wcale nie pocieszał. Chcesz się powiesić – to się powieś, powiada, ale po co tyle dobra ma się marnować. Niech przynajmniej ludzie sobie popatrzą. No i przywiózł mnie tutaj, a potem się wciągnęłam.

– Zaczekaj. – Rogow czegoś tu nie rozumiał. – Gdzie go spotkałaś?

– A w Omsku. Wiele osób u nas go zna. Cała milicja, wszystkie gazety – wszędzie ma swoich ludzi. Bo inaczej już dawno by tu gliny trafiły i zjechałyby telewizja. A po co nam to? Tutejsze życie nie jest dla każdego.

– To znaczy, że on mieszka w mieście? – Rogow aż się zatrzymał.



– A co w tym takiego? – Spojrzała na niego przez ramię. – Wszyscy mieszkamy w miastach, tutaj przyjeżdżamy na sezon. Od lipca do września: wcześniej pełno tu owadów i kleszczy, a później jest za zimno. Spróbowałbyś pomieszkać w tajdze zimą bez elektryczności!

– Ale ludzie przecież mieszkali...

– No tak. Agafia Łykowa<sup>50</sup>. Ona niech sobie mieszka, a my nie jesteśmy staroobrzędowcami.

– To prawda – uśmiechnął się Rogow. – Wy jesteście nowi.

– Przyjeżdżają do nas ze wszystkich stron – ciągnęła z dumą Anna. – Tylko z Moskwy jeszcze nikogo nie było. No, ale nie wszystkim się mówi, nie wszystkim się przyjmuje... A ciebie ja przywabiłam. Słyszałeś, jak cię wyprowadzałam na polanę?

– Słyszałem jakiś szept.

– To ja tak szeptałam. Tego dnia znaczyłam drzewa, patrzę – idzie ładny chłopiec. Pomyślałam sobie: przywabie go, zabawię się na ostatek. Niedługo wracamy do miasta, a komu w mieście jestem potrzebna? Zresztą wszyscy nieciekawii. A nasi też – sam widziałeś, z nimi się nie zabawisz. Tylko Paszka beznosy jeszcze ujdzie... Sam poprosił, żeby mu wyrwać nozdrza. Zresztą u nas prawie każdy sam się naznacza. A Alosza to się wczoraj skompromitował: sam przecież chciał, żeby mu odrąbać palec. Nikt go siłą nie ciągnął. Zachciało mu się sens uchwycić. A sens – nie dla każdego...

– A po co znaczycie drzewa?

– A co tu mamy do roboty? Żywność przywozi się na cały sezon z miasta. Jest warzywnik. Nosimy wodę, rąbiemy drwa, znaczymy drzewa i robimy gimnastykę, to wszystko. Do zgromadzeń trzeba mieć wolną głowę.

– Stop, stop. – Rogow znów się zatrzymał; nigdy nie umiał myśleć w marszu. – Czyli co, ta osada... nie jest z lat czterdziestych?

– Nie, osada z czterdziestych. Była tu duża, znana sekta. Właśnie staroobrzędowcy. Żyli surowo, przestrzegali reguł. Z komuchami się nie zadawali, radzili sobie sami. Mieli gospodarstwo – krowy, kozy... Potem nastąpił rozłam. Nie wiem, o co poszło, zawsze tak się dzieje – uniosła ku niemu twarz i surowo utkwiała w nim jedyne oko – kiedy ktoś oderwie się od tego, co najważniejsze, to zaraz zaczyna się też rozpadać wewnętrznie. Taki rozpad to pewnie sama radość; kto raz spróbował, nie żyje się już nie tylko z inną grupą, ale i z pojedynczym człowiekiem. To Konstantin wprowadził tam rozłam. Nie spodobało mu się ich prawo. Prymitywnie życie, powiada. No i odszedł ze swoimi, i pobudował w pobliżu. Tamci potem wrócili do ludzi, a Konstantin zaczął werbować osoby z miasta. Przyjeżdżało ich

wielu, ale nie wszyscy wytrzymywali. Stopniowo powstał trzon – jakieś sześćdziesiąt osób; niektórzy nie przyjeżdżają nawet po trzy sezony, jak na przykład Wasilij, a potem zaczyna ich ciągnąć i znowu się u nas zjawiają. Wszystkich ciągnie. Ja w ogóle nie wiem, co bym poczęła, gdyby nie Kostino.

– Kostino? – powtórzył pytająco Rogow.

– No tak, Kostino. Sam Konstantin tak je nazwał, na swoją cześć. To on odkrył prawo.

– A Czyste?

– Czyste to taka wieś tutaj, same ćwoki – zaśmiała się Anna. – Boją się nas. Są tu trzy wsie: Białe, Gołe i Czyste. Że gołe – to fakt, a dwie pozostałe – brud i smród... Nie wiem, jak ludzie mogą tam żyć. Po co, w jakim celu...

– Słuchaj – rzekł z namysłem Rogow, do którego wszystko to docierało bardzo powoli – zbyt wiele było tych zwrotów o sto osiemdziesiąt stopni jak na jeden dzień – to Konstantin nie siedział za Stalina?

– A skąd by miał siedzieć? Wychował się u staroobrzędowców, nawet nie był na wojnie. Tu w kamyszyńskiej komendzie uzupełnień bali się go ruszyć. Oni swoich nie wydawali, no to ich nie ruszano. Bo inaczej wszystko by tu spalili – mówię ci, to była surowa sekta.

Umilkła. Jakies dziesięć minut szli w milczeniu, przedzierając się przez wiatrołom; ludzkich siedzib ani śladu. Rogow na serio zaczął się bać – Anna mówiła rzeczy zupełnie niezrozumiałe, obalające całą jego zgrabną hipotezę. A jeśli jest obłąkana? Już któryś raz w ciągu doby powtarzała się wędrówka z obłąkanym ze starego snu.

– Dokąd idziemy? – zapytał, starając się, by zabrzmiało to w miarę możliwości beztrosko.

– Powiedziałaś już, wyprowadzę cię – odparła, nie odwracając się; ale w jej głosie był teraz jakiś bulgoczący przydźwięk, jakiś przedsmak. – Już niedługo.

A przecież takie posunięcie doskonale się wpisuje w system Czystego, pomyślał Rogow – wyprowadzi mnie gdzieś daleko i zacznie torturować sama; zna tylko jeden rodzaj miłości – znęcanie się. Powiedzmy jednak, że bym się przemógł i uderzył kobietę, a nawet ogłuszył, to co pocznę dalej? Nawet w dzień bym się stąd nie wydostał, a co dopiero w nocy.

– Już niedługo – powtórzyła Anna i po pięciu minutach beładnego, szybkiego kluczenia ukazała się przed nimi niewielka, okrągła polana, na środku której majaczył przechylony na bok budynek.

– Chata myśliwska – powiedziała Anna, wreszcie się odwracając. – Sama ją znalazłam. Tu będziesz mieszkać.

– Przecież miałaś mnie wyprowadzić do Czystego! – krzyknął Rogow.

– Ech, nowy, nowy. – Anna pokręciła głową. – Nigdy nie skumasz prawa. Wiesz, czym jest

prawo? Oszustwem. Tylko tak można pojąć sedno. Kiedy przywykniesz, że wszyscy cię okłamują – zaczniesz pod oszukańczą maską dostrzegać ich prawdziwe oblicze. – Mówiła jak z książki, zapewne powtarzając kazania Konstantina. – No i poszedłeś ze mną, myślałeś, że tak się w tobie zakochałam, że zaprowadzę cię do ludzi. Tak, zaprowadzę, ale nie do ludzi, tylko od ludzi. Byłeś wspólny, a staniesz się mój. Jak inaczej miałabym się zabawić? O tej chacie nikt nie wie, nie znajdą nas tutaj. Już przedtem przyniosłam tu żarcie – starczy na miesiąc, wiesz przecież, że to nie pierwsza moja ucieczka... Teraz też przyniosłam konserwy – zrzuciła plecak – opał mamy, piec tutaj działa... Pożyjemy, zabawimy się. Jak mi się znudzisz – to cię wypuszczę. Albo zostawię tutaj. No jaki z ciebie pożytek, gdybyś mi się znudził? Tak to wygląda. A tyś sobie pewnie nawyobrażał: miłość, ucieczka... A tu figa: oto cała twoja ucieczka. I nie masz żadnego wyjścia; jak mnie zabijesz – sam się stąd nie wydostaniesz. Idziemy.

Anna otworzyła na oścież skrzypiące drzwi, wzięła skądś zapałki, zapaliła lampę naftową, podeszła do pieca. Rogow poszedł za nią przez sień, pełną wilgotnego, zgniłego zapachu starego drewna. W izbie było brudno, wilgotno, przez malutkie okienko wychodziła rura żelaznego piecyka, pod ścianą stała szeroka ława, bliżej okna stół. Pod stołem leżały zwalone na kupę konserwy: sądząc z ich ilości, Anna przygotowała się solidnie, planując spędzić z nim co najmniej miesiąc.

– Słuchaj – wciąż jeszcze nie mógł się z tym pogodzić. – Więc tę osadę Konstantin zbudował sam?

– Dlaczego sam? Zbudowali ją ludzie, którzy z nim przyszli. A wioska staroobrzędowców, tej sekty, istnieje po dziś dzień, stoi pusta. Jakieś dwa kilometry od nas, może trzy...

To pewnie tam dotarł Kretow, pomyślał z przerażeniem Rogow. Zobaczył puste baraki i uznał, że to obóz Wodza. A to była opuszczona siedziba sekty. A więc nic tu nie ma i dopiero co odkryta prawda o nowym porządku świata jest jego własnym wymysłem? A więc przyjeżdża się tu jak na obóz turystyczny, tyle że z torturami?

– Anno, powiedz mi, a ręce tym dwóm... co zawsze chodzą w parze... za co odrąbali?

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziała Anna. – O tych, co nieśli pieniek? Tak?

– No.

Wybuchnęła śmiechem.

– Oj, co za człowiek! Oj, nowy, kiedy ty wreszcie skumasz? Myślisz, że tu się odrąbuje ręce? Tu nawet palce nie co dzień się obcina. Inwalidzi tu przyjeżdżają, ot co! Wśród naszych kalek nie czują się tacy nieszczęśliwi. Uważasz, że człowiek przeżyłby tu, bez szpitala, gdyby mu odrąbali rękę? Oni są z omskiego stowarzyszenia inwalidów, sporo ich tu przyjeżdża. Są

bogaci. Widziałeś nasz magazyn, jadłeś tuszonkę? Żeby się dostać do Konstantina, ludzie płacą ciężkie pieniądze, przywożą jedzenie. Gdzie jeszcze byś mógł zobaczyć, jak żywą babę duszą? – zaśmiała się. – Są tacy amatorzy...

– A też ci... tutaj?

– Oko wybił mi mój mąż, kiedy nie miałam jeszcze dziewiętnastu lat – powiedziała z nienawiścią Anna. Przeskok od życzliwości do wściekłości następował u niej równie błyskawicznie jak u Pawła. – Pobił mnie, uszkodził oko, no i trzeba je było usunąć. Bił po twarzy, ścierwo, niech mu ziemia lekką będzie, Boże, odpuść mnie grzesznej. (O los mężusia Rogow wolał nie pytać). Brzucha nie tykał, wiedział, że jestem w ciąży, chciał mieć dziecko. No to zrobiłam skrobankę, tylko że ukarałam nie jego, ale siebie. Teraz nigdy już nie będę mieć dzieciątka, a ja chcę tylko dzieciątka. Wychowałam je...

Aha, wychowałabyś, pomyślał Rogow. Świetnie byś je wychowała!

Anna tymczasem rozpałała w piecu, w którym już wcześniej zostały ułożone suche brzożowe szczapy; maleńki domek nappełnił się dymem, ale ciąg był dobry i dym szybko wyleciał.

– Chcesz coś zjeść? – spytała Anna. – A może herbatki? Nie? No to się napij. Proszę, wzięłam dla ciebie manierkę. Myślisz, że u nas łatwo o coś do wypicia? Ale zdobyłam, dla mojego miłego i mleka ptasiego.

Poważnie podejrzewając, że przy tutejszym systemie oszustw w manierce może być wszystko, włącznie z moczem, Rogow zdjął zakrętkę z pogiętej żołnierskiej manierki i pociągnął łyk – nie, w porządku, zwykły samogon z buraków, pijał taki na praktykach po czwartym roku, zbierając na zachodniej Białorusi świadectwa o wojnie partyzanckiej. Nawiasem mówiąc, tam się właśnie dowiedział, jak białoruskie wsie zapłaciły za partyzanckie akcje. Samogon był dobry.

– No, no, nie przysysaj się tak. – Anna ze złością odebrała mu manierkę. Wszystkim wam chodzi tylko o to.

– A wam o tamto – odgryzł się dobrodusznie.

– A nam o tamto. – Anna uśmiechnęła się nagle. – Po troszeczkę zaczynasz kapować... No, zaraz izba się nagrzeje i się kładziemy. Możesz się już rozbierać.

Myśl o tym, że będzie musiał iść z nią do łóżka, że Anna właśnie po to go tu przywlokła i teraz będzie się domagać spełnienia tej powinności nie raz i nie dwa, wywołała u Rogowa nowy wybuch złości. Mało, że odebrała mu wiarę w istnienie prawdziwego Czystego, której dopiero co nabrał, mało, że wymarzony wzorzec nowego życia okazał się w istocie obozem turystycznym o odchyleniu sadomasochistycznym – to teraz musi jeszcze jej dogadzać! Może

gdyby ją długo bił, pokazałaby mu drogę? Ale nie, jest przyzwyczajona, bicie to dla niej przyjemność... Wyrwał jej z rąk manierkę i pociągnął jeszcze dwa duże łyki.

– No co? – Odstawił manierkę na stół i złapał Annę za ramiona. – Będziemy się kochać? Tak? Będziemy się kochać? – Zauważył, że zaczyna powtarzać słowa jak Nikołka: bardzo go to podkręciło.

Jedyne oko Anny zamrugało, jak się wydało Rogowowi, ze strachem.

– Co ty, co ty – wymamrotała.

Nagle skumulowały się w nim cały strach minionej doby, całe rozczarowanie i cała rozpacz. Powtarzając „Będziemy się kochać, tak? Będziemy się kochać?”, zaczął zdzierać z jej biernego, ale mocnego ciała kurtkę, bluzkę, spódnicę – czuł, jak silne było to czyste, gładkie ciało sybiraczki; i nawet stęchły zapach domu nie mógł zagłuszyć zdrowego, gorącego zapachu tego ciała – dziewczyna pachniała potem i rumiankiem, w którym płukała lśniące włosy, jedyną swoją ozdobę, i kobiecym pożądaniem. Piersi miała małe, gorące, ze sterczącymi brodawkami, brzuch silny i twardy, całe jej ciało było tak gorące, że wydawało się smagłe, chociaż nie widział jej dobrze w mroku izby. Jeśli zignorować pomarszczoną powiekę i nie myśleć o tym, że porwała go z jednej niewoli w drugą, była całkiem do rzeczy, zwłaszcza po burczanym samogonie – tym bardziej, że w takich chwilach oczy zasnuwała mu mgiełka i Rogow starał się nie patrzeć, żeby nie zobaczyć tego, co od razu zgasiłoby pożądanie. Zawsze są takie szczegóły, toteż skupiał wzrok na szyi albo ramieniu.

Tak, mogła i umiała budzić pożądanie, choć była szorstka, prostacka i kłamliwa – szorstkość i kłamliwość były kobiece, a ciało młode, dziewczęce, i można było zapomnieć o jej łgarstwach i szyderczym śmiechu. Nie potrafił jednak zapomnieć o tym, że wywlokła go z niewoli Konstantina w swoją, że podstępnie zwabiła go w miejsce, z którego już w ogóle nie ma ucieczki – toteż pastwił się brutalnie nad jej ciałem, uświadamiając sobie z odrazą, że jej właśnie o to chodzi. Ona też nie ustępowała mu pola, pogryzła mu wargi, podrapała plecy. Ława była wąska, stoczyli się na ziemię i Rogow długo, ze złością wbijał się w nią na podłódze, aż poczuł, że dochodzi; z inną kobietą zaczęłby się powstrzymywać, żeby przedłużyć jej przyjemność, ale teraz nawet nie próbował – szkoda zachodu. Milczała, zaciskając zęby i wyrównując oddech. Rogow leżał obok niej na brzuchu i powoli ogarniał go sen.

– Słabiutko – powiedziała. – Ale to nic, mamy czas, dotrzemy się.

Rogow nie mógłby przysiąc, że mu się to nie przyśniło. Za oknami szumiał wiatr. Nie potrafił się już dłużej opierać senności i zapadł w sen bardziej podobny do omdlenia.

Obudził się nagle, w głowie czuł niezwykłą jasność, w ciele lekkość. Usiadł na ławie:

ogromny księżyc za oknem wisiał tak nisko, że dolnym rogiem niemal dotykał szyby. W jego białym rtęciowym blasku wyraźnie rysowały się pozbawione koloru pnie, liście, trawa. Widocznie wiatr rozwiął chmury. Anna spała na boku, z policzkiem po dziecinnemu wtulonym w złożone dłonie. Rogow słyszał jej chrapliwy oddech.

Naturalnie natychmiast błysnęła mu myśl o ucieczce: uciekać należało teraz, dopóki księżyc jeszcze nie zbladł i Anna spała głęboko. Starając się poruszać bezszelestnie, Rogow wstał, podniósł z podłogi torbę z jedzeniem (Anna zna drogę, nic jej nie będzie, jemu to bardziej potrzebne) i wyszedł z domku.

W lesie było widno i w świetle księżycyca wszystko było nierealnie wyraziste, jak kolorowe obrazy pod powiekami. Dziwne, ale Rogow wiedział teraz doskonale, w którą stronę ma iść. Księżyc znajdował się na południowym zachodzie, Czyste było na wschodzie. Przez jakieś pięć minut szedł między oświetlonymi pniami drzew i nagle zobaczył przed sobą rozległą polanę; na polanie stała chata – ta sama, z której dopiero co wyszedł – a w niej spała Anna. Wiedział o tym, nawet nie wchodząc do środka: w uszach rozbrzmiewał mu znowu ten sam gorący głos, co przedwczoraj (Boże, czy naprawdę przedwczoraj?), w dniu, kiedy zabłądził w lesie. Teraz jednak nie były to zaklęcia – teraz to był śmiech, nie triumfujący i nie złośliwy, ale równy, cichy śmiech, śmiech szeptem.

Rogow rzucił się dalej, przecinając polanę, pobiegł na ukos od księżycyca, który coraz bardziej się zniżał. Teraz wisiał wprost nad lasem, nienaturalnie olbrzymi. Uskakując przed jego blaskiem i wpadając na drzewa, Rogow znów biegł przez pięć minut i znów wybiegł na polanę, i znów w jego uszach rozległ się pozbawiony wesołości śmiech.

Księżyc wisiał teraz płasko, jak białe skrzydło, i zajmował pół nieba. Nie widząc drogi, nie zważając na kierunek, Rogow przedzierał się przez las, wpadając na krzaki, płacząc się w wysokiej trawie – ale bezradosny śmiech znów rozbrzmiewał mu w uszach, i sylwetka domu na polanie, zalanego rtęciowym blaskiem, widoczna była już z daleka. To białe światło zatopiło cały las, blade światło z czarnego nieba. Drzwi domu się otwały i to, co Rogow powinien był ujrzeć na progu, było tak straszne, że aż go podrzuciło na ławie, i tym razem rzeczywiście się obudził.

Dom zalewało białe światło pochmurnego dnia i w tym pochmurnym dniu był śmiertelny smutek, jak w każdym późnym, bolesnym przebudzeniu. Anna spała na boku, z policzkiem po dziecinnemu wtulonym w złożone dłonie. Myśl o ucieczce... nie, to wszystko już było. Myśli o ucieczce przychodzą głównie we śnie. Rogow siadł na podłodze i ścisnął rękami głowę. Anna poruszyła się, przeciągnęła i nie patrząc na niego, usiadła obok. Twarz miała spuchniętą, obrzmiałą po śnie, starą. Na ciało starał się nie patrzeć. Wstała, uporządkowała odzież,

wyjęła skądś spomiędzy fałd spódnicy okrągłe lustro – dokładnie takie same jak jego – przejrzała się w nim i przygładziła włosy.

– Skąd je masz? – zapytał ochryple Rogow.

– Wszyscy mamy takie. Konstantin kazał nam je nosić – odrzekła zdziwiona. – No bo jak bez niego?

Rzeczywiście, pomyślał Rogow ze spokojem, który samego go zdziwił. Jak bez niego? Obetną ci ucho, rozetną brew – trzeba się przejrzeć i pozachwycać. Tak jak z tatuażami u dzikusów: żeby przynajmniej popatrzeć, dla jakich upiększeń się cierpiało.

– No? – spytał. – I co teraz będziemy robić?

– Jak to co? – odpowiedziała tak pogardliwie i obojętnie, że Rogow, który myślał, że nie zdziwi go już żadne nowe oszustwo, jednak się zdumiał, poczuł dotknięty. – Pójdiesz do domu.

– Do Czystego?

– Czemu do Czystego? To tam jest twój dom? Pójdiesz tam, skąd przyszedłeś.

– Jak pójdę, przecież nie znam drogi?

– A co tu znać, to tylko trzy kilometry. Pokażę ci, w którą stronę iść. Bo co, nie trafisz? Trzeba cię prowadzić za rączkę?

– Ale przecież wczoraj mówiłaś...

– A bo to mało się mówi? To nie miejsce dla ciebie. Tacy chłopaczekowie nam niepotrzebni.

O Boże, pomyślał Rogow. A jeśli to też próba, jeśli namówił ją do tego Konstantin?

– Co, to on ci poradził, żebyś mnie tak wypróbowała? – zapytał z nienawiścią.

– Aleś ty głupi – odrzekła obojętnie. – Zobaczyłam ładnego chłopca, to czemu się miałam nie zabawić. Zabawiłam się i wystarczy. Chłopiec jak chłopiec. Nie masz tu u nas nic do roboty, za słaby jesteś.

Dopiero teraz naprawdę się wystraszył. Oczywiście, wszystko to powinien był zrozumieć od samego początku. Po cóż jej taki ktoś jak on i jakiej miłości potrzebuje – po tym szaleńczo napiętym życiu, jakie się toczy w osadzie? Tam, gdzie co dzień przemoc i strach, i męka, gdzie co dzień kaźń i zawsze nie do końca – jakaż ma być miłość? Tutaj miłość może być tylko taka – na jedną noc, pełna oszustwa i fałszu. A rano muszą zrywać takie związki, bo tylko ból pozwala jeszcze im wszystkim poczuć, że żyją. Jak mógł się na to nabrać? Pewien znajomy mówił mu kiedyś po pijanemu: najcenniejszą rzeczą w miłości jest zerwanie, bo tylko zerwanie pozwala ci poczuć, że była miłość. Dawniej, mówił, nienawidziłem rozstań, a teraz przyśpieszam je, jak mogę. Pożegnania, rozstania – spokojne, burzliwe, namiętne – to dla mnie

jedyny dowód, że żyję. Taka właśnie jest ich miłość, i tylko taka mogła być miłość w prawdziwym Czystem, jeśli Czyste w ogóle gdzieś i kiedyś istniało. Na wszystko wystarczy doba, a potem znów odrąbywanie palców.

Wstał, zapiał koszulę, wyjął z kieszonki lusterko: spojrzała na niego zdziwiona, po dzieciennemu nadąsana, nieogolona twarz.

– No dobra, ruszaj – powiedziała Anna apatycznie. – Prosto stąd będzie pół godziny drogi. O sto kroków od domu wyjdiesz na ścieżkę, ona cię doprowadzi.

Trzeba było coś powiedzieć na pożegnanie, coś złego. Przypomniawszy sobie prawo. Prawo zasadało się właśnie na tym, żeby ciągle przekraczać poziom cudzej podłogi, odpowiadać na nią podłogą dziesięć razy większą – ale co on mógł zrobić? Powiedzieć jej, że ma opuchniętą gębę i śmierdzi jej z ust? Czy jeszcze jakoś inaczej uderzyć garbatego po garbie? Wiedział, że takie słowa jej nie dotkną, a zresztą nie powiedziałby takich słów. Uderzyć ją? Tak, chyba mógłby ją uderzyć. Ale wiedział, że nic nie mogłoby jej sprawić większej radości, że ona tylko na to czeka – może nawet świadomie go prowokując. Wyobraził sobie jej wywrócone z rozkoszy jedyne oko i wzdrygnął się z obrzydzenia.

A jednak udało mu się znaleźć ostatnie słowa:

– No dobra – powiedział, stając na progu. – Bądź zdrowa, życzę ci szczęścia, zdrowia dobrego, dobrego męża i gromadki dzieci. Sama wiesz – dzieci to najważniejsze.

– Ty draniu! – Anna wbiła w niego rozwścieczone czarne oko.

– Bądź zdrowa – powtórzył Rogow i zszedł ze schodków.

Godzinę później był w Czystem, a po następnych dwóch godzinach w Kamyszyńskim.

---

<sup>48</sup> Fiodor Tiutczew, *Dzień i noc* (przyp. tłum.).

<sup>49</sup> Postacie z popularnego rosyjskiego serialu animowanego (przyp. tłum.).

<sup>50</sup> Agafia Łykowa (ur. 1945) – ostatnia z żyjących członków rodziny Łykowów, pustelników staroobrzędowców, mieszkających w tajdze sajańskiej (przyp. tłum.).



## REKONSTRUKCJA 3

– **Z**imno – to nasze życie – powiedział z uczuciem brodaty. – Otocz się zimnem, a będziesz zwycięzcą przyrody. Bo cóż to jest ciepło i dobro? Po prostu fiuu! – wskazał oczyma w górę ni to podkreślając całą ulotność tego, co ciepłe albo dobre, ni to dając do zrozumienia, że całe ciepło zgodnie ze swymi właściwościami fizycznymi powinno się tam właśnie wznieść. – Najpierw wszystko jest zimne i złe, a potem ono zwycięży, i wtedy można patrzeć, można mówić.

Starzec wyłowił Skałdina drugiego dnia podróży spośród tłumu pasażerów w rozklekotanym ogólnym wagonie. Skałdin – chyba jedyny w całym wagonie – jechał bez towarzystwa, bez rodziny, i staruszek być może chciał go na swój sposób zabawić; a może z bezbłędnym instynktem szaleńca wyczuł, że nawet jeśli go tu przepędzą, to przynajmniej nie zaraz.

– I druga sprawa: po co ty z siebie wypluwasz? Charkniesz – i już tracisz gram siły. Ja mogę przez trzy doby nie lać, nie fajdać, o wtedy mam taką siłę, że o, popatrz! – Wariat wyciągnął z kieszeni postrzępionych portek długi, gruby gwóźdź zgięty w literę „u” i bez trudu go rozgiął. Pewnie przy poprzednim rozmówcy go zgiął. – Kto to jest Parszek? – zapytał surowo i zrobił pauzę, jakby czekał na odpowiedź.

– Nie wiem – powiedział Skałdin. – Pewnie to ty.

Stali w okropnie brudnym i dusznym przedsionku (właśnie w takim Rogow jechał z Kamyszyńskiego do Omska): dwaj olbrzymi mężczyźni, niemal rówieśnicy, obaj wyglądający znacznie starzej niż wskazywałyby na to ich wiek. Skałdin – chudy, o jednolicie brązowej, surowej twarzy, grubokościsty, ubrany w ciemne, dobrze skrojone spodnie i koszulę khaki, i ten drugi – bosy wariat, który według Skałdina miał jakieś czterdzieści pięć lat, ale wyglądał jak leśny skrzat albo Niekrasowowski starzec Sawielij, z powodu ogromnej srokatej brody, kędzierzawej i rozczochranej; w ogóle był mocno włochaty – płócienna koszula

z oderwanymi rękawami ukazywała sękaty ramiona i grube ręce porośnięte siwiejącym rudym włosiem.

– Parszek to kierowca nowej drogi – powiedział starzec pouczająco. – Parszek idzie tam, gdzie nie wszyscy idą. Parszek był pod Niemcem, Parszeka Niemiec wypróbował. Na motocyklu woził, tak, tak. A co mi tam motocykl! Przy dwudziestu stopniach boso chodziłem i przy dwudziestu pięciu boso chodziłem. Chcieli mnie w przerębli pomęczyć, ale nie chciało im się rąbać przerębli. A Parszek im nie powiedział, Parszek tylko Stalinowi powie. Jadę do Stalina – oznajmił konfidencjonalnie. – Aha. To mój prezent na trzydziestolecie władzy radzieckiej. Dojedziemy pojutrze, będę chodzić, patrzeć, jak i co. Może Agafjuszka mi pomoże. Wszędzie są boży ludzie, i w Moskwie są boży ludzie: oni znają Parszeka, zaprowadzą go prosto do Stalina. Myślisz, że on bożych ludzi nie słucha? A ja tak sobie myślę, że to wszystko mówią mu boży ludzie, bo jak inaczej doszedłby do takiego rozumu? Jak by mu przyszedł do głowy taki wielki plan? On rozumie, że zimno to podstawa. Wszystkich zmrozi. Ciebie na przykład zmroził i patrz, jaki się stałeś, jaki dobry, jaki dla wszystkich wygodny. Tylko niepotrzebnie plujesz. A teraz mi powiedz, dziecińko, co ty jesz?

– Jem to, co jest – uśmiechnął się Skałdin. Z zainteresowaniem słuchał tego wariata. Jego słowa miały jakiś niewyraźny, nie całkiem zrozumiały, ale w zasadzie uchwytny sens.

– O, tak się nie godzi, tak nie będziesz miał zasługi. – Brodaty pokręcił głową. – Zasługa, twoje zwycięstwo, będzie wtedy, kiedy od piątku do niedzieli nie będziesz nic jeść. Wtedy będziesz panem natury. Mnie natura sama wszystko podaje do głowy, już dawno to rozumiałem. Pamiętasz, jak wczoraj płakało tu dziecko? Wziąłem je na ręce – i od razu zasnęło. Więc słuchaj: od piątku nic nie jedz, a w niedzielę wyjdiesz bosymi nóżkami na śnieg, staniesz, dwa razy przełkniesz...

– Co przełknę? – zapytał Skałdin, doskonale się bawiąc.

– Jak to, co przełkniesz, ślinę przełkniesz, nie przerywaj. Przełknij, a potem wszystkim ludziom życz wszelkiego dobra. Powiesz tak: ludzie moi, ludzie, życzę wam szczęścia i zdrowia dobrego. Tak, dziecińko, a potem idź i jedz wszystko, co zechcesz. Możesz nawet zapalić, jeśli nie masz wytrzymałości. Jak się nie ma wytrzymałości, to w ogóle wiele można: na przykład boleśniej się doświadczać. Bo w czym jest mądrość natury? – Jak większość proroków, stary przedstawiał swoją naukę w formie odpowiedzi na własne pytania. – Mądrość natury jest w tym, żeby samemu zapragnąć wszystkiego, czego się nie chce. I wtedy będziesz panem natury.

Po namyśle Skałdin uznał, że trudno o lepszy podarunek na trzydziestolecie władzy radzieckiej.

Jeszcze kilka razy wychodził z brodatym napomost: w wagonie kompletnie nie dało się rozmawiać – gorąco, smród. W trzydziestym dziewiątym wieziono ich do Omska zimą i wtedy w stepie dokuczało im zimno – ale ten wagon w porównaniu z tamtym był wprost królewski. Widać stali się zupełnie niepotrzebni, skoro zaczęto ich pojedynczo zwalniać i każdemu wydawano pieniądze dokładnie na miesiąc bardzo skromnego życia i na przejazd najtańszym pociągiem. Co prawda, Skałdin miał teraz order.

Poza pogawędką z panem natury w pociągu nie było innych rozrywek. Wagon był ciasno nabitą zwartą ludzką masą, jechali w nim jacyś Kazachowie, jakieś kałmuki w chałatach – Skałdin spotykał takich na wojnie, bili się marnie. Owszem, mieli w sobie złość, ale tępą, która budziła się tylko wtedy, kiedy swoi coś im ukradli. Gdyby ukradli im coś Niemcy, o wtedy ci Azjaci byliby niepokonani – ale niestety. Walczyli marnie, ale Skałdin musiał przyznać, że bez czystowców i bez mieledinowców, i bez nowosybirskiego batalionu szturmowego, do którego zwieziono wszystkich nieugiętych z całej środkowej Rosji, mimo swoich olbrzymich przestrzeni przegraliby wojnę raz-dwa. Idiota Żukow uważał, że wojny wygrywa się pięścią i krzykiem, idiota Własow – że nienawiścią do Żydów; i gdyby nie Grochotow, który przeszedł przez Mieleдино i nieoficjalnie kierował obroną Moskwy, a potem zabłysnął pod Kurskiem – Wódz nie zobaczyłby teraz ani Moskwy, ani Berlina. Ale Wódz sam kiedyś siedział, znał się na rzeczy i w trzydziestym ósmym wszystko zdążył przygotować. Pomysł wielkiego filtru zdał egzamin.

Skałdin został zauważony jeszcze pod Moskwą i osobiście znał Grochotowa, stała przed nim otworem wielka wojskowa kariera, ale Wódz nie chciał hodować sobie wysokich kadr dowódczych spośród ludzi, którzy przeszli przez filtr. Początkowo Skałdin czuł się pokrzywdzony, ale teraz rozumiał, że i tu Wódz okazał mądrość – tak, okrutną, ale każda mądrość jest okrutna. Oni zrobili swoje, na nową wojnę wystarczy nowych, filtr działał, a ludzie z Czystego i Mieleдина nie powinni zbyt dobrze walczyć i awansować. W czasie pokoju w armii powinni służyć idioci, bo inaczej a nuż...

Nie, Skałdin nie myślał o zemście i nie interesował go przewrót. Ale zbyt wielka liczba profesjonalistów w wojsku to niebezpieczeństwo dla kraju, w którym o wszystkim decyduje jeden człowiek; pomysł stworzenia dwóch armii – tępej pokojowej i rezerwowej złożonej ze skazańców – miał swoje plusy. Inna rzecz, że teraz wcale mu się nie uśmiechało przystosowywanie do pokojowego życia, bo znał już cenę tego pokojowego życia i swoich przedwojennych prac: kto by chciał hodować zboże, które zostanie spalone albo stratowane już przy pierwszym ataku – a atak jeszcze nastąpi taki, że ho, ho, ho...

Przed wojną Skałdin był nie tyle głupi, ile zbyt ufny. Mimo to miał w sobie rdzenną siłę,

mocny wiejski zaczyn, i to właśnie pozwoliło mu przetrwać w więzieniu, potem w Czystym, potem pod Moskwą, pod Kurskiem, pod Warszawą. (Dalej niż do Polski ich nie puścili – bali się ucieczek; zbytnia ostrożność! Bo czyż dorwawszy się do tego świata, zaczęliby się do niego dostosowywać? Nic podobnego: wszystkim mieszczuchom poderznięliby tłuste gardła i już). A więc miał siłę, ale nie miał za grosz rozumu. Zajmował się nie wiadomo czym. Pszeniczka. „Pszanica” – jak mówił z szacunkiem jego nauczyciel Michajłow, też porządny chłop i też dureń. Przed wojną Skałdin zajmował się, by tak rzec, najdelikatniejszą warstwą, nazywaną nauką albo kulturą – krótko mówiąc, masłem na kanapce, kremem na torcie, a z prawdziwym życiem, z którego się brała jego rdzenna siła, wszystko to nie miało nic wspólnego. I tak przeżyłby życie, gdyby nie filtr.

Dokładnie pamiętał chwilę, kiedy te umowności znikły, jak gdyby pozostając w dawnym życiu: ostatnie dni przed szpitalem przypominał sobie mętnie, pamiętał jedynie straszny ciężar bezsenności, mrocznej jawy, w której słowa nagle traciły znaczenie. Potem pokazano mu stenogram tego, co mówił na ostatnim przesłuchaniu: kompletnie nie rozumiał, jak mógł to mówić. „Między ludźmi poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek. Igła, szydło, nóż, siekiera, piła, młotek, hebel, strzykawki. Krowa, konik, koza, owca. (Zdawało mu się chyba, że śledczy pokazuje mu jakieś obrazki, a on musi mówić, co na nich jest, bo inaczej uznają go za wariata). Uchwyt, kura, kaczką, gęś, indyczka, słowik, szczygieł, sikorka. Konik nóżką grzebie, deszczyk pada, znaczy brzydka pogoda. A jak się woda naleje do wanny, trzeba się wykapać. Właśnie poją krowę. Moja noga zmienia się w ból, ręka zmienia się w ból. Długo nie ma poczty, a chciałbym poczytać, tu jest jakaś tajemnica. Potwierdzam zgodność zapisu z moimi słowami”.

Kiedy się ocknął w szpitalu, niczego nie pojmował; po prostu miał uczucie, że wszystko jest dobrze, że jest spokojnie. Weszła czerwona w białym, przyniosła przezroczyste; dała pić – gorzkie. Wszedł biały w białym, powiedział zwyczajne „no, jak tam”. Ogromna ulga, chociaż słów „ogromna ulga” też jeszcze nie było. Złamana ręka była w gipsie, poili go czymś gorzkim dwa razy dziennie, na noc słodkim, rano kwaśnym. Słowa przypominał sobie zdumiewająco szybko, ale za to niektóre pojęcia nigdy doń nie powróciły. Na przykład, przychodził śledczy, żółto-zielony w białym; śledczy – bo on śle, śledzi, to przychodzi. Pytał o pszenicę. A ja nie wiem, jaka pszenica, po co ją hodować, skoro wszyscy wiedzą, że pszenicę ziemia rodzi sama. Pytał o uczelnię: a po co uczelnia, skoro człowiek sam wie, ile trzeba, i niczego więcej do życia nie potrzebuje? Odzyskiwał siły niezwykle szybko. Już o nic go nie pytano. Raz doktor, to przecież był on – biały w białym, powiedział: żeby tak było ze wszystkimi. Ale nie u każdego można wywołać psychozę reaktywną. Ten po psychozie jakby zrzucił skórę, a spod

niej wyłonił się idealny żołnierz.

Oczywiście idealny żołnierz odzyskał potem całą pamięć, i co tu dużo gadać – to było bolesne, bardzo bolesne. Nie opuszczało go jednak poczucie bezsensowności i zbędności wszystkiego, czym żył – jakiejś tam miłości, jakiejś rodziny, jakiejś nauki. Po co nauka, skoro tak po prostu można zrobić z człowiekiem co się chce? Powiedzmy, umiłowanie piękna, o którym tak dużo mówił w Czystym pewien historyk sztuki z Leningradu. Twierdził, że właśnie umiłowanie piękna pozwoliło mu przeżyć, wytrwać i niczego nie powiedzieć. Zdawało mu się, że przyznając się do niepopelnionych grzechów, obrazi piękno, które zaufało mu tak dalece, że pozwoliło się badać. Znaczący, źle cię bili, powiedział wtedy Skałdin; w Leningradzie w ogóle źle biją. Powinni doskonalić kadry. Teraz podobno już się za to wzięli. Wystarczy przytknąć zapalnik do płótna – i tyle twojego piękna. Wszystko to krem na torcie, masło na kanapce. Wielkość ich kraju polegała właśnie na tym, że nauczył się on odcinać to, co zbędne.

– Ale właśnie masło czyni ją kanapką – zauważył historyk sztuki i zacisnął usta.

– Chleb trzeba żreć – powiedział wtedy Skałdin. – Pan myśli, że sztuka czyni pana człowiekiem, miłość czyni pana człowiekiem... Czynią pana robakiem i niczym więcej. Człowiek – to to, czego nie można odebrać; chyba że razem z życiem. Rzecz jasna, mówię o człowieku radzieckim.

Kiedy dojeżdżali do Moskwy, brodaty po raz ostatni pouczył Skałdina:

– A więc odpisz mi, wróć do siebie do Czuwyłkina i będę czekać. Napisz, jak ci poszło, jakie jest teraz twoje szczęście. Pamiętasz, jak nie jeść?

– Pamiętam – uśmiechnął się Skałdin. Wariat był jedynym człowiekiem w pociągu, który nie budził w nim odrazy – a jeśli się zastanowić, to wcale nie był takim wariatem.

– I nóżkami, nóżkami częściej po śniegu. Trzeba świadomie szukać zimnego i złego, nie uczyć się bogactwa, ale ubóstwa. Wyrzeknij się wszystkiego, a będziesz panem. Rozumiesz, co mówię?

– Rozumiem – potwierdził Skałdin. Wariat gadał do rzeczy.

– No. – Parszek z zadowoleniem kiwnął głową. – Dlatego mówię tak zrozumiale, że sama natura mi szepcze. No, życzę ci szczęścia i zdrowia dobrego.

– I tobie też szczęścia i zdrowia dobrego – odrzekł Skałdin i mocno uściskał mu rękę.

Ta fraza, Bóg jeden wie dlaczego, uczepiła się Rogowa jeszcze w samolocie do Omska, kiedy czytał w „Moskowskich Nowostiach” gniewny artykuł Dworkina<sup>51</sup> i teraz nie potrafił się od niej uwolnić.

Skałdin sam dobrze nie wiedział, po co jedzie do Moskwy. Powinien zobaczyć się

z rodziną, może w czymś pomóc. Oczywiście żyć z żoną teraz by nie mógł: pamiętał Mariusię jako istotę słabą, delikatną, i zrobienie z niej człowieka było praktycznie niemożliwe – wszystko w niej było ludzkie, nic ponad. Była jeszcze córka, można by spróbować przynajmniej ją wychować na człowieka, prawdziwego człowieka bez zahamowań, nauczyć ją niczego nie chcieć, żeby niczego nie tracić – ale tylko pod warunkiem, że Marusia nie będzie się wtrącać. Pracę mu obiecano, teraz umiał wiele różnych rzeczy. Grochotow, którego umieścili na niezbyt wysokim, ale wpływowym stanowisku w moskiewskim zarządzie Oktiabrskiej Kolei Żelaznej (kariere wojskową oczywiście utracili mu już w czterdziestym piątym), obiecał w razie czego pomóc. A w transporcie rzeczywiście wiele rzeczy należałoby poprawić – oto namacalny przykład: jesteśmy już spóźnieni prawie o pół doby. Trzeba będzie się do niego zwrócić, Grochotow na pewno go pamięta. Jak tylko się urządził, napisał z Moskwy jedynie do Skałdina: oczywiście zwięźle, bez emocji, jak powinien pisać prawdziwy człowiek do prawdziwego człowieka.

Nie, nie przesiedlili ich; przynajmniej taką łaskę okazano ich rodzinom. I nie aresztowano. Pewien młodzieńcy Żyd z całą powagą zapewniał, że wzięto wszystkie rodziny, żeby już nikt nie czekał na nich w domu. Człowiek jest panem swoich uczuć i jeśli każą mu zapomnieć, że w domu ktoś na niego czeka, to zapomni bez żadnych starań państwa. Trzeba samemu być dla siebie państwem, to właśnie znaczy być państwowcem. Tego by jeszcze brakowało, żeby aresztować całą twoją rodzinę tylko po to, byś się stał prawdziwym żołnierzem. Nie, jego rodziny na pewno nie ruszyli. Poprosił Grochotowa, żeby sprawdził, i Grochotow sprawdził; żona pracowała w ZIS-ie, dawnym AMO<sup>52</sup>, Katia chodziła do szkoły; przysłał także numer telefonu – G1 16 29. A przed wojną telefonu nie mieli.

Skałdin nie chciał się tak od razu zjawić, zadzwonił z automatu.

Słuchawkę podniosła starsza pani, której nie pamiętał (dokwaterowano ją w czterdziestym szóstym na miejsce sąsiada Singermana, który wyjechał do rodziców do Kujbyszewa; nagle postanowił rzucić dobrą pracę w Muzeum Rewolucji i wyjechał nad Wołgę – rzekomo zbierać materiały o ruchu rewolucyjnym, a w rzeczywistości po prostu uciekł, w nadziei, że przesiedzi tam nowe nadchodzące czystki; Rogow wiedział o tym od matki, a Skałdin nie wiedział). Poprosił Marinę, nie było jej, dobrze, no to Katię. Katia była.

– Śnieżko – powiedział zły na siebie za to przezwisko, nie powinien mydlić dziecku oczu czułościami, ale musiał podać hasło, które coś dla niej znaczyło. – Jest mama?

– Nie, jest w pracy – powiedział słaby głosik, podobny do głosu Mariny, ale jeszcze delikatniejszy, domowy jak ciepły szlafrok.

– A kiedy wraca?

– Koło szóstej – odrzekła z przestachem dziewczynka.

– Katiu – powiedział Skałdin, chcąc jej dodać odwagi. Machinalnie odnotował, że serce przyśpieszyło mu tylko odrobinę – oto co znaczy panować nad sobą. Oczywiście, kraj się zatroszczył o żonę i córkę swojego żołnierza, co w tym dziwnego? To był szczególny, nowy kraj, nie porzucił swoich żołnierzy, i dlatego warto go było bronić. Surowy, ale kochany kraj.

– Katiu, muszę coś mamie przekazać. (Na pewno kruchu u nich z pieniędzmi, niech wiedzą, że nie przyjechał z pustymi rękami). Muszę się z nią zobaczyć, ale na razie nie mogę do was przyjść. Chcę jeszcze coś załatwić. Teraz jestem u przyjaciela, nie mogę długo zajmować telefonu. Powiedz mamie, że będę czekać na nią dzisiaj przed Poczta Główną o ósmej.

Pocztę wymyślił już dawno, jeszcze w Czystem. Dobre miejsce, najlepsze na spotkanie: dużo ludzi, jasno, odświeżenie. Wszyscy odbierają listy, wysyłają listy. Jednak żałował, że w Czystem nie ma listów, chociaż naturalnie potrafił tłumić takie impulsy. Spotkanie poza domem było konieczne dla uniknięcia niezręcznej sytuacji: a nuż przyjdzie i zobaczy tam innego mężczyznę, nie prosił Grochotowa o sprawdzenie jeszcze i tego – taki zajęty człowiek, po cóż go jeszcze tym obciążać. A zresztą jak to sprawdzić. Trzeba zobaczyć, czy Marusia przyjdzie: jeśli przyjdzie, to znaczy, że Skałdin może pójść do domu. Może się też okazać, że nie powinien się zjawiać tak od razu z jakichś innych przyczyn – dobrze przeprowadzony zwiad to już połowa zwycięstwa. Zimno – to nasze życie. Ależ się go uczepiło to zdanie!

– Wszystko przekażę – powiedziała nieśmiało dziewczynka. – A kiedy... kiedy będzie można...

– Wkrótce przyjdę – zapewnił ją wesoło Skałdin. – Jak ci idzie w szkole?

– Skończyłam czwartą klasę na samych celujących – odpowiedziała córka drżącym głosem.

– To wspaniale. No, do widzenia.

Odwiesił słuchawkę i dopiero teraz poczuł, jaki jest głodny, jaki piękny, słoneczny dzień jest w Moskwie, jaki radosny początek jesieni, a wraz z nią ostrych, silnych mrozów Ojczyzny, testujących autentyczność wszystkiego, co żyje. Zatrzymał się w Omsku, nie chciał jechać na los szczęścia – i znalazł się w Moskwie dopiero piątego września; dach nad głową w Omsku gotowi byli zapewnić mu na długo, zasłużył sobie, spędził więc u cichej gospodyni dwa tygodnie, oczekując potwierdzenia z Moskwy. Grochotow dotrzymał słowa.

Jadłodajnia to luksus, miał zbyt mało pieniędzy; poszedł prosto do spożywczego w pobliżu trzech dworców – nowego, przed wojną go nie było. W całej tej nowej moskiewskiej wspaniałości była też część jego pracy. Ciężkawe to, trochę przeładowane, chciałoby się większej ascezy, ale w stolicy można sobie pozwolić na królewski przepych. Reszta kraju i tak żyła ascetycznie – widział to, znał. Zimno – to nasze życie.

– Kilogram serdelków proszę – zagruchała kobieta przed Skałdinem.

Stał w kolejce po swoją butelkę kefiru i pół bochenka pytlowego chleba już pół godziny i po jego niedawnej dumie nie pozostało już ani śladu. Moskwa żarła, Moskwa się degenerowała. Z kim będziemy zwyciężać? A przecież jeśli mamy jeszcze walczyć i budować, potrzebni są prawdziwi ludzie, czyż wszystkich trzeba będzie przekuwać? Toż zabrakłoby kuźni.

– Dziesięć jajeczek. – W jej nieznośnym głosie brzmiała wyrobiona przez lata głodu czułość wobec jedzenia. – A jajeczka świeżutkie?

Ciekawe, jakiej odpowiedzi oczekiwała. Głos miała wilgotny, z obrzydliwym gardłowym bulgotem, mokrym, podskórnym przydźwiękiem; i jedzenie, które wybierała, bardzo do tego głosu pasowało.

A przecież nigdy nie głodowała prawdziwie, pomyślał Skałdin. Bez trudu odróżniał ludzi, którzy choćby trochę zaznali biedy: dodawało im to może nie tyle szlachetności – i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu – ale przynajmniej odrobinę powściągliwości. Ta zaś była gadatliwa: teraz mogła sobie pogadać, długo i z rozkoszą wybierać zakupy. Skałdin nie cierpiał też wielkopańskich gestów, żalostnego snobizmu byłych, który teraz mógł znaleźć ujście tylko w restauracjach i sklepach (pamiętał jeszcze jak przed wojną, przed Czystym – przed wszystkim – był z Marusią w restauracji, ich jedyną wyprawę do „Rybackiej” koło Dworca Kurskiego): wstrętą manierę przywoływania kelnera, manierę stanowiącą mieszaninę pogardy dla lokaja i porozumiewawczego mrugnięcia (obaj jesteście spod jednej sztancy), pokrewieństwa z nim – kata z ofiarą: proszę podać szynkę, ale niech pan dopilnuje, żeby była świeża. A nie łaska jeść brukiew, draniu? Ale to – owo pieszczotliwe uwielbienie, kult jedzenia, żalostna próba wybrania z tego byle jakiego asortymentu, jaki się pojawił po zniesieniu kartek – budziło jeszcze większe obrzydzenie. Ledwie hamował duszącą go złość. Ta sama złość dusiła jego wnuka Rogowa, który stał teraz w kolejce w sklepie spożywczym „Brzózka” naprzeciw hotelu „Jubileuszowego” w Omsku. Kobieta przed nim wyliczała niezmordowanie:

– Poproszę puszczkę szprotek... jeszcze serek... dobry ten serek? (Serek był tylko jednego rodzaju, kwaśny „Adygejski”, bardziej przypominający zleżały twaróg). Bocheneczek chlebka, kosteczkę masełka...

Warto by was wysłać do Czystego, myśleli dziadek i wnuk, wszystkich do Czystego. Człowiek był wszędzie, człowiek stał w kolejkach i tłoczył się w środkach transportu, człowiek zajmował się rozwiązywaniem swoich groszowych problemów i zwalaniem ich na otoczenie, wszystko było człowiekiem, człowieka w ogóle powinno nie być. Człowiek



niewiarygodnie, nieludzko się rozplenił. Trzeba go było odfiltrować, wyżyć, wygotować w dziesięciu wodach – ale nie tak na niby, jak w komunie Konstantina, tylko tak, żeby wielka wspólna sprawa przesłoniła wszystkie jego prywatne troski, żeby przestał myśleć o swoim zdrowiu i pogodzie, żeby raz na zawsze odechciało mu się tych „jajeczek”. Skałdin nie pamiętał, jak odstał do końca tę kolejkę.

Nie pamiętał też, jak znalazł się na Arbacie.

Potem przekonywał sam siebie, że zwiad to zwiad, że nie mógł się przynajmniej nie dowiedzieć, jak one teraz żyją. Podwórze jego domu było takie samo jak dawniej. Marina wróci dopiero o szóstej, teraz jest piąta. Wszedł po schodach, z których zszedł w grudniu trzydziestego ósmego. Skrzynka na listy, którą sam przybił, wisiała na swoim miejscu. No proszę, ucieszył się. Była wojna, bombardowania, licho wie, co jeszcze, a skrzynka wisi. Dobra robota to dobra robota.

Wróciłem, meldowałem schodom, czując szacunek dla ich mocnych stopni i brudnych, ale całych, ocalałych ścian domu. Odszedłem i wróciłem, i oto jestem tutaj, mocny, nie pogięty. Wy jesteście całe i zdrowe, i ja jestem cały i zdrowy. Wiedziałem, że tu wrócę, i melduję: oto... jestem... tutaj – po jednym słowie na stopień. I żadnej zadyszki. A przecież mam już czterdziestkę. I serce prawie nie przyspieszyło. Oczywiście nie zadzwoni do drzwi. Po prostu pokazuje tym drzwiom, że jest cały i zdrowy.

(Gdyby matka wiedziała, że on jest za drzwiami – co by zrobiła? Wybiegłaby do niego, rzuciłaby się mu na szyję? Nie, chyba nie. Prawdopodobnie z tak samo kołującym sercem, z rozszerzonymi suchymi oczami zamarłaby z tamtej strony, bojąc się poruszyć).

Stali tak naprzeciw siebie przez jakiś czas. Potem jednocześnie się odwrócili i poszli, każde w swoją stronę: Skałdin – na podwórze, Katia – czytać o okresie Smuty.

Na podwórzu Skałdin usiadł na ławce (nowej, dawniej jej nie było), zapalił i zaczął patrzeć na dzieci bawiące się w piaskownicy i na młodą mamę z pięcioletnim chłopczykiem, siedzącą na sąsiedniej ławce. Chłopiec łąził po ławce i nie chciał słuchać wierszy, które matka czytała mu z grubej, niebieskiej książki. Skałdin nastawił uszu.

*Idzie noc na miękkich łapach*

*I jak niedźwiedź ziewa.*

*Syn jest po to, żeby płakać,*

*Mama – żeby śpiewać.*

*Sny odpędzę złe za ścianę,*

*Poprawię poduszki,*

*Śpijcie, oczka me kochane*

*I małe paluszki.*

No i po co to wszystko – oczka, paluszki?! Po co to wszystko? Kogo oni chcą wychować?  
Jest przecież na przykład Arkadij Gajdar... Skałdin się odwrócił.

*Syn podrośnie, w obce strony*

*Ruszy: „Ja odchodzę”.*

*Krawat włożę mu czerwony,*

*Pożegnany na drogę...*

*I zarzuci swoją dolę*

*Jak plecak na ramię –*

*Szarooki komsomolec,*

*Synek mój kochany.*

No, to już trochę lepiej.

*Na kopertach obce marki*

*Synek ponalepiał,*

*Fotografie i podarki*

*Przysyła z daleka.*

*Macierzysty port go wzywa,*

*Lecz znów w świat ucieka.*

*Syn jest po to, żeby pływać,*

*Mama – żeby czekać.*

No, a któż by się sprzeciwiał takiemu porządkowi rzeczy?

*Znów upłyną lata srogie,*

*Głowę szron okryje;*

*Serce powie: „Już nie mogę”,*

*Serce ledwie żyje.*

*I pobladły, z twarzą taką,*

*Jakby skamieniała,*

*Chłopiec będzie długo płakał,*

*Mama – będzie spała.*

Boże, a cóż to ma znaczyć?! To trzeba natychmiast powstrzymać!

*A tymczasem, moje dziecko,*

*Wszystko jest jak trzeba:*

*Chłopiec słodko śpi w łóżeczku,*

*No a mama śpiewa.*

*I spodenki – pierwsze długie,  
Na chłopięce nóżki,  
Synek rączką sennie skubie,  
Zaciska paluszki.*

– Co to wszystko ma znaczyć?! – wrzasnął Skałdin. – Co pani wyprawia?! Co to w ogóle jest?!

Młoda kobieta, przestraszona, pokazała mu niebieską okładkę – *Utwory zebrane Wiery Inber*.

– Przecież są inne, wspaniałe wiersze tej autorki! – krzyczał Skałdin. – *Pułkowski południk, Szlak wody!* Co pani robi, czego pani uczy dzieci! Przecież te dzieci mają zabijać, te dzieci mają ginąć! To deprawacja, jak pani może nie rozumieć, że to po prostu deprawacja! Nie wolno pani uczyć go tego, co potem trzeba będzie zdzierać jak skórę!

Przerażona kobieta złapała chłopca i uciekła, zostawiając książkę, dzieci z piaskownicy wyprysnęły na wszystkie strony, jedno zabrała matka, która przed chwilą rozmawiała z sąsiadką – podwórze opustoszało, a on wciąż krzyczał, a nawet już nie krzyczał, ale ochryple skowyczał, i dopiero kiedy uniósł rękę do twarzy, zrozumiał, że płacze.

Nigdy nie płakał, przecież on nigdy nie płakał. Może teraz też nie płakał; pogoda się popsuła, zaczął nawet kropić deszcz. Tak, oczywiście, to był deszcz.

Musiał stąd iść, zresztą niedługo powinna przyjść Marusia. Kusiło go, żeby ją zobaczyć, a potem pójść za nią na pocztę, ale po co, nie ma sensu – przejdzie się sam, uspokoi. Skałdin z trudem podniósł się z ławki i zrobił dwa kroki, ale nagle poczuł, że nie może się utrzymać na nogach.

Usiadł ciężko na obmurowaniu piaskownicy i zaczął drapać, rozgrzebywać palcami piasek – przy brzegu wilgotny, na środku osłonięty daszkiem w kształcie grzyba. Ból w opuszkach palców i pod paznokciami miał odwrócić jego uwagę od narastającego, palącego bólu w piersi.

Palce natrafiły na jakiś nieduży, twardy przedmiot: wyciągnął go, podniósł do oczu (gwałtownie się ściemniło, jednak pogoda bardzo się popsuła) – i rozpoznał pierwszą zabawkę, jaką kupił córeczce; był to celuloidowy piesek z dużymi uszami, czerwony, o białych oczkach, jak gdyby zaskoczonych jakąś niezasłużoną krzywdą: owalne, pionowe źrenice opuszczone w dół.

Skałdina wzięli, wszystkich wzięli, a tych, których nie wzięli, wciąż brali; przyszła wojna, zabito niezliczone mnóstwo ludzi; Skałdin wyzwał obóz koncentracyjny, widział, co tam robiono z ludźmi, i zdawał sobie sprawę, że gdyby nie było wielkiego sprawdzianu, jego kraj

nie oparłby się takiej machinie; płonęły domy, legły w ruinie miasta, zginęli Swienticki, Gusiew, Kopusow, Bałabolin, Charłamow, Patin, Czybisow, Kolomiejcew, Goworunow, Bałajan, Krochin, Pietruchin, Lorenc, Kasatikow, Krużewiecki – a czerwony celuloidowy piesek leżał w piaskownicy, czekając, aż on tu przyjdzie. Oto, co było najbardziej długowieczne.

Ból stawał się nie do zniesienia. Zrobiło się całkiem ciemno – pewnie wzmagął się deszcz. Skałdin rozwarł dłoń. Pół godziny później ta sama młoda matka, którą nastraszył, przypomniała sobie, że zostawiła na deszczu książkę – dobrą, nową książkę, kupioną poprzedniego dnia za piętnaście rubli w księgarni na Arbacie vis-à-vis „Arsa”. Przemoknięta książka czekała na nią na ławce. Dziwny mężczyzna chyba już odszedł. Nie odszedł jednak, leżał na boku w piaskownicy. Wezwano pogotowie, ale okazało się, że za późno. Zresztą lekarz powiedział, że od samego początku było za późno.

A może przeżył i wszystko potoczyło się inaczej? Może po prostu nie chciał zobaczyć żony i córki, wiedząc, że spokojne życie jest już nie dla niego? Został wojskowym, odszukał Grochotowa, po zdemaskowaniu kultu jednostki został instruktorem w armii? Albo pojechał do nawiedzonego dziadka do Czuwyłkina i pomagał mu głosić, że zimno to nasze życie? Albo wrócił do Czystego razem ze wszystkimi i stworzył wraz z nimi nową komunę – gdzie wszyscy szlifowali formę na wypadek, gdyby jutro wybuchła wojna?

A pieska oczywiście wykopały dzieci, któż by inny.

Teraz Rogow, zmierzający do trzeciego Czystego, już nic nie wiedział.

---

<sup>51</sup> Aleksander Leonidowicz Dworkin (ur. 1955) – znany rosyjski uczonec, badacz współczesnych sekt religijnych, wybitny działacz ruchu zwalczającego sekty (przyp. tłum.).

<sup>52</sup> ZIS – moskiewska fabryka samochodów im. Stalina (*Moskowskij awtomobilnyj zawod imieni Stalina*); AMO – moskiewskie zakłady samochodowe (*Awtomobilnyj moskowskij zawod*) (przyp. tłum.).

**L**udzie odeszli niedawno. Czuło się to we wszystkim – zdawało się, że piecu jest jeszcze gorąca kasza; kaszy jednak nie było, ale poza tym – całkowite złudzenie żywej obecności. Rogow chodził od domu do domu, oglądał rzeczy, szukał śladów. Do każdych drzwi najpierw pukał, pytał, czy jest tam kto – i nie doczekawszy się odpowiedzi, wchodził.

Ale to było to, na pewno to. Tu już Rogow nie miał żadnych wątpliwości. Trzecie Czyste, do którego jechał przez dużą stację węzłową Krutichino i potem jeszcze szedł pieszo, przywróciło mu nadzieję. Był bosko pogodny dzień i bosko piękny las, prześwietlony na złoto, i do lasu prowadziła dobrze ubita, równa ścieżka, którą najwyraźniej często chodzono.

Od samego rana Rogow czuł dziwny zachwyty. Trzecie Czyste, do którego się wybrał dla spokoju sumienia, od samego początku obiecywało wreszcie rozwiązanie zagadki: co z tego, że dwa razy się nie udało, za trzecim razem się powiedzie. I wszystko zdawało się go wabić, wyjaśniać, obiecywać: zrób jeszcze jeden krok – i zobaczysz, zobaczysz...

W chatach było pusto, ale meble: drewniane stoły, taborety, stare serwantki były na miejscu. W Rosji było bez liku opuszczonych wsi, ale w tej tliło się życie – nie pachniało opuszczeniem. Oczywiście, gdyby przypatrzył się nieco uważniej, wyzbywszy się choć na chwilę wiary w to, że cel jest tak bliski – zauważyłby i pajęczynę w kątach, i kurz na stołach i ciężkich kredensach, i przegniłe gdzieniegdzie bale, ale tak długo szukał życia i sensu tam, gdzie nie było ani życia, ani sensu, że się nie przyglądał. Wzrok mu się zaćmił. Widział tylko solidne, mocne, duże domy i czuł, że ludzie odeszli tylko po to, żeby go wywabić, żeby ruszył za nimi ścieżką biegnącą w las – leżała tak malowniczo wśród pól, tak wabiła do złocistej brzeziny rosnącej pół kilometra od wsi. I Rogow, obszedłszy wszystkie dziesięć domów, ruszył ścieżką.

Dzień był promienny, jakby tajał powoli po zimnym poranku, nasycając się pożegnalnym ciepłem. Las zdawał się z nim igrzać – to się przybliżał, to oddalał. Wreszcie Rogow wszedł w początkowo rzadką, ale szybko gęstniejącą brzezinę; ścieżka się nie zwężała, nadal pewnie prowadziła go do celu. Miał wrażenie, że czuje na sobie życzliwe, radosne spojrzenia, i coraz bliżej, coraz pewniej zmierzał do celu długiej podróży.

Może przecież istnieje piękno ponadnormatywne, może też istnieje człowiek, który wyrósł ponad siebie samego! Wszystko o tym mówiło – zachwycająca harmonia, miękkość, czystość;

tylko na zdjęciach w starych kalendarzach możliwy jest taki zielono-złoty las, niebo o tak głębokim, nieprawdopodobnym błękicie, tak niezwykle proste pnie drzew.

W głębi zarysował się prześwit: duża, idealnie okrągła polana, cała pokryta wielobarwnym kobiercem roślinności. Rogow rozróżniał niezliczoną ilość kwiatów, rosnących tu tak bujnie i gęsto, i zdumiewał się, skąd w lesie nagle taka łąkowa obfitość. Ścieżka dochodziła do samej polany i znikwała, jakby tutaj był właśnie cel wędrówki. U celu należało trochę zwolnić.

– Witajcie! – krzyknął Rogow.

Odpowiedziało mu echo – a może to nie było echo? I tu przypomniał sobie nagle, gdzie widział taką polanę. Dokładnie tak wyglądało poziomkowe miejsce, w które zaprowadził go Kretow i do którego potem nigdy sam nie umiał trafić. No ale przecież trafił! Wierzył, że starzec, pokonując czas i przestrzeń, pokazał mu wtedy przyszłość, ale dopóki nie nadszedł czas, w tę przyszłość nie było drogi. Na myśl o Kretowie, którego duch z pewnością radował się teraz, towarzysząc mu (rzeczywiście, coś zdawało się popychać go w plecy), Rogow wyjął z kieszeni lusterko i posłał słonecznego zajączka w prawo, w lewo, przed siebie!

Czekał na niego harmonijny, jasny, wolny świat – świat nowych ludzi, którzy ocalili ziemię, wychowali w ciszy i tajemnicy pokolenie takich, na jakiego przypadkowo wyrósł on, Rogow. W tym raj, do którego przed nim nikt nie mógł dotrzeć, zaczynało się cudowne, niewyobrażalnie piękne życie – zaklęty zamek czekał na swego odkrywcę.

Śmiejąc się radośnie, Rogow wszedł na polanę; najpierw zrobił krok, a potem zaczął biec, biec, biec – i nie spostrzegł, kiedy znalazł się po pierś w lodowatej brei, wsysającej go coraz głębiej i głębiej. Po prostu kwiaty były teraz tuż przy jego twarzy, a potem jego nogi zaczęły ogarniać chłód.

Wokół niego rozpościerało się ogromne, idealnie okrągłe bagno. Las wydawał się niewyobrażalnie daleki. Nie było sensu chwytać się soczystych, pękających z chrzęstem źdźbeł, tylko plątały się w nich ręce. Nie minęły nawet trzy minuty, kiedy zapadł się w lodowatą breję po brodę, próbował krzyczeć, ale nie mógł. Ze słabym chrypieniem młócił rękami chwiejną powierzchnię błota, ale tylko jeszcze bardziej pograżał się w czerni, w podglebiu, w odwrotnej stronie roztaczającego się wokół królewskiego przepychu.

Owo żywe i ciepłe, jedyne, co było Rogowem, co odróżniało go od lodowatego i zamkniętego świata wokół, zapadało się w otchłań, w królestwo dzikiego, nieokiełznanego rozrostu, w przestrzeń rozkładu, gdzie nie było myśli, sumienia, pamięci – gdzie nie było niczego. Ów ludzki pierwiastek, który pragnął pokonać – wreszcie został pokonany. I nie było kogo wzywać na pomoc, albowiem zapadał się w samego siebie, we własne

usprawiedliwienie sprawdzianów, śmierci, jatek, we własną akceptację ich wielkiego tajnego sensu. Sens był tutaj, pod nim i dookoła – pochłonęło go to wszystko, co zaakceptował i usprawiedliwił.

Pogrążając się, dławiąc, w ostatnim wysiłku tracąc resztki zdrowych zmysłów, które zaczęły go zawodzić już rok temu, niezauważalnie dla wszystkich, jak kiedyś straciła rozum jego nieszczęsna babka Marina – niczego nie rozumiał. Nie zdążył zrozumieć – zresztą, dlaczego miałby to pojąć – że stary Kretow zostawił mu w spadku talizman, z którym nie rozstawał się we wszystkich swoich podróżach: kieszonkowe lusterko, nic szczególnego, prezent od dziewczyny, z którą wiele lat temu miał przelotny romans. Kretow nie walczył na wojnie, ponieważ siedział, wyszedł na wolność dopiero w czterdziestym szóstym. Podczas wojny w łagrze uratował się cudem – kreślarze byli na wagę złota, a on był wspaniałym kreślarzem. Tego, że nie brał udziału w wojnie, nigdy nie mógł wybaczyć, chociaż do końca nie wiedział, kogo za to winić; kto wie, może bez wsadzania ludzi do łagrów nie wygrano by tej wojny. Wersję o sprawdzianie wykombinował właśnie w swoim przymusowym biurze projektów, kiedy musiał czymś zająć myśli. Kiedy potem zabawiał przyjaciół i ukochane opowieściami o osadzie w tajdze, wielu mówiło, że sami też się tego domyślali.

Tak czy owak, przysłużył się krajowi, po wyzwoleniu geolodzy byli potrzebni, Kretow poszukiwał ropy i znajdował ją. Lusterko podróżowało z nim po Syberii od czterdziestego dziewiątego roku. Z miłości nic nie wyszło: po powrocie z ostatniej ekspedycji znalazł na zakurzonej stole w zaniechanym pokoju liścik: „W domu nikogo nie ma”, i wszystko zrozumiał. Ale talizman, który mu po niej został, ratował go często z opresji. A więc jednak go kochała.

Po siedemdziesiątym drugim żył z emerytury, pracować już nie mógł – stracił zdrowie w łagrze i w ekspedycjach – więc dla rozrywki czytał gazety, podkreślając z nudów wszystkie lapsusy i powtórzenia. Na przykład kiedy na jednej stronie trafiały się dwa jednakowe nagłówki.

A wiersz o czterech wiatrach i siedmiu morzach był zamieszczony w 1934 roku w „Syberyjskim Tropiciele”, w tym samym numerze, w którym opublikowano drugą część *Wyspy skazańców*. Gdyby Rogow ją przeczytał, rozumiałby to i owo: skazańcy na swojej wyspie bez końca urządzali sobie nawzajem egzekucje – ale tego numeru nie było w komplecie, który Kretow z rozczuleniem kupił w latach sześćdziesiątych u bukinisty i zawiózł na dach. Mól książkowy Kretow i mól książkowy Sutormin bardzo lubili ten magazyn. Kretow przeżył, Sutormin też. I mól książkowy Ima Zasławski też miał więcej szczęścia niż jego rodzice. Ale Skałdina, siwego, obłąkanego Skałdina rozstrzelano w lipcu

trzydziestego dziewiątego roku, i Babla rozstrzelano, chociaż jego przyjaciel Kozajew nie chciał w to uwierzyć. Mogli też rozstrzelać Sołowjowa, dalekiego leningradzkiego kuzyna ojca Rogowa. Wywinął się jednak – sprawa, którą mu chcieli przykleić, okazała się zbyt dęta: miał celować ze swojego okna do towarzysza Żdanowa, kiedy ten przejeżdżał Staronewskim, ale głupia sprawa – okno jego mieszkania na Staronewskim wychodziło na podwórze. Wykpił się dziesięcioletnim wyrokiem i był tak szczęśliwy, tak szczęśliwy – cały czas od tej pory był szczęśliwy i już po powrocie uśmiechał się do wszystkich dzieci, a przy słonecznej pogodzie puszczał do nich lusterkiem zajaczki. Nie było w Leningradzie szczęśliwszego człowieka. Myślał, że to Bóg go ocalił, ale w tym wszystkim był wielki, pierwotny zamysł – wszystkich powsadzać i wystrzelać, a jego wypuścić, żeby w Leningradzie był szczęśliwy człowiek.



Niewiele już pozostało nam do dodania.

Musimy opowiedzieć, kto tak naprawdę zadzwonił do Kati Skałdinej tamtego dnia, piątego września, kiedy dzieci na ich podwórku wykopały z piaskownicy czerwonego pieska z celuloиду.

Szesnastoletni siostrzeniec-kuternoga szefowej Mariny, Natalii Siemionowny, którą wzięli na krótko przed Skałdinem, oskarżył sam siebie, żeby się połączyć z ciotką, ale zrobił to tak niezręcznie, że, dzięki Bogu, nie podzielił losu rozstrzelanej ciotki i dostał tylko pięć lat. Śledczemu było go żal i pewnie by go zwolnił, ale chłopiec sam się zgłosił i nie można go było wypuścić.

Odsiedział swoje, wyszkolił się na felczera, przeżył, wyrok skończył mu się w czterdziestym trzecim, potrzymali go do końca wojny i wypuścili ze standardowym pozbawieniem praw „minus dziesięć”; oznaczało to, że dziesięć największych miast w kraju jest dla niego zamkniętych, więc zamieszkał w Smoleńsku – po prostu dlatego, że mieszkał tam lekarz, z którym zaprzyjaźnił się w łagrze i który obiecał znaleźć mu pracę.

W czterdziestym szóstym przyjechał do Smoleńska, w czterdziestym siódmym znalazł pracę, w czterdziestym ósmym się ożenił. Z czasem nawet zaczął mieć niewielkie pieniądze – pracował jako pielęgniarz w miejscowym szpitalu, myślał już nawet o wyższych studiach, przecież odsiedział wyrok, odpokutował, mogli go przyjąć do Smoleńskiej Akademii Medycznej. Podobało mu się to miasto z jego wspaniałym soborem, ze wzgórzami, z katolicką surowością w wystroju miejscowych prawosławnych świątyń, z dobrymi jasnowłosymi dziewczętami, z życzliwym kręgiem miejscowej inteligencji. Przez dwa lata żył sobie spokojnie, ale w trzecim roku postanowił spłacić swój dług.

Chodziło o to, że tuż przed zgłoszeniem się do śledczego – ostatnią rozpaczliwą próbą ocalenia ciotki – poszedł jeszcze do jej firmy, usiłując znaleźć sprzymierzeńców, świadków jej wprost bajecznej uczciwości – ale tam odskakiwano od niego jak od trędowatego. A przecież Natalia Siemionowna pomagała tym wszystkim dziewczynom, choć była dla nich surowa, i jedną odwiodła od skrobanki, delikatnie wspomagała pieniędzmi, chociaż sama ich potrzebowała... Kupowała do biura orzeszki, jabłka... Tylko jedna osoba go wysłuchiwała, poczęstowała herbatą i okazała współczucie – i była to Marina Skałdina, której mąż wkrótce podzielił los ciotki.

Teraz siostrzeniec-kuternoga nie był już tym bladym chłopcem z nerwowym tikiem, ale przystojnym, pewnym siebie mężczyzną, wprawdzie utykającym, wprawdzie z lekko drgającą powieką – ale przeżył, wiele przeszedł, nauczył się nie bać, bić i zszywać rany. Teraz mógł się pokazać na oczyma Mariny Skałdinej. Teraz mógł jej pomagać, ceniono go w szpitalu, a od czasu jego wyjścia na wolność minęły dwa lata – mógł spróbować chociaż raz pojechać do Moskwy i spotkać się z jedyną osobą, która go nie zdradziła i okazała mu współczucie. Zadzwoił przez międzymiastową – numer telefonu pamiętał przez całe dziesięć lat – Mariny nie było w domu, córka w szkole, ale sąsiadka staruszka potwierdziła, że nadal mieszkają na Arbacie. W końcu co ryzykował? W Smoleńsku mieszkało wielu ludzi po wyrokach, sporo z nich miało „minus dziesięć”, ale jeździli do Moskwy i nic. Jeden nawet był w teatrze „Bolszoj”, na *Eugeniuszu Onieginie* z Lemieszowem. Bądź co bądź od wojny minęły już trzy lata – na ulicach legitymowano coraz rzadziej, a przed patrolem milicyjnym w centrum z łatwością by uciekł, dobrze pamiętał miasto. Podobno centrum oszczędzono i postanowiono nie przebudowywać.

Wieczorem czwartego września, powiedziawszy młodej żonie, że wróci pojutrze, a teraz jedzie odwiedzić szkolnego kolegę, siostrzeniec-kuternoga wsiadł do pociągu, a rano następnego dnia wysiadł w Moskwie. Wiózł dla Mariny pieniądze i dwa słoiki marynowanych grzybów – teściowa, nauczycielka w szkole podstawowej, robiła świetne marynaty. Kwiaty postanowił kupić tuż przed spotkaniem.

Wtopił się w moskiewski tłum, przespacerował się po mieście, zaczekał, aż uczniowie wyjdą ze szkół, zadzwonił do córki Mariny (pamiętał z jej opowieści, że w rodzinie nazywano ją Śnieżką, i postanowił użyć tego hasła, żeby dziewczynka się nie przestraszyła) – i dowiedział się, że Marina wraca z pracy o szóstej. Przyjść do niej do domu tak po prostu byłoby niebezpiecznie – a nuż zainteresuje się nim główny lokator mieszkania, sprawdzi późnemu gościowi dokumenty, a w dowodzie „minus dziesięć”. Skrzypiący głos staruchy bardzo mu się nie spodobał. Najlepiej będzie spotkać się w jakimś neutralnym miejscu, na przykład przy Poczcie Głównej; i w centrum, i dużo ludzi, i na nic się człowiek nie nadzieje.

Wstąpił do małej piwiarni na Trubnej, wypił parę kufelków, z przyjemnością popatrując na gości i słuchając ich moskiewskiej wymowy. W Smoleńsku tak nie mówili, chociaż akcent tamtejszych mieszkańców był właściwie nieokreślony. Tik zaczął mu dokuczać jakby trochę bardziej, jak zawsze, kiedy był mocno przejęty, choćby nawet w przyjemny sposób. Szczególnie spodobał mu się wysoki, młody wojskowy przy sąsiednim stoliku, naprawdę piękny mężczyzna. Wojskowy był z dziewczyną, dowcipkował, oblizując gwardyjskie wąsy. Po wojnie zrobiło się dużo więcej przystojnych ludzi. Pewnie powietrze jakoś się oczyściło.

Ów wojskowy był etatowym informatorem i w ten sposób kupował sobie wolność (wpadł na defraudacji państwowych pieniędzy w swoim pułku, gdzie był szefem oddziału finansowego), a jednocześnie dostawał określoną sumkę na przesiadywania w moskiewskich piwiarniach w towarzystwie dziewcząt. Od razu wydał mu się podejrzany nerwowy typ z nerwowym tikiem, więc kiedy siostrzeniec Natalii Siemionowny wyszedł z piwiarni i ruszył powoli w stronę Kirowskiej, kapitan Armii Radzieckiej poprosił dziewczynę, żeby zaczekała, pobiegł do najbliższego milicjanta, podał nazwisko, stopień i miejsce pracy człowieka, któremu raz na miesiąc meldował o wszystkich rozmowach, okazał swój dowód osobisty i wskazał podejrzanego przechodnia, który, utykając, oddalał się bulwarem, z trudem pokonując wzniesienie.

Milicjant podziękował, szybko wezwał patrol i dalej siostrzeniec-kuternoga szedł już w towarzystwie dwóch postępujących za nim dyskretnie tajniaków, którym także wydało się podejrzanе i jego utykanie, i to, że bez przerwy rozglądał się na boki.

Szedł i wdychał powietrze wilgotnego moskiewskiego wieczoru: kroił deszcz, dokoła rozkwitły parasole. Uśmiech nie schodził mu z twarzy i nie psuło nastroju nawet wzmożone drganie policzka. To było jego miasto i tłum też był swojski, przyjazny, tu nikt by go nie wydał. Szedł spłacić dług kobiecie, która kiedyś mu pomogła – szedł zahartowany, silny, pamiętający o dobru.

Poczta była tuż obok, za rogiem. Spojrzał na zegarek: pozostało jeszcze pięć minut. Powoli, z przedsmakiem szczęścia, z uśmiechem na drżącej twarzy, po mokrym asfalcie rozjarzonym odbiciami latarni, ruszył w stronę oświetlonego podjazdu.

I wtedy właśnie go wzięli.

*Czepielewo – Moskwa*